

MONIKA A. OLEKSA

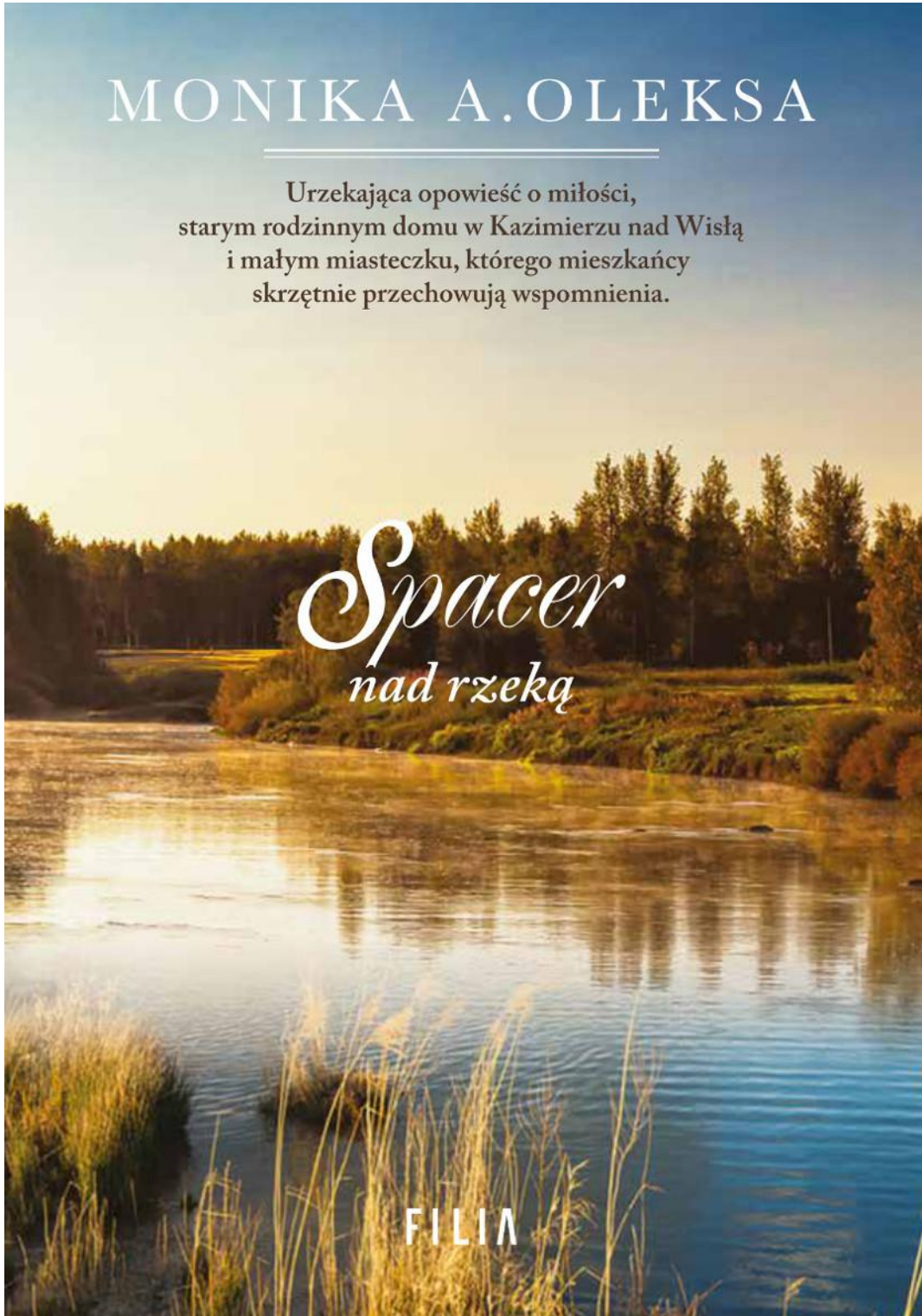
---

---

Urzekająca opowieść o miłości,  
starym rodzinnym domu w Kazimierzu nad Wisłą  
i małym miasteczku, którego mieszkańcy  
skrzętnie przechowują wspomnienia.

*Spacer  
nad rzeką*

FILIA



MONIKA A. OLEKSA

*Spacer*  
*nad rzeką*

FILIA

*Wszystkim tym, których miłość zraniła, a mimo to w nią nie zwątpili,  
a także tym, którzy nauczyli mnie prawdziwej miłości – mojemu mężowi  
Marcinowi i synom: Michałowi i Miłoszowi.*

*I mojej Mamie, dziękując jej za to, że nauczyła mnie patrzeć na  
świat sercem.*

## Spełnienie

Pachniesz spełnieniem  
Szeptnąłeś  
I ogrzałeś me dłonie  
Wielkością swojego serca  
A potem  
Spojrzałeś w ocean lęku  
Skryty w mrocznej otchłani źrenic  
I moja noc zajaśniała tobą  
Teraz  
O świcie  
Na wieki

Monika A. Oleksa

## PROLOG

---

*Sierpniowe słońce dopieszczało ostatnie chwile kończącego się leniwego dnia. Sad pachniał słodczą dojrzewających jabłek, a lepki sok wezbrany pod skórką ściekał jasnymi kropelkami po palcach, wabiąc osy i składając obietnicę smaku, jakiego się nie zapomina.*

*Na kocu rozłożonym pod jedną z jabłonek leżała kobieta. Z głową podpartą na łokciu i jedną ręką wyciągniętą w górę przypominała posąg*

– dzieło precyzyjnego artysty, dopieszczającego szczegóły. W jej dłoni spoczywał dojrzwały i zarumieniony lekka czerwienią owoc, który oglądała pod światło, a po jej twarzy błędził zamyślony uśmiech skierowany gdzieś daleko, ponad rzucające cień gałęzie jabłoni.

Leżący obok niej mężczyzna obserwował ją w milczeniu. W jego przejrzyście niebieskich oczach kryła się tęsknota, a wraz z nią wiele niewypowiedzianych emocji. Nie potrzebował słów. Ona i tak wiedziała. Potrafiła czytać w nim jak w książce, której nigdy nie napisał, choć chciał.

– Do twarzy ci z tym jabłkiem – powiedział, przerywając ciszę, w której tak wiele się działo. Śpiewy, ćwierkania, a nawet dobiegające z oddali klekotanie; bzyczenie, brzęczenie i cykanie odzywało się językiem natury, która hojnie dzieliła się z każdym, kto zechciał się w to wsłuchać.

– Aż żał mi je zjeść – odezwała się kobieta, opuszczając rękę i przybliżając twarz do aksamitnej, rozgrzanej latem, czerwonej skórki.

– Jeśli chcesz, zostaw je sobie na pamiątkę. Do jedzenia nazrywam ci kilogram innych.

Roześmiała się, a mężczyzna pomyślał, że już dawno nie słyszał jej śmiechu. Takiego dźwięcznego, dziewczęcego i beztroskiego jak ta chwila.

– I co mam z nim zrobić? Przecież wkrótce albo zgnije, albo zasuszy się i będzie wyglądało jak ja za kilkanaście lat, z wiotką, pomarszczoną skórką, obcym zapachem, wzbudzające jedynie tęsknotę za tym, czym było.

– Nawet gdy się pomarszczysz i zwiotczeje ci skóra, i tak będę cię kochał. I nie zniechęci mnie nawet obcy i niepodobny do ciebie zapach.

Znów usłyszał ten radosny śmiech, który tak rzadko pojawiał się między nimi. Prowokował go, chcąc uchwycić tę chwilę, która zawsze trwała za krótko. Zupełnie jakby wiedziała, że jest tylko wyrwana, ukradziona.

– Dlaczego życie tak bardzo lubi przekorę? – Śmiech nie powrócił już nawet echem. W jego miejsce pojawił się smutek, zawsze przyczajony obok i nieodpuszczający. Teraz też tu był. Rozepchał się na kocu pomiędzy nimi i w nosie miał fakt, że był tu nieproszonym gościem.

*Mężczyzna usiadł i zapatrzył się na łany dojrzałego zboża, falujące w oddali. Tuż przed nim przeleciała ważka. Smukła i pełna gracji, unosiła się nad ziemią jak ulotne, wypowiedziane życzenie.*

*– Nie uważasz, że każdy z nas ma prawo napisać swój własny scenariusz? Przecież mówi się, że człowiek jest kowalem własnego losu.*

*Ciepła dłoń kobiety dotknęła jego policzka. Kilkudniowy zarost załaskotał, ale mężczyzna nie poruszył się. Zbyt cenny był dla niego ten dotyk.*

*– Czasami w sztuce życia występuje zbyt wielu aktorów, a twoja rola jest tak ściśle spleciona z kimś innym, że nie możesz jej tak po prostu rozpisać na nowo. W tym teatrze nie ma niczego „na niby”. Są prawdziwi ludzie i prawdziwe uczucia.*

*– Chrzanię taką sztukę, poproszę o inną.*

*Delikatnie zsunął z policzka kobiecą dłoń, pocałował ją i wstał, przeciągając się. Poczul chłód, mimo że słoneczne promienie wciąż jeszcze były widoczne na tle lekko zamglonego nieba.*

*– Jeśli kiedykolwiek będę musiała odejść, odnajdziesz mnie tu, w jabłoniach, i w każdym z owoców, które one urodzą... – Usłyszał za sobą głos kobiety, który wplótł się w koncert na skrzypce jednego świerszcza.*

*Odwrócił się twarzą do niej i wyciągnął rękę, pomagając jej się podnieść. A potem, nie wypuszczając jej dłoni, zaprowadził na koniec sadu, aby mogli wspólnie obejrzeć ich prywatny spektakl zachodzącego nad lasem słońca.*

*JEDEN...*



Powietrze pachniało wiosną. Przez delikatnie uchylone okno wpadały pojedyncze dźwięki miasteczka, a słońce, które nieoczekiwanie pojawiło się na niebie po wielu tygodniach szarości, ujawniło na zakurzonych szybach wszystkie niedoskonałości i brud świata zniekształcający prawdziwy obraz rzeczywistości. To brudne okno było jak wyrzut sumienia. Przyciągało wzrok, ale uwierało niczym



niewygodne buty.

Nie mogłam się powstrzymać i, chcąc rozgonić szary smutek, narysowałam palcem na szybie serduszko. Banalny, dziecięcy symbol miłości, który sprawił jednak, że się uśmiechnęłam. Do nadchodzącej wiosny i do siebie samej. I do Pawła, choć nie mógł tego zobaczyć.

Tęskniłam za nim. Brakowało mi jego uśmiechu i spojrzenia, którym przytulał mnie czulej niż ramieniem. Brakowało spokoju, który wnosił ze sobą wszędzie tam, gdzie się pojawiał. Nie umiałam w tym obcym miejscu bez niego zasypiać. Duże łóżko rozpraszało niezapełnioną połówką, a wykrochmalona pościel szeleściła, wybudzając mnie ze snu za każdym razem, gdy się przekręcałam. Ciemna noc dłużyła się niemiłosiernie, a rano nie przynosił niczego, z wyjątkiem zmęczenia. I tęsknoty. Za słowem i dotykiem. Za obecnością, której brak bolał, i nawet najlepsze chęci rodziców Pawła nie mogły tego złagodzić.

Było jeszcze coś. Ta jedna, uporczywa myśl, która tutaj, w tym domu, powracała jak natrętna mucha. Myśl, która przybierała kształt niewygodnego pytania i nie dawała się przegonić: Czy Paweł w ten sam sposób tęsknił za Julią? I czy tak samo mocno odczuwał jej nieobecność – jak jedną, wielką, niezaleczoną ranę?

Julia. Od dnia, gdy tu przyjechałam, stała się jakby bardziej obecna w naszym życiu. Może przez to zdjęcie w salonie? Nie mogłam mieć żalu do teściów, że nie ukryli wszystkich śladów obecności Julii w ich rodzinie i w życiu Pawła, a jednak coś zakłuło, gdy spojrzałam w oczy kobiety, o której tak niewiele wiedziałam, i sama nie wiem, czy chciałam dowiedzieć się więcej. Paweł był bardzo oszczędny w słowach, kiedy opowiadał o przeszłości.

„Miałem żonę. Zginęła w wypadku. Wybacz, nie chcę o tym rozmawiać”.

Uszanowałam to. Posłuchałam jego słów tak, jak słuchałam każdej jego prośby. Nie pytałam więcej, choć kobieca ciekawość często była silniejsza niż dobra wola. W Warszawie łatwiej było żyć bez tej wiedzy, która tutaj, w tym domu pamiętającym obecność tamtej kobiety, domagała się odpowiedzi na pytania, jakich nie chciałam zadawać nie tylko ze względu na obietnicę daną Pawłowi, ale i dla samej siebie. Bo dopóki niczego nie wiedziałam, wierzyłam, że jestem jedyną

i najważniejszą kobietą w życiu mojego męża; tą, którą kocha tak, jak jeszcze nigdy nikogo...

\*\*\*

– Przywiozłaś nam, Zosiu, wiosnę. Jesteś jak przebiśnieg zwiastujący zmiany. – Przyjemny dla ucha głos teściowej wybudził mnie z zamyślenia, do którego skłaniała iskrząca w ostrym słońcu, pofalowana lekkim wiatrem wstążka Wisły. Dałam się namówić na ten spacer z nadzieją, że po tak wielkiej dawce świeżego powietrza zasnę w końcu bez trudności i prześpię noc bez rozmyślań i gdybania. Chciałam poznać miasteczko, w którym wychował się mój mąż, i spojrzeć na nie oczami nie turysty, a mieszkańca znającego tu wszystkie ścieżki i każdy zakamarek.

– Tutaj wiosnę czuć bardziej niż w Warszawie – odpowiedziałam, wciągając w spragnione powietrza płuca świeżość, jakiej nie można było odnaleźć w żadnym dużym mieście. – Nawet powietrze pachnie tu inaczej. – Sięgnęłam do szalika i poluzowałam jego ciasny splot, chcąc poczuć słońce, za którym tęskniłam niemal tak bardzo, jak za Pawłem.

– Nie rozwiązuj! – powstrzymała mnie gestem teściowa. – Taka pogoda jest najbardziej zdradliwa, łatwo się przeziębic, a w twoim stanie musisz dbać o siebie bardziej niż dotychczas.

Dobrze, że szłam parę kroków za nią, bo po tej uwadze matki Pawła nie mogłam się powstrzymać i przewróciłam oczami, zachowując się dokładnie jak nastolatka, której nadepnięto na odcisk.

– Ale ja się bardzo dobrze czuję. – Próbowałam się bronić. Wiedziałam jednak, że w starciu z Joanną nie mam żadnych szans. Tak jak każdy.

– I niech tak zostanie. Jesteśmy za ciebie odpowiedzialni, Zosiu. Obiecałam Pawłowi, że oboje z Janem zajmiemy się tobą najlepiej jak potrafimy.

Uśmiechnęłam się i, zachęcona słowami, które usłyszałam, podeszłam i wsunęłam rękę pod ramię kobiety, którą wszyscy w tej

rodzinie szanowali.

„Choć to ojciec jest głową rodziny i to on podejmuje w domu wszystkie decyzje, ostatnie słowo i tak należy do mamy...” – Pamiętałam, jak Paweł wprowadzał mnie w rodzinne zawilości tuż przed naszą pierwszą wizytą u jego rodziców. – „Na pierwszy rzut oka mama wydaje się aniołem, ale nie daj się zwieść, bo to tylko pozory”.

Miał rację. Niewysoka i dość drobna Joanna, z włosami w kolorze jasny blond podwijającymi się tuż za uszami, wciąż wyglądała atrakcyjnie pomimo skończonych sześćdziesięciu pięciu lat. Widziałam spojrzenia mężczyzn odwracających się za nią i dumę teścia, który wodził za żoną wzrokiem mówiącym: „Ona należy do mnie!”. Szare oczy, w których ukryta była łagodność, ale i zdecydowanie, Paweł odziedziczył właśnie po matce. Tylko jego włosy były ciemniejsze niż włosy Joanny, no i był od niej dużo wyższy. Ja ledwo sięgałam mu do ramienia, teściowa była parę centymetrów niższa.

Nie miałam wątpliwości, dlaczego młody doktor, Jan Rybicki, zwrócił kiedyś uwagę na studentkę farmacji, i zauroczył się nią tak bardzo, że pobrali się po niespełna pół roku znajomości. Osiem lat różnicy pomiędzy nimi okazało się tym, co najlepsze dla ich małżeństwa. Jan wniósł w nie swoją dojrzałość i spokój, który właśnie po nim miał Paweł, a Joanna ożywiła ich związek spontanicznością typową dla młodości, szaleństwem niedojrzałości i bezgraniczną miłością do męża. Jan uczynił z niej kobietę szanowaną w środowisku lekarzy i farmaceutów, a później również w całej społeczności miasteczka, w którym zamieszkali wraz z jego rodzicami. Teraz mijający nas mieszkańcy Kazimierza kłaniali się nam z uśmiechem, wymieniając z Joanną drobne uprzejmości, przystając, aby zapytać o jakiś lek lub jego zamiennik i przekazując pozdrowienia dla profesora, który zdecydowanie wolał samotne spacerować bardzo wcześnie rano. Towarzyszyła mu w nich jedynie Nela, wilczyca mająca swoje prawa w jego domu.

– Zobacz, Zosiu, już są bazie na gałązkach. Tylko patrzeć, jak zakwitnie forsycja. Uwielbiam wczesnowiosenny ogród. Choć mnóstwo w nim pracy, zawsze mnie cieszy pozimowe odrodzenie.

Radość Joanny była zaraźliwa. W jasnym świetle dnia, mając na

wyciągnięcie ręki tę samą Wisłę, na którą patrzył Paweł, poczułam, że czas tutaj, w Kazimierzu, może być darem, którego początkowo nie chciałam przyjąć.

– Zosiu, to jest naprawdę bardzo dobre rozwiązanie, szczególnie w tych pierwszych, najważniejszych miesiącach ciąży.

To był jeden z tych dni, kiedy wszystko mnie irytowało, a najbardziej decyzja mojego męża, bym zostawiła pracę na czas ciąży i poprosiła lekarza o zwolnienie. Byłam na nim od tygodnia.

\*\*\*

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogę wrócić do szkoły. Sam słyszałeś, że plamienia w tym okresie mogą się zdarzać i nie są niczym niepokojącym, a zasłabnięcia to coś najzupełniej normalnego w ciąży.

Szare oczy Pawła zrobiły się stalowoniebieskie w chwili, kiedy to powiedziałam. W jego wzroku było coś takiego, że przeszedł mnie dreszcz niepokoju i skłonił do tego, że zaczęłam słuchać męża.

– Zosiu, nie upieraj się, wiesz dobrze, że świetlica w szkole podstawowej, i do tego w dzielnicy Praga-Północ, to nie jest najlepsze miejsce dla przyszłej mamy. Wiem, że kochasz te dzieciaki i oddajesz im całą siebie, angażując się w pracę w stu procentach, ale teraz powinnaś pomyśleć o naszym dziecku. Wspólnie musimy je chronić od samego początku.

– Pawełku, doktor Banasik powiedział, że moja ciąża rozwija się prawidłowo i jeśli będę dobrze się czuła, nie potrzebuję dłuższego zwolnienia. Mam dwadzieścia osiem lat, jestem zdrowa, nic złego się nie wydarzy, naprawdę.

Próbowałam go uspokoić i przekonać, że jego ostrożność jest przesadzona i zupełnie bezpodstawna, ale miałam wrażenie, że każde moje słowo zamiast łagodzić, zadrażnia niepotrzebny konflikt między nami i sprawia Pawłowi ból, którego nie chciałam mu zadawać.

– Zosiu, poczekaj z powrotem do pracy do drugiego trymestru. Jeśli wszystko będzie w porządku, wrócisz do tych swoich małych

potworów.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Oboje wiedzieliśmy, że „małym potworem” on również oddawał swój czas, uwagę i serce. Za to go przecież pokochałam. Skinęłam jednak głową na znak, że taki układ mi odpowiada.

– Pojedziesz do moich rodziców do Kazimierza. Będę spokojny, wiedząc, że masz troskliwą opiekę. Poza tym tamtejsze powietrze, w porównaniu ze spalinami Mokotowa, będzie dla ciebie o wiele zdrowsze i przyjemniejsze.

– Prawie ich nie znam – jęknęłam, przerażona wizją rozstania z mężem i przymusowej zsyłki do obcych dla mnie ludzi. – Widziałam twoich rodziców zaledwie dwa razy w życiu.

– No to nadarzy się okazja, aby nadrobić zaległości i zacieśnić więzy rodzinne. – Paweł uśmiechnął się i puścił do mnie oko. – Rodzice bardzo cię lubią. Daj im szansę, aby ci to udowodnili.

Przyłożyłam ręce do skroni. Miałam mętlik w głowie jak po przejażdżce na wirującej karuzeli.

– Będę tęsknić – wyszeptałam.

Pomimo zamkniętych oczu wyczułam jego bliskość, a potem poczułam ciepło warg na czubku mojego nosa. Zawsze kiedy to robił, wprawiał mnie w zakłopotanie, wzruszenie, a czasami w irytację.

– Ja też, Zosieńko. Ale będę do ciebie przyjeżdżał i będę dzwonił rano i wieczorem, aby ci powiedzieć „dzień dobry, kochanie” i „dobranoc, kochanie”. I będę pisał do ciebie miłosne SMS-y i zasypiał z twoją kusą koszulką przy policzku.

Roześmiałam się. Kochałam Pawła za to jego niezwykle wycucie chwili i wrażliwość, którą mnie ujął już od pierwszego, zupełnie przypadkowego spotkania w szpitalu, gdzie trafiłam, z jednym z podopiecznych, na jego dyżur. Zawsze taki był. I w domu, i w pracy miał do siebie ogromny dystans i wielki szacunek do człowieka, z którym rozmawiał.

– Ale jeśli będzie mi źle, zabierzesz mnie z powrotem do domu?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam tuż przed sobą jego twarz, na której czas powolutku zaczynał żłobić drobne bruzdy i linie, zaznaczając upływ lat i doświadczeń, które przynosiło życie.

– Jestem pewien, że nie będziesz wcale chciała stamtąd wracać. Kazimierz rozkochuje w sobie i uzależnia. Ma niewytłumaczalną siłę przyciągania, której mało komu udaje się oprzeć.

– Tobie się udało – mruknęłam, potrzebując tej bliskości, którą Paweł chciał mnie obdarować.

– Nie do końca – odpowiedział mój mąż, odsuwając się ode mnie.  
– Ja po prostu uciekłem od wspomnień. Jak najdalej...

Nie pytałam więcej, bo nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

\*\*\*

Uległam namowom Pawła, trochę z ciekawości, a trochę z rozsądku, który podpowiadał, że Paweł ma rację. Dałam szansę na bliższe poznanie ludziom, którzy przyjęli mnie z serdecznością, i już następnego dnia witałam się z miasteczkiem, o którym dotąd niewiele wiedziałam. Dostałam czas dla siebie w tym obcym dla mnie miejscu, próbując je oswoić i otworzyć się na ten magnetyzm, o którym tyle mówił mój mąż.

Gdzieś w zaroślach rozspiewał się skowronek. Długo i melodyjnie odczarowywał wiosnę, która rozbudzała się powoli. Pod szaroburą ziemią, rozpulchnioną jak kobieta w ciąży, pączkowało już życie oczekujące na cieplejsze dni i pieszczotę słonecznych promieni.

Mimowolnie dotknęłam dłonią zupełnie jeszcze płaskiego brzucha. W nim też było życie, na które Paweł czekał z taką nadzieją, że aż czasami mnie to przerażało.

Joanna zauważyła mój gest i uśmiechnęła się serdecznie i promiennie.

– Jesteś dla nas wiosną, Zosiu – powiedziała, a potem zapatrzyła się na Wisłę, która też usłyszała te słowa, powtórzone już szeptem i oddane rzece. – Jesteś dla nas wiosną...

\*\*\*

Ciepło rozpalonego w salonie kominka przyciągało, podobnie jak igrające ze sobą języki ognia, splatające się w miłosnym uścisku jak kochankowie – zbliżający się do siebie i odpychający jednocześnie. Gra płomieni intrygowała i sprawiała, że nie byłam w stanie oderwać od niej oczu. Moje spojrzenie przyciągało też stojące nad kominkiem zdjęcie.

Miałam dużo czasu, którego nikt mi nie zakłócał. Dość czasu na to, aby przyjrzeć się kobiecie, która była tu przede mną i której miejsce zajęłam. Dwie kobiety w życiu mojego męża i dwie epoki: Julia i Zosia.

Różniłyśmy się od siebie. Moje krótkie włosy w kolorze ciepłego brązu wypadały nijako na tle długich, rudych włosów Julii, podobnie jak i ja sama, niższa i drobniejsza od rudowłosej piękności, szara myszka z daleka przyglądająca się rasowemu kotu, świadomemu własnej urody. W moich brązowych oczach kryło się zaciekawienie. A co było w twoich, Julio? Uśmiechasz się równie tajemniczo jak Mona Lisa i patrzysz gdzieś poza obiektyw na tego, kto uchwycił cię w tej właśnie chwili, wykradzonej wieczności i utrwalonej na zawsze. Ile marzeń miałaś w sobie i jak wiele niezrealizowanych planów, na które zabrakło ci czasu, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałaś? Ile niewypowiedzianych słów zamknęłaś w sobie i ile niewyjaśnionych spraw zostawiłaś, nie mogąc przewidzieć tego, co się stanie?

Gdy patrzę na ciebie, uświadamiam sobie, jak kruche jest ludzkie życie i jak często my, ludzie, trwonimy bezcenny czas. Przesypujemy między palcami dni, nie traktując ich poważnie. Wierzymy, że mamy ich nieskończoność, tak wiele odkładając na później i na „potem”, i nie uświadamiamy sobie, że żaden z nich się nie powtórzy. Patrząc na ciebie, zrozumiałam, że właśnie tego chciał mnie nauczyć Paweł, wysyłając tutaj. On znał to ze szpitalnej rzeczywistości i z doświadczenia przeżytych lat. Jego czterdzieści trzy i moje dwadzieścia osiem to była ta różnica, którą chciał zatrzeć, przekazując mi to, co on zdołał pojąć wiele lat przede mną: mądrość przeżywania każdej chwili i wdzięczność, bo każda z nich była darem.

– Wybrałaś sobie najprzytulniejsze miejsce na popołudniowy odpoczynek.

Zaskoczył mnie spokojny głos mężczyzny, w którym pobrzmiwały wesołe nutki sympatii. Odwróciłam się powoli, natrafiając dłonią na szorstkie futro Neli i zimny nos, którym mnie szturchnęła.

– Zawsze marzyłam o tym, aby mieć w domu kominek – powiedziałam, uśmiechając się do Jana zapraszająco.

– Jak widzisz, marzenia często lubią się spełniać, czym niejednokrotnie nas zaskakują. To jest teraz również twój dom, Zosiu, i oboje z Joasią chcemy, abyś naprawdę dobrze się tutaj czuła.

Podziękowałam mu spojrzeniem, starając się wyrazić nim wdzięczność.

– Możemy dotrzymać ci towarzystwa? – spytał Jan, wskazując na siebie i na wilczycę, która już zdążyła się ułożyć przy fotelu, na którym prawdopodobnie przesiadywał jej pan.

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło. Nie szukam samotności.

– Nikt jej nie szuka – odpowiedział mężczyzna, siadając w swoim ulubionym miejscu. – To ona najczęściej nas znajduje, gdy człowiekowi zbyt daleko jest do człowieka.

Zamilkł na chwilę, a potem wskazał na fotografię, przy której studiowaniu mnie przyłapał.

– Widzę, że z Julią już się zaprzyjaźniłaś.

– Na razie tylko przywitałam – odpowiedziałam, czując, jak moje serce zaczyna niebezpiecznie galopować. – Jest bardzo skryta i niewiele chce mi o sobie powiedzieć. Podobnie jak Paweł... – Nie chciałam, aby w moim głosie wybrzmiał sarkazm, ale Jan najwyraźniej go usłyszał.

– Potrzebuje czasu, Zosiu. To bolesna rana, wciąż niezabliźniona.

Skinęłam głową, dając mu do zrozumienia, że szanuję potrzebę milczenia Pawła.

– A pan? Opowie mi pan, jaka była?

Uśmiechnął się, pokręcił głową i pogroził mi palcem.

– Przede wszystkim, nie „pan”. Na Boga, Zosiu, jesteś żoną mojego syna, a nie jego partnerką na jakiś czas. Teściu, tato albo Janie, ale nie „pan”, chyba że chcesz mnie obrazić.

Podeszłam do fotela, w którym siedział, i przykucnęłam przy jego



oparciu, opierając brodę na ramionach ułożonych na podłokietniku.

– Wybieram „tato”. To „pan” było tylko zaczepne.

– Ze mną ci się upiekło, ale niech ci nie przyjdzie do głowy zatytułować Joanny „panią”. Nawet sobie nie wyobrażasz, co by się tu rozpętało.

– Domyślałam się – szepnęłam, uśmiechając się do Jana figlarnie.

Był dokładnie taki sam jak Paweł. Nie można go było nie polubić. Z niebieskich, doświadczonego życiem i latami oczu Jana emanował spokój. Pewnie dlatego wilczyca nie odstępowała swojego pana na krok, odprowadzając go nawet pod drzwi toalety. Psy nie lubią nerwowości i niepokoju. Są jak dzieci, cenią przewidywalność i ustalone ramy, do których się przyzwyczajają, każda zmiana powoduje stres. Nela swoim psim instynktem wyczuła, że Janowi można pod tym względem zaufać, i jego obrała za przewodnika stada, czemu wcale się nie dziwiłam.

– Powiesz mi, tato, coś o Julii? – ponowiłam pytanie.

– Usiądź wygodnie, bo taka pozycja nie sprzyja dobremu krążeniu.

– Wskazał na fotel stojący po drugiej stronie kawowego stolika, ten bliżej kominka. Posłuchałam go. Moje nogi zaczęły już drętwieć, z ulgą więc zapadłam się w miękkość wygodnego siedzenia, zerkając na fotografię, która w magiczny sposób mnie przyciągała.

– Ona też najbardziej lubiła to miejsce. I tak, jak ciebie, hipnotyzował ją ogień w kominku.

– Jaka była?

Zamyślił się przez chwilę, wpatrzony w walczące ze sobą płomienie.

– Zachłanna życia. Zaciekawiona nim i nienasycona, zupełnie jakby wiedziała, że nie ma dużo czasu, aby się w nim rozsmakować... Myślę, że dlatego tak bardzo kochała te swoje reportaże. Dzięki nim mogła być bliżej tych wszystkich ludzkich spraw, dotknąć ich. Powiedziała mi kiedyś, że nagrywając je i prowadząc długie rozmowy z ludźmi, czuje się tak, jakby żyła podwójnie.

Przymknęłam oczy, czując przyjemne ciepło kominka. Suchy trzask drzewa miał dokładnie taki sam dźwięk, jak gałązka złamana pod ciężarem buta na leśnej ścieżce.

Zobaczyłam cię, Julio. Zobaczyłam cię w tym salonie, siedzącą po

turecku na podłodze przed kominkiem, zapatrzoną w scenę płomiennej miłości za żaroodporną szybą. Intensywnie nad czymś rozmyślałaś i patrzyłaś na ogień, jakbyś tam chciała znaleźć odpowiedź na niewypowiedziane pytanie. Czy odtwarzałaś któryś ze swoich reportaży, zamyślona nad problemem, jakiego dotknęłaś, czy też rozmyślałaś nad kolejnym? W tej chwili, w której cię ujrzałam, było w tobie tyle niewypowiedzianych emocji, że zrozumiałam, co miał na myśli Jan, mówiąc o twojej zachłanności na życie. I tylko jednym mnie zaskoczyłaś. Samotną łzą, która spływała wolno po twoim policzku, a której nawet nie otarłaś, pozwalając jej przewędrować całą drogę, zupełnie jakby niosła jakieś przesłanie.

\*\*\*

– Jak ci minął dzień, kochanie?

Próbowałam wtulić się w zimny telefon, słysząc kochany głos, w którym było ciepło i troska. I ta czułość, którą tylko Paweł umiał mnie obdarować. Pragnęłam, aby tu był, ze mną i przy mnie. Potrzebowałam jego bliskości i dotyku. Tęskniło za nim moje ciało, nienasycone mężczyzną będącym centrum mojego świata.

– Miło, ale samotnie.

– Rodzice się tobą nie zajęli?

Pomimo tego, że byłam żoną Pawła od pół roku, wciąż nie mogłam się przyzwycząić do takiej troski, jakiej nikt już od dawna mi nie okazywał.

– Zajęli, kochanie. Wciąż się mną zajmują i naprawdę o mnie dbają, ale nic nie poradzę na to, że tylko przy tobie nie czuję się samotna. Kiedy przyjedziesz?

– W sobotę, jak tylko odeśpię dyżur.

– Zostaniesz kilka dni? – Wiedziałam, że zachowuję się jak rozkapryszone dziecko, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Zosieńko, w poniedziałek lecę na sympozjum do Brukseli... Ale samolot mam dopiero w południe, więc śniadanie zjemy jeszcze razem. –

Mówiąc to, pocierał kciukiem zmarszczone czoło, byłam tego pewna. Uwielbiałam się w niego wpatrywać, gdy siedział do późnej nocy nad dokumentacją i historią chorób pacjentów. Znałam te jego zmarszczenia, zamyślenia i kciuk pocierający czoło, gdy zmagał się z czymś, co wymykało mu się spod kontroli i na co nie miał wpływu.

– Długo cię nie będzie?

– Pięć dni. Ale obiecuję, że przywiozę ci prawdziwe belgijskie czekoladki.

– Mmm – zamlaskałam. Wbrew stereotypom zupełnie nie miałam ochoty na śledzie, natomiast ciągnęło mnie do czekolady w każdej postaci.

– Rozmawiałaś już z kazimierskimi kaczkami?

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie przedpołudniowy spacer z Joanną nadwiślańską promenadą.

– Jeszcze nie, ale widziałam bazie i wiosnę, która nieśmiało tutaj zajrzała.

– W Warszawie jeszcze byś jej nie dostrzegła. W mieście jest szaro, buro i przygnębiająco. I do tego każdy się tutaj dokądś spieszy.

– W Kazimierzu natomiast czas płynie spokojnie, odmierzany jedynie porami posiłków. – Ziewnęłam, czując zmęczenie dniem i nadmiarem świeżego powietrza, do którego nie byłam przyzwyczajona.

– Pawełku, czy ty w ogóle pamiętasz o posiłkach? Bo ja, akurat, zaczęłam jeść za dwoje.

– To bardzo dobry objaw, zwłaszcza po tych pierwszych tygodniach, kiedy nawet nie chciałaś patrzeć na jedzenie.

– Też byś nie mógł patrzeć, jakby wszystko przyprawiało cię o mdłości. Nie zagaduj mnie, tylko powiedz, jesz coś?

Roześmiałam się.

– Jem, pani żono, jem. Szpitalny barek ma naprawdę niezłą kuchnię, a o lekarzy dbają tam szczególnie troskliwie.

– Byle nie za troskliwie – mruknęłam, czując lekkie ukłucie zazdrości.

– Kochanie, nic nie dorówna twoim obiadom, ale jak to się mówi: gdy się nie ma, co się lubi, to trzeba polubić to, do czego ma się dostęp.

Westchnęłam, dobrze wiedząc, jak wygląda zabiegana codzienność

Pawła.

– Zaprzyjaźniłaś się już z Bożenką? – spytał, przeglądając jednocześnie jakieś papiery, co poznałam po charakterystycznym szeleście przekładanych kartek.

– Jeszcze nie miałyśmy okazji, cały czas siedzi w aptece. Mieli tu ostatnio jakąś zmianę systemu operacyjnego i Bożenka wprowadza nowe leki do systemu, a Joanna zajmuje się mną. Widuję jednak Bartka przy posiłkach.

– Pozdrów go od wujka.

– Pozdrowię. On wciąż o ciebie pyta. Dzieci pana lubią, panie doktorze.

– Mam nadzieję, że duże dziewczynki też, mruuu... – zamruczał, a ja poczułam dreszcz pożądania i jeszcze bardziej zatęskniłam za mocnymi ramionami Pawła, w które uwielbiałam się wtulać.

– Duże dziewczynki nieustannie mają fantazje z panem w roli głównej, doktorze Rybicki.

– Przyjadę w sobotę, stęskniony jak wariat.

Zaśmiałam się i cmoknęłam słuchawkę.

– Niech mój mąż-wariat idzie już spać i niech nie siedzi do rana nad papierzyskami.

– Obiecuję, że położę się przed północą. Dobranoc, Zosieńko.

– Dobranoc, Pawełku. Tęsknię...

Ostatnie słowo wypowiedziałam w ciemną noc, która zapadła już nad Kazimierzem, otulając go swoją miękką peleryną i kojącą ciszą.

\*\*\*

Obudziło mnie słońce, które z wścibską ciekawością zaglądało w okno mojego pokoju, zaczepiając jasnością przedzierającą się pomiędzy firankami. Otworzyłam oczy i w świetle witającego mnie dnia zobaczyłam drobinki kurzu tańczące na tle okna. Przekręciłam się na bok wraz z towarzyszącym temu ruchowi szelestem pościeli i jeszcze chwilę

leżałam z policzkiem wtulonym we wnętrze rozgrzanych snem dłoni. Zatrzymana w biegu codzienności powoli uczyłam się nowej rzeczywistości. To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie – świadomość, że niczego nie muszę i że nie czekają na mnie żadne obowiązki. Urlop w środku roku. Nieplanowany i niechciany początkowo, a jednak doceniony, nie tylko przeze mnie, ale również przez tę małą Kruszynekę, która rosła we mnie z ziarenka miłości. Mojej i Pawła.

Kiedy spjrzałam po raz pierwszy w jego oczy, przerażona i szukająca w nich zapewnienia, że sprawi cud, o który bezgłośnie go błagałam, przez głowę przemknęła mi myśl, że gdybym mogła gdziekolwiek szukać ucieczki przed wszystkimi problemami, o które wciąż się potykałam, chciałabym, aby to były takie właśnie oczy i takie spojrzenie, wypełnione bezgranicznym spokojem i łagodnością.

Przyjechałam wtedy do szpitala z ośmioletnim chłopcem, za którego byłam odpowiedzialna, podobnie jak za czterdziestkę pozostałych dzieci w świetlicy. Zwyczajny spacer tą samą alejką, którą przemierzaliśmy codziennie, zakończył się tragicznie. Listopadowy pierwszy śnieg utrzymał się w zbrylonych odłamkach zalegających na poboczu chodników. Stęsknione zimy dzieci nie rozumiały, że taka „śnieżka” zupełnie nie nadaje się do zabawy, a tym bardziej do bitwy na lodowe kule. Żadna z nas nie zdążyła zareagować, ani ja, ani koleżanka, która wraz ze mną była na spacerze, obie zajęte pilnowaniem początku i końca rozkrzyczanej i rozłazącej się w przeróżne strony grupki. Najpierw usłyszałyśmy głośny chłopięcy śmiech, a potem krzyk: „Proszę pani, Patryk się nie rusza!”. Uderzony w tył głowy lodową bryłą chłopiec leżał nieprzytomny na chodniku, a ja drżącymi rękami, klęcząc przy nim, próbowałam wyjąć komórkę i przypomnieć sobie numer ratunkowy, którego tysiące razy uczyłyśmy naszych podopiecznych.

Przy łóżku Patryka spędziłam cztery doby. Odchodziłam od chłopca tylko wtedy, gdy musiałam skorzystać z toalety. Jego matka trzeźwiała od kilku dni, o ojcu nikt od dawna nie słyszał, a babcia była zbyt słaba, aby czuwać przy wnuku. Nie dałam się nikomu wyprosić, straciłam rachubę godzin, a noc mieszała się z dniem. Z tego koszmaru, w którym utknęłam wraz z Patrykiem, zapamiętałam tylko piszczące

dźwięki aparatury na oddziale intensywnej terapii i spokojny głos lekarza, który nie pozwolił mi umrzeć z głodu, dzieląc się ze mną swoją kanapką i szpitalną kawą.

Pamiętam też moje palce, kurczowo zaciśnięte na białym fartuchu, i to spojrzenie, któremu zaufałam.

Kiedy się zakochałam?

Czy wtedy, gdy po raz pierwszy przyniósł mi gorącą kawę po tym, jak się przekonał, że nie ruszę się od łóżka Patryka, dopóki chłopiec nie odzyska przytomności? A może w chwili, gdy powiedział mi, że życiu chłopca nic nie zagraża i że muszę mu dać teraz odpocząć, bo swoją obecnością tylko go niepokoję? Czy kochałam go już wtedy, gdy odwiózł mnie do wynajętego mieszkania, tak ciasnego, że obijałam się o nieliczne meble w drodze między kuchnią a łazienką? Nie pamiętam. Wiem tylko, że kiedy przychodziłam do szpitala, odwiedzać wracającego do formy Patryka, wypatrywałam wysokiej sylwetki lekarza, który stał się dla mnie kołem ratunkowym. A kiedy ten lekarz zaprosił mnie na spacer po Łazienkach, oszalałam z radości i odważyłam się wypowiedzieć przed samą sobą marzenie, które wówczas wydawało mi się kompletnie nierealne.

Paweł uratował nie tylko Patryka, ale również i mnie.

Nie chciałam dziś wracać do przeszłości i po raz kolejny przepracowywać tego, na co nigdy nie miałam wpływu i co nie zależało ode mnie. Odrzuciłam kołdrę i poszukałam stopą ciapów przywiezionych z domu. Dom. Słowo, o którym śniłam i którego pragnęłam. Słowo, które odnalazłam przy Pawle, stając się częścią jego życia.

\*\*\*

Poranny głód sprowadził mnie do kuchni, rozświetlonej marcowym słońcem podobnie jak mój pokój. Wyostrzony ciężą węch wyraźnie odróżnił zapach szczypiorku i maślany aromat białego twarogu, pod

wpływem którego moje ślinianki zaczęły pracować intensywniej. Ciche nucenie na tle szumiącej wody przy zlewie zakomunikowało mi, że nie będę w kuchni sama.

– Dzień dobry – powiedziałam do kobiecych pleców pochylonych nad brudnymi naczyniami.

Plecy drgnęły, wystraszone moim głosem, a ja stanęłam naprzeciw młodej kobiety, która spojrzała na mnie, jednocześnie zdmuchując z czoła skręcony kosmyk czarnej grzywki, zachodzący na oko.

– Dzień dobry, wczesnie wstałaś – odpowiedziała życzliwie, ale bez uśmiechu.

– Jest wpół do dziesiątej! W moim warszawskim życiu o tej porze byłam już zazwyczaj w pracy, po pierwszej kawie. – Na słowo „kawa” mimowolnie wzdrygnęłam się i poczułam nadciągające mdłości.

– Oho, widzę, że też cię od niej odrzuciło, tak jak mnie przy Bartku. No i bardzo dobrze, bo kawa nie jest dobra w ciąży. Który to tydzień? – spytała, stawiając przede mną kubek z zieloną herbatą.

– Jedenasty – odpowiedziałam. Usiadłam przy stole i poczułam ulgę, że mdłości minęły.

„Bożenka to bardzo dobry człowiek, choć na początku sprawia wrażenie oschłej i niedopuszczającej do siebie nikogo...” – Przypomniałam sobie słowa Pawła, kiedy przed przyjazdem tutaj chciał mnie wprowadzić w skomplikowane życie rodzinne Rybickich. – „Mój brat, niestety, pomógł jej w zbudowaniu tego dystansu do życia, ale przy bliższym poznaniu przekonasz się, że to fantastyczna dziewczyna”.

Ufałam intuicji męża i chociaż szorstkość kobiety przeszkadzała mi, bo odbierałam ją jako osobistą niechęć, postanowiłam się nie uprzedzać, tylko poznać bliżej szwagierkę.

– Jeszcze trochę i odetchniesz. Drugi trymestr jest najłagodniejszy, a do tego dostajesz takiej energii, że góry mogłabyś przenosić. Na co masz ochotę?

– Na twarożek ze szczypiorkiem i świeżą bułeczkę z dużą ilością masła – wyrecytowałam jednym tchem.

Bożena roześmiała się, przez co od razu wydała mi się sympatyczniejsza i mniej oschła.

– Masz apetyt, to dobrze. Zobaczysz, nasze kazimierskie powietrze

sprawi, że będziesz jeść za trzech. Wy tam, w tej Warszawie, nie macie takiego pieczywa, sera, jajek i wędlin, jak my. Jeszcze podziękujesz Pawłowi za to zesłanie.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– To aż tak widać?

Jej śmiech brzmiał jak czysta melodia, z wibracją jazzowych dźwięków.

– Widać, Zosiu, widać. Młoda, ambitna, pracowita, skazana na przymusowe bezrobocie. Docenisz to jeszcze i z nostalgią będziesz wspominać ten błogi czas, zobaczysz.

Jadłam śniadanie z takim apetytem, jakiego u siebie nie pamiętałam. Już dawno nic mi nie smakowało tak bardzo, jak ten wiejski serek ze świeżym, wyhodowanym na kuchennym parapecie szczypiorkiem. Masło miało smak mojego dzieciństwa, kiedy babcia przynosiła podobną osełkę z targu, „od baby” – jak mawiała. Nigdy później nie potrafiłam tego odnaleźć, zupełnie jakby to wspomnienie maślanego smaku odeszło wraz z nią.

Jedząc, przyglądałam się Bożenie, starając się nie oceniać, tylko poznać kobietę, która w pewien sposób też stała się częścią przeszłości mojego męża.

Była nieco wyższa ode mnie i bardziej zaokrąglona, co dodawało jej tego kobiecego uroku i seksapilu, za którym mężczyźni zawsze szaleją. Kruczoczarne błyszczące włosy kończyły się tuż za uszami, odsłaniając kark i kształtną szyję. Ciemne oczy, w oprawie długich, czarnych rzęs dodawały tej pospolitej, kobiecej twarzy uroku, a dołki w policzkach, pojawiające się przy każdym uśmiechu, nie pozwalały minąć Bożeny obojętnie. Przyglądając się jej dyskretnie, dostrzegłam coś jeszcze. Siłę, która dawała się uchwycić w całej postawie kobiety, w jej dumnie wyprostowanych plecach i wysoko uniesionej głowie. I w spojrzeniu brązowych oczu, które „przemawiały” wymowniej niż usta.

– Koło jedenastej, kiedy powietrze trochę się zagrzeje, no i kiedy zjesz drugie śniadanie, wyślę cię, Zosiu, na spacer. Przyjechaliście tak niespodziewanie, że nie wyrobiliśmy się z wiosennymi porządkami. Okna trzeba umyć, pościel wywietrzyć i szafy poprzeglądać. Specjalnie



wzięłam dziś wolne w aptece, aby w końcu się za to zabrać. – Bożenka skończyła zmywać i stała teraz oparta o blat. Wycierając ręce, patrzyła na mnie wzrokiem, z którego niewiele mogłam wyczytać. Nie wiedziałam, czy jestem tu intruzem, czy witanym z radością gościem.

– Pomogę ci – zaoferowałam, chcąc w ten sposób dać szwagierce do zrozumienia, że nie jestem księżniczką na ziarnku grochu.

– Wykluczone! – W głosie Bożeny zabrzmiała stanowczość. – Już by mi Paweł dał, jakby się dowiedział. Ty masz o siebie dbać, a my mamy tego dopilnować.

– Ale przecież ciąża to nie choroba – próbowałam oponować.

– Zosiu, ręk do pracy u nas nie brakuje. Teściowa świetnie prowadzi dom i dba o wszystko. Lada chwila przybiegnie tu Aneta, moja najmłodsza siostra, studentka. Pomaga nam, a i grosza przy tym trochę dla siebie zarobi. Wiadomo, że taka koza to i ubrać się chce, i kosmetyk jakiś kupić. Mamy też dwie zaprzyjaźnione kobiety do pomocy, które przychodzą co tydzień. Dom duży, to i pracy w nim wiele, a i ogród wymaga pielęgnacji. Tutaj życie toczy się inaczej niż w mieście. Pory roku narzucają rytm, według którego funkcjonujemy. Pomieszkaś tu trochę, to zobaczysz.

– Pozwól mi chociaż pozmywać albo coś ugotować.

Bożenka uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Jak cię tak ciągnie do tych garów, to sobie tu trochę porządź, ale od jutra. Na dzisiaj już wszystko rozplanowałam i nie będziesz mi się tu kręcić. Idź teraz trochę odpocznij, a jak słońce stanie wyżej, wygonię cię na spacer. Musisz jak najwięcej dotleniać siebie i dziecko, a takiego powietrza w słoiku do Warszawy nie zabierzesz.

Wiedziałam, że dyskusja z Bożenką na nic się nie zda.

Chociaż nie miałam czym się zmęczyć, wróciłam do pokoju i wyciągnęłam się jeszcze na łóżku, zapadając w przyjemną drzemkę, o jakiej dawniej jedynie marzyłam w marcowe poranki. I tak, jak ten dom, który żył następującymi po sobie porami roku, tak ja poddałam się rewolucji, która dokonywała się w moim organizmie, pozwalając małej Iskierce we mnie prowadzić mnie tak, jak chciała natura. Bez pośpiechu, ze świadomością, że wszystko odbędzie się w swoim czasie.

\*\*\*

To było moje sam na sam z Kazimierzem. Nigdy dotąd nie doświadczyłam tak intymnego spotkania z tym miasteczkiem. Zawsze ktoś mi towarzyszył podczas spacerów i wędrowek, w czasie których większość mojej uwagi skupiona była na osobie, natomiast otaczająca mnie przestrzeń pozostawała zawsze na drugim planie. Dziś po raz pierwszy weszłam w tak osobistą relację z miejscem, w którym dorastał mój mąż i które spoglądało na mnie z lekkim dystansem, sondując, kim jestem i czym ono się dla mnie stanie.

Uśpione zimowym letargiem uliczki spoglądały na mnie czystymi oknami z zazdrostkami strzegącymi tajemnic domów. Kazimierska przedpołudniowa cisza pozwalała rozbieganym myślom odetchnąć, zwolnić, wygładzić się. Moje warszawskie życie pozostało daleko za mną i powoli zaczynałam przyzwyczajać się do tego, że nie mam już na nic wpływu, poza rzeczywistością, która działa się tu i teraz.

Z ulicy Krakowskiej skręciłam na nadwiślany Bulwar. Wyłożona kostką brukową droga prowadziła mnie wzdłuż Wisły, która tańczyła przede mną wartkim nurtem, wijąc się i niknąc w splocie zakrętów. Rozkołysane falującą wodą kaczkami odzywały się swoim kaczym nawoływaniem, próbując zwrócić na siebie moją uwagę. Przystanęłam, lekko zadyszana dość szybkim marszem, rozpinając równocześnie kurtkę i pozwalając słońcu na delikatną wczesnowiosenną pieśczętę. Po mojej prawej stronie, na wysokim wzgórzu, królowały nad miasteczkiem ruiny zamku pamiętające czasy panowania Kazimierza Wielkiego. Dumna baszta stała na straży, pilnując tych, którzy tu mieszkali, i czuwając, aby Kazimierz Dolny nad Wisłą zachował swój niepowtarzalny klimat i właściwą sobie atmosferę, broniąc się przed przeobrażeniem w europejskie miasteczko bliźniaczo podobne do innych, różniących się od siebie jedynie nazwą.

Patrząc na te dumne budowle, spoglądające wyniośle ponad dachami kamienic i domów, zatrzymałam wzrok na pięknie

odrestaurowanym kościele farnym. Nagle zrozumiałam, dlaczego Paweł tak kochał to miejsce i dlaczego przywiózł mnie właśnie tutaj. Całą siłę swojego charakteru mój mąż zawdzięczał miejscu, które nie poddało się zmieniającym prądom i stawiało opór współczesności. Zaufanie, którym obdarzyłam Pawła od pierwszej chwili, miało źródło w jego niezmienności i nieugiętości wobec jakichkolwiek narzucanych mu warunków. Tę postawę wyniósł właśnie stąd, z miasteczka, w którym się wychował, oraz z domu, w którym panowały jasne zasady, a wszystko działo się w odpowiednim czasie i miejscu, gdzie nie miał wstępu chaos towarzyszący dla odmiany mojemu dorastaniu.

Ruszyłam wolnym krokiem, prowadzona ścieżką, która, jak nurt rzece, narzuciła mi kierunek. Błyszcząca słonecznymi diamentami Wisła jak przyjaciółka wędrowała wraz ze mną. W marcowym powietrzu poczułam zapach wiosny, który przypominał mi inny spacer i inną scenerię, ale tę samą kochaną twarz Pawła, za którą tak bardzo tęskniłam.

\*\*\*

W miejskim powietrzu zapach wiosny pojawił się niespodziewanie, zaskakując zdziwionych tym faktem mieszkańców Warszawy. W rozpędzonym biegu codzienności marcowa niedziela rozjaśniona nieśmiałym jeszcze słonecznym światłem była jak gwiazdkowy prezent, który chciałoby się natychmiast otworzyć. Tego przedpołudnia warszawskie ulice zapełniły się ludźmi poszukującymi ciepła poza murami domów, spragnionych zachwycenia się przyrodą i tym wszystkim, co rokrocznie, nieodmiennie przynosiła wiosna.

Paweł umówił się ze mną na Francuskiej, wybierając jedną z małych kawiarenek i stolik tuż przy oknie, bym mogła obserwować toczące się tuż obok życie mojego miasta.

Był zmęczony. Wiedziałam, że zszedł dziś rano z dyżuru i niewiele spał, ale bardzo zależało mu na tym spotkaniu i nie chciał czekać aż do

popołudnia. Sine cienie pod jego oczami mówiły więcej niż słowa, których po trzech miesiącach spotykania się z nim nie potrzebowałam już tak wielu. Potrafiłam odczytać z szarych oczu radość spokojnego dnia i smutek wówczas, gdy ludzka moc przegrywała z tą, która kiedyś zostanie pokonana, choć teraz sięgała po tych, których sobie wybierała. Widziałam w tych oczach wściekłość zdolną popchnąć do najgorszych czynów, gdy krzywda dziecka rozrywała serce w żaden sposób nieuodpornione na okrucieństwo, jakiego dopuszczali się dorośli, często ci najbliżsi.

Uczyłam się tego mężczyzny, z każdym spotkaniem dowiadując się o nim czegoś nowego. Zbierałam te szczegóły i chowałam do szkatułki pamięci, aby dały mi siłę wtedy, gdy życie mi go zabierze. Od zawsze los zabierał mi to, co cenne, zostawiając tylko resztki, którymi próbowałam się nasycić. Braki wypełniałam chwilami szczęścia, zawsze jednak stawiałam im granice, wychodząc z założenia, że rozczarowanie boli dotkliwiej niż brak oczekiwań.

Tego niedzielnego popołudnia oczy Pawła były smutne, ale w stalowych tęczówkach dostrzegłam coś jeszcze, coś, czego wcześniej tam nie było. Jakąś determinację i... lęk?

A może coś, czego nie potrafiłam nazwać, choć bardzo chciałam?

– Ciężki dyżur? – Nie musiałam pytać, ale odezwałam się, aby przerwać kłopotliwą ciszę i sprowokować go do słów, mimo że się ich obawiałam. Nieobecne spojrzenie Pawła zatrzymało się na mnie. Szarość w jego oczach pociemniała, a słowa wylały się, jedno za drugim, jak nadmiar wody z przepelnionej szklanki.

– Trzymałem za rękę dziewczynkę, która do końca walczyła o tę isierkę życia, jaka w niej została. Nic nie mogłem zrobić, Zosiu, choć tak bardzo o nią walczyłem. Przywieźli ją z wypadku. Głupia sprawa, niezapięte pasy. Była przytomna i bardzo się bała. Widziałem, jak na moich oczach gaśnie, i nic nie mogłem zrobić, rozumiesz? Mimo całej mojej wiedzy, wieloletniej praktyki i cudów medycyny, straciliśmy ją.

– Tak bardzo mi przykro – szepnęłam i pod wpływem impulsu chwili dotknęłam ręki Pawła. Przykrył ją swoją dłonią i trzymał tak w mocnym, ale czułym dotyku, patrząc na mnie.

– Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl po tym, gdy kolega

wypowiedział na głos godzinę zgonu? Pomyślałem o tobie i o tym, że jesteś czymś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło, Zosiu. Uświadomiłem sobie, że życie tak naprawdę składa się z chwil i że ja nie chcę ich tracić bezsensownie, tylko chcę być z tobą. Każdego dnia. Wyjdiesz za mnie, Zosiu?

Zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się słów, które uczyniły mnie najszczęśliwszą kobietą na świecie. Znaliśmy się zaledwie cztery miesiące, spotykaliśmy sporadycznie, każde zajęte swoją codziennością. To prawda, że zakochałam się w nim po uszy jak naiwna nastolatka, ale nawet tym marzeniom postawiłam szlaban, poza który nie odważyłam się wyjść. Paweł zrobił to za mnie. Staranował barierę i w nosie miał granice. Wszedł nieproszony w świat, który dla mnie był iluzją, i zadał mi pytanie, w które nie mogłam uwierzyć.

– Jeśli nie jesteś gotowa, poczekam.

Pokręciłam głową, nie mogąc opanować łez, które złośliwie pojawiły się w kącikach oczu.

– Wyjdę za ciebie, kiedy tylko chcesz. Nigdy nie byłam na nic tak gotowa, jak na... ciebie.

Nie było jak w amerykańskim filmie. Paweł nie wyjął nagle pierścionka i nie uklęknął, nie pojawił się cygański zespół ani nie znalazłam brylantu w szampanie. Ale mężczyzna, dzięki któremu zima nabrała dla mnie tęczy barw, całował moją dłoń tak, jak nikt dotąd przed nim, a kawa, którą tego dnia wypiałam, pomimo kilku zbłąkanych słonych kropelek łez, jakie się do niej dostały, miała smak najśłodszego eliksiru miłości, który miałam w pamięci do dziś...

To wspomnienie wróciło do mnie wraz z ciepłym wiatrem, przesyconym zapachem wilgotnej ziemi gotowej na odrodzenie. Nadwiślańska ścieżka doprowadziła mnie do spichlerzy, doskonale zachowanych pomimo upływu czasu. Każdy z nich pysznił się odrestaurowanym wdziękiem, przygotowany na zachwyty, zachęcając, aby się przy nim na dłużej zatrzymać.

Chłonełam ten wyjątkowy krajobraz, który wyraźnie do mnie przemawiał, fascynując z każdą chwilą coraz bardziej.

– Myślę, że jednak się zaprzyjaźnimy – powiedziałam, chcąc

usłyszeć brzmienie własnego głosu w kazimierskim uśpieniu.

Odpowiedział mi plusk Wisły i kacze kwakanie dobiegające z nadbrzeżnych zarośli. Przyjęłam to jako dobre powitanie.

\*\*\*

*– Spójrz, jak się wystroiły. – Ręka Julii zatoczyła koło, wskazując obsypane białymi kwiatami drzewa wyszykowane niczym panny młode oczekujące oblubieńca.*

*Mikołaj wyczuł delikatny zapach perfum, który uniósł się wraz z tym poruszeniem Julii wpatrującej się z zachwytem w ukwiecone jabłonie. Przywiózł ją tutaj, bo chciał nasycić się widokiem kobiety rozradowanej jak dziecko, na tle jabłoni, które tak doskonale harmonizowały z jej ognistorudymi włosami. Wyszukał to miejsce specjalnie dla niej. Dziki sad, zaniedbany i pozostawiony sam sobie, z drzewami, które wciąż chwyciły się życia i zakwitwały co roku, wsłuchane w podszepty natury i jej niezmienny rytm. Kiedy tylko zobaczył ten zapomniany zakątek, zapragnął się nim podzielić właśnie z nią. Uwielbiał patrzeć, jak się zachwyca życiem i wychwytuje jego szczegóły. Była spontaniczna i szczerą. Nie potrafiła udawać i to bolało najbardziej.*

*– Nasz prywatny kawałek raj. – Uśmiechnął się do Julii i do zieleni jej oczu, którą go oczarowała.*

*– Zakazany – szepnęła, uciekając spojrzeniem w bok.*

*Podszedł bliżej i przytulił do siebie kobietę, która pasowała do niego tak idealnie, jak druga połówka jabłka. Dopelniała go. Wypełniała w nim wszystkie braki i była jak kojący opatrunek na życiowe rany i zadrapania. Po wielu latach bezcelowej tułaczki odnalazł sens życia, a jego świat zawęził się do małego skrawka na ziemi i do jednego imienia: „Julia”, wpisanego głęboko w serce.*

*– Mamy do tego prawo, rozumiesz? – Delikatnie dotknął jej twarzy i zmusił, aby spojrzała na niego. – Należymy do siebie i mamy do tego prawo – powtórzył.*

*Całowała go zachłannie, jakby bała się, że za chwilę to wszystko może prysnąć jak mydlana bańka, po której zostaje tylko mgliste wspomnienie. Pozwalał jej na tę łapczywość, sam pragnąc schować się w niej jak najgłębiej. Chciał być jak najbliżej, smakując lekko słoną skórę, której zapach przypominał go o gęsią skórę. Ręce wędrowały niecierpliwie od obojczyków, uwalniając z czarnego koronkowego biustonosza piersi doskonale pasujące do zagłębień każdej z dłoni Mikołaja, a język zataczał małe kółeczka na delikatnej szyi, ciepłej i pachnącej wiosną. Julia jęknęła cicho, a Mikołaj przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej, przyrzekając jej, sobie i jabłoniom, że będzie ją kochał do końca świata i zrobi wszystko, aby zielen w jej oczach nigdy nie spochmurniała i żeby mógł z tą kobietą dzielić wszystko. Dopóki będzie żył.*

*DWA...*

---

W całym domu wrzało.

Porządki, które rozpoczęły się poprzedniego dnia, przekształciły się w przygotowania do zbliżających się świąt Wielkiej Nocy, których oczekiwaniem żyli już mieszkańcy Kazimierza.

Z mocnym postanowieniem, że też będę miała w nich swój udział, wkroczyłam do kuchni, która stała się główną siedzibą porządkowego sztabu, i stanęłam przed Bożenką, prosząc stanowczo, aby dopuszczono mnie do grona wtajemniczonych i odpowiedzialnych za rodzinne święta.

– Zośka, ja z tobą nie wytrzymam. – Bożena odgarnęła grzywkę ze spoconego czoła, odrywając się od okna błyszczącego tak bardzo, że można było się w nim przejrzeć. – Jesteś natrętna jak mucha, od której człowiek nad ranem nie może się odgonić. Może byś poszła na spacer?

– Chcę coś zrobić, bo zwariuję z bezczynności.

– Lekcje z Bartkiem możesz odrobić, jak wróci ze szkoły – odpowiedziała spokojnie, wracając do polerowania czystej szyby, na której najwyraźniej dostrzegła niedomyte smugi.

– Czy możesz traktować mnie jak domownika, a nie letnika? – odezwałam się butnie, zakładając ręce na piersi. A potem wytoczyłam działo i skierowałam go przeciwko szwagierce. – Wiem, że nigdy nie dorównam Julii, ale jestem z wyboru Pawła częścią rodziny i chciałabym, abyś zaczęła mnie tak traktować.

Ręka Bożeny znieruchomiała, a w jej wzroku, kiedy spojrzała na mnie, było tyle chłodu, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A nie jest tak? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, wychodząc z założenia, że najlepszą formą obrony jest atak.

Przez dobrą chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem. Bożena pierwsza odpuściła. Machnęła ręką i, odwracając się do mnie, mruknęła tylko:



– Jeśli chcesz, możesz pojechać z Romaną na zakupy. Joanna przygotowała listę.

Wycofałam się, czując, że z tej bitwy wyszłam zwycięsko. I tylko jedna myśl nie dawała mi spokoju. Uwierała od pierwszego dnia pobytu tutaj: Kim jesteś, Julio, i dlaczego nikt nie chce ze mną o tobie rozmawiać? Nieobecna, która tak naprawdę nigdy stąd nie odeszła...

\*\*\*

Polubiłam Romanę od pierwszej chwili. W przeciwieństwie do Bożeny, Romana miała w sobie kojącą łagodność. Trudno było powiedzieć, ile ma lat, bo znalazła się w tym magicznym przedziale wieku dojrzałego, w którym kobieta po prostu się zatrzymuje i nawet jej samej z trudem przychodzi policzenie, czy jeszcze ma lat czterdzieści sześć, czy może już pięćdziesiąt cztery.

Wyglądała jak artystka, którą dopiero co oderwano od pracy twórczej. Długa, sięgająca kostek kolorowa sukienka, prawdopodobnie dzieło rąk własnych, podkreślała zarówno kształtną figurę, jak i osobowość kobiety. Czarne włosy, zebrane w artystycznie nieuczesany kucyk, dodawały jej twarzy dziewczęcego uroku, a srebrna biżuteria wydobywała z niej kobiecość, którą Romana po prostu emanowała.

– Dziesięć lat temu porzucił mnie mąż. Zostałam sama z dwunastoletnim synem i domem, który wciąż czegoś wymagał. Jako artysta plastyk zarabiałam niewiele, więc kiedy Joanna zaproponowała mi dorobienie paru groszy, zgodziłam się bez kręcenia nosem. A potem tak się przywiązałam do tych ludzi i tego domu, że zostałam do dziś. Przychodzę raz w tygodniu, a przy wielkich świątach to i częściej. Przy domu coś zrobię, w ogrodzie pomogę, a i z doktorem porozmawiam, bo lubię. Syn już dorosły, w Krakowie studiuje i swoimi ścieżkami chadza, a ja odejście męża odchorowałam i swoim życiem się zajęłam. Cieszę się, że Paweł ułożył sobie życie na nowo. To dobry człowiek.

Uśmiechnęłam się i wsiałam do małego opla, w środku którego

czuć było, że należy do kobiety.

– Najlepszy, jakiego kiedykolwiek spotkałam – odpowiedziałam Romanie, a w myślach dodałam: „I mój”.

Ruszyliśmy wąską uliczką, mijając rzędy różniących się od siebie domów, ciekawych architektonicznie i zadbanych.

– Znamy się z Pawłem od dziecka. Wspólnie buszowaliśmy po tych wszystkich krzakach nad Wisłą i przeprawialiśmy się, bez pozwolenia dorosłych, na drugą stronę. Kiedyś wymknęliśmy się wieczorem do Janowca, aby przekonać się, czy w tamtejszym zamku naprawdę straszy. Pomimo lania, jakie wtedy dostaliśmy, nie zrezygnowaliśmy z poszukiwania przygód. – Romana patrzyła na drogę, ale jej myśli biegły w zupełnie innym kierunku.

Zazdrościłam jej tych wspomnień. Dzielila je z Pawłem, o którym wciąż dowiadywałam się nowych i zaskakujących rzeczy. Do mnie należała jego codzienność, ona przeżyła z nim dzieciństwo i dojrzewanie, była świadkiem tego, jak z chłopca stawał się mężczyzną. Wiedziała o latach, które ukształtowały tego człowieka, więcej niż ja i znała sekrety mojego męża, dla mnie wciąż nieodkryte.

– Czy leczył ptaszki ze zwichniętymi skrzydełkami i ratował dżdżownice przed rozdeptaniem?

Romana roześmiała się dźwięcznie, dziewczęco.

– Oczywiście! Paweł już jako sześciolatek wiedział, że chce zostać lekarzem. Tego pragnienia nigdy nie odpuścił. W przeciwieństwie do Mikołaja, który przez lata nie mógł się zdecydować, czego tak naprawdę chce. I tak mu zostało do dziś. – Głos kobiety zadrżał przy ostatnim zdaniu.

Przez jakiś czas jechałyśmy w milczeniu.

Patrzyłam na Wisłę, która towarzyszyła nam przez pewien odcinek drogi, i na wzgórza wznoszące się ponad spichlerzami, porośnięte drzewami, które wkrótce zaczną budzić się do życia. Choć dookoła dużo jeszcze było szaroburości, pierwsze oznaki zbliżającej się wiosny już się pojawiły. Na wczorajszym spacerze zaskoczyła mnie delikatność krokusów, za nic mających sobie marcowy chłód. Białe i niebieskie zwiastuny wychylające się z brunatnej ziemi, dumnie wyprostowane, jakby świadome swojego piękna i niezwykłości. Maleńkie cuda

zwyczajnej codzienności. Prezenty przedwiośnia.

– Pojedziemy na zakupy do Puław. Tam będzie większy wybór, no i ominie cię oko cyklonu, jakim nieodmiennie staje się Bożenka podczas każdego większych porządków.

Uśmiechnęłam się, wiedząc, o czym mówi Romana.

– Ma w sobie dużo stanowczości – powiedziałam, dzieląc się swoimi spostrzeżeniami.

– Niby tak, ale to tylko pozory. Tak naprawdę jest w niej dużo lęku, a ta postawa to maska, która ma chronić ją i Bartka. Mikołaj nie ma łatwego charakteru.

– Już to słyszałam od Pawła.

Mój szwagier, którego dotąd nie miałam okazji poznać, intrygował mnie coraz bardziej. Wydawało mi się, że w spokojnym Kazimierzu niewiele mnie zaskoczy, tymczasem trafiłam na same tajemnice i półsłówka, które rozbudzały ciekawość i rozpały wyobraźnię.

– Czy Julia i Bożena dogadywały się ze sobą, kiedy mieszkały pod jednym dachem? – Nie mogłam powstrzymać się od tego pytania. Romana dużo wiedziała i, jak dotąd, była jedyną osobą, która chciała ze mną rozmawiać o przeszłości.

– Czy się dogadywały? – Wpatrzona w drogę Romana pokręciła głową. – Gdyby mogły, pokąsałyby się jak wściekłe i spuszczone z łańcucha psy. Julia pojawiła się tu przed Bożeną i to ona była panią tego domu, choć uznawała zwierzchność Joanny. Przy Julii Bożena zawsze grała drugie skrzypce, mimo że to właśnie ona stała się ulubienicą teściowej. Julia miała w sobie coś takiego... – Romana przez chwilę szukała właściwego słowa – ... co sprawiało, że nawet jeśli nie chciałaś, nie potrafiłaś jej odmówić, gdy cię o coś prosiła. Przy niej przedświąteczny czas nie był tak nerwowy jak przy Bożenie. Sprawniej potrafiła zorganizować przygotowania i nie zamartwiała się, czy wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Często wyjeżdżała. Jako dziennikarka robiła świetne reportaże radiowe. Pawła zresztą też poznała podczas nagrywania materiału.

Nie wiedziałam tego.

Nic o tobie nie wiedziałam, Julio, oprócz tego, że byłaś pierwszą żoną mojego męża i że zginęłaś tragicznie. Paweł zamknął się

w milczeniu o tobie, a ja, pomimo palącej ciekawości, szanowałam jego potrzebę zachowania cię tylko dla siebie. Byłam zazdrosna jak każda kobieta, która zawsze chciałaby być tą najważniejszą, najbardziej kochaną przez swojego mężczyznę. Ufałam jednak Pawłowi i wierzyłam w to, co usłyszałam pewnej marcowej niedzieli: „Jesteś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło”.

\*\*\*

Obudziłam się z dziwnym uczuciem, że jestem obserwowana. Powoli, jeszcze na wpół sennie, otworzyłam ciężkie powieki i zobaczyłam dwie pary wpatrzonych we mnie oczu. Jedne spoglądały na mnie z czułością, której tak bardzo mi brakowało przez te kilka ostatnich dni. Drugie, piwne, na wysokości mojego wzroku, patrzyły z zaciekawieniem i pod trochę dziwnym kątem, bo ich właścicielka miała zabawnie przekrzywiony psi łeb. Kiedy tylko się poruszyłam, jak dziecko wyciągając ręce do Pawła, Nela podeszła bliżej i najpierw pacnęła mnie zimnym nosem w policzek, a potem przejechała po nim szorstkim językiem, wesoło merdającym ogonem wyrażając: „Dzień dobry”.

– Miałeś odespać dyżur – powiedziałam z wyrzutem, sycąc się widokiem męża, stęsknionego i uśmiechniętego.

– Noc była wyjątkowo spokojna, więc udało mi się przespać kilka godzin w szpitalu. Chciałem być przy tobie, kiedy się obudzisz.

Usiadłam i wtuliłam się w pachnące moim mężczyzną ciało. Brakowało mi go. Brakowało mi zarówno tej fizycznej bliskości, której nieustannie potrzebowaliśmy na tym etapie naszego małżeństwa, jak i duchowej więzi, która sprawiała, że tylko przy Pawle czułam się kompletna. Gdy był z dala ode mnie, miałam wrażenie, że jestem wybrakowana, żyję z odprysniętym fragmentem serca, który zabierał ze sobą.

– Tęskniłam – wyszeptałam w ciepły tors.

– Ja też, kochanie. Tęskniłem jak wariat. – Paweł pocałował mnie w czubek głowy i długo przytulał.

Mogłabym tak trwać nieporuszona, złączona z mężczyzną, w którym byłam obłędnie zakochana i którego dotyku wciąż potrzebowałam, aby mieć pewność, że go sobie nie wymyśliłam. Mój pęcherz jednak wyraźnie dał mi odczuć, że jest zbyt pełny i powinnam jak najszybciej go opróżnić. Oderwałam się więc od Pawła, całując go jeszcze w przelocie, i pognałam do toalety, zostawiając rozgrzaną ciepłem mojego ciała pościel i stęsknionego męża.

Pół godziny później obserwowałam przy śniadaniu radosne ożywienie Joanny rozpieszczającej syna, którego ostatnio nie widywała zbyt często. Praca pochłaniała Pawłowi praktycznie cały czas, a te momenty, które pozostawały, zabierałam ja. Wiem, że odkąd przeprowadził się do Warszawy, rzadko przyjeżdżał do Kazimierza, nie dziwiłam się więc Joannie, że chce się nim nacieszyć i porozpieszczać jak chłopca, którym wciąż był w oczach matki.

– Jajecznicą, taka, jak lubisz. Ze świeżym szczypiorkiem i z szynką. – Stawiając na stole pachnący talerz, Joanna nie mogła się powstrzymać przed zmierzwieniem włosów mojego czterdziestotrzyletniego męża.

– Zosię też tak dobrze tutaj karmicie? – Już dawno nie widziałam w oczach Pawła takiej radości, jak podczas tego dzisiejszego śniadania.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała natychmiast Joanna, siadając przy nas.

– Powiem więcej, twoja mama spełnia moje zachcianki, jeszcze zanim sobie je uświadomię – zażartowałam, uśmiechając się do kobiety, która zupełnie nie wyglądała na teściową.

– W tym domu zawsze tak było, Zosiu, i powinnaś się do tego przyzwyczaić, bo nawet jak nie będziesz już w ciąży, mama i tak będzie się tobą zajmować tak, jakbyś była.

Grzałam się w tym domowym ciepłe, chłonąc go całą sobą. Potrzebowałam go, wyziębiona latami dzieciństwa i dorastania, podczas którego scena taka jak ta była tylko dziecięcym, a później nastoletnim marzeniem. Z przyjemnością łowiłam serdeczne gesty, którymi wymieniali się Paweł i Joanna, oraz przysłuchiwałam się ich rozmowie,

chcąc pozostać w tej kuchni jak najdłużej.

– Schudłeś. Czy ty w ogóle masz coś w lodówce oprócz światła?

– Mamo, moja lodówka jest zaopatrzona naprawdę we wszystko, czego potrzebuję. Jem regularnie, ale, korzystając z nadmiaru wolnego czasu, wziąłem się za siebie. – Paweł spojrzał na mnie i uśmiechnął się figlarnie, zupełnie jak mały chłopiec. – Mam młodą żonę, więc muszę o siebie dbać, żeby nie wyglądać przy niej jak podtusiały piernik. Zacząłem biegać i dwa razy w tygodniu chodzę na siłownię.

Joanna skrzywiła się.

– Nie przesadzaj z ćwiczeniami i uważaj na ręce. Wiesz, że dłonie to twoje narzędzie pracy.

– Mamo, jestem już dużym chłopcem i zdaję sobie sprawę, czym grożą kontuzje. Nie stałem się fanatykiem sportu, ćwiczę jedynie dla przyjemności. Dbam o siebie, nie chodzę brudny ani głodny, czasami pracuję po nocach, ale, jak sama wiesz, w moim zawodzie to normalne. I tylko strasznie brakuje mi Zosi, bo dom bez niej jest zimny i pusty.

Z wdzięcznością spoglądałam na swojego męża. Chłonełam te zdania i zapamiętywałam je, aby wracać do nich w chwilach, kiedy wszystko wkoło smutniało, a ja poddawałam się huśtawce nastrojów, dość częstej w ciągu ostatnich tygodni.

– Zosi ci nie oddamy, przynajmniej przez jakiś czas. Będziesz musiał nas po prostu częściej odwiedzać.

– Gdyby to ode mnie zależało, mamo, nie wyjeżdżałbym stąd w ogóle aż do rozwiązania.

– Wiem, wiem, że te dzieci na oddziale są dla ciebie ważne, czasami tylko odnoszę wrażenie, że zostawiasz tam zbyt wiele siebie.

– Mamo, wchodzimy na niebezpieczny teren, możemy zawrócić? Gdzie tata i Bożena? Bartek pewnie jeszcze śpi?

Joanna podniosła się i zabrała puste talerze, na których pozostały tylko okruchy ciemnego pieczywa.

– Bartuś śpi, tata spaceruje z Nelą. Wybrali się do Mięcmierza, więc pewnie szybko nie wrócą. A Bożenka jest dzisiaj w aptece. Przez dwa dni szalała po domu, porządkując wszystko, co stanęło jej na drodze, a dziś wypadł jej dyżur, więc pojawi się dopiero na obiedzie. Kawy?

Paweł pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Zabiorę Zosię do „Dziwisza” na kawę. Potrzebujesz czegoś ze sklepu?

– Wszystko mamy. Romana była wczoraj z Zosią na zakupach, więc lodówkę i spizarkę mamy dobrze zaopatrzone. Można się brać za świąteczne przygotowania. I pomyśleć, że już za kilka dni Wielkanoc.

Cieszyłam się na te święta.

Ten wyjątkowy czas przy Pawle nabierał dla mnie nowego wymiaru. Możliwość spędzenia go z rodziną mojego męża, w której wszyscy wzajemnie się uzupełniali, dawała mi dodatkowy powód do oczekiwania dni, które dla tych ludzi miały ogromne znaczenie. Wspólny stół, łączący osoby i pokolenia, był dla mnie czymś nowym, dlatego z niecierpliwością dziecka oczekiwałam wydarzeń, w których i ja miałam odegrać swoją rolę. Jaką, tego jeszcze nie wiedziałam, ale wierzyłam, że stanę się częścią całości, do której dołączyłam dzięki Pawłowi.

\*\*\*

Wiosna przy Pawle pachniała intensywniej, a nieśmiałe kolory nabierały wyrazistości, dając dyskretnie znać, że piękna pani już jest niedaleko. Chociaż świat był jeszcze nijaki, szarobury, a niekiedy brunatny, delikatne sygnały wysyłane przez tę wyczekiwaną porę roku zwiastowały jej przyjście i żadne plany zimy nie mogły już tego pokrzyżować.

– Czujesz zapach wiosny? – spytałam zalotnie, patrząc z uśmiechem na Pawła i nie mogąc się nim nacieszyć.

– A jak pachnie wiosna, kochanie? – Lubił się ze mną przekomarzać. Czasami miałam wrażenie, że traktuje mnie jak małą dziewczynkę, wielu rzeczy nieświadomą, i odnosi się do mnie z podobną pobłażliwością jak do swoich pacjentów na oddziale dziecięcym.

– Trudno to opisać słowami i ciężko porównać do czegokolwiek –

odpowiedziałam, stając przed nim i tym samym zmuszając, aby popatrzył na mnie. – Ale kiedy poczujesz ten zapach, wiesz, że nie pomyliłeś go z niczym innym. Jest wyjątkowy, świeży i dodaje energii do działania. Przynosi dobre myśli, rozbudza nadzieję i rozpala oczekiwanie na słońce i ciepło, wyziębione zimowym chłodem.

– Mówisz jak poetka – nachylił się i pocałował mnie w czubek nosa.

Wróciłam na swoje stare miejsce, przy prawym boku mojego męża, i wsunęłam rękę w jego dłoń.

– Nie mógłbyś zrobić sobie wagarów i zostać ze mną do świąt? – Wiedziałam, jak absurdalnie to brzmi, ale kobiety w ciąży, do tego zakochane, miały przecież prawo do absurdalnych pytań i zachowań.

– Zosiu, w poniedziałek muszę być w Brukseli. We wtorek rano wygłaszam tam referat na sympozjum dla neurochirurgów dziecięcych. Na czwartek mam zaplanowane operacje, a potem całodobowy dyżur. Ale śniadanie wielkanocne zjemy już razem, a w lany poniedziałek zmoczę cię wodą ze studni. To nasza stara rodzinna tradycja, która nie omija nikogo, nawet kobiet w ciąży.

– Fajni ci twoi rodzice.

Uśmiechnął się, patrząc gdzieś w dal, ponad zakręt Wisły, wzdłuż której spacerowaliśmy.

– Polubili cię.

Bardzo pragnęłam ich akceptacji, nawet jeśli sama przed sobą udawałabym, że mi na niej nie zależy. Chciałam, żeby rodzice Pawła przekonali się, że zasłużyłam na niego i – mimo iż nie jestem Julią – będę potrafiła go uszczęśliwić, sprawić, że rana, jaką od lat nosił w sobie, zblizni się, przyschnie, a z czasem zostanie po niej jedynie niemal niewidoczna blizna.

– Popatrz, jaka Wisła dziś jest wygładzona. – Paweł wyciągnął rękę, wskazując na rzekę, na której nie było ani jednej zmarszczki.

Zatrzymaliśmy się, wpatrzeni w spokojną toń skłaniającą mnie do refleksji, że wszystko w życiu ma swój czas i że tak, jak nie da się zatrzymać biegu rzeki, nie da się też uchwycić dnia, prosząc go, by się nie kończył i nie zabierał mi Pawła.

– Czasami mam wrażenie, że to wszystko mi się śni – szepnęłam



rzece, ale moje słowa usłyszał także Paweł.

– „To wszystko”, czyli co? Kazimierz?

– Kazimierz i ty w nim, nasze małżeństwo i dziecko, którego oczekujemy. Całe życie z tobą tam, w Warszawie. Wszystko, co przyszło wraz z tobą.

– To jest realne, Zosiu. Nasze życie jest prawdziwe, najprawdziwsze.

– Julia też była prawdziwa. Dlaczego o niej nie mówisz, tak jakby w ogóle nie istniała?

Twarz Pawła stężała i przez moment wydawało mi się, że przebiegł po niej grymas bólu, jakbym dotknęła wciąż świeżej rany, choć wydawało się, że już zasklepiła się twardym strupem.

– Nie chcę, abyś kiedykolwiek się z nią porównywała, Zosiu, myśląc, że czegoś ci brakuje. Jesteś dla mnie doskonała i kocham w tobie wszystko. A Julia to zamknięty rozdział mojego życia. Nie chcę go na nowo otwierać, zrozum mnie.

Czy rozumiałam? Chciałam, ale nie potrafiłam się od ciebie uwolnić, Julio. Byłoby mi łatwiej, gdyby Paweł mi o tobie opowiedział. Wiedziałabym przynajmniej, czego od ciebie oczekiwać. Ale czy byłoby łatwiej, gdybyś przewijała się przez naszą codzienność, w której nieustannie porównywałabym się do ciebie? Wiem, że milcząc na twój temat, Paweł mnie chronił, ale czasami byłam o to milczenie zazdrosna, zupełnie nie wiedząc, co się za nim kryje. Wyczuwałam też coś jeszcze. Jakiś szósty zmysł mówił mi, że nie dopowiedziałas wszystkiego do końca i że Paweł zbyt szybko zamknął cię we wspomnieniach, którym jeszcze czegoś brakowało. Ale czego? I czy dowiem się tego w Kazimierzu, w miejscu, które kochałaś i które stało się twoim domem?

– Posmutniałaś, Zosiu. Proszę cię, nie męcz mnie pytaniami o Julię.

Skinęłam głową bez słowa, wpatrzona w Wisłę bez ustanku biegnącą przed siebie.

– Widziałem się z doktorem Banasikiem. – Paweł najwyraźniej chciał zmienić temat rozmowy. – Pytał, czy słuchasz wszystkich jego zaleceń i czy odpoczywasz.

– Jestem obrzydliwie grzeczną pacjentką i biorę sobie do serca

wszystkie wskazówki. – Poczułam, jak obejmuje mnie ramię Pawła, dając mi poczucie przynależności do niego i bezpieczeństwa. – Poza tym jak mogłabym je lekceważyć, skoro spodziewam się małego królewicza, i do tego potomka doktora Rybickiego?

– Równie dobrze mogła tam zamieszkać malutka księżniczka.

– Też będzie potomkiem Rybickich.

– I najbardziej rozpieszczaną dziewczynką w rodzinie, w której dotąd rodziły się same chłopaki.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię mam – szepnęłam prosto w ucho Pawła.

– Wiem, Zosiu. Ale ja cieszę się bardziej.

Gdzieś w nadwiślanych zaroślach zaśpiewał przywołujący wiosnę ptak. On też, podobnie jak ludzie, stęskniony był ciepła i światła. Zima wycofywała się, ustępując miejsca swojej siostrze, pełnej obietnic i skromnego piękna, jakim zaskakiwała stopniowo, delikatnie. Nie wypychała się z nagłym rozkwitem, ale gdzieniegdzie na gałązkach pozawieszała już supełki zielonych pączków, pozostawiając obietnicę, że wkrótce podobną zielenią pookrywa nie tylko drzewa, ale wszystko dookoła.

Oderwani od codzienności, Paweł i ja spotkaliśmy na tym spacerze wiosnę, dostrzegliśmy jej znaki i poczuliśmy zapach, który odurzył i zawrócił w głowie. W scenerii magicznego Kazimierza, ze światłem słońca jak nadzieja wplecionym pomiędzy nasze dłonie, przeszliśmy wybrukowanymi uliczkami, podążając za zapachem, który ta jedna z najdelikatniejszych pór roku zostawiła w powietrzu. Zapachem miłości.

\*\*\*

W Herbaciarni u Dziwisza w sobotnie, marcowe przedpołudnie było jeszcze dość pusto.

Przytulne wnętrze już od progu otuliło mnie aromatem świeżo

zaparzonej jaśminowej herbaty oraz przyjemnym ciepłem, w którym zapragnęłam pozostać. Młodziutka kelnerka przywitała nas miłym uśmiechem i wyczekiwaniem w spojrzeniu na decyzję wyboru którejś z tutejszych delicji. Paweł zdecydował się na sernik, który był jego ulubionym wypiekiem, ja natomiast nie mogłam powstrzymać ślinotoku na widok torciku bezowego apetycznie prezentującego się w oszklonej witrynie.

Rozglądałam się po kawiarni z ciekawością. Byłam tu po raz pierwszy i cieszyłam się, że mogę poznać to miejsce oczami mojego męża, którego uczyłam się nieustannie. Podobał mi się panujący tu klimat, z cichutką, spokojną muzyką sączącą się w tle, napisaną dużymi literami prośbą o nieprowadzenie rozmów telefonicznych i uszanowanie potrzeb tych gości, którzy wstępowali tu na chwilę odpoczynku. Byłam zauroczona wystrojem herbaciarni: drewnianymi stolikami celowo zestawionymi „nie do pary”, ciężkimi krzesłami i kanapami, w których tak przyjemnie się zapadało. Na każdym blacie leżały książki, a obok nich, w szklanych przezroczystych wazonach prezentowały się zwiastuny wiosny – żółte żonkile i wielokolorowe tulipany, przytulone jeden do drugiego. Zdobiące ściany obrazy dodawały wnętrzu artystycznej wyjątkowości, a unoszący się w powietrzu zapach herbaty sprawiał, że nie chciało się stąd wychodzić, bo ten świat wciągał i czarował.

Wybrałam dla nas stolik w samym rogu i usiadłam na miękkiej kanapie. Podparta poduchami zdobiącymi siedzenie, czekałam na Pawła, który składał zamówienie przy ladzie, prowadząc przy tym przyjacielską pogawędkę z młodą kelnerką. Lubił ludzi. Nie drażnili go i nie onieśmielali jak mnie. W małym sklepie za rogiem, w którym robiliśmy codzienne zakupy, znały go wszystkie ekspedientki, bo z każdą wymieniał parę grzecznościowych słów. W pracy też taki był. Dokładny i troskliwy wobec dzieci, stanowczy przy rodzicach, którzy łatwo poddawali się złym emocjom, przekazując je nieświadomie małym pacjentom. Ludzie szanowali go za to, że każdego traktował jak człowieka, bez pochopnego oceniania. Ja uwielbiałam go za delikatność, z jaką traktował mnie, i za zdecydowanie. Zawsze wiedział, co powinien zrobić i z pewnością siebie podejmował wszystkie, nawet najtrudniejsze

decyzje. Brał życie na klatę i starał się pokazać, że on też ma tu coś do powiedzenia. I tylko wtedy, gdy sytuacja go przerastała lub gdy przegrywał wyścig ze śmiercią, wtulał się we mnie jak w ochronny pancerz i milczał, próbując to wszystko przepracować. Wierzyłam, że jego pojawienie się w moim życiu nie było dziełem przypadku. Dostałam go w darze i tak też traktowałam nasze małżeństwo.

– Powiedziałem pani, że jesz za dwoje, i wynegocjowałem dla ciebie kawałek ekstra. – Głos męża wyrwał mnie z przyjemnego zamyślenia, w którym kontemplowałam spokój tego herbacianego raję.

Spojrzałam na postawiony przede mną talerzyk z bezą i roześmiałam się, widząc, jak rozkłada się na gładkiej powierzchni, przyozdobiona esami i floresami ciekłej czekolady oraz soczystymi kawałkami pomarańczy i melona.

– Zamówiłem ci też zieloną herbatę z nutą jaśminu.

– Skąd wiedziałeś, że na taką właśnie mam ochotę? – Zmrużyłam oczy, patrząc na mojego męża, który usiadł naprzeciwko mnie.

– Czytam w twoich myślach, kochanie.

Uśmiechnęłam się.

– To dość niebezpieczne. Te kosmate też widzisz?

– Te widzę przede wszystkim. – Paweł popatrzył na mnie takim wzrokiem, że poczułam dreszcz pożądania.

Nasz wspólny czas plół się niespiesznie, niepoganiany rytmem, który dotąd narzucała codzienność. Podobne chwile należały w naszym małżeństwie do rzadkości. Mijaliśmy się w życiowym zabieganiu. Kiedy Paweł wracał z dyżuru, ja zwykle wychodziłam do pracy, a kiedy przychodziłam do domu, on był już w przychodni. Czasami tylko udawało nam się wyskoczyć na spacer do Łazienek albo do teatru. Celebrowaliśmy te chwile, próbując się nimi nacieszyć na zapas.

– Bożena chyba mnie nie lubi – poskarżyłam się tonem małej, rozżalonej dziewczynki, próbując nie pochłonąć bezowego torcika na raz, tylko delektować się nim, jak na to zasługiwał.

– Co też opowiadasz, kochanie. – W oczach Pawła zatańczyły iskierki rozbawienia, których zupełnie nie rozumiałam. – Ciebie nie można nie lubić, Zosiu. Jesteś piękna i czysta jak niezapisana kartka. Nie tylko ja to widzę, ale każdy, kto ma okazję spędzić z tobą choć kilka

minut.

– To skąd bierze się w Bożenie ten chłód? – drażyłam.

– To jej sposób bycia. Życie jej trochę przyłożyło, Zosiu. Jest wciąż młodą kobietą, a dźwiga bagaż doświadczeń staruszki. Wszystko oddała mojemu bratu, a on ją potwornie zranił, po czym uciekł jak tchórz. Nie umiał być ani mężem, ani przyjacielem. Ojcem też być nie potrafi. – Zauważyłam, że gdy Paweł mówił o bracie, twarz mu się zmieniła. Co wyczytałam w jego oczach? Nigdy wcześniej nie widziałam tam takiej zaciętości wyostrającej rysy, a może tłumionego gniewu?

Na jakie miny natrafiłam, wchodząc w życie Rybickich, w którym wciąż natykałam się na tajemnice i milczenie, gdy zadawałam zbyt dużo pytań? I dlaczego odnosiłam wrażenie, Julio, że odgrywasz w tym wszystkim jedną z głównych ról?

– Może do tego po prostu nie dorósł? – powiedziałam cicho.

– Może...

Skrzywiłam się lekko, czując w ustach kwaśny smak pomarańczy. Złagodziłam go słodką masą, puszyście wypełniającą bezowe placki.

– Zobaczysz, kiedy spędzisz z Bożenką trochę czasu, pokochasz ją tak, jak my wszyscy. – W głosie Pawła była pewność, w którą nie sposób było wątpić.

– O ile będę miała taką możliwość, bo póki co, ogania się przede mną jak przed komarem.

Paweł roześmiał się, a ja zobaczyłam w nim znów tego człowieka, w którym zakochałam się bez pamięci.

– O, jaka miła niespodzianka widzieć pana w Kazimierzu, doktorze.

Podnieśliśmy głowy, słysząc nad sobą pogodny głos Romany.

Uśmiechnęłam się do kobiety, która jako jedyna nie postawiła mi z marszu żadnych granic, i obserwowałam, jak Paweł z jasnym uśmiechem podnosi się i przytula po przyjacielsku koleżankę z dzieciństwa.

– Mogę się na chwilkę do was przysiąść? – zagadnęła lekkim tonem.

Oboje równocześnie skinęliśmy głowami, przestawiając na stoliku

filizanki i talerzyki, aby zrobić miejsce dla Romany.

– No i cała moja silna wola legła w gruzach, jak tylko zobaczyłam torcik bezowy Zosi – westchnęła Roma i rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Zamówię ci, a ty dotrzyмай towarzystwa Zosi, która zdradziła mi właśnie, że czuje się jak komar. – Paweł odszedł w stronę baru, a Romana poprawiła swoją artystycznie nieulożoną fryzurę.

– O krwiopijstwo cię nie podejrzewałam, sądzę więc, że Rybicy odganiają się od ciebie, każąc ci nieustannie odpoczywać.

– Odpoczywać, spacerować, dbać o siebie i umrzeć z nudów, czując się do tego jak intruz, który wtargnął na nie swój teren. – Wylało się ze mnie chyba trochę więcej niż powinno.

– Intruzem na pewno nie jesteś, Zosiu. Gdybyś lepiej знаła Joannę, dostrzegłabyś, że jej oczy śmieją się nawet wtedy, gdy wymawia twoje imię, a twoja obecność w ich domu jest dla doktora i doktorowej błogosławieństwem. I nie dziw się temu, że każą ci odpoczywać. Troszczą się o ciebie, bo wiedzą, że jesteś ważna dla Pawła i w dodatku nosisz pod sercem najcenniejszy dla nich skarb.

– Ja to wszystko wiem. Ale gdybym miała w tym domu swoje obowiązki, nawet najbardziej prozaiczne, czułabym się naprawdę częścią tej rodziny, a nie księżniczką na ziarnku grochu. – Instynktownie czułam, że z Romaną mogę rozmawiać o sprawach, które mnie uwierają, bez obawy, że zostanie to odebrane jak szemranie czy malkontenctwo.

– Ja tam choć raz w życiu chciałabym się poczuć jak księżniczka. – W głosie Romki zabrzmiały smętne nutki. – I żeby choć raz w życiu ktoś spojrział na mnie nie jak na wiedźmę czy dobrą wróżkę, ale właśnie jak na księżniczkę – dokończyła urwaną wcześniej myśl. – Paweł tak na ciebie patrzy – dodała jeszcze, a jej słowa doleciały do mnie wraz z zapachem wody toaletowej mojego męża, który wyczułam wyostrzonym ciężą węchem.

– Co słyhać w świecie artystycznej bohemy? – Wesół głos Pawła rozgonił smutki, jakie zaczęły krążyć nad naszym stolikiem.

– Sezon przed nami, więc zleceń coraz więcej. Prowadzę warsztaty rozwijające kreatywność i sprawia mi to wielką frajdę. Jak tylko zakwitną łąki, zamierzam wyruszyć na zbieranie ziół, a do „Dziwisza”

zajrzałam, zostawić swoje obrazy z nadzieją, że komuś wpadną w oko. Pejzaż prowincjonalny w pełnym rozkwicie, z wszystkimi swoimi niedoskonałościami i zauroczeniami. A co tam w wielkim świecie, panie doktorze?

Rozmawiali ze sobą z taką swobodą, na jaką mogą się zdobyć tylko dobrzy przyjaciele. To nie była zwykła wymiana uprzejmości, ale rozmowa, w której jedno chciało dowiedzieć się jak najwięcej o świecie tego drugiego.

– Wielki świat tak naprawdę jest małym światkiem, w którym życzliwi z pozoru ludzie gotowi są utopić cię w łyżce wody. Oprócz nieustannego pędu, który często przypomina gonienie swojego własnego ogona, niewiele ciekawych rzeczy może cię tam spotkać.

– Coś jednak w tym wielkim świecie jest, że tyłu do niego ciągnie.  
– Romana zmrużyła oczy, a ja dostrzegłam, że ma bardzo ładne i długie rzęsy, na których dłużej zatrzymywał się wzrok rozmówcy. Pawła również.

– Bo uzależnia. Nieustanny zastrzyk adrenaliny sprawia, że ludzie nie potrafią się zatrzymać. Popatrz na Zosię. Wypadła z trybów i czuje się jak odstawiona na boczny tor. A wystarczyłoby przyjąć to, co jest, bez szukania dziury w całym.

Paweł rzucił mi rozbawione spojrzenie, a ja tylko pokręciłam nosem, robiąc minę obrażonego dziecka.

– Bo każdy z nas, Pawełku, uważa, że jest niezastąpiony. A życie weryfikuje te nasze błędne przekonania i pokazuje, że nie ma w nim miejsca na sentymenty.

– Jak na prowincjonalną gąskę dużo w tobie mądrości.

Romana roześmiała się, wypełniając swoim rozbawieniem uśpione lekkim półmrokiem wnętrze.

– Jak na lekarza z tyloma tytułami jesteś za bardzo ludzki – odcięła się, patrząc na Pawła z uśmiechem, który zastygł na jej ustach.

Patrzyłam na nich znad pustego talerzyka, na którym nie został już nawet okruszek bezy, i przez głowę przemknęła mi myśl, czy oni ze sobą aby nie flirtują. Dorastali razem i dużo o sobie wiedzieli. Miałam wrażenie, że znają się jak łyse konie, tak dobrze się komunikowali. A kiedy oboje zaczęli się śmiać z sytuacji, którą przywołali ze wspólnej

pamięci, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przed laty łączyło ich coś więcej. Czy Romana i Paweł byli kiedyś kochankami?

\*\*\*

Kochaliśmy się tej nocy nienasyceń i wygłodniali wzajemną nieobecnością.

– Jesteś tak apetyczną mamusią, że nie mogę ci się oprzeć – szeptał Paweł, w świetle księżyca obejmując dłońmi moje powiększone i wrażliwe na dotyk piersi, pieszcząc je palcami i językiem wędrującym po sutkach i wokół nich. Nie mogłam powstrzymać ani jęku, ani pożądania, które pchało mnie ku dłoniom, ustom i biodrom Pawła, z pragnieniem wchłonięcia go w siebie i trwania w rozkoszy, którą mnie obdarowywał. Pozwalałam mu się nasycić moim nagim ciałem, którego każdy kawałeczek znał na pamięć. Szukałam go swoimi dłońmi, bardziej nieporadnymi niż jego, ale równie niecierpliwymi. Poddałam się rytmowi, jaki narzucił mi mężczyzna mojego życia. Przyjmowałam go, wychodząc mu naprzeciw, szepcząc rozpaczliwie, aby pozostał tak na zawsze, złączony ze mną, oddany tylko mnie, z dala od świata, który wiecznie wynajdywał dla nas nowe zadania, zabierając nam siebie i wydzierając nasz wspólny czas, rozmienny na drobne, często nieistotne fragmenty.

Leżeliśmy obok siebie zdyszani, jak po szybkim biegu. Przyjemne zmęczenie sklejało powieki, a przyspieszone bicie serca Pawła działało jak kołysanka. Nie potrzebowaliśmy słów, aby zrozumieć to, co przed chwilą dokonało się w wygniecionej pościeli. Misterium miłości. Wzajemne oddanie żony i męża. Odwieczna tajemnica, cud tworzenia. Życie, które powołaliśmy miłością, przyczało się gdzieś wewnątrz mnie, być może zawstydzone aktem, jakiego było świadkiem. Nasza cielesność, nierozzerwalnie związana z duchową chemią, była spoiwem intymnej relacji, w której nie było już odrębności „ja” ani „ty”. Było tylko „my” zwarte ze sobą i trwające w jedności.



Usnęłam rozleniwiona, przykryta ramieniem swojego męża i uspiona jego spokojnym oddechem.

Przebudziła mnie smuga światła niepasująca do ciemności nocy. Miejsce Pawła było puste. Przyłożyłam dłoń do zgniecionego prześcieradła i wyczułam nikłe ciepło ciała, które jeszcze tak niedawno leżało obok mnie, wtulone w moje wygięte w łuk plecy.

Podniosłam się zaniepokojona i, narzuciwszy na siebie gruby szlafrok frotté, ruszyłam świetlnym śladem, ciekawa, dokąd mnie doprowadzi.

Paweł siedział w fotelu przed kominkiem, wpatrzony w dopalające się szczapki drewna, pozostawione do całopalenia. Mars na jego czole wyraźnie komunikował, że coś nie daje mu spokoju, wybudzając w środku nocy i skłaniając do lunatycznych wędrówek. W pomarańczowym świetle lampy kontury świata złagodniały, ale powbijane w serce Pawła drzazgi, pomimo tej łagodności w nim samym budziły niepokój.

Jakie demony przygnały go tutaj, nie pozwalając trwać chwili, która nas uspiła?

Podeszłam do niego, dotykając jego ramienia. Przyciągnął mnie do siebie i wtulił głowę w poły szlafroka, jakby tam, w okolicach moich bioder, szukał siły, której nagle mu zabrakło.

– Przepraszam cię, Zosiu, ale zbudziły się duchy przeszłości. Myślałem, że dawno usunęły się w cień, a one się tam tylko przyczaiły.

Głaskałam go po głowie, przygarniając do siebie jak małego chłopca, który w matczynych ramionach szuka pocieszenia i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

– Poznałem Julię w szpitalu, ale w zupełnie innych okolicznościach niż ciebie, kochanie. Pracowałem wtedy w Lublinie... – zaczął cicho, a ja nie byłam już pewna, czy chcę być świadkiem tych słów, czy też powinnam je powstrzymać i zasłonić milczeniem, tak jak robiłam dotychczas. – Jako młody lekarz dostałem dyżur akurat w Wigilię. To nie był dobry i radosny czas. Mieliliśmy na oddziale dzieci, które walczyły o każdy oddech i każdą minutę samodzielnego życia. Tkwiący na korytarzu i przy ich łózkach rodzice szukali nadziei na przybrudzonym suficie, a ja próbowałem zestawić fakt narodzin

Chrystusa z odchodzeniem tych, którzy powinni płonąć najjaśniejszym płomykiem, a nie gasnąć, zanim jeszcze zaczęli żyć na dobre.

Odsunęłam głowę Pawła ostrożnie i usiadłam na oparciu fotela, obejmując szyję mojego męża i przytulając głowę do jego głowy. W tej pozycji czułam się bezpieczniej. Byłam gotowa na spotkanie z tobą, Julio.

– Julia weszła na oddział z typową dla siebie pewnością. Emanowała blaskiem, jakiego w szpitalu nie spotykaliśmy. Powiedziała, że była umówiona na reportaż, chociaż ja nie miałem o tym pojęcia. Pomyślałem jednak, że najwidoczniej ordynator wyraził na to zgodę, zapomniał mnie jedynie o tym fakcie poinformować, i tylko dlatego nie wyprosiłem jej z oddziału. Uprzejmy jednak też nie byłem. Młoda dziennikareczka grająca na emocjach była mi w tej chwili najmniej potrzebna. Wyraźnie dałem jej to odczuć.

Zobaczyłam cię, Julio, tamtego pochmurnego, zimowego dnia. Zobaczyłam twoją determinację i obcesowe zachowanie Pawła, tak do niego niepodobne. Wszedłeś do gabinetu pewnym krokiem, z dyktafonem i głową nabitą marzeniami. Oczekiwałaś życzliwości, a rozbiłaś się o mur oziębłości lekarza, który nie tylko niczego ci nie ułatwił, ale wręcz potraktował jak intruza wkraczającego bez zezwolenia na jego teren...

– Reportaż? Chyba pani żartuje. Naprawdę nie potraficie uszanować żadnych ludzkich uczuć? Dla tych dzieci i tych rodzin przebywanie tutaj w tym dniu i tak jest dostatecznie trudne. Pani chce jeszcze nasypać soli na otwarte rany? – Oczy Pawła musiały mieć wtedy w szarych tęczęwkach złość, a może nawet i wściekłość, przed którą się jednak nie ugięłaś.

– Właśnie dlatego chcę to pokazać. Chcę, aby ci, dla których święta stały się jedynie przyjemną odskocznią od codziennego znużenia czy komercyjnym szaleństwem zakupów, zrozumieli, że jest w tym coś więcej i że są obok nas ludzie, dla których najpiękniejszym prezentem gwiazdkowym jest światło nadziei rodzącej się w Betlejem.

– Mówić pani umie pięknie, ale to nie zmienia faktu, że absolutnie się na to nie zgadzam!

Jeszcze wtedy nie wiedziałaś, jaki potrafi być uparty, prawda,

Julio? Ale i ty musiałaś mieć silny i stanowczy charakter, bo przecież zrobiłaś ten reportaż. Udało ci się więc go przekonać.

– Proszę pozwolić ludziom zdecydować, czy chcą się podzielić swoim cierpieniem, czy przeżywać go w samotności.

Prawdopodobnie zaskoczyłaś Pawła łagodnością swojego głosu. Nie tego się spodziewał, liczył raczej na agresywny atak. Czy odpuściłaś dlatego, że zależało ci na tym reportażu, czy też w pewnym sensie rozumiałaś młodego lekarza, który jeszcze nie opatrzył się z nagromadzoną w tym miejscu krzywdą?

– Niech pani zaczyna, ale bez mojego błogosławieństwa. A jeśli ktokolwiek przyjdzie do mnie ze słowem skargi, natychmiast panią wyproszę.

Wymknęłaś się z gabinetu, zanim zmienił zdanie. Z włączonym dyktafonem zajrzałaś do każdej z sal i przysiadłaś w geście solidarności przy tych, którzy na szpitalnym korytarzu zbierali siły, aby robić dobrą minę do złej gry. Na końcu wsunęłaś się cicho do gabinetu Pawła mimo braku zaproszenia na twoje pukanie.

– Byłem tego dnia totalnie rozbity. Nie radziłem sobie z emocjami i szukałem odpowiedzi na pytanie, dlaczego Bóg pozwolił mi na złudzenie, że mogę pokonać to, co niepokonane. – Głos Pawła, wyciszony spokojem nocy, nie wibrował już wzburzonym uniesieniem jak w chwili, gdy rozpoczynał tę opowieść, od której uciekał. – Weszła do gabinetu i usiadła naprzeciwko mnie. Nic nie mówiła, jedynie mokrymi od łez oczami wpatrywała się we mnie, bez słowa. Pomyślałem, że ma w sobie jakieś ludzkie uczucia, skoro i ją rozwalilo to, w czym poszperała. Zacząłem mówić. O bólu, na jaki się codziennie natykam, i strachu, często silniejszym niż ten ból. O tym, że aby przetrwać w tym zawodzie, trzeba wkładać na siebie pancierz chroniący przed współodczuwaniem, bo inaczej sam staniesz się pacjentem, tyle że psychiatrów, albo że zrobisz komuś lub sobie krzywdę. Mówiłem o braku pokory, tak typowym dla nas, lekarzy, i o sile dzieci, które przyjmowały każdy dzień z wdzięcznością, bez pytania o to, co przyniesie, ciesząc się każdą dobrą chwilą i doceniając ją. Mówiłem, a ona słuchała. I nagrywała. Nie zadała mi ani jednego pytania i nie

przerywała. Wyszła z krótkim „dziękuję”, bardziej szepniętym niż powiedzianym, a potem zrobiła z tego materiału fantastyczny reportaż, za który dostała nagrodę. Taka była. Nie odpuściła, jeśli wierzyła, że coś jest dobre.

Paweł zamilkł, a ja bałam się poruszyć, by nie spłoszyć chwili i Julii, która weszła do salonu tuż za nami. A może przez cały czas tu była, tylko Paweł wcześniej jej nie zauważył? Może unikał tego domu właśnie dlatego, aby jej tu nie spotkać?

Czy ta wiedza o tobie, Julio, o którą nagle stałam się bogatsza, naprawdę była mi potrzebna?

– Jest zimno. Wracajmy do łóżka – powiedziałam cichutko do ucha Pawła.

Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakby nie wiedział, skąd się tu wzięłam, a potem podniósł mnie jak dziecko i na rękach zaniósł do łóżka, które zdążyło już zupełnie wystygnać.

\*\*\*

Niedziela z Pawłem zawsze była niezwykłym gratisem od losu, który lubił nas zaskakiwać nieprzewidzianymi zmianami. Bo nawet jeśli czas był tak ustalony, że mogliśmy coś wspólnie zaplanować, okazywało się, że Paweł koniecznie musi być w szpitalu, gdzie wciąż go potrzebowano.

Ta niedziela należała jednak do nas od początku do końca i nikt nie miał prawa nam jej zakłócić. Nasze leniwe przebudzenie zaczęło się od potrzeby bliskości, choć już bez tego szaleństwa, które towarzyszyło nam ubiegłej nocy. Paweł kochał mnie na wpół jeszcze uśpiony, mniej zachłannie, ale z równym nienasyceniem. Nie było słów, jedynie dialog naszych ciał doskonale do siebie pasujących i dopełniających jedno drugie. Świadkiem naszego zbliżenia stał się wróbel, rozćwierkany i zupełnie niezawstydzony tym, co działo się po drugiej stronie szyby.

– Oszaleję bez ciebie – usłyszałam, kiedy oderwaliśmy się od

siebie i pozwoliliśmy rozleniwieniu potrwać jeszcze chwilę.

– Ja już oszalałam przy tobie – odszepnęłam, gładząc nieogolony policzek męża.

– Za tydzień znów przyjadę – powiedział, delikatnie gryząc mnie w ucho.

Zarumieniłam się, a potem przeciągnęłam leniwie, wciąż czując rozkoszne ciepło w podbrzuszu. Dopiero przy Pawle tak naprawdę odkryłam swoją kobiecość i nauczyłam się słuchać własnego ciała, nie traktując mężczyzny jak wroga. Paweł stał się moim przewodnikiem, uczył mnie tego, że nasza cielesność jest czymś pięknym, a wzajemne oddanie siebie nawzajem, kobiety mężczyźnie i mężczyzny kobiecie, nie jest jedynie aktem pożądania, zmierzającym do zaspokojenia zwierzęcych instynktów, ale obdarowaniem sobą kogoś, kogo pokochało się najbardziej na świecie. Dogłębnym odsłonięciem wszystkiego i jednocześnie zaufaniem złożonym na ołtarzu miłości.

Nie wracaliśmy do nocnej rozmowy, zupełnie jakby się nie odbyła. Odgradziliśmy się od Julii i wyruszyliśmy na meandryczny spacer wąskimi, wybrukowanymi uliczkami, rozbiegającymi się w cztery strony świata od Rynku.

Moja ręka jak ulał pasowała do męskiej dłoni Pawła, która była dla mnie jak kotwica. Wiedziałam, że na wzburzonym oceanie życia w każdej sytuacji poradzę sobie, bo on jest obok mnie. Dał mi tę pewność, ślubując przed ołtarzem miłość, wierność i trwanie pomimo wszystko, w które uwierzyłam.

\*\*\*

– To szaleństwo! Znacie się zaledwie pięć miesięcy, a już za kolejne pięć planujecie ślub? – Tak zareagowała Kinga, moja dobra znajoma i jakby przyjaciółka, z którą wychowywałyśmy się na jednym podwórku na warszawskim Ursynowie.

– No i co z tego? Myślisz, że czas jest wyznacznikiem miłości? – Wiedziałam, że mogę zaufać Pawłowi, i broniłam tego, co się między

nami narodziło, próbując przekonać cały świat, że to jest dobre.

– Jest od ciebie piętnaście lat starszy. – Kinga za wszelką cenę próbowała wybić mi z głowy szaleństwo, którym zaskoczyłam nie tylko ją, ale i siebie samą.

– Czy to oznacza, że już nie nadaje się na męża?

– Zośka, wchodzisz na minę. Zobaczysz, że wcześniej czy później okaże się tyranem albo zamknie cię w złotej klatce i nie pozwoli nikomu się do ciebie zbliżyć.

– Skąd ci takie bzdury przychodzą do głowy?

– Życia, Zośka, nie znasz – odpowiedziała Kinga takim tonem, jakby miała monopol na wszelką mądrość i była jedyną osobą kompetentną do udzielania życiowych rad. – Mało to się nasłuchałam, co klientki szefowej opowiadają?

Salon fryzjerski, w którym Kinga pracowała, był źródłem informacji warszawskiego Śródmieścia. W czasie koloryzacji czy też podczas innych upiększających zabiegów można było usłyszeć wiele historii, przy czym najlepiej sprzedawały się te z dreszczykiem, opatrzone dodatkowo pikantnym komentarzem.

– Kinga, Paweł jest zbyt zajęty w szpitalu, aby mieć czas na tyranizowanie mnie. Nawet nasze randki są sporadyczne, bo trudno nam się zgrać w czasie. – Próbowałam bronić człowieka, za którym gotowa byłam pójść na koniec świata, ale Kinga we wszystkim musiała wypatrzeć jakąś skazę.

– Będzie cię zdradzał z pielęgniarkami albo lekarkami, zobaczysz. Jak chcesz się z nim bzykać, to rób to bez ślubu, ale nie popełniaj życiowego błędu, Zośka.

– Uważasz, że małżeństwo jest błędem, a wolny związek wolnością?

– Z wolnego związku w każdej chwili możesz wyjść i powiedzieć: „Wybacz, kochanie, ale to nie dla mnie”.

– Pamiętaj, że to działa w obie strony. Tak samo może zachować się partner, kiedy już mu się znudzi.

Kinga spochmurniała i obruszyła się, ale ja wiedziałam, że trafiłam w czuły punkt. Moja przyjaciółka od dziewięciu lat była w niezobowiązującym związku z wiecznym Piotrusiem Panem, który

pojawiał się i wychodził, gdy robiło się zbyt blisko i domowo. Szukał przestrzeni, jak mówił, zostawiając Kingę w momentach, w których najbardziej go potrzebowała. Za każdym razem ciskała za nim gromami, obiecując sobie, że nigdy więcej nawet nie spojrzy na drania, po czym przyjmowała go, gdy wracał skruszony i splukany, znudzony tą, dla której zostawił Kingę.

– Pamiętaj, że cię ostrzegałam!

Taki prezent ślubny dostałam od swojej niby-przyjaciółki. „Niby”, bo były między nami takie obszary, którymi się wzajemnie nie dzieliłyśmy. Istniały też trudne tematy, których nie poruszałyśmy, jakby nie dając sobie wzajemnie do nich prawa. A przecież przyjaźń dzieli się i tym, co radosne, i tym, co bolesne. Nie ma w niej miejsca na przemilczenia czy niedopowiedzenia, bo wtedy relacja gubi naturę przyjaźni i staje się zwykłą znajomością. Kinga była dla mnie kimś więcej niż znajomą, ale im byłyśmy starsze, tym trudniej było mi nazywać ją przyjaciółką.

Teraz, wędrując ramię w ramię z Pawłem, niemal rok po tamtej rozmowie, wiedziałam, że Kinga nie miała racji. Ona też to rozumiała, ale nigdy nie powiedziała tego głośno. Może tylko poważniej zastanowiła się nad tym, co dalej chce robić ze swoim życiem, bo Piotruś Pan od ostatniego zniknięcia nie pojawił się na nowo, choć kiedyś przemknął mi gdzieś w okolicy, wyglądem zbitego psa próbując wzbudzić we mnie litość.

– Spójrz, Zosiu, na tę kamienicę. – Głos Pawła sprawił, że wróciłam z przeszłości, podążając teraz śladami historii Kazimierza, przedstawionej w wersji mojego męża. – To renesansowe kamienice Przybyłów, pochodzące z tysiąc sześćset piętnastego roku. Zbudowane prawdopodobnie z wapienia z miejscowych kamieniołomów, nawiązują do budowli renesansu włoskiego i niderlandzkiego. Właścicielami kamienic byli bracia Krzysztof i Mikołaj, pochodzący z zamożnej rodziny Przybyłów. Kiedy przyjrzesz się dokładnie, dostrzeżesz na elewacji postaci świętych, Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu, przeprawiającego się przez rzekę, i Mikołaja w stroju biskupim, z pastorałem w dłoni. Podobna do kamienic braci Przybyłów jest

Kamienica Celejowska zbudowana dla Bartłomieja Celeja. Znajduje się przy ulicy Senatorskiej. Podejźmy tam, kiedy będziemy wracać.

Patrzyłam jak urzeczona na odrestaurowane jasne budynki, piękne i dopieszczone, świadczące o tym, jak wyjątkowym miejscem był i jest Kazimierz Dolny nad Wisłą. Cieszyłam się, że mogę patrzeć na to oczami Pawła, słuchając przy tym o zabawach w podwórkach i zakamarkach miasteczka, które odkrywało przed dziećmi wyjątkowe kryjówki i pobudzało młodzieńczą wyobraźnię, nie stawiając jej żadnych granic. Zastanawiałam się również nad tym, gdzie będzie wychowywać się nasze dziecko, które teraz było maleńką, drogocenną perełką ukrytą we mnie jak w muszli. Jakie ścieżki odnajdzie dla siebie w Warszawie i jakie wspomnienia wpiszą się w jego pamięć?

Wędrując po zaczarowanych kazimierskich ścieżkach, rozmyślałam nad tym, czy i tutaj, przy Joannie i Janie, nasza Kruszyńska odnajdzie swój świat, do którego będzie z radością wracać w każde wakacje, ferie i święta. Czy będzie znosić do domu dziadków żaby i ślimaki, leczyć zdarte kolana pocałunkami babci i słuchać opowieści Jana, którymi podzieli się on z kolejnym wnukiem, tak jak teraz dzieli się z Bartkiem? Kim będziesz, Kruszyńko, chłopcem czy dziewczynką? I czy będziemy umieli kochać cię mądrze?

– Chodź, wstąpimy do Galerii pod Cieniami, o, tam. – Paweł pociągnął mnie lekko i szybkim krokiem skierowaliśmy się do podcieni na Rynku, mijając po drodze Babę Jagę, którą wszystkie dzieci omijały z daleka. – Chcę ci kupić coś, co skróci czas tęsknoty, Wróbelku.

– Słońce zamknięte w bursztynowym naszyjniku? – spytałam prowokacyjnie, wpatrując się jak urzeczona w artystyczną srebrną biżuterię wykonaną naprawdę z wielkim smakiem.

– Jeśli chcesz bursztyn, wybierz sobie ten, który najbardziej ci się podoba – odpowiedział mój mąż (i pomyśleć, że w czarnym scenariuszu Kingi miał po ślubie okazać się tyranem).

Nie mogłam się zdecydować. Paweł stanął tuż za mną, zaciekawiony, co do mnie przemówi najmocniej. Odwracając głowę z miną: „Ale tu wszystko mi się podoba”, zahaczyłam wzrokiem o rząd kubków i filiżanek poustawianych na ściennych półkach. Jedna z filiżanek zachwyliła mnie. Była bardzo wiosenna,



kwiatowo-motyłowa, a przy tym tak delikatna, że aż chciało się ją otulić dłońmi. Pomyślałam, że kiedy będę z niej piła, poczuję bliskość nie tylko z Pawłem, ale będę bliżej wiosny i tej chwili, która trwała, a my w niej, szczęśliwi i zakochani.

– Kup mi, proszę, tę filiżankę. – Wskazałam na motyle krążące w nieruchomym tańcu nad rozłożonymi płatkami kwiatów.

– Filiżanka zamiast naszyjnika? Nikt mi nie uwierzy, że mam tak mało wymagającą żonę. – Paweł uniósł wysoko brwi, przyglądając mi się uważnie, w jego oczach czały się jednak figlarne chochliki. – Kochanie, może jednak zmienisz zdanie? Nie chcę wyjść w oczach pani za ladą na skąpca.

– Nie uszczęśliwiaj mnie na siłę – odpowiedziałam, nie mogąc oderwać oczu od porcelanowej delikatności. – Chcę tę filiżankę i już.

Dostałam ją, starannie zapakowaną i włożoną w kolorowe pudełko, z obietnicą, że tęsknota będzie mniej bolała, a nadzieja częściej wyglądała z dna motylowej filiżanki.

\*\*\*

*Kolejny ciężki dzień zatrzymał Pawła w szpitalu na dłużej. Pomimo skończonego dyżuru wciąż ślęczał nad dokumentacją i analizował w głowie sprawę, do której zupełnie nie wiedział, jak się zabrać. Oparta o dłonie głowa ciążyła, zmęczenie zaczynało go przerastać. Myśli rozbiegały się w wielu różnych kierunkach, nie pozwalając już na koncentrację i wyciszenie.*

*Zdecydowane pukanie do drzwi było ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę, wiedział jednak, że ktokolwiek jest po drugiej stronie, potrzebuje cienia nadziei i informacji, jakiej tylko on może w tym momencie udzielić.*

*– Proszę! – Postarał się, aby w jego głosie nie było słychać znużenia, ale chyba niekoniecznie dobrze mu to wyszło, bo drzwi uchyliły się z lekkim wahaniem.*

– Dobry wieczór, doktorze. Dowiedziałam się, że jeszcze tu pana zastanę. Nie zajmę dużo czasu, tylko chwilkę.

Rozpoznał od razu ten głos i tę ognistą rudość we włosach, która wraz z dość impertynencką dziennikarką wtargnęła tu w Wigilię.

– Chce pani zrobić kolejny reportaż o bezsilności medycyny wobec choroby? – Nie mógł powstrzymać się od drobnej uszczypliwości.

– Nie, doktorze. Przyniosłam panu plik dźwiękowy z reportażem „Cud wigilijnej nocy”. Pomyślałam, że pewnie pan nie słuchał Radia Lublin, a zależało mi bardzo, aby przekonać pana, że zrobiłam naprawdę coś dobrego. Nie dla siebie, ale dla ludzi.

– Przepraszam, potraktowałem wtedy panią nieco grubiańsko. – Poczuł, że należą jej się te słowa.

– Przyzwyczaiłam się. Dziennikarstwo to nie jest łatwy zawód. Trzeba mieć grubą skórę.

– I pokłady empatii, jeśli chce się być reportażystą.

Julia uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że tego mi nie brakuje. Zresztą, sam pan oceni po wysłuchaniu materiału.

– Dziękuję. – Co jeszcze mógł jej powiedzieć? Był zmęczony i nie miał ochoty na pogaduszki, a zresztą nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają. Wizytówkę przyjął z grzeczności.

– Gdyby miał pan jakieś pytania albo chciał mi podrzucić ciekawy temat... – Kobieta wskazała na skromny biały prostokąt z czarnymi jak małe mróweczki literkami.

Julia Hadriańska. Reportażystka. Kobieta, która nie odpuszczała, nawet jak pokazywano jej drzwi.

Wkładając wizytówkę do szuflady biurka, Paweł nie przypuszczał, że wkrótce jej użyje...

*TRZY...*

---

Paweł wyjechał, pozostawiając tęsknotę i motylową filiżankę, która według jego zapewnień miała moc odganiania smutków i przywoływania dobrych, wspólnie spędzonych chwil. Te chwile rzeczywiście przywoływała, bo gdy piłam z niej jaśminową herbatę zakupioną w Herbaciarni u Dziwisza do kompletu, widziałam nas w czasie wspólnych spacerów i posiłków, przypominałam sobie słowa Pawła,

jego spojrzenia, i próbowałam wyobrazić sobie jego dotyk – i ten łagodny, i niecierpliwy, szukający mnie i będący zapewnieniem, że nasza miłość nie dzieje się na niby. Jest prawdziwa i chce nas sobą obdarowywać. I tylko gdy próbowałam złapać go za rękę, trafiałam na porcelanową gładkość wypełnioną ciepłem herbaty. Wtedy wracały smętki, które w nosie miały to, że Paweł za kilka dni przyjedzie i znów będziemy razem. I nawet jaśmin nie miał wystarczającej mocy sprawczej, aby je przegonić.

Cichy dom pachniał pastą do podłogi i świeżością wiosennych porządków, które skończyły się w sobotę i sprawiły, że Willa Doktorówka pojaśniała w oczekiwaniu na święta. Wiedziałam, że ta dzisiejsza cisza jest jedynie pozorna, bo już jutro kuchnia się zapełni, a Bożenka na nowo wejdzie w rolę rodzinnego dyrygenta, ustępując miejsca jedynie Joannie. Dziś obie spędzały dzień w aptece, zostawiwszy mnie pod opieką Jana i Neli, która towarzyszyła mi przy śniadaniu z nadzieją, że coś nieopatrznie upuszczę.

Słoneczne wiosenne zwiastuny przyczytały się nieco, zostawiając dziś pole do popisu marcowi. Reżyser przejścia z uśpienia ku przebudzeniu rozpiśtał sztukę, która pomimo namiętności żywiołów nie zdobyła uznania widzów. Na głównej scenie najwięcej miejsca zajmowały chmury. Ciemne, skłębione i skrywające mroczne tajemnice, płakały ciężkimi kroplami zacinającego deszczu przechodzącego momentami w śniegowo-gradowe kulki. Przebłyśki słońca były jedynie antraktem trwającym dokładnie tyle, ile teatralna przerwa, by aktorzy mogli poprzestawiać rekwizyty i podjąć grę na nowo. Wielki i niedoceniony muzyk – wiatr, skomponował własną melodię do tej sztuki. Gwizdał i huczał, świszczwał i jęczał, potęgując ponury nastrój i skutecznie zniechęcając do wyjścia gdziekolwiek. Artysta wymagający, potrzebujący wyłączności uwagi i nieustannego zachwyty dla dzieła, jakie było jego żywiołem.

W taką pogodę pozostawał mi jedynie kominek i tańczące języki ognia wystawiające swój własny, prywatny spektakl.

Jan, Nela i ja zajęliśmy w salonie te same miejsca, co zwykle. Przede mną wyginali się ogniści tancerze, dając mi namiastkę ciepła, którego w tej chwili nie mogłam dostać od Pawła; przy Janie natomiast

wiernie czuwała wilczyca traktująca mnie już jak swoją, bez tej wyraźnej nieufności, z jaką przyjęła mnie na początku. Może swoją psią świadomością czuła, że jestem już częścią tego stada i należy mnie zaakceptować, a może po prostu pachniałam Pawłem?

Motylową filiżankę przyniosłam ze sobą. Była jak talizman, poza tym doskonale zaprezentowała się na kawowym stoliku, obok szklanki z fusiastą kawą, którą popijał Jan.

– Z pewnych przyzwyczajień człowiek nigdy nie wyrasta – powiedział, delektując się czarnym, prawie smolistym płynem. – Musi być świeżo zmielona i zaparzona koniecznie w szklance. Kiedyś pijałem ją z cukrem, słodką jak ulepek, teraz używam miodu.

Przyzwyczajenia! Wiedziałam, o czym mówi Jan, bo też miałam kilka swoich, w które obrosłam jak w niepotrzebne rzeczy. Mimo że nie słodziłam herbaty, zawsze musiałam ją zamieszać, a książkę, którą aktualnie czytałam, zazwyczaj zostawiałam w najbardziej zaskakujących miejscach, bo gdy mnie wciągnęła, nosiłam ją cały czas przy sobie. Kiedyś Paweł znalazł jedną w lodówce, gdzie w roztargnieniu ją włożyłam wraz z wypakowywanymi zakupami.

– Tyle lat lekarskiej praktyki, a pewne uzależnienia pozostają – powiedziałam, uśmiechając się do takiej samej łagodności, jaką widziałam w oczach mojego męża.

– Taaak – odpowiedział mój teść, patrząc gdzieś w dal. – Tyle lat... Medycyna uzależnia. Staje się najbardziej zaborczą partnerką życia.

Czy chciał mi coś przez to powiedzieć, czy po prostu usprawiedliwić częste nieobecności Pawła?

– Kiedy patrzę na mamę, zaczynam wierzyć, że można się nauczyć z tym żyć.

Jan przeniósł swój błędzący wzrok na mnie i przez chwilę obserwował mnie uważnie.

– Joanna to bardzo mądra kobieta. Wyrozumiała, ale jednocześnie na tyle stanowcza, że potrafiła postawić mi granice, których nie przekraczałem. Ona w pewnym sensie też otarła się o medycynę, rozumiała więc trochę więcej. Jednak zdarzały się dni, kiedy była bliska spakowania moich rzeczy i odstawienia ich przed drzwiami mojego

szpitalnego gabinetu. Życie z lekarzem nie jest łatwe, Zosiu.

– Chcesz mnie, tato, ostrzec czy zniechęcić? Chyba trochę za późno. – Wysunęłam pazurki, lekko najeżona. Nie wiedziałam, czy dostaję właśnie lekcję życia, czy też Jan sądzi, że Paweł podjął zbyt pochopną decyzję, żeniąc się z kimś tyle lat od niego młodszym.

– Chcę ci tylko, Zosiu, pewne rzeczy uświadomić. Jesteś młodziutka i to naturalne, że chciałabyś mieć Pawła jak najczęściej przy sobie. Ale prawda jest taka, że to pielęgniarki, salowe i inni lekarze pracujący na jego oddziale będą z nim spędzać więcej czasu niż ty, jego żona. To boli, szczególnie w momentach, gdy dyżur wypada w święta albo gdy nie można być z rodziną w czasie ważnych dla jej członków uroczystości.

Nie wiedziałam, czy Jan mówi teraz o Pawle, czy o sobie, i czy powinnam wchodzić w tę dyskusję, czy tylko wsłuchać się w jego słowa, niektóre z nich puszczając mimo uszu, a inne zachowując na moment, kiedy przyjdzie rozgoryczenie i wyrzut, że znów coś okazało się ważniejsze niż ja i nasza rodzina. Bo nie łudziłam się, że taka chwila nie nadejdzie. Mimo że tak bardzo kochałam Pawła i starałam się być wyrozumiała, tkwił we mnie pospolity ludzki egoizm, który podszeptował nieprzyjemne rzeczy. Jeszcze się mu opierałam, rozumiejąc wiele, ale nie miałam pewności, co będzie, gdy urodzi się nasza Kruszyńka i zostanę z kolkami, mokrymi pieluchami i nieprzespanymi nocami zupełnie sama, gdyż Paweł będzie miał dyżur albo wyjedzie na kolejne sympozjum.

– Jak radziła sobie z tym Julia?

Czy zaskoczyłam Jana tym pytaniem? Nawet jeśli tak, nie dał tego po sobie poznać.

– Julia miała swój świat, do którego nie dopuszczała nikogo, nawet Pawła – odpowiedział cicho, przenosząc wzrok na stojące nad kominkiem zdjęcie, a potem na ogień, który naprawdę magnetyzował. – Kiedy pracowała nad reportażem, znikwała nawet na kilka dni. Potrzebowała odosobnienia podczas montażu nagranych materiałów. Była typem samotnika. I choć doskonale odnalazła się w naszej rodzinie, wiedzieliśmy, kiedy zostawić ją samą sobie i nie wkraczać do świata, który był tylko jej. Przypominała dziką kotkę, wychodzącą do ludzi

wtedy, kiedy sama miała na to ochotę, a jednocześnie tak bardzo wrażliwą, że jej reportaże nikogo nie pozostawiały obojętnym.

Poznawałam twoją naturę, Julio. Z fragmentów pojedynczych zdań składałam twój obraz. Poznawałam cię nie jak rywalkę, ale jak część przeszłości mojego męża, próbując zrozumieć, dlaczego ukrył cię tylko dla siebie.

– To było jej ulubione miejsce w tym domu. – Jan zatoczył ręką koło po salonie. – Przesiadywała tu całymi godzinami, wpatrzona w ogień. Kiedy nie pracowałam, czasami jej towarzyszyłem. Prowadziliśmy długie i ożywione dyskusje. Pytała mnie o przeróżne rzeczy, niekiedy trudne. Była wymagającą partnerką w rozmowie, błyskotliwą i inteligentną. Czasami nawet odnosiłem wrażenie, że rozmawia ze mną częściej niż z Pawłem.

– Lubieś ją, tato? – Nie musiałam pytać. Widziałam to w jego oczach, gdy opowiadał o Julii.

– Miała coś takiego w sobie... – Jan uśmiechnął się do wspomnień kobiety z zaświatów. – Wywoływała skrajne uczucia. Z racji wykonywanego zawodu była niekiedy bezczelna i sprawiała wrażenie aroganckiej. Naprawdę jednak miała w sobie ogromną wrażliwość i łatwo ją było zranić, choć nigdy tego po sobie nie pokazywała.

Musiałam zadać to pytanie, które nurtowało mnie od momentu, gdy Paweł powiedział mi, że miał żonę:

– Długo byli małżeństwem?

– Osiem lat. Julia zginęła po ich ósmej rocznicy ślubu. – Jan urwał nagle, jakby dopiero teraz dotarł do niego sens wypowiedzianych słów.

Cisza, która nagle zapadła, odpowiedziała mi, że już niczego więcej w ciągu tej przedpołudniowej, zatrzymanej chwili się nie dowiem. Słowa wypowiedziane jak w transie zostały przerwane wspomnieniem, które zabolowało. Nie oczekiwałam więcej. I tak dostałam dostatecznie dużo informacji, aby dołożyć do rekonstruowanego obrazu kolejny fragment.

Osiem lat. Tyle dostaliście od losu, Julio, ty i Paweł, aby przeżyć te wszystkie radości i rozczarowania, wzloty i upadki, przyływy i odpływy waszego małżeństwa. Tylko osiem lat, choć wydawało wam się pewnie, że to będzie wieczność. Czy można kochać na zapas? I czy

da się zalepić dziurę pozostałą po jej braku?

Tylko Paweł mógłby odpowiedzieć mi na to pytanie, ale czy będzie kiedyś gotowy, aby to zrobić?

Pozostał mi czas i wiara w to, że ten sprzymierzeniec naprawdę ma moc zaleczenia ran, jakkolwiek głębokie by one nie były.

\*\*\*

Dostałam od Bożeny pierwsze odpowiedzialne zadanie.

– Czy możesz odebrać jutro Bartka ze szkoły, Zosiu? Kończy o takiej wczesnej godzinie, że nikt nie może po niego wyskoczyć i zająć się nim do mojego powrotu. Pomyślałam sobie, że masz doświadczenie w pracy z dziećmi, a jeden Bartek nie zmęczy cię tak, jak cała klasa.

Przyjęłam to „zlecenie” z radością. Bezczynność mnie męczyła. Nie przywykłam do lenistwa i „nicnierobienia”, a w odpoczywaniu też należało zachować umiar.

– Bartuś kończy lekcje o jedenastej dwadzieścia, ale może trochę posiedzieć w świetlicy. Nie musisz być punktualnie. – W ustach Joanny brzmiało to lepiej niż wypowiedziane władcym tonem Bożeny. Przebywając ze szwagierką, miałam wrażenie, że od początku chce mnie ustawić, komunikując, że ona jest tutaj gospodynią, a ja tylko gościem płaczącym się po domu. I coraz bardziej byłam ciekawa, jak dwa tak skrajnie odmienne charaktery, Bożena i Julia, egzystowały pod jednym dachem.

Nie chciałam, aby Bartek czekał na mnie w świetlicy. To ja postanowiłam poczekać przed jego klasą, wyruszyłam więc trochę wcześniej, aby dość szybkim marszem dojść przed czasem.

Pogoda była dziś nieco lepsza niż wczoraj. Co prawda, silny wiatr przesyłał jeszcze pozdrowienia od zimy, ale przynajmniej nie padało. Nad Wisłą przeganiały się poszarzałe chmury, ciężkie od nadmiaru wilgoci. Zbliżająca się Wielkanoc zupełnie nie zapowiadała się wiosennie i ciepło, jak tego oczekiwano, ale mimo to Kazimierz



szykował się na świątecznych turystów, a większość miejsc w pensjonatach już dawno była zarezerwowana.

– Zobaczysz, Zosiu, niedługo ten kazimierski spokój będzie tylko wspomnieniem. – Joanna codziennie po kawaleczku wprowadzała mnie w tajniki tutejszego życia. – Od Wielkiej Nocy zaczniesz przybywać dnia i ludzi, Cyganki częściej będą się pojawiać na Rynku, a miasteczko zaczniesz przesiąkać tymi, którzy uciekając od swojej codzienności, paradoksalnie wwożą ją tutaj ze sobą.

Nie wiedziałam, czy spodoba mi się taki Kazimierz. Doceniałam ciszę i spokój tego magicznego miejsca i zupełnie nie tęskniłam za towarzyszącym mi w Warszawie zgiełkiem, który lada dzień może ogarnąć tutejsze uliczki. Na razie jednak cieszyłam się kazimierską zwyczajnością, obserwując w drodze do szkoły toczące się tutaj życie, bez pośpiechu i nerwowości zmierzające przed siebie utartym rytmem mieszkańców.

Miałam dużo czasu, przystanęłam więc na Małym Rynku, aby przez chwilę nasycić się panującą tu atmosferą. To miejsce przez wieki było centrum żydowskiej społeczności Kazimierza. Wypełniony po brzegi kolorowymi namiotami i stoiskami Mały Rynek przyciągał zarówno okolicznych mieszkańców, jak i zaciekawionych przyjezdnych, którzy – podobnie jak ja, sycili oczy widokiem przeróżnych skarbów zgromadzonych w jednym miejscu. Pamiątki, rękodzieło, starocie, artykuły przemysłowe, owoce i warzywa, biżuteria, wielkanocne stroiki, suszone bukiety kwiatów, bazy, pisanki i ozdoby, a nawet ubrania... – te wszystkie cudowności można było odnaleźć na straganach, których sama kompozycja była niekiedy dziełem sztuki. Panujący tu rozgardiasz nie miał nic wspólnego z bałaganem, a uśmiechnięci sprzedawcy zachęcali do przystąpienia i oglądania, dając czas do namysłu, bez tej typowej nachalności przekupek starających się sprzedać jak najwięcej za jak najlepszą cenę. Tym, co pociągało mnie w Kazimierzu najbardziej, była wszechobecna sztuka. Kicz ścierał się tu z prawdziwymi dziełami, tworząc niepowtarzalną mozaikę, jakiej można było doświadczyć w tym miejscu, w którym woń farb łączyła się z zapachem świeżo wypieczonego koguta z drożdżowego ciasta – symbolem cukierni Sarzyńskiego, nieodmiennie kojarzącym się z Kazimierzem.

Pokręciłam się trochę pomiędzy straganami, z żalem powstrzymując się od kupowania wielkanocnych cudeniek. Gdybym spędzała święta w Warszawie, na pewno wywiozłabym stąd wiele różności, tutaj byłam jednak tylko gościem i nie chciałam zaburzać panujących w Doktorówce zwyczajów. Czułam, że nie zostałyby to dobrze przyjęte przez Bożenę, która mogłaby to odebrać jako przejaw narzucenia jej miejscu moich przyzwyczajzeń. Kupiłam więc tylko jeden wielkanocny stroik, wierząc, że Joanna doceni ten gest.

Na ulicę Szkolną dotarłam jeszcze przed dzwonkiem kończącym lekcje. Czekałam na Bartka wraz z innymi rodzicami i dziadkami, którzy doskonale się znali i pozbijani w grupki rozmawiali ze sobą, rzucając w moją stronę zaciekawione spojrzenia. Czułam się z tym dość niezręcznie, dlatego z ulgą powitałam biegnącego ku mnie chłopca, który, niezrażony obecnością kolegów, najpierw się do mnie przytulił, obejmując w pasie lepkimi rączkami, a potem podał mi dłoń i maszerował obok mnie z dumą, że w jakiś sposób się wyróżnił.

– Cieszę się, że przyszedł tak wcześnie, ciociu. Nie musiałem iść do świetlicy. – W głosie malca pobrzmiwała autentyczna radość.

– Nie lubisz świetlicy? – spytałam ciekawie, chcąc mu pokazać, że słucham go uważnie.

– Nie lubię. Dzieci strasznie hałasują, a mnie potem boli głowa.

Znałam ten problem. U mnie w szkole było podobnie i nie dało się nad tym zapanować. Zbyt małe sale, zbyt dużo dzieci i niewystarczająca liczba opiekunów, aby dobrze zająć się wszystkimi.

– Już niedługo dorośniesz i sam będziesz wracał do domu – powiedziałam, bo w sprawie hałasu nie miałam żadnych argumentów. Zawsze tak będzie, bo dzieci potrzebują przestrzeni, aby po skupieniu na lekcjach pobyć z kolegami.

– Mama też tak mówi. Ale to dopiero w trzeciej klasie... i to dopiero wtedy, jak zrobi się ciepło.

Rozmawiał ze mną jak dorosły. Był dojrzałym chłopcem, choć nie wyglądał na swój wiek. Drobny i niezbyt wysoki, z włosami w kolorze jasnego brązu i ciemnymi oczami skrytymi za szklami przybrudzonych dziecięcych okularów. Zupełnie nie przypominał pewnej siebie Bożeny i raczej nie był do niej podobny. Jedyne kolor i oprawę oczu miał po

niej, resztę musiał odziedziczyć po ojcu.

Wracaliśmy, rozmawiając przez całą drogę. W zasadzie był to bardziej monolog Bartka, bo podekscytowany chłopiec opowiadał mi o swoich szkolnych kolegach i o pani, która była surowa i wymagająca, ale lubiana przez dzieci. Dowiedziałam się nawet o letnich kryjówkach Bartka i jego przyjaciół oraz o tym, dlaczego nie lubi szpinaku. Kiedy dochodziliśmy do domu, byliśmy już tak zaprzyjaźnieni, że Bartek spontanicznie wypowiedział zdanie, które mnie wzruszyło:

– Lubię cię, ciociu. Jesteś bardzo fajna.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo zaskoczył mnie kolejnym:

– Ciocię Julię też lubiłem, ale ona była często smutna.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Pomimo ogromnej ciekawości nie chciałam wypytywać Bartka o Julię, choć były tysiące rzeczy, których chciałam się o tej smutnej kobiecie dowiedzieć.

Kolejne pytanie chłopca było równie zaskakujące:

– Czy to prawda, że masz w brzuchu dzidziusia?

– Prawda. – Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

– A on jest taki prawdziwy czy na niby?

Z trudem udało mi się zachować powagę.

– Jest najprawdziwszy. Ma rączki, nóżki, oczka, uszka i mały nosek. Jego serduszko bije tak samo, jak twoje, i można je nawet usłyszeć przez takie specjalne urządzenie. To prawdziwy dzidzius, Bartusiu.

Chłopiec przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

– A jak on ci się zmieścił w takim małym brzuchu? Przecież dzieci są duże.

Zawsze fascynowała mnie dociekliwość dzieci i sposób ich rozumowania.

– Bartusiu, on jeszcze długo będzie w moim brzuszku i ma sporo czasu, aby urosnąć. Na razie jest maleńki jak fasolka i ma naprawdę dużo miejsca. W miarę jak będzie rósł, mój brzuch będzie się powiększał wraz z nim i będzie na nim widać nawet to, jak dzidzius kopie.

– Mama mówiła, że ja też byłem u niej w brzuchu, ale zupełnie tego nie pamiętam. Czy tam jest ciemno?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Dzidzius doskonale wie, kiedy jest

noc, a kiedy dzień.

Wchodząc przez furtkę do Doktorówki, cieszyłam się, że nasza droga już się skończyła, bo rozmowa zaczęła schodzić na niebezpieczne tory. Na razie Bartek jeszcze nie zapytał, skąd ten dzidzius się wziął w moim brzuchu i jak się stamtąd wydostanie, ale, znając dzieci, wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

– Jak myślisz, czy dziadzio jest w domu, czy wybrał się z Nelą na spacer? – spróbowałam zmienić temat rozmowy, ale po zmarszczce na czole Bartka domyśliłam się, że chłopiec o czymś intensywnie myśli.

– Ciociu, a czy w grobie jest ciemno?

Zmroziło mnie to pytanie. Jak rozmawiać z ośmiolatkiem o śmierci?

– Bartusiu, grób to tylko symbol. Tak naprawdę kiedy człowiek umiera, jego duszę zabierają aniołowie, a ciało i tak niczego nie czuje.

– To Kacperek nie będzie się bał?

– Kto to jest Kacperek? – Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia.

– Mały synek wujka Pawła i cioci Julii.

Jedno zdanie, a trafiło mnie prosto w serce.

– Nie, Bartusiu – odparłam drżącym głosem. – Nie będzie się bał, bo na pewno jest w niebie. A tam jest jasno i pięknie.

Dlaczego, Pawle, nic mi nie powiedziałeś o swoim synku? I z jak głęboką traumą będę musiała się zmierzyć wraz z moim mężem?

Coraz więcej chciałaś mi powiedzieć, Julio. Czym mnie jeszcze zaskoczysz? I czy naprawdę jestem na to gotowa?

\*\*\*

Wciągnęła mnie magia wielkanocnych przygotowań, które chłonełam z dziecięcą wprost radością. Poddałam się rytmowi Wielkiego Tygodnia, odkładając na bok tajemnice, do których w tej chwili nie chciałam zaglądać. Coraz więcej kryło się we mnie pytań, a odpowiedzi,

jakie uzyskiwałam, nie dość, że zaskakiwały, to rodziły kolejne wątpliwości. Potrzebowałam wyciszenia, a Wielki Tydzień okazał się w tym moim sprzymierzeńcem, przynosząc dni pełne zadumy i zamyślenia nad tajemnicą śmierci i jej pokonaniem.

Przy wtorkowej kolacji Bożena, dziękując za opiekę nad Bartkiem, zwróciła się do mnie:

– Zosiu, zabieram cię jutro na jajcowanie. Bądź gotowa o osiemnastej i ubierz się wygodnie, lecz nie za elegancko, bo będziemy malowały pisanki.

Pisanki! W Warszawie kupowało się je na bazarze albo w centrum handlowym, gdzie przed świętami odbywały się specjalne kiermasze. W świetlicy szkolnej często robiłyśmy z dziećmi wielkanocne dekoracje, ale pisanki wykonywane były ze styropianu i kolorowych cekinów, bo prawdziwe jajka w szkole groziłyby katastrofą. Dlatego z ciekawością czekałam na ten wieczór i to jajcowanie, zupełnie nie wiedząc, czego się po nim spodziewać.

W środę o osiemnastej znalazłam się w samochodzie obok Bożeny, która tego dnia była zupełnie nie do poznania. Miałam wrażenie, jakby zrzuciła pancerz, który nakładała na siebie każdego ranka, i dzięki temu mogła teraz oddychać głębiej, była też łagodniejsza. Zachowywała się dziś zupełnie tak samo, jak jej dużo młodsza siostra, Aneta, która wraz z dwiema koleżankami siedziała tuż za mną w kobiecej toyocie yaris należącej do Bożeny. Dziewczyny żartowały i przekomarzały się, a Bożena wtórowała im z wdzięcznym śmiechem. Zarażały beztróską i radosnym uniesieniem, w które dałam się wciągnąć, podpytując o jajcowanie.

– Każdego roku w Wielką Środę spotykamy się u Romki, same kobiety, panny, mężatki, wdowy i rozwódki. – Ostatnie słowo Bożena wypowiedziała z przekąsem, uważnie wpatrzona w ciemną drogę przed sobą.

– Sabat wiedźm i czarownic – dopowiedziała Aneta, pochylając się w stronę fotela pasażera. – Tylko zamiast czarów malujemy pisanki i dzielimy się życiem.

– I udzielamy rad, chociaż nikt nas o to nie prosi – dodała rozbawiona Bożenka, a ja przypomniałam sobie, jak Paweł próbował

mnie przekonać do tej kobiety, sprawiającej na co dzień wrażenie surowej i nieprzystępnej.

– A ciężarna zawsze przynosi nam szczęście, więc zapunktujemy, przywołując cię ze sobą – roześmiała się Aneta z tą beztroską dwudziestolatki, która wierzy, że wszystko jeszcze przed nią, a świat jest pełen wyłącznie miłych niespodzianek.

Patrzyłam na ich ożywienie i podekscytowanie, czując, jak udziela mi się ich radosne oczekiwanie.

Roma mieszkała w Mięćmierzu, trzy kilometry za Kazimierzem. Niewiele mogłam dostrzec po drodze w tej marcowej szarówce. Zauważyłam tylko, że Mięćmierz jest jeszcze bardziej malowniczy niż Kazimierz. Dawna flisacka wioska położona u zbiegu trzech jarów przez całe stulecie była domem wiślanych rybaków i flisaków. Wizytówką tego miejsca stały się tradycyjne chałupy kryte strzechą lub gontem, drewniane płoty i charakterystyczna drewniana studnia przy skrzyżowaniu dróg. Ten żywy skansen musiał zachwycać wiosną i latem, gdy wszystko wokół zieleniło się i kwitło, dopełniając obrazu sielskiej anielskości.

Dom Romy można było rozpoznać z daleka. Emanował nie tylko dobrą aurą, ale i przyciągał rozświetlonymi wesoło oknami, wysyłającymi sygnały zaproszenia. Na drewnianym ganku paliły się dwa lampiony, które, niczym strażnicy, strzegły wejścia do domu pełnego kobiet.

Powitał nas śmiech i wiele przemieszanych między sobą kobiecych głosów, pośród których wyłowiłam ten należący do Romany witającej nas z całą swoją serdecznością.

– Zosiu, jesteś dziś naszą najbardziej drogocenną perłą. Jedyne ciężarna, no chyba że któraś jeszcze nie wie, że zaciążyła.

Odpowiedział jej chichot i pomrukiwanie dobiegające z salonu, w którym przy jednym, dużym, owalnym stole siedziały kobiety. Każda wpatrywała się we mnie z mało dyskretnym zaciekawieniem.

– Powiedziałałabym, że czuję się bardziej jak muszla, a ta prawdziwa perła jest we mnie – odpowiedziałam Romanie, otrzymując za to oklaski i potakiwania.

– Mądra dziewczyna! Widać, że to żona doktora Rybickiego.

Chodź, Zosiu, usiądź obok mnie, przypadnie mi w udziale więcej szczęścia. – Gustownie ostrzyżona i zadbana kobieta, na oko czterdziestokilkulatka, wskazała mi klepnięciem miejsce między sobą a młodziutką, zarumienioną dziewczyną, która niewiele się odzywała. Skorzystałam z zaproszenia, choć przy stole podniósł się krzyk nawołujący mnie w stronę innych, pustych jeszcze miejsc.

– Byłam pierwsza! – zawołała moja sąsiadka, odwracając się w moją stronę i wyciągając rękę z zadbanymi, pomalowanymi na bordowo paznokciami, których kolor doskonale harmonizował z ciemnobrązowymi włosami i ciekawą rudą grzywką. – Jestem Wioletta. Prowadzę w Kazimierzu zakład fryzjerski i już przy okazji zapraszam na strzyżenie i plotki, bo u mnie naprawdę można dowiedzieć się wszystkiego!

– Kto z kim sypia, kto kogo zdradził, kto komu zapisał majątek i za ile sąsiad sprzedał ziemię. – Bożena usiadła po przeciwnej stronie stołu, posyłając mi spojrzenie, w którym wyczytałam komunikat: „Chcą cię pożreć, ale nie daj się!”. – Baby znoszą jej tam najsmakowitsze kąski, ale ona jest bardzo skąpa w dzieleniu się nimi i wypuszczaniu dalej.

– Wiesz, że nie lubię rozsiewać plotek, a za to, co ludzie gadają, nie biorę odpowiedzialności.

– Zawsze bardziej interesujemy się tym, co za płotem, a nie tym, co we własnym gnieździe – wtrąciła Romana, a potem zaklaskała, chcąc zwrócić na siebie uwagę obecnych. – Słuchajcie, więdźmy i czarownice, jesteśmy już prawie w komplecie. Starszyzna na swoich miotłach przygotowuje niezbędne do czarów rekwizyty, a najmłodsze proszone są o przyniesienie z kuchennego stołu ciast i dzbanków z herbatą uwarzoną specjalnie na ten wieczór.

Zacęłam się podnosić, zastanawiając się, do której grupy mam się zaliczyć, ale powstrzymała mnie dłoń Wioletty.

– Ciężarnych to nie dotyczy. Ty tylko siedzisz, jajcujesz i przynosisz szczęście, a ja już je mam, bo moim zadaniem jest dotrzymać ci towarzystwa, żebyś wyszła stąd w dobrym humorze. To też jedna z naszych wróżb – jak ciężarna opuszcza to miejsce markotna, kiepski rok przed nami, a jeśli wyfruwa lekka i z roześmianymi oczami, każdej z nas się poszczęści w miłości lub biznesie.

Podobała mi się bezpośredniość tej kobiety i jej poczucie humoru. Chłonełam atmosferę tego babinca, a uczucie jedności, jakiego doświadczałam, było dla mnie nowe.

– Jak długo kultywujecie ten sabatowy zwyczaj? – spytałam, korzystając jeszcze z zamieszania towarzyszącego przygotowaniu.

– Sama nie wiem. – Wioletta zamyśliła się. – Dwanaście, a może już piętnaście lat? Romka to wymyśliła zaraz po tym, jak ten łajdak ją zostawił. Stworzyłyśmy naszą kobiecą przestrzeń, nasze lokalne darcie pierza. Przed Wielkanocą mamy jajcowanie, a przed Bożym Narodzeniem bombkowe. Niby się tu wygłupiamy, ale tak naprawdę potrzebujemy tego czasu, szczególnie w dniach przedświątecznego napięcia. Zbieramy siły, wspieramy się wzajemnie i kolorujemy życie, które jest dostatecznie szare, aby przygnębiać. My się nie dajemy, mimo okoliczności.

– Czy pierwsza żona Pawła, Julia, też z wami jajcowała? – spytałam zaciekawiona.

Wioletta rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Bożeny zajętej żartowaniem z kobietami, z którymi wyciągała z przepastnych szuflad komody kolorowe farbki, różnej wielkości pędzle i urocze wyklejanki, potrzebne do zdobienia wielkanocnych pisanek.

– Była tu ze dwa albo trzy razy. Zrobiła nawet o tym reportaż. Potem jednak już tutaj nie przychodziła. – Wiola zamilkła, obserwując Bożenę, a mnie zastanowiło, co oznacza to „potem”... Nie zdążyłam jednak o to zapytać, bo większość kobiet wróciła już na swoje miejsca, a przede mną pojawiły się kolorowe tubki farbek i dwa koszyczki z jajkami.

– W żółtym są wydmuszki, a w czerwonym jaja ugotowane na twardo w cebulowych łupinach. Bierzemy się do pracy, dziewczęta. – Romana, jak na dobrą gospodynię przystało, zarządzała wszystkim i wszystkimi. – Basiu, zacznij proszę.

Najstarsza z zebranych kobiet, ubrana w białą bluzkę z falbanami przy krótkich, bufiastych rękawach, ze sznurem czerwonych koralików na szyi, zaczęła:

– Jesteśmy niezłomnymi kobietami, których nie pokona żadna życiowa zawierucha.



– Wojowniczkami, kroczącymi zawsze z podniesioną głową – podjęła Romana.

– W słabości jest nasza siła, a każdy upadek nas umacnia – włączyła się Bożena, a potem kolejne zebrane, jedna przez drugą, wtrącały i dorzucały zdania, układając z tego hymn na cześć kobiety.

– Puch, który otula, i niezłomność wiernego wojownika.

– Stworzone, aby zdobić ten świat.

– Fizycznie kruche, ale potrafiące udźwignąć ciężary i ponieść je na ramionach.

– Nie mamy skrzydeł, ale potrafimy wznieść się ponad to, co chce nas uziemić i przywiązać złymi przyzwyczajeniami.

Słuchałam jak urzeczona słów, które nigdy wcześniej nie przyszły mi do głowy, i patrzyłam na kobiety doświadczone życiem, które pomimo odniesionych ran umiały cieszyć się tym, co przynosiła im codzienność, i czerpać radość z najprostszych rzeczy. I zrozumiałam, jaki jest prawdziwy sens tego spotkania, na które tak wiele z nich znalazło czas w przedświątecznej gorączce przygotowań. Umacniały się wzajemnie i wspierały jedna drugą, obdarowując się siłą. Wyciągały ręce do tych, które wątpiły, i dawały wskazówki pogubionym. Nie moralizowały i nie komentowały niewłaściwych zachowań. Po prostu były razem, czerpiąc od siebie wzajemnie, wybierając to, czego w danej chwili potrzebowały najbardziej. W ciągu tego jednego wieczoru, patrząc na nie, dostałam lekcję życia, którą na długo zapamiętałam.

– Pamiętaj, nawet jeśli upadniesz, nigdy nie zostawaj na kolanach. Wstań, popraw koronę i biegnij dalej – zakończyła Romana, dając znak do napełnienia filiżanek i rozpoczęcia zdobienia wielkanocnych pisanek oraz do kosztowania ciast przygotowanych przez tutejsze gospodynie.

Patrzyłam na roziskrzone oczy i uśmiechnięte twarze, sycąc się pięknem, które odkrywałam w tych kobietach. Ze zdumieniem obserwowałam zmianę, jaka zaszła w Bożence. Pozbawiona surowości twarz jaśniała, a w precyzyjnych ruchach nie było pośpiechu, który normalnie nieustannie jej towarzyszył. Częściej się uśmiechała i żartowała z sąsiadkami, od czasu do czasu rzucając mi spojrzenie, w którym była łagodność i coś jeszcze, czego nie umiałam określić. Posyłając jej uśmiech, zastanawiałam się, która Bożena jest tą

prawdziwą i co takiego uczynił jej brat Pawła, że taką jak dziś nie umie być na co dzień.

\*\*\*

Kuchnia w Doktorówce wypełniona była wabiącymi zapachami, a one, połączone ze sobą, tworzyły świąteczną mieszankę, od której aż ciekła ślinka. Kwaśny żur rywalizował z pieczonym schabem, wcześniej zamarynowanym z ziołami i przyprawami, a bigos pojawiający się na stole w Doktorówce przy okazji każdego świąt i uroczystości rozsnuwał leśną woń suszonych grzybów i czerwonego wina.

Bożenka krzątała się pomiędzy przygotowywanymi potrawami na zmianę z Joanną, dopuszczając mnie jednak do pomocy i niekiedy zdradzając tajniki tutejszej kuchni i szczegóły rytuałów.

– Pamiętam, jak zamieszkałam w Doktorówce i szykowałam pierwsze święta z pomocą mojej, świętej pamięci, teściowej. – Joanna umiała ten czas niespokojnych przygotowań opowieściami z przeszłości. – Moje zdolności kulinarne nie umywały się do tych, które posiadała mama Janka, ale schab piekłam najlepszy na świecie. Zaznaczam, że były to czasy, kiedy w sklepach niewiele można było dostać, a o dobrą marynatę trzeba było naprawdę się postarać. Wszystko szło idealnie do momentu, gdy włożyłam przyprawiony schab do brytfanki. Nie zdążyłam nawet wsunąć go do piekarnika, bo moja teściowa bez jednego słowa wyrwała mi foremkę, wyjęła schab, odkroiła po obu stronach brzegi, po czym dopiero pozwoliła mi wstawić go do pieczenia. Byłam tak przerażona myślą, że zrobiłam coś nie tak, że nawet o nic jej nie spytałam. Ona też nic nie powiedziała, ale powtarzała ten rytuał za każdym razem bez względu na to, jak ładny i chudy był schab. Któregoś razu nie wytrzymałam i spytałam rozzłoszczona: „Dlaczego mama to robi?”. Wiesz, Zosiu, co mi odpowiedziała?

Pokręciłam przecząco głową.

– Powiedziała, że robiła tak jej prababcia, babcia i mamusia, więc

i ona to powtarza, bo najwyraźniej jest w tym jakaś ludowa mądrość.

– Dowiedziałaś się, jak było naprawdę? – spytałam, zżerana ciekawością.

– Nie byłabym sobą, gdybym nie rozwiązała tej rodzinnej zagadki – roześmiała się Joanna. – Wrodzona aptekarska dokładność skłoniła mnie do poszukiwań, które doprowadziły nas do kulinarnych zapisków prababki Jana. Zapisano tam, że jeśli schab jest zbyt dorodny i nie mieści się w brytfance, należy odciąć jedną lub dwie „dupki”. Powód prozaiczny, do którego dorobiono rodzinną filozofię.

– Jak to w życiu bywa – dodałam, ocierając łzy wesołości, które pocięły przy opowieści Joanny.

– Nie powiem, też mam swoje przyzwyczajenia, ale nie stronię od nowości i obie moje synowe bez problemu dopuszczam do kuchennego królestwa.

Przyjęłabym te słowa z wdzięcznością i taką samą lekkością, z jaką wypowiedziała je Joanna, gdyby nie drobna myśl, która zakłuła w tym momencie jak szpileczka: Julia.

Kim byłam w porównaniu z tobą, Julio? Czy zajęłam twoje miejsce i czy byłam piątym kołem u wozu, przyjętym do rodziny ze względu na Pawła? Czy ty też towarzyszyłaś Joannie w świątecznych przygotowaniach, słuchając tych samych rodzinnych opowieści, dających poczucie przynależności? Jakie danie było twoją specjalnością i czy – jako tej pierwszej synowej – było ci najłatwiej, czy najtrudniej zdobyć akceptację Joanny i Jana?

Milczysz. Być może nie masz w ogóle ochoty na rozmowę ze mną.

W pewnym sensie jestem złodziejką. Jestem żoną twojego męża, a teraz staram się wkraść w łaski twoich teściów. Chcę, aby mnie polubili nie dlatego, że jestem ich synową, ale po prostu dla mnie samej. Chcę, aby zobaczyli we mnie Zosię, a nie żonę Pawła i do tego przyszłą matkę ich wnuka. I pragnę, aby nie porównywali mnie z tobą, Julio, choć ja sama wciąż to robię.

Czy życie musi być zawsze tak skomplikowane?

Wciąż tylko milczysz.

\*\*\*

Niewielki kościół ojców franciszkanów, wzniesiony na kazimierskim wzgórzu Plebanka, wypełniony był po brzegi. Liturgia wielkoczwartkowa rozpoczynająca Triduum Paschalne zgromadziła mieszkańców Kazimierza i okolic oraz turystów, którzy już od środy przybywali, aby ten wielkanocny czas spędzić w urokliwej scenerii, nie poddając się złudnemu zabieganiu towarzyszącemu świątecznym przygotowaniom.

Przyglądając się skupionym lub zaciekawionym twarzom i byłam w tej chwili naprawdę wdzięczna Pawłowi za pomysł wywiezienia mnie z Warszawy, gdzie święta spędzilibyśmy tylko we dwoje. Znałam siebie i wiedziałam, że pomimo kategorycznych zakazów zajęłabym się sprzątaniami, gotowaniem, wypiekaniem i kupowaniem zbyt wielu rzeczy, z których większość okazałaby się zupełnie zbędna. Tutaj, w Kazimierzu, otoczona byłam nie tylko przesadną opieką, ale i ludźmi, którzy z dnia na dzień stawali mi się coraz bliżsi. Wspólna kuchenna praca sprawiła, że zaczynały łączyć nas drobiazgi, a wczorajsze jajcowanie pozwoliło mi odkryć inne oblicze Bożenki, którą teraz przyjmowałam z większą wyrozumiałością.

Rok temu zostałam narzeczoną Pawła. Weszłam w ten związek z ufnością, którą wzbudził we mnie już od naszego pierwszego spotkania przy łóżku Patryka. Nie miałam żadnych oczekiwań ani wyobrażeń co do tego, jak powinno wyglądać nasze małżeństwo. Pokochałam Pawła, niewiele jednak o nim wiedziałam. Dopiero będąc tutaj, w domu, w którym dorastał, i wśród rodziny, do której mnie wprowadził, dowiadywałam się szczegółów... Chłonełam je, chcąc nauczyć się mojego męża najlepiej, jak potrafię. Dzięki temu lata, które przeżyliśmy oddzielnie, nie mając pojęcia o swoim istnieniu, wydawały się kurczyć, blaknąć i zlewać z naszym obecnym życiem, w którym byliśmy dla siebie codziennością.

Stojąc obok Joanny w starym, zabytkowym kościele, widziałam obok niej małego Pawła, który, podobnie jak teraz Bartek, z szeroko

otwartymi oczami i rozchyloną w zadziwieniu buzią przyglądał się obrzędowi obmywania nóg i niecodziennej liturgii, w jakiej uczestniczył. Po raz pierwszy też zapragnęłam, aby to maleństwo rosnące pod moim sercem było chłopcem, w którym odnajdę odbicie mojego męża. Takiego, jakiego poznawałam w opowieściach Joanny i Jana oraz wszystkich tych ludzi, którzy przyjmowali mnie tutaj z wielką serdecznością.

– Zwróć uwagę na organy i naszego organistę – szepnęła mi do ucha Joanna. – Ma piękny głos. To Jerzy Kuna. Można go usłyszeć w restauracji Dwa Księżyce. Gra tam na pianinie. Samouk i niezwykle talent!

Słuchałam, patrzyłam, uczestniczyłam we mszy świętej i chłonełam niepowtarzalny klimat tego miejsca, które z każdym dniem coraz bardziej mnie oczarowywało. Zostawiałam swój ślad obok śladów Pawła, chcąc dotknąć i doświadczyć tego wszystkiego, co dla niego było ważne. I chciałam wpisać w to miejsce naszą własną historię, wierząc, że będzie jedyna i niepowtarzalna. Moja i Pawła. Nasza.

\*\*\*

*– Jesteś jedynym człowiekiem, przy którym nie biegnę. Wyciszasz mnie i sprawiasz, że przy tobie odpoczywam.*

*Pamiętał te słowa równie dobrze jak zamknięty we wspomnieniu tamtego wieczoru śnieg sypiący się z nieba grubymi płatami i kojarzący z pierzem z rozdartej poduszki.*

*Małe mieszkanko, które wynajmował, wypełniło się zapachem kobiety siedzącej w tamtej chwili na kanapie z wyciągniętymi nogami, wspartymi o jego kolana. Masował jej stopy, zastanawiając się, czy ona odbiera jego sygnały, które wysyłał oczarowany nią i jej ciałem, przyciągającym go niczym magnes.*

*Fascynowała go jej niezależność i wewnętrzny świat, do którego dopuszczała innych tylko na bezpieczną odległość. Nie była kobietą-bluszczem, tylko dziką kotką przychodzącą do niego wtedy, kiedy*

sama miała na to ochotę. Łasiła się, domagając pieszczot, a potem znikła na jakiś czas, nie dając znaku życia.

– A ty jesteś jedyną kobietą, z którą mógłbym się ożenić – zrewanżował się wyznaniem za wyznanie.

Poczuł pod palcami, jak ciało Julii znieruchomiało i naprężyło się, zupełnie jak kot szykujący się do ataku. Zielone oczy świdrowały go przeszywającym spojrzeniem, wobec którego poczuł się nieswojo.

– Nie patrz tak na mnie, bo zaczynam się ciebie bać – spróbował zażartować.

– Powiedziałeś to poważnie?

Skinął głową.

– Jak najbardziej. Nie wymagasz ode mnie, abym nieustannie się tobą zajmował. Nie kręcisz nosem, kiedy proponujesz spotkanie, a ja właśnie mam dyżur. Nie masz nic przeciwko leniwym wieczorom w domu i nie wyciągasz mnie do knajpy ani klubu, wiedząc, że zupełnie nie mam na to ochoty. I nie traktujesz medycyny jak rywalki.

– A może powinnam? – Spojrzenie Julii złagodniało.

– Mój poprzedni związek rozsypał się właśnie z tego powodu. Kiedy stajesz przed wyborem: albo ja, albo szpital, wybierasz to, dzięki czemu czujesz, że żyjesz. Medycyna jest zazdrosna. Bardzo.

– Kobiety też. Każda chciałaby być tą najważniejszą w życiu swojego mężczyzny.

– I będzie. Jeśli nauczy się współistnieć wraz z pasją, szanując ją i nie próbując zmieniać partnera po swojemu i według jednostronnie nakreślonego scenariusza. Dobry i udany związek to dialog.

Julia odbiegła gdzieś myślami, błędząc wzrokiem po ścianie, która już od dawna domagała się pomalowania. Jej ciało odprężyło się; cała złagodniała. Kiedy się odezwała, Paweł miał wrażenie, że jej spokojny głos koi w nim wszystkie rozdrażnienia. Dzika kotka zmieniona w mruczącego kociaka.

– Jakiś czas temu robiłam reportaż z małżeństwem pszczelarzy, Anną i Stanisławem Góralami z Darłowa. Górale znad morza – uśmiechnęła się, a Paweł był pewny, że w tej chwili nie widzi jego, ale ich, ludzi, z którymi rozmawiała, wchodząc w ten skrawek życia, do którego ją dopuścili. – Oboje mistrzowie pszczelarstwa, oddani swojej

pracy, zakochani w pszczołach i dysponujący tak ogromną wiedzą, że, słuchając ich, sama zaczynałam doceniać i szanować te niezwykle owady. Ludzie z całej Polski przyjeżdżają nad morze po ich miody, bo mają gwarancję, że dostają produkt najwyższej jakości.

– Nie wiedziałem, że lubisz miód – powiedział z uśmiechem, chcąc zakomunikować Julii, że słucha jej uważnie.

– Dużo rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – odpowiedziała przekornie i zmieniła nogę, podsuwając mu teraz do masowania lewą stopę, spragnioną tych samych pszczot, jakie dostała prawa. – Kiedy się pobierali, Anna nie miała pojęcia, jak zajmować się pszczołami. Wiedziała jednak, że te maleńkie stworzenia są pasją człowieka, którego zamierzała poślubić. Miała również świadomość, że jeśli chce być ze Stanisławem, musi zaakceptować również i pszczoły, bez względu na to, jak wiele pochłoną czasu i wysiłku jej męża. Zgodziła się wejść w to małżeństwo, w którym od początku była na pozycji „tej drugiej”, o czym Stanisław przypomniał jej jeszcze przed złożeniem przysięgi małżeńskiej, stojąc przy ołtarzu. „Pszczoły były przed tobą”. Uniosła to i uszanowała, bo naprawdę go pokochała. A potem sama dała się tym „zarazić”, dzieląc z mężem jego pasję, której oboje wiele poświęcili. Tak właśnie rozumiem miłość. To nie słowa ani wzajemne i nieustanne patrzenie sobie w oczy, ale właśnie uszanowanie inności człowieka, który staje się najbliższy na świecie, i zaakceptowanie również i tego, co dla niego ważne.

Zamilkła. On też milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Poruszyły go jej słowa. Wiedział, że nie opowiedziała mu tej historii przypadkowo. Przemyciła tam to, co dla niej samej miało znaczenie. Zasztyfowała wiadomość, którą odczytać mógł jedynie ten, kto rozumiał Julię i jej pasję.

Czy on rozumiał? I czy odczytał ją właściwie?

– Widzisz więc, że idealnie do siebie pasujemy – powiedział jedyne zdanie, które mu się nasunęło.

W odpowiedzi dostał długi i namiętny pocałunek.

*CZTERY...*



W wielkopiątkową noc spadł śnieg i przykrył wszystkie brunatne niedoskonałości białym płaszczykiem. Sobotni poranek powitał mieszkańców Kazimierza delikatną bielą, na której odbiły się śmieszne ptasie ślady. Ze wszystkich mieszkańców Doktorówki jedynie Nela przyjęła to śniegowe widowisko z nieukrywaną radością. Jak szalona wypadła do ogrodu, przeganiając wszędobylskie kawki i ryjąc nosem



w zimnym puchu, który nie był, co prawda, żadną puchową pierzyną, ale przynajmniej namiastką zimy tak uwielbianej przez wilczycę.

Pozostali domownicy kręcili nosem i głowami. Bartek siedział w oknie z niedowierzaniem na twarzy, a przygotowująca koszyczek ze święconką Bożenka podsumowała nieoczekiwane zjawisko pogodowe słowami:

– W marcu jak w garncu. Teraz na Boże Narodzenie zielona trawa wybija, a na Wielkanoc na sankach można pojeździć. Świat na głowie stanął.

– No i ze święconym musimy pojechać samochodem, bo nam się Zosia w wiosennych trzewikach zaziębi – zdecydowała Joanna. – Pospieszcie się. Jak się na dziesiątą ze święconym wyrobimy, to kawę wypijemy już, zagryzając wielkanocnym sernikiem.

Patrzyłam na to świąteczne poruszenie z przyjemnością, w której się rozsmakowywałam niemalże tak samo, jak we wspomnianym przez Joannę serniku. Uczestniczyłam w tym wszystkim, wcale nie przyglądając się z boku i nie obserwując, jak kiedyś, gdy byłam jeszcze dzieckiem i, stojąc przy ojcu i Alicji, dla której wszystko zawsze trwało zbyt długo, patrzyłam na twarze obcych ludzi rozjaśnione świątecznym blaskiem oczekiwanego Zmartwychwstania, rozradowane bliskością. W domu mojej macochy nie było bliskości, a święta stawały się jedynie okazją do odpoczynku od pracy i obowiązków. Prawdziwe ciepło odnajdywałam w ramionach babci i we wspomnieniach, które przechowywałam w sercu jak najcenniejsze klejnoty.

Teraz tę rodzinną bliskość miałam na wyciągnięcie ręki. Mogłam jej dotknąć i zanurzyć się w niej. I mogłam ją poczuć, przytulając się do Pawła, jeszcze trochę zaspanego i nienasyconego, stęsknionego po kolejnym tygodniu nieobecności.

– Wszyscy i tak się do jednego samochodu nie zmieścimy. – Jan przyglądał się ożywionemu zamieszaniu z pobłażliwym uśmiechem. – Jedźcie, kobiety, z tym koszyczkiem i zabierzcie ze sobą Bartka, a my tu z Pawłem wspólnie tę kawę przygotowujemy. Obiecuję, że nie tknę niczego z lodówki i spizarki, zanim nie wrócicie. – Jan w obronnym geście przed spojrzeniem Joanny podniósł do góry dwa palce jak harcerz składający przyrzeczenie.

Żał mi było każdej chwili spędzonej bez Pawła, ale chęć obejrzenia kolorowych koszyczków i zanurzenia się w atmosferze wielkosobotniego poranka zwyciężyły.

– Pojedziemy do fary. Zobaczysz, Zosiu, jak pięknie ten kościół został niedawno odrestaurowany. – Głos Joanny otulił mnie podobnym ciepłem jak szalik, którym owinęłam się ciasno.

– Pod pretekstem pokazania ci fary szefowa chce rzucić okiem na aptekę. – Jan puścił do mnie oko, uśmiechając się do żony, która pogroziła mu palcem.

Zostawiłam męża, żegnając go czułym pocałunkiem, i wybiegłam za Bartkiem, omal nie przewracając się na śliskich schodach ganku.

Wiosna mocno pokaprysiła w tym roku. Była jak kobieta, zmienna i pełna humorów. Jednego dnia potrafiła zaczarować dzień i sprawić, że okna domów otwierały się szeroko, zapraszając do środka ciepło i słoneczny blask, który powracał po długich miesiącach zimowej szarości, a drugiego wściekała się jak odrzucona kochanka, naciągając na niebo pochmurną zasłonę i spuszczając ze smyczy niepokorny wiatr, który wciskał się ze swoim chłodem w szczeliny i zakamarki, ziębiąc mimo wiosny w kalendarzu. Dzisiejszy dzień był wiosennym zaskoczeniem, a może, po trosze, tęsknotą wiosny za zimą?

Kościół farny w Kazimierzu Dolnym naprawdę przykuwał uwagę. Pomimo majestatu zachwycał skromnością i przytulnością zabytkowego wnętrza. Położony przy Rynku, na wzgórzu, kościół św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja wznosił się ponad miasteczkiem, odznaczając się czerwonym dachem i kremową elewacją. Na tle pokrytego skłębionymi chmurami nieba wydawał się niczym niezdojta twierdza, której żadne bramy piekielne pokonać nie mogą. Wzbudzał zaufanie i przyciągał, zapraszając na chwilę zadumy – przystanek w wiecznym biegu towarzyszącym człowiekowi.

– Nasza fara, Zosiu, znajduje się na Szlaku Renesansu Lubelskiego – szepnęła mi Joanna, a w jej głosie, mimo że był ledwie słyszalny, brzmiała duma z miejsca, do którego przynależała. – Zwróć uwagę na zdobienia na sklepieniu i na przepiękny ołtarz.

Patrzyłam jak urzeczona zarówno na wnętrze, wobec którego nie można było pozostać obojętnym, jak i na folklor najróżniejszych

koszyczków, od tych skromnych, wiklinowych, po wielobarwne i wielkie kosze pełne specjałów, które już niedługo pojawią się na wielkanocnym stole. Poprzykrywane białymi haftowanymi lub koronkowymi serwetami pyszniły się jeden przed drugim zarówno dekoracją, jak i zawartością.

Czułam się znów jak dziecko, obserwując z zaciekawieniem i śledząc twarze tych, którzy czuwali nad tym, aby ksiądz proboszcz odpowiednią ilość poświęconej wody nakropił do koszyczka. Roziskrzane oczy, oczekiwanie i niewypowiedziana, ale widoczna radość, to wszystko odbijało się na zarumienionych chłodem twarzach tych, którzy czuli się częścią wspólnoty.

Wśród obcych twarzy rozpoznałam kilka znajomych. Wioletta uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie, Anetka pomachała mi, nie zważając na surowy i pełen dezaprobaty wzrok Bożenki, a kilka kobiet, które pamiętałam z jajcowania, skinęło mi głowami, pozdrawiając. Towarzyszące mi uczucie obcości, z którym przyjechałam tutaj z Warszawy, zniknęło. W jego miejsce pojawiło się poczucie przynależności do grupy, w której zostałam zaakceptowana, a to było dla mnie bezcenne.

Wychodziłam z kościoła z lekkością, jakiej dawno już w sobie nie czułam. Szłam pod rękę z Joanną, asekurowana z drugiej strony przez Bożenkę, a moje buty wystukiwały rytmiczną melodię na stylizowanej kostce brukowej, do złudzenia przypominającej dawne kocie łby.

Jan miał rację. Joanna zamierzała przejść obok apteki znajdującej się przy samym Rynku, aby rzucić okiem, czy wszystko jest w porządku. Nie na darmo mówi się, że pańskie oko konia tuczy, a myszy przecież harują wtedy, gdy nie ma kota, szczególnie w taki dzień, jak Wielka Sobota.

Przy samej Aptece na Rogu Joanna zwolniła, zatrzymała się i, przeprosiwszy mnie, weszła do środka. Bożenka przekazała mi koszyczek ze święconym i pobięła za Joanną. Znudzony Bartek stał na chodniku z rękami wbitymi w kieszenie, a moją uwagę przyciągnęła stara studnia znajdująca się dokładnie na środku kazimierskiego Rynku. Tyle razy obok niej przechodziłam, a nigdy jeszcze nie przyjrzałam się jej z bliska. Przykryta daszkiem z gontu doskonale wpasowywała się

w klimat tego miasteczka, które wzbudzało w niejednym zachwyty. Spojrzałam w stronę fary, dając się oczarować niepowtarzalnemu pejzażowi. Nad niewzruszonym i napełniającym spokojem kościołem farnym wznosiły się ruiny zamku, widoczne pomimo wiszących nisko chmur. Naprzeciwko fary wznosiła się Góra Trzech Krzyży, na której w tym momencie nie byłam w stanie dostrzec ani jednego turysty. Poniżej tych górujących na wzniesieniach budowli i krzyży pejzaż dopełniały dziewiętnastowieczna studnia i kamienice wybudowane w stylu renesansu lubelskiego. To był przepiękny i na zawsze zostający w pamięci motyw przewodni wielu obrazów, fotografii i pocztówek, wystawianych do sprzedaży na Rynku w podcieniach kamienic oraz w licznych tutejszych galeriach.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam studni, chcąc powierzyć jej moje życzenie, kiedy na swoim ramieniu poczułam czyjś ciężki dotyk. Odwróciłam się przestraszona i stanęłam twarzą w twarz z Cyganką, całą ubraną na czarno i obwieszoną brzęczącymi łańcuszkami, bransoletkami i długimi, dyndającymi kolczykami. W czarnych włosach upiętych w kok srebrzyły się spinki, a ciemne oczy kobiety wpatrywały się we mnie, przewiercając na wylot.

– Niech się panienka nie boi, bo dziecko przestraszy – odezwała się lekko zachrypłym głosem, a ja w pierwszej chwili zamarłam, bo w żaden sposób nie było jeszcze po mnie widać, że jestem w ciąży. A potem kątem oka dostrzegłam Bartka, który patrzył w moją stronę, napięty i zaniepokojony, jak ja, i domyśliłam się, że kobieta musiała nas obserwować i wykorzystała moment, gdy oddaliłam się i zostałam całkiem sama. – Cyganka powróży, bo wiele ma do powiedzenia. Nie chcę pieniędzy, dobre słowo wystarczy, a jeśli wróżba się spełni – jedynie dowód wdzięczności, tyle, ile panienka uzna za słuszne.

Mówiła tak szybko, że nie byłam w stanie jej przerwać. Bezwolnie poddawałam się monotonnemu brzmieniu jej głosu, nie oponując nawet wtedy, gdy ujęła moją lewą dłoń i odwróciła ją wnętrzem do góry. Poczułam szorstki palec przesuwający się po liniach widocznych na zaróżowionej od zimna skórze.

– Serce twoje niespokojne, choć martwić się nie powinnaś. Cień jakiś przed tobą widzę, nie ominiesz go, ale bać się nie musisz. To nie

jest ktoś, kto mógłby ci zagrozić. Większym nieprzyjacielem jest w tym momencie twój rozum, jego szept cię zwodzą. Uważaj, bo stąpasz po grząskim gruncie, ale nie masz już innej drogi. Wybrałaś tę i zawrócić już nie zdołasz. Blondyna widzę w twoim życiu i duże kłopoty przez niego. Miną, gdy zakwitną jabłonie.

Stałam jak zahipnotyzowana, wsłuchując się w słowa, które wchłaniałam jak gąbka wodę. Część mnie chciała stąd uciec i zapomnieć o tych oczach, które wydawały się czytać we mnie jak w otwartej księdze, ale coś mnie powstrzymywało. Ta druga „ja” uległa głosowi, który mnie prowadził, wzbudzał ciekawość i sprawiał, że chciałam go słuchać, zadając pytania, którymi z pewnością sugerowałabym odpowiedzi Cyganki.

– Czy mój mąż... – zaczęłam, nieświadoma tego, że wypuszczoną przez Cygankę ręką sięgam do kieszeni, w której miałam luzem złożone dwa dziesięciozłotowe banknoty. Nawyk jeszcze ze szkoły, kiedy w czasie spacerów z dziećmi trzeba było kupić nagle wodę czy słodką bułkę, bo któremuś robiło się słabo, albo w aptecce kolejną buteleczkę wody utlenionej i plastry na pozdzierane łokcie czy kolana.

Oba banknoty jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazły się w dłoni Cyganki, aby w mgnieniu oka zniknąć w kieszeni jej przepastnej spódnicy.

– Twój mąż jest dobrym człowiekiem, ale ostrze noża wciąż tkwi w jego sercu. Mądra jesteś, znajdziesz sposób, aby go wyjąć.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle jednym szarpnięciem została ode mnie oderwana, a pomiędzy nami stanęła Bożenka, zasłaniając mnie przed wzrokiem, któremu ulegałam.

– Trzymaj się od niej z daleka, Cyganicho, i nie wąż się jej tknąć!

Cyganka splunęła przez lewe ramię i odsunęła się, rzucając jeszcze na odchodne:

– Młodej doktorowej nikt tutaj nie skrzywdzi. A ty, zanim trzeci zmierzch nadejdzie, gorzko zapłaczesz.

– Poszła stąd, stara złodziejko! Myślisz, że ludzie nie wiedzą, kto Barańskim chałupę obrobił?

– Co ludzie gadają, to jedno, a jak było naprawdę, tego nikt nie wie. A ty z kościoła wracasz, a osądzasz bezrozumnie. Myślisz, że jak

w willi doktorów mieszkasz, to już damą zostałeś? Przyklepione błoto wszędzie ze sobą naniesiesz! – Głos Cyganki ucichł nagle po jeszcze jednym splunięciu, a ona sama oddaliła się, przyłączając do dwóch innych śniadych kobiet, stojących w bezpiecznej odległości przy kamienicy Przybyłów.

Bożenka odwróciła się w moją stronę. Na jej twarzy odmalowywało się wzburzenie i coś jeszcze, czego wcześniej tam nie było. Strach?

– Zapomnialiśmy cię uprzedzić, żebyś na nie uważała. Potrafią wyciągnąć od człowieka wszystkie pieniądze, a i bywało, że tak babeczki otumaniały, że same biżuterię z palców czy szyi zdejmowały i na moich oczach dobrowolnie w ręce Cyganki wkładały. Dałaś jej coś?

– Nie miałam ze sobą portfela – odpowiedziałam sprytnie, nie chcąc się przyznawać Bożence, że i ja uległam niezrozumiałemu czarowi.

– Przestraszyła cię? – spytała Bożenka.

W jej głosie wyczułam autentyczną troskę.

– Raczej zaskoczyła.

– Bartek przybiegł po mnie do apteki, ale chwilę trwało, zanim do was dobiegłam. Dużo głupot ci nawciskała? – Miałam wrażenie, że głos Bożeny lekko drży.

Pokręciłam głową. Byłam tak oszołomiona, że sama już nie wiedziałam, co było prawdą, a co wytworem mojej wyobraźni.

– Powiedziała, że mój mąż jest dobrym człowiekiem... i coś o ostrzu noża w jego sercu.

– One lubią, aby było dramatycznie – mruknęła Bożenka. Jej twarz nabrała już normalnych kolorów, wzburzenie minęło i tylko w oczach pozostał ślad lęku, do którego sama przed sobą przyznać się nie chciała. – Znają Pawła, bo kiedyś uratował dziecko jednej z nich. Chłopcu wbiło się głęboko w stopę szkło. Sami je wyjęli i leczyli po swojemu. Wdało się zakażenie i nie wyglądało to dobrze. Paweł szybko zareagował. Zabrał chłopca do siebie do szpitala i walczył o niego. Uratował nie tylko dzieciaka, ale i nogę. Leczył go za darmo, załatwił ubezpieczenie, a potem długo jeszcze doglądał, przynosząc leki i owoce. Dbał jak o swojego, choć Joanna wściekała się o to na niego. Mają wobec niego

dług wdzięczności i trzeba przyznać, że pod tym względem są honorowi. Ale ciebie nie powinni nawet zaczepiać. Ja tam przesądna nie jestem, ale Cyganka przy kobiecie w ciąży nie powinna się pojawiać. Jeszcze jakiś urok na dziecko rzuci.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Automatycznie dotknęłam dłonią brzucha, choć pod wiosennym płaszczkiem nie można było wyczuć jeszcze żadnej wypukłości. Ja jednak wiedziałam, że ono tam jest. Nasze dziecko. Małeńki cud stworzony przeze mnie i Pawła siłą miłości. Wierzyłam, że ona będzie strzegła Kruszynki, która rosła we mnie, i że jest silniejsza niż wszystkie przesady i cygańskie uroki.

\*\*\*

Paweł dotrzymał słowa i przywiózł mi prawdziwe belgijskie czekoladki. Rozkoszowaliśmy się nimi przy świątecznej już kawie i obiecany sernik. Chłonięłam to kominkowe posiedzenie, ogrzewając dłonią motylową filiżankę z zieloną herbatą. Wystarczył mi zapach kawy, na który Kruszynka łaskawie już mi pozwalała. To było zdumiewające, jak bardzo taki maluszek, jeszcze bezpiecznie otulony błoną płodową i współlistniejący wraz ze mną, potrafił zmienić i przewartościować wszystko. Jeszcze niedawno nie wyobrażałam sobie poranka bez potężnej dawki kofeiny. Teraz rozbudzałam się w zupełnie innym rytmie, przede wszystkim biegłam do łazienki, aby natychmiast skorzystać z toalety. Poranne mdłości ustępowały, a jedyne, co się pojawiło, to lęk, z którego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy.

Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, było to dla mnie oczywiste i naturalne. Chciałam zostać mamą, mając świadomość, że moje dziecko będzie miało fantastycznego tatę. Wściekałam się na Pawła z powodu nadopiekuńczości, nie zdając sobie sprawy z zagrożeń, które mogą dotknąć małą istotkę, którą powołaliśmy do życia. Po tym jednak, jak dowiedziałam się o ciąży Julii i utracie dziecka, zdałam sobie sprawę, że jestem naprawdę odpowiedzialna za to życie, i że to już nie

jest jedynie moje ciało, w środku którego „coś” się zagnieżdżyło, a jedynym moim zadaniem jest posłużyć za inkubator. Rosnące we mnie dziecko było odrębnym istnieniem, które tylko ja mogłam sprowadzić na świat.

Odstawiłam filiżankę i dotknęłam brzucha, który wciąż jeszcze nie wyglądał na brzuch ciążowy. Z mądrej literatury wiedziałam, że w trzynastym tygodniu, który właśnie się zaczął, Kruszyńka potrafi już włożyć kciuk do buzi. Na jej twarzy można rozpoznać wyraźne rysy, a niedługo zaczną się pojawiać włoski na głowie. Do kogo będzie podobne to dziecko? Czy będzie miało ten rozbrajający uśmiech Pawła i jego blond włosy, czy też szarość jego oczu zdominuje mój brąz i nasz Okruszek będzie małą kopią mnie samej, jedynie z drobnymi rysami Pawła? Nie znałam odpowiedzi na te pytania, podobnie jak nie miałam pojęcia, czy Kruszyńka, którą noszę pod sercem, będzie chłopcem, czy dziewczynką. W tym momencie nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Pragnęłam tylko, aby dziecko było zdrowe.

Zamyślona, nie zauważyłam, że Joanna wpatruje się we mnie z uśmiechem zastygłym na twarzy. Musiała mnie obserwować od dłuższego czasu i widziała ruch, jakim delikatnie gładziłam brzuch, bo kiedy nasze spojrzenia się spotkały, odezwała się:

– Zosia tak promienieje w ciąży, że z pewnością spodziewa się chłopca. Chłopiec zawsze dodaje przyszej mamie urody.

– Nie wyrokuj jeszcze, mamó, bo ja wolałbym dziewczynkę. – Paweł wtrącił się do rozmowy, posyłając mi ten uśmiech, którym zawsze był w stanie mnie uspokoić.

– Gdyby tak można było dzieciaka na zamówienie urodzić – prychnęła Bożenka, która od powrotu z kościoła była jakaś nieswoja. Wiedziałam, że miało to związek ze spotkaniem z Cyganką i z jej słowami, dla mnie zupełnie niezrozumiałymi. – Będzie, co ma być. Byleby wszystko na swoim miejscu miało i zdrowe było – dokończyła, podnosząc się i zbierając swój talerzyk i filiżankę.

– Posiedź jeszcze z nami, Bożenko. – Jan, podobnie jak ja, wyczuł nerwowość synowej.

– Do roboty trzeba się brać, obiad sam się nie zrobi, a i poodkurzać jeszcze trzeba. Jutro będę świętować – Bożenka najwyraźniej



potrzebowała zajęcia dla rąk, aby zagłuszyć niespokojne myśli wprowadzające zamęt. – Tort bezowy chcę jeszcze zrobić – dodała już łagodniej. – Wiem, że tata go lubi.

Jan uśmiechnął się, przytrzymał przez chwilę dłoń synowej i pocałował ją.

– Złota z ciebie dziewczyna, wiesz?

– Co też tata opowiada. – Bożena machnęła ręką, ale oczy jej się zaszklily. Wyszła z pokoju szybkim krokiem, ukradkiem ocierając wilgoć, która słoną kropelką spłynęła po policzku.

Chłonełam te skrawki codzienności, podglądając zachłanne życie Doktorówki, toczące się dziś w innym rytmie, zatrzymanym przy tej południowej kawie. Przystanek w biegu codzienności i bliskość. Brakowało tego zarówno mnie, stęsknionej za Pawłem, jak i ludziom, których teraz ogarniałam z miłością swoim spojrzeniem. W świecie, który wiecznie pędzi, czas taki, jak ten, należało cenić i wykorzystać umiejętnie każdą podarowaną minutę, aby nie przeciekła przez palce, ale by zostawiła w nas trwałą ślad spotkania i bliskości. Tak budowała się rodzinna więź, która widoczna była pomiędzy Pawłem a jego rodzicami nawet mimo oddalenia i przeżywania własnej codzienności po swojemu.

Patrząc na te rozradowane twarze moich teściów, Pawła i nieodstępującego go Bartka, uświadomiłam sobie, że to właśnie jest szczęście. To, że jesteśmy tu razem, że ten szczególny czas stał się naszym udziałem, łącząc nas w taki sposób, w jaki łączył duży, rodzinny stół przy wspólnych posiłkach. Pomyślałam też, że życie bywa nieprzewidywalne, ma swoje przyływy i odpływy, daje, ale i zabiera, dlatego trzeba doceniać każdy taki moment, nasze tu i teraz z drugim człowiekiem, aby zapamiętać te chwile i nasycić się nimi, a kiedyś móc z nich czerpać.

Zapragnęłam też, aby mój Okruszek mógł również nasiąkać tym wszystkim, co otaczało człowieka po przekroczeniu progu Doktorówki, aby nasze dziecko mogło doświadczyć miłości dziadków, aby mogło być dumne, że starszy o tyle lat kuzyn zwraca na niego uwagę i opiekuje się nim jak młodszym bratem lub siostrą. Wiedziałam, że nie pozbawię tego tej Perełki dojrzewającej we mnie i że bardzo chcę, aby Doktorówka stała się dla niej tak ważną częścią życia, jaką była dla Pawła, a którą ja

odkrywałam z taką zachłannością, jak smak belgijskich czekoladek.

\*\*\*

– Zośka, nie dokazuj! – Paweł przysypiał po obfitym obiedzie, zmęczony dodatkowo dyżurem, po którym nie zdążył jeszcze zregenerować sił, a moja ręka wędrowała w poszukiwaniu ciepła jego ciała, wkradając się pod bawełnianą koszulkę i zatrzymując na torsie, do którego lubiłam się przytulać.

– Stęskniłam się – szepnęłam, gryząc go delikatnie w ucho.

– Zosieńko, ja też – wymamrotał na wpół przytomnie. – Ale daj mi, proszę, godzinę.

Miałam swoje sposoby, aby go rozbudzić. Gdyby moja ręka została pod koszulką i nie zaprzestała swojej frywolnej wędrówki, mój mąż nie skupiłby się na odsypianiu, ale spędził to popołudnie dużo aktywniej. Wiedziałam jednak, że naprawdę jest zmęczony, a dzisiaj planowaliśmy jeszcze liturgię wielkosobotnią, dla mnie najpiękniejszą w całym roku. Poświęcenie ognia i wody, złożone nierozdzielnie z tajemnicą Zmartwychwstania. Pozwoliłam Pawłowi zasnąć, przenosząc dotyk spod koszulki na nieogolony policzek, gładząc go czule i patrząc ze wzruszeniem na mojego męża, który pomimo swoich czterdziestu trzech lat w śnie wyglądał jak młody chłopak. Wygładzone drzemką rysy złagodniały, a ciało Pawła choć przez chwilę mogło przestać czuć. Zwykle naprężone i gotowe do szybkich decyzji i precyzyjnych ruchów, teraz po prostu odpoczywało, wyczerpane pracą.

Przykryłam Pawła kocem, a sama wymknęłam się cichutko z pokoju, pozwalając mu spać. Nie zastanawiałam się, dokąd pójde i czym się zajmę. Pokój kominkowy miał w sobie jednak magnetyczną siłę. Moje nogi same mnie tam poniosły, może w poszukiwaniu ciepła bijącego od kominka, a może spełniając po latach marzenia małej dziewczynki, która o takim właśnie domu i przytulnym pokoju z kominkiem marzyła.

Nie zdziwiła mnie obecność Joanny. To miejsce naprawdę miało

w sobie magię, której poddawał się każdy z domowników.

– Mogę się przysiąc? – spytałam, zaciekawiona zdjęciami, które Joanna trzymała w rękach. W prostokątnych okularach w granatowych oprawkach wyglądała bardzo elegancko, zupełnie nie kojarząc się z babcią, choć siedziała przed kominkiem na bujanym fotelu.

– Oczywiście, Zosiu. Przeglądam stare albumy. Dopadła mnie dzisiaj jakaś dziwna nostalgia. To chyba przez tę pogodę.

Usiadłam obok Joanny, zerkając na czarno-białe fotografie.

– To Paweł? – Wskazałam na małego, uśmiechniętego chłopca stojącego przy dużym owczarku niemieckim. Mimo że pies go przerastał, chłopiec z ufnością dotykał małą rączką grzbietu, jakby dając zwierzęciu do zrozumienia, że wielkość tak naprawdę nie ma tu żadnego znaczenia. Nawet na czarno-białym zdjęciu widać było jasnoblond włosy i rozkoszne dołeczki w policzkach chłopca.

– Tak, od dziecka był taki radosny i uśmiechnięty, mało czego się bał. Janek miał słabość do owczarków niemieckich i to, jak widzisz, zostało mu do dziś. W naszym domu zawsze był pies, a chłopcy od małego wychowywali się ze zwierzętami. O, tu są obaj, Paweł i Mikołaj.

Joanna podała mi zdjęcie, również czarno-białe, przedstawiające dwóch jednakowo ubranych małych chłopców trzymających się za ręce. Widać było, że są braćmi, choć podobieństwo nie było oczywiste na pierwszy rzut oka. Obaj blondyni, z włosami sięgającymi prawie ramion, starszy jednak był pulchniejszy od młodszego, a w jego oczach dostrzec można było dużo więcej radosnych iskerek niż u brata.

– Pawełek miał tutaj prawie pięć lat, a Mikołaj zaledwie roczek. Zawsze był taki opiekuńczy. – Joanna wskazała na dłoń Pawła trzymającą małą rączkę młodszego braciszka. – Mikołaj urodził się jako wcześniak, dużo chorował i przez jakiś czas był wyraźnie słabszy od rówieśników. Zawsze też chciał dorównać bratu, naśladować Pawła we wszystkim.

Następne zdjęcia pokazywały kolejne etapy życia chłopców, którzy dorastali razem, utrwalając naturalną więź braterską, w jakiej byli wychowywani. Paweł i Mikołaj w indiańskich pióropuszech, z łukami w dziecięcych jeszcze rączkach. Nad Morskim Okiem, przytuleni do roześmianej Joanny, każdy z innej strony. Na tatrzańskim szlaku wraz

z ojcem, któremu Paweł, tutaj już dużo szczuplejszy niż w dzieciństwie, prawie dorównywał wzrostem. Chwile utrwalone obiektywem, zatrzymane na zawsze w kadrze i ludzkiej pamięci. Migawki życia Rybickich, do wspomnień których uśmiechała się Joanna.

– O, a tutaj chłopcy z Romką. Bardzo się wszyscy troje przyjaźnili, Romka nawet podkochiwała się kiedyś w Pawle, ale potem poznała tego, pożał się, Boże, oszołoma i nieudacznika.

Trójka nastolatków z chudymi rękami i długimi nogami, dwóch chłopców, z których jeden powoli stawał się mężczyzną, a drugi wciąż miał jeszcze w sobie chłopięco-dziecięcy wdzięk, i dziewczyna z łobuzerskim spojrzeniem o prawie już kobiecych kształtach, wsparta o ramię Pawła.

– Jak sobie pomyślę, co im do głowy strzelało i jak razem dokazywali, zastanawiam się czasami, jak to się stało, że cała trójka przeżyła to dzieciństwo. – Joanna westchnęła, zapatrzona na wykradzione przeszłości skrawki rodzinnej historii.

– Paweł i Mikołaj wydają się bardzo zżyci – zauważyłam, wskazując na kolejne wspólne zdjęcie braci.

Joanna w milczeniu pokiwała głową.

– Kiedyś jeden za drugim skoczyłby w ogień. Paweł zawsze troszczył się o Mikołaja, pamiętając o jego słabowitości i tych wszystkich tygodniach w szpitalu, kiedy nikt nie wiedział, jak to się skończy i czy Mikołaj wyzdrowieje. A potem Mikołaj nadrabiał, próbując naśladować brata i zwrócić na siebie jego uwagę. Zawsze trzymali się razem, żaden nie zdradził tajemnic drugiego przed nami i żaden na drugiego nie skarżył. Miałam nadzieję, że tak zostanie, ale życie, Zosiu, jest nieprzewidywalne.

Joanna zamknęła album i przymknęła oczy. Czułam, że w ten sposób chce się oddzielić od myśli, które zaczęły spadać jak lawina naruszona jednym małym kamyczkiem. Przeszłość powróciła wraz z fotografiami, przynosząc nie tylko te dobre wspomnienia, ale i bolesne zadry, z czasem być może zaleczone, ale pamiętające o ranie, która kiedyś została zadana.

W kupce zdjęć, które przeglądałam, znalazłam wspólną fotografię Bożenki i Mikołaja. Mój szwagier był naprawdę przystojny. Wysoki,

szczupły, z wyraźnie umięśnionymi ramionami, nad którymi musiał dużo pracować, w niczym nie przypominał tego chorowitego chłopca, jakim był wcześniej. Jedynie jego włosy pozostały prawie tak jasne, jak w dzieciństwie, dużo jaśniejsze niż włosy Pawła, i – mimo upływu lat – wciąż był w nim ten chłopięcy wdzięk, którym zwracał uwagę na wszystkich poprzednich zdjęciach. Stojąca obok niego dziewczyna, zapatrzona w chłopaka, który został jej mężem, wyglądała zupełnie inaczej niż Bożena, którą poznałam. Długie czarne włosy sięgały jej aż do pasa, podkręcając się łagodnie na końcach, a zalotnie pomalowane rzęsy nie pozostawiały złudzeń, że chłopak, na którego zerka, nie jest jej obojętny. Twarz Bożenki na tym zdjęciu jaśniała. Nie było na niej tych brzd zamyślenia... Zapewne znalazły tam swoje miejsce dopiero po wydarzeniach, o których milczano. Kontrastowa para. On blondyn, ona brunetka. On szczupły, ona kobieco pozaokrągłana. Dwa serca z pustą jeszcze kartką wspólnej historii, która nie okazała się chyba zbyt szczęśliwa.

Na samym spodzie trzymany w dłoniach fotografii znalazłam dwa ślubne zdjęcia. Dwie pary i dwaj bracia. Paweł z Julią, Mikołaj z Bożenką. Starszy z braci wyglądał na szczęśliwego, uśmiechając się tak, jak lubiłam najbardziej. Szczerze i od serca. Takim uśmiechem Paweł komunikował, jak bardzo jest szczęśliwy i że tej chwili, do której się uśmiechał, najchętniej szepnąłby: „Trwaj i nie odchodź zbyt szybko!”.

Patrząc na mojego męża, dużo młodszego i sporo szczuplejszego niż obecnie, i na stojącą tuż przy nim Julię, równie rozradowaną jak on, poczułam ukłucie zazdrości. I choć wiedziałam, że to irracjonalne i głupie, bo przecież nie można być zazdrosnym o przeszłość, w której Paweł nie miał nawet pojęcia o moim istnieniu, nie mogłam się pozbyć pewnego żalu, że ktoś inny miał do mojego męża takie same prawo, jak ja.

Dłoń Julii oparta o ramię Pawła wyraźnie dawała do zrozumienia, że to jej mężczyzna i że odtąd on należy do niej. Jeden mąż, dwie żony. Jak w jakiejś żalosalnej telenoweli. Tylko że w tym przypadku nie można było powtórzyć starych odcinków ani zmienić scenariusza rozpisanego przez życie.

Na kolejnej ślubnej fotografii radość okazywała tylko Bożenka. Jej oblubieniec patrzył chmurnie w obiektyw aparatu, sprawiając wrażenie, jakby znalazł się tam przypadkiem. Obejmował swoją młodą żonę tak, jak polecił mu fotograf, ale nawet ten gest wydawał się nienaturalny, podobnie jak cała dekoracja, która otaczała młodą parę. Czyim wyborem było to małżeństwo i co takiego się wydarzyło w życiu tych dwojga, że w Bożence pozostał tak bolesny ślad aż do dzisiaj? Tajemnice i domysły, a w tym wszystkim prawdziwi ludzie i ich poszarpane historie.

Joanna otworzyła oczy i spojrzała na mnie, uśmiechając się ciepło.

– Dobrze, że tu jesteś, Zosiu. Przy tobie te nasze wspólne święta nabierają prawdziwej rodzinnej atmosfery, jakiej od dłuższego czasu nie było już w tym domu – powiedziała cicho, a w jej głosie wyczułam smutek. – Wychowujesz swoje dzieci w przeświadczeniu, że zasady i wartości, jakie wyniosą, będą dla nich w przyszłości drogowskazami, dzięki którym się nie pogubią, a potem okazuje się, że każde z nich ma swój własny pomysł na życie, często daleki od tego, czego życzyliby sobie rodzice. I zadajesz sobie, jako matka, pytanie, czy to oni się pogubili w tym wielkim świecie, który postanowili zdobyć, czy też to ty popełniłaś gdzieś błąd, zbyt mocno lub za mało kochając?

– Nie znam Mikołaja, ale wiem, że Pawła wychowaliście na cudownego i bardzo wartościowego człowieka. Nie był w stanie zmienić nawet ten wielki świat, o którym mówisz. – Odłożyłam na stolik zdjęcia, wstałam i podeszłam do Joanny. Jej duże, niebieskoszare oczy patrzyły na mnie tak, jakby szukały we mnie nadziei. Pochyliłam się i objęłam jej drobne ramiona, przytulając się do niej. Odwzajemniła ten uścisk, który sprawił, że po jej policzkach pociekły łzy, i wyszeptała prosto w moje ucho:

– Dziękuję, Zosiu.

\*\*\*

Wielkanocny poranek powitał nas szarością, która jednak dawała

nadzieję, podobnie jak radość Zmartwychwstania, że w ciągu dnia słoneczne promienie mimo wszystko przebijają się między chmurami, ogrzewając powietrze, mocno schłodzone po wczorajszej śnieżnej niespodziance. Pomimo tej szarości i porannego zimna wszyscy mieszkańcy Doktorówki, włącznie z zaspanym Bartkiem, wyruszyli na rezurekcyjną mszę, aby w ten sposób, zamykając Triduum Paschalne, w którym uczestniczyliśmy, rozpocząć prawdziwe świętowanie Niedzieli Wielkanocnej.

Idąc u boku Pawła w rezurekcyjnej procesji, patrzyłam na szarość, która stopniowo nabierała światła dnia. Lubiłam obserwować świt. Szczególnie w czasie długich jesienno-zimowych miesięcy nadchodził niepostrzeżenie. Zakradał się cichutko, jakby w obawie, że obudzi uśpiony świat zbyt gwałtownie. Miętkość nocy powoli przepuszczała jasne smugi sprowadzające dzień. Kolejny i oczekiwany. Cisza stojącego w progu poranka koła. Nie było w niej jeszcze pośpiechu ani niepokoju, który zwykle wślizgiwał się w ludzkie życie wraz z przebudzeniem. Towarzyszyło jej za to spokojne oczekiwanie na wszystko, co przyniosą najbliższe godziny, i nieświadomość tego nowego, przysłoniętego jeszcze lekką mgłą, która skrywa ludzkie życie.

Przytulając się do Pawła w poszukiwaniu ciepła, pomyślałam, że każdy świt, nie tylko ten dzisiejszy, niesie ze sobą tajemnicę, a potem rozrzuca godziny, które daje na jej odkrycie, i że każdy brzask nowego dnia jest obietnicą, z której dzień zawsze stara się wywiązać.

Ten dzisiejszy był dla mnie wyjątkowy. Miał mi podarować nie tylko czas Pawła niewyznaczony żadnymi dyżurami, ale i rodzinę, razem z którą miałam zasiąść do wspólnego świątecznego stołu. Gdybym mogła zatrzymać czas, wybrałabym właśnie te godziny, pełne spokoju, wyciszenia i beztraskiej radości, którą zapowiedział świt i rześki poranek wstający nad Górą Trzech Krzyży.

\*\*\*

Stół. Niby zwyczajny mebel, niczym szczególnym się niewyróżniający, a jednak ważny nie ze względu na to, czym jest i co się na nim znajduje, ale przez tych, którzy przy nim zasiadają i których łączy. Po dniach wypełnionych świątecznymi porządkami i przygotowaniami tych wszystkich potraw, pod którymi uginał się teraz jego blat, nadszedł czas zatrzymania i prostego pobycia ze sobą, którego na co dzień tak bardzo brakowało.

Sycąc się każdą chwilą spędzoną z Pawłem, myślałam o tym, że, żyjąc w dużym mieście, wiecznie gdzieś pędzimy. Czas w naszej codzienności przesuwiał się na tarczy zegara nieubłaganie, a my mieliśmy wciąż dużo do zrobienia i mało czasu. Ciągłe go nie starczało, a jeśli już się znalazł, niejednokrotnie przeciekał przez palce, zostawiając w nas poczucie winy, że znów wykorzystaliśmy go nieumiejętnie i w jakiś sposób się rozminęliśmy. Zrozumiałam też, siedząc przy moim mężu i przysłuchując się ożywionej rozmowie dwóch lekarzy, że w te święta dostaliśmy z Pawłem czas w prezencie po to, aby nigdzie nie pędzić, tylko celebrować chwilę, obecność tych, dla których byliśmy ważni, i bliskość, której nie da się zbudować w pośpiechu. Bo bliskość to spotkanie, rozmowa i troska. Dotyk i przytulenie, a także szczere zainteresowanie tym, co czuje drugi człowiek. Bliskość to właśnie jeden stół, który – tak jak ten w Doktorówce – łączył pokolenia.

Widziałam, jak szczęśliwa jest Joanna, mając przy tym stole Pawła. Była z niego dumna, podobnie jak Jan, który niby się z Pawłem ścierał i miał odmienne zdanie w wielu sprawach, ale nie ukrywał podziwu za to, czego dokonał i podejmował się jego syn. Przy tym wspólnym świątecznym stole budowaliśmy więź, która cementowała rodzinę.

\*\*\*

Radosny nastrój świętowania zepsuł wieczorny telefon od Kingi. Moja niby-przyjaciółka brzmiała jak chmura gradowa, jeszcze bez błyskawic, choć nastrojowo było jej do nich blisko.



– Zośka, gdzie ty się podziewasz? Wyjechałaś tylko na chwilę, a nie ma cię już trzeci tydzień. Długo zamierzasz tkwić na tym końcu świata?

– Nie na końcu świata, tylko w malowniczym Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, gdzie jest mi tak dobrze, jak nigdzie dotąd – odpowiedziałam, chcąc rozładować wzburzenie przyjaciółki.

– Mówiłam, że zamknie cię w złotej klatce i odizoluje od ludzi. Zanim się obejrzyysz, zostaniesz kurą domową, bo najpierw zwolnienie, później macierzyński i wychowawczy, a potem twój mąż dojdzie do wniosku, że najlepiej będzie, jak w ogóle nie wrócisz do pracy, i cały twój świat skoncentruje się na niedopieczonym ego pana doktora i gromadce bachorów, które z tobą spłodzi.

Znałam Kingę od ponad dwudziestu lat i wiedziałam, że taki telefon oznacza duże kłopoty. Jej kłopoty.

– Nie ma to jak dostać piękne i szczerze życzenia od przyjaciółki. – Mężnie odparłam jej atak. – Dlaczego się wściekasz? Coś się stało?

– Poza tym, że wszystko jest do bani, to nie. Nic szczególnego się nie stało. Samo życie, popaprane jak zawsze. A najgorsze jest to, że nawet pogadać o tym nie masz z kim, bo jedyna osoba, która byłaby w stanie cię zrozumieć, wyjechała i ma cię w takiej dupie, że znaku życia nie daje. To tyle, jeśli chodzi o mnie, a co u ciebie?

– U mnie cudownie – odpowiedziałam, czując wyrzuty sumienia, że naprawdę ją zaniedbałam.

– To cudownie.

Kinga umilkła, a ja wiedziałam, że walczy ze sobą, aby się nie rozkleić w słuchawkę, co było zupełnie nie w jej stylu.

– Przepraszam.

– Za co? Za to, że zupełnie o mnie zapomniałaś?

– Tak jakby...

– Potrzebuję cię, Zosiu. – Po moich plecach przebiegł nieprzyjemny dreszcz. To już zupełnie nie było w stylu dziewczyny, która wychowała się na Ursynowie i którą mało co zaskakiwało i przerastało.

– Filip?

– Gorzej. Nie umiem gadać do telefonu. Potrzebuję ciebie,

prawdziwej.

– Weź kilka dni wolnego i przyjedź do Kazimierza – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam.

Kinga prychnęła.

– Niby jak?

– Busem. Albo pociągiem do Puław, a stamtąd busem. To naprawdę nie jest koniec świata.

– Mówisz poważnie?

Pokiwałam głową, uświadamiając sobie, że przecież Kinga tego nie widzi.

– Poważnie. Dom jest duży, miejsce dla ciebie się znajdzie. Wygadasz się, odpoczniesz, a przy okazji zrobisz porządek z moimi włosami. Wynegocjuj kilka dni wolnego i przyjedź. To miejsce leczy, Kinga. Przekonasz się o tym i przyznasz mi rację.

Czułam, że Kinga się waha.

– Nie ma szans, żebyś w najbliższym czasie wróciła do Warszawy?

– Dobrze mi tu. Tobie też się spodoba – kusiałam.

– Pogadam z szefową i dam ci znać.

Chciała już się rozłączyć, ale zatrzymałam ją jeszcze przy telefonie.

– Kinga?

– Uhm? Co tam jeszcze?

– Tutaj życie naprawdę nabiera sensu, bo jesteś w stanie spojrzeć na nie z dystansu.

– Gadanie!

– Czekam na telefon. Pa!

– Pa! Pozdrów doktorka.

Odłożyłam telefon z uczuciem dużego niepokoju. Wyczuła go nawet moja Perełka, bo nagle zrobiło mi się słabo. Jakby w pokoju, który dzieliłam z Pawłem, zabrakło powietrza. Musiałam otworzyć okno, aby poczuć świeży powiew marcowego zmierzchu, pachnący wilgocią rozpulchnionej ziemi.

– Co się dzieje, Zosiu? – Lekarska czujność Pawła obudziła go z popołudniowej drzemki.

– W głowie mi się zakręciło. Nic się nie dzieje, kochanie. Już jest

okej.

– Kto dzwonił?

– Kinga.

Paweł pokiwał głową. Znał moją niby-przyjaciółkę. Kinga była moją druhną, zresztą często się z nią spotykałam. Nie wtajemniczałam go w nasze babskie sprawy i nie powtórzyłam nigdy obaw Kingi, które, jak widać, wciąż jej towarzyszyły.

Paweł szanował moją potrzebę prywatności, tak jak i ja szanowałam jego zawodowy świat, do którego nie wprowadzał mnie zbyt często. Rozumiałam to. Paweł znał moją wrażliwość, a wiedząc, że pracuję z dziećmi, był pewien, że każdy przypadek, o którym mi opowie, odchoruję, współodczuwając cierpienie dziecka. Łączyło nas wiele, ale oboje mieliśmy własną przestrzeń, do której to drugie nie wchodziło na siłę i bez zaproszenia.

– Chodź tu do mnie, bo się przeziębisz w tym otwartym oknie. – Paweł wyciągnął ramiona, a ja wtuliłam się w nie, doświadczając znajomego uczucia spokoju i bezpieczeństwa, które przychodziło, gdy był przy mnie. – Mam dla ciebie niespodziankę – szepnął, całując mój kark. Ten pocałunek załaskotał.

Roześmiałam się.

– Kolejną bombonierkę belgijskich czekoladek?

– Nie – pokręcił głową. – Jeszcze jeden dzień z tobą. Wracam dopiero w środę. A we wtorek zabieram cię do Lublina.

– Do Lublina? – Odwróciłam się i spojrzałam na niego zdziwiona.

– Umówiłem dla nas wizytę kontrolną. Musimy zrobić USG i zobaczyć, co słyszą u naszego dzidziusia.

– Ale przecież prowadzi mnie doktor Banasik – zaprotestowałam.

– Tylko że on jest w Warszawie, Zosieńko, na razie nie chcę cię narażać na niepotrzebną podróż tam i z powrotem. Przyjmie nas moja koleżanka z roku. Bardzo dobry położnik i wybitna specjalistka.

– Dmuchasz na zimne? – Uśmiechnęłam się, choć zupełnie mi do śmiechu nie było. Wiedziałam, skąd bierze się lęk Pawła, ale w tej chwili nie mogłam z nim o tym porozmawiać. Jak wiele jeszcze będzie między nami niedopowiedzeń i tajemnic pochowanych w zakamarkach tego domu?

– Nazwałbym to raczej nadwrażliwością zawodową.

– Jak wiadomo, z lekarzami się nie dyskutuje. Pojadę z panem wszędzie, gdzie tylko pan zechce, panie doktorze.

Paweł dotknął nosem mojego nosa i wymruczał:

– Zgadzasz się więc na randkę w Lublinie?

– I w Lublinie, i w Koszalinie, i gdzie tylko mnie zabierzesz, kochanie.

Do pokoju, w którym panował lekki półmrok, rozświetlony jedynie bladą łuną nocnej lampki, zajrzał przez uchylone okno marzec. Wtulona w siebie para nie zauważyła jego ciekawskiej obecności. Kobieta wsparta o mężczyznę wyglądała, jakby spała. Mężczyzna delikatnie kołysał ją w ramionach. Zapatrzony gdzieś w dal, przed siebie, wydawał się widzieć dużo więcej, niż można było zobaczyć w tym cichym, uśpionym zmierzchem pokoju.

\*\*\*

*Julia siedziała na łóżku skulona, przyciskając do piersi kolana, które ciasno objęła ramionami. Paweł poczuł, jak jego serce zaciska się z żalu i współodczuwanego bólu. Potrafił znaleźć odpowiednie słowa pocieszenia dla rodziców swoich małych pacjentów nawet w sytuacjach, które jego samego przerastały, dziś jednak nie umiał przypomnieć sobie ani jednego, którym mógłby pocieszyć Julię. Martwił się o nią. Nie wychodziła z pokoju już kolejny dzień. Nie chciała jeść i Paweł musiał uciekać się do forteli, z jakich korzystają rodzice niejadków, aby nie pozwolić żonie zagłodzić się z rozpacz, której nie był w stanie wyleczyć.*

*– Kochanie, dziś jest taki ładny dzień. Wyjdźmy na taras albo do ogródka.*

*Milczała, zupełnie jakby go nie słyszała. Miał wrażenie, że dzieli ich mleczna szyba, zniekształcająca obraz rzeczywistości. On był po jednej stronie, a Julia po drugiej, odizolowana od wszelkich bodźców. To milczenie było najgorsze. Wolałby, żeby histeryzowała, krzyczała i nawet*

*obwiniła go za ich wspólną stratę. Wolałby płacz, który można utulić, ukołysać. Ale jak walczyć z milczeniem? Jak przebić się przez skorupę, w której schroniła się Julia, chowając przed światem swój gniew, rozżalenie i tysiące pytań, na które nie było jednoznacznych odpowiedzi?*

*– Julia, porozmawiaj ze mną. Proszę.*

*Jego słowa odbiły się od ścian i powróciły bez jakiegokolwiek reakcji.*

*– Julia, posłuchaj mnie, to się zdarza. Nie ma w tym niczyjej winy. Słyszałaś, co powiedziała Urszula? To było naturalne poronienie. Twój organizm sam wyeliminował wadliwy płód i nawet jeśli ta ciąża by się rozwinęła, i tak dziecko by nie przeżyło.*

*Wiedział, że to, co mówi, jest okrutne, ale próbował wszystkiego, co mogłoby przebić mur, jaki zbudowała wokół siebie Julia.*

*Cisza panująca w pokoju krzyczała tak jak każda komórka ciała kobiety niepotrafiącej wydobyć z siebie ani jednego słowa.*

*Paweł odwrócił się i wyszedł, pokonany i bezradny wobec ogromu cierpienia, któremu nie umiał zaradzić. Ostatnim kołem ratunkowym, jakiego się chwycił, był wysłany SMS: „Proszę, przyjeźdź!”. Czuł, że jeśli to nie pomoże, straci nie tylko nienarodzone dziecko, ale i żonę.*

\*\*\*

W Wielkanocny Poniedziałek zostałam wyrwana ze snu w sposób nagły i bardzo nieprzyjemny. Najpierw poczułam rozbudzający, czuły pocałunek Pawła, a potem jego ręce, które chwyciły mnie i wyniosły z łóżka. Kiedy uświadomiłam sobie, że stoję na podłodze, poczułam zimny i bardzo nieprzyjemny kontakt z wodą chluśniętą prosto na mnie z metalowego wiadra.

Usłyszałam tylko swój własny krzyk i przedzierające się przez niego słowa Pawła otulającego mnie grubym ręcznikiem.

– Wybacz, kochanie, ale młoda żona w Doktorówce musi zostać obłana wodą ze studni. To służy małżeństwu na długie i szczęśliwe lata

oraz zapewnia pomyślność.

– Oszalałeś? Przecież ta woda była przeraźliwie zimna! – Po raz pierwszy w życiu byłam na Pawła wściekła.

– No przecież w studni nie ma ciepłej wody – odpowiedział mój mąż, uśmiechając się jak mały chłopiec, który wiedział, że nabroił, a mimo to zupełnie nie poczuwał się do winy. – Nagrzana łazienka już czeka na ciebie, jest tam twój szlafrok frotté i suche ciapy. Śmigus-dyngus, kochanie, to tradycja, którą należy kontynuować. – Na czubku mojego nosa poczułam mokry pocałunek Pawła.

W drodze do łazienki usłyszałam jeszcze dobiegający z dołu głośny krzyk Joanny i towarzyszący mu śmiech Bartka i mojego teścia.

– Czyś ty, chłopie, zwariował? Młode żony polewa się wodą! Co ci do tego głupiego łba strzeliło!

– Miłość, Asieńko, czysta miłość! – Usłyszałam jeszcze gromki głos Jana, a potem na wszelki wypadek zamknęłam za sobą drzwi łazienki, przekręcając klucz, aby mój mąż nie chciał mnie obdarować większą ilością miłości, której pewnie jeszcze w tym wiadrze zostało.

Wysuszone, wystrojone, upiększone starannym makijażem spotkałyśmy się przy świątecznym stole, do którego wraz z Rybickimi zasiadła siostra Joanny z mężem.

– Ciotka Klara jest starszą siostrą mamy. Mieszka w Lublinie i za każdym razem wypomina mamie, że utknęła na prowincji, choć prawda jest taka, że tej prowincji zawsze jej zazdrościła. Ma jedną córkę, która wyszła za dyplomatę i w tej chwili mieszka w Kanadzie, w związku z czym widuje swoje wnuki sporadycznie, choć przekonasz się, że na wychowaniu dzieci zna się najlepiej. Jak zresztą na wszystkim.

Ciotka Klara w niczym nie przypominała swojej młodszej siostry. Była wyższa i tęższa od Joanny. Krótkie włosy w kolorze popielaty blond, starannie wymodelowane i ułożone, doskonale komponowały się z dobranym do wieku makijażem i elegancką sukienką w kolorze écru. Sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie, a podając mi rękę na przywitanie, obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Zauważyłam, że jedyne, co łączyło obie siostry, to oczy tego samego koloru, szaro-niebieskie, takie same jak oczy Pawła.

– Klara Wiśniewska, siostra Joanny. A ty zapewne jesteś Zosia?

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

– Tak. Zofia Rybicka. Miło mi poznać rodzinę mojego męża.

– Bardzo młoda ta twoja żona, Pawełku – odpowiedziała na moje powitanie ciotka Klara, cmokając Pawła umalowanym na malinowo dzióbkiem w policzek.

– To chyba naturalne, ciociu, że w pewnym wieku mężczyzna bierze sobie dużo młodszą żonę. – Mój mąż czuł się w towarzystwie swojej ciotki dużo pewniej niż reszta rodziny. Kątem oka zauważyłam bowiem, że Bożenka trzyma się wraz z Bartkiem na uboczu, starając się nie rzucać w oczy i nie zwracać na siebie uwagi Klary i jej męża.

– Czy ty to słyszysz, Joanno? – Klara odwróciła się z udawanym oburzeniem w stronę siostry.

– A czy ty myślisz, Klaro, że Włodek myśli inaczej? – Jan puścił do mnie oko, dolewając oliwy do ognia.

– A co też ty opowiadasz! Jakby tak myślał, nie byłoby go tutaj ze mną, a jak widzisz, Janie, jest! – odpowiedziała ciotka Klara pewnie, dorzucając jeszcze złośliwie: – Ale Włodek nie ma tak zasobnego konta w banku, jak Pawełek, a wiadomo, że jak żona młoda, to i wydatków wiele. A tu, jak widzę, wydatki szykują się podwójne. – Ciotka znacząco spojrzała na mój biust, który dosłownie powiększał się z dnia na dzień.

– Niesamowite, że twoje sokole oko wypatrzy wszystko. – Joanna przejęła rolę gospodyni. – Siadajmy do stołu, kochani, i skończmy już z tymi słownymi przepychankami. Spotkaliśmy się tu w końcu dlatego, że są święta, a my jesteśmy rodziną.

– Masz świętą rację, Joasiu – odezwał się milczący dotąd wujek, całując mnie w rękę starym, polskim obyczajem. – Usiądź już, Klaro, bo od kilku minut nie mogę się skupić na niczym innym, tylko na tym półmisku wędlin. Schab ze śliwką! I pieczeń Bożenki! Wiesz, że za tym przepadam – zwrócił się w stronę mojej szwagierki, która pojaśniała, lekko się rumieniąc.

– Wiem, wujku, wiem. Zawsze robię ją na święta z myślą o tobie.

Wujek Włodek wyprostował się, poprawiając krawat, ale jego zadowolenie zburzyła Klara.

– Wiesz, że Bożenka stara się być miłą, więc nie pusz się już jak paw, bo nawet jakby ciebie tu nie było, i tak by upiekła tę pieczeń.

Już wiedziałam, co miał na myśli Paweł, gdy mówił, że ciotka Klara jest specyficzna. Zdecydowanie to Joanna miała prawdziwą klasę i byłam wdzięczna losowi za to, że to ona jest moją teściową, a nie ktoś taki jak Klara.

Na odświętym, haftowanym obrusie, pomiędzy półmiskami i rodową zastawą Rybickich przysiadły wielkanocne kurczaczki i rozłożyły się pisanki, pomiędzy którymi królował wielkanocny baranek. Każdy szczegół na stole został starannie zaplanowany przez Joannę i Bożenkę, które były mistrzyniami dekoracji. W wazonie znalazły się nawet żółte tulipany, wnoszące świeży powiew wiosny, którą pomimo sobotniej niespodzianki czuć było w powietrzu. Wielkanocne potrawy nie tylko smakowały, ale i cieszyły oko, udekorowane świeżym szczypiorkiem, rzodkiewką i ogórkiem, a faszerowane jajka pyszniły się swoją zawartością, przechwalając między sobą, które jest szlachetniejsze – czy te z kawiozem, czy z pieczarkowym farszem, czy też ze zwykłym majonezem i zieleniną.

– A puszysty sernik szwagierki będzie? – spytał wujek Włodek, dokładając sobie na talerz nieco pieczeni Bożenki i wiosennej sałatki.

– Będzie, Włodku, będzie. I tort bezowy też dla ciebie zostawiliśmy, choć Janka wczoraj od stołu nie mogliśmy odegnąć, bo jak zasiadł do deseru, nie mógł skończyć. – Joanna podsunęła szwagrowi półmisek ze swojskimi wędlinami.

– Nasza Bożenka to skarb, jakich mało – celnie odpowiedział na zarzut łakomstwa Jan, poklepując z serdecznością synową po rękę.

– Skarb niewątpliwie – wtrąciła Klara, wpatrując się w Bożenkę świdrującym spojrzeniem. – Szkoda tylko, że wasz młodszy syn tego skarbu nie potrafił docenić.

Przy stole zapadła krępująca cisza. Nie wytrzymała jej Bożenka, która wstała, przeprosiła obecnych i wybiegła do kuchni. Jan wyszedł tuż za nią, głośno i ostentacyjnie odsuwając krzesło.

– Naprawdę nie mogłaś się powstrzymać od tej złośliwości? – Joanna wpatrywała się w siostrę z nieukrywaną wściekłością. Nawet ja poczułam niezręczność sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy. – Myślisz, że jej nie jest ciężko?

– Chciałam zauważyć, że to twój syn ją zostawił. Gdyby moja



córka zrobiła coś podobnego...

– To co? – spytała ze złością Joanna. – Przełożyłabyś ją przez kolano i sprawiła lanie? To jest dorosły człowiek, na którego życie ani ja, ani Jan nie mamy wpływu. Co niby mam zrobić? Nakrzyczeć i kazać mu wrócić?

– To małżeństwo od początku było pomyłką. Mówiłam ci to, ale nie chciałaś słuchać. Na siłę chcesz uszczęśliwić swoje dzieci, a potem tak to się wszystko kończy.

– Ciociu, wydaje mi się, że przekroczyłaś pewne granice. – Paweł poczuł się w obowiązku stanąć w obronie matki.

– Zacny ród Rybickich. Niby szlachetni i prawi ludzie, a wszystkie brudy macie pochowane po kątach i zamiecione pod łóżka.

Miałam wrażenie, że jestem widzem jakiejś kiepskiej tragikomedii. Siedziałam w milczeniu, próbując uśmiechem zakomunikować pozostawionemu samotnie przy stole Bartkowi, że to tylko taka głupia gra dorosłych, zupełnie niezasługująca na jego uwagę.

– Wszyscy jesteście hipokrytami. – Ciotka Klara należała do osób, do których zawsze musi należeć ostatnie zdanie. – Czy tylko ja pamiętam, że jeszcze tak niedawno siedziała tu między nami Julia? Dziś nie ma po niej nawet śladu. Nowa żona, nowa synowa, nowe życie. Nie dziwię się Mikołajowi, że tego nie wytrzymał i po prostu stąd uciekł. Nie zrozum mnie źle. – Klara zwróciła się wprost do mnie. – Życzę ci wszystkiego, co najlepsze, dziecko. Ale weszłaś do rodziny, która nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy i przekonuje cały świat o tym, że zdarzył się wypadek. A ja ci mówię, Aśka, że ona tego już nie mogła udźwignąć. I to nie był wypadek, tylko jej wybór. I to jej trzeba najbardziej żałować, a nie Bożeny, która ma u was jak u samego Pana Boga za piecem.

– Dość, Klaro! – Joanna podniosła się zza stołu, ale nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo w oddali trzasnęły drzwi wejściowe, a po chwili, wraz z ciężkimi krokami, w drzwiach pokoju pojawił się młody mężczyzna, którego znałam ze zdjęcia. To był młodszy brat Pawła, Mikołaj.

Wykorzystując zdziwienie obecnych i towarzyszącą mu ciszę, przerzucił ciężki plecak z jednego ramienia na drugie i odezwał się

męskim, radiowym głosem:

– Widzę, że rodzinę mamy prawie w komplecie. Brakuje tylko mojej żony, która pewnie chlipie w kuchni, zraniona ostrym języczkiem cioteczki, i taty, który niewątpliwie ją pociesza. Cześć, Bartek! Witaj, rodzinco! Jakoś nie cieszyicie się z tego, że wróciłem.

*PIĘĆ...*



Urokliwe wnętrze kawiarni Pożegnanie z Afryką otulało mnie i Pawła ciepłą atmosferą i herbaciano-kawowym aromatem. Grube mury podziemia lubelskiej starówki sprawiały, że wnętrze to wyróżniało się niecodziennym klimatem, przenosząc gości niemal w magiczny sposób w zatrzymany czas dwudziestolecia międzywojennego. Tego wrażenia dopełniały szczegóły – leciwe stoliki i krzesła różniące się od siebie,

koronkowe serwety, zabytkowy kredens i kruche, delikatne filiżanki, które były jak pozdrowienia od poetów i pisarzy związanych z Lublinem i Lubelszczyzną, zachowanych od zapomnienia w pamięci i w ciekawym menu. Delektowałam się „Herbatą Ewy Szelburg-Zarembiny”, czarnym naparem połączonym z płatkami jaśminu, mieszanką owocowo-różaną i sokiem z czarnego bzu. Do tego wybrałam „Słodkie Pokuszenie”, czyli deser czekoladowy Leśmiana. Ciasto czekoladowe na gorąco z gałką lodów waniliowych, bitą śmietaną i sosem czekoladowym podano na talerzyku, który sam w sobie był dziełem sztuki.

Paweł wybrał idealne miejsce na naszą randkę w Lublinie. Po pełnym emocji przedpołudniu spacer ulicami lubelskiej starówki był tym, czego w tej chwili bardzo nam było potrzeba.

Oboje obawialiśmy się wizyty u doktor Urszuli Gawryluk-Jarosz. Paweł wchodził do gabinetu obciążony wspomnieniami, ja natomiast współodczuwałam jego lęk, który i mnie zaczął się udzielać. A co będzie, jeśli okaże się, że ciąża przebiega nieprawidłowo? Albo że nasze dziecko obciążone jest jakąś wadą genetyczną, której nie da się wyeliminować? Moja pewność siebie z początkowego okresu ciąży znacznie spadła, a prawda o dziecku Julii, którą usłyszałam od Bartka, spotęgowała niepokój, który pojawił się, kiedy doktor Gawryluk spytała o wiek ciąży.

– Trzynasty tydzień. – Głos Pawła nieznacznie zadrżał, a moje serce przyspieszyło.

– Proszę się nie denerwować, badanie jest bezbolesne i zupełnie bezpieczne zarówno dla pani, jak i dla dzidziusia. Ile ma pani lat?

– Dwadzieścia osiem.

Lekarka uśmiechnęła się i spojrzała na Pawła uspokajająco.

– Usiądź i odetchnij głęboko. Przestań mi krążyć po gabinecie jak lew w klatce. Masz młodziutką żonę, wszystko będzie dobrze – miała spokojny i miło brzmiący głos.

– Posłuchajcie, jak bije serduszko waszego maleństwa.

To była najpiękniejsza melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Maleńkie serduszko, pulsując na ekranie, biło tak mocno, jakby chciało nas zapewnić: „Mamo! Tato! Jestem tu! Nie martwcie się, wszystko jest tak, jak być powinno!”. Uwierzyłam mu. Paweł chyba też, bo po

wysłuchaniu niezrozumiałych dla mnie komunikatów, z których zapamiętałam jedynie, że noszone pod sercem dziecko ma osiem centymetrów długości i waży poniżej dwudziestu ośmiu gramów, uspokoił się i na chwilę ukrył twarz w dłoniach, aby nie pokazać męskiej słabości i łzy, która wymknęła się na policzek, mimo że mocno nad sobą panował.

Wychodził z gabinetu odmłodzony, a w jego oczach był blask, jakiego dawno już u niego nie widziałam. Dwadzieścia minut niepewności, strachu i... nadziei przywróconej przez doktor Urszulę. Jeden małeńki sygnał od dziecka, które w nosie miało nasze niepokoje.

– Gdyby cokolwiek się działo, wiesz, gdzie mnie szukać. Ale niepotrzebnie się zamartwiasz. To zdrowy i silny dzidzius. Po prostu w to uwierz!

Kiedy wyszliśmy z kliniki na rozświetloną słońcem ulicę Lublina, Paweł długo przytulał mnie do siebie. Widziałam, jak bardzo jest szczęśliwy, i nie chciałam tego psuć pytaniami, które nosiłam w sobie od jakiegoś czasu. Wierzyłam, że przyjdzie taka chwila, gdy sam mi o tym opowie. Ten dzisiejszy czas był dla nas, dla Pawła i Zosi, i chciałam go wykorzystać jak najlepiej. W końcu to miała być randka!

Długa czerwona róża kupiona u ulicznej kwiaciarki za Bramą Krakowską była jej początkiem. Spacer po lubelskiej starówce przeniósł nas w czas, kiedy nasze dłonie spletały się z nieśmiałością, pragnąc dotyku, a jednocześnie bojąc się odrzucenia. Pożegnanie z Afryką i rozgrzewająca herbata dopełniły całości. Mieliśmy „tu i teraz” wyłącznie dla siebie i nic się nie liczyło, tylko te chwile i my. Zapatrzeni i zaszuchani w siebie.

– Powiedz mi, co ty we mnie zobaczyłaś? Dzieli nas niemal pokolenie, całe piętnaście lat.

Paweł wpatrywał się we mnie uważnie, pochylając się nad filiżanką kawy o tak intensywnym aromacie, że niemalże czułam jej smak.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytałam, chcąc wydobyć go z dziwnego nastroju, w który wpadł.

– Dla wielu ma. Wiesz, ilu ludzi sądzi, że mi odbiło?

– A odbiło ci?

– Na twoim punkcie tak. Zakochałem się w tobie jak wariat.

Roześmiałam się. Lubiłam go takiego.

– To dobrze, bo ja w tobie też. I w nosie mam to, co mówią inni.

– A co mówią?

– Że polecałam na twoje pieniądze i na życiową stabilizację, którą mi zapewniłeś. Że chciałam być doktorową i wyciągnę z ciebie wszystko, co zdobyłeś, a potem rzucę cię dla młodszego.

– Naprawdę ludzie gadają takie głupoty? – Paweł podniósł obie ręce i zmierzwił sobie włosy.

– Gadają dużo gorsze, ale tego nie słucham, i tobie też nie radzę. Nie ma sensu nawet z tym dyskutować, bo ludzi nie przekonasz. A my i tak wiemy swoje.

Paweł upił łyk kawy, a ja zajęłam się ciastem, na które miałam nieodpartą ochotę. Milczeliśmy, każde zasłuchane w swoje własne wspomnienie spotkania i spojrzenia, które nas połączyło. To prawda, że byłam „tą drugą” w życiu Pawła, ale czy to znaczyło, że jestem gorsza?

– Wierzysz w przeznaczenie, Zosiu? – Głos Pawła zabrzmiał tak poważnie, że łyżeczka z ciastem, którą unosiłam, zawisła nagle gdzieś między talerzykiem a moimi ustami. – I w to, że dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, są dla siebie stworzeni, muszą się tylko odnaleźć?

– Wierzę w to, Pawełku, że ty i ja mieliśmy się odnaleźć, bez względu na dzielące nas lata i to wszystko, co było, zanim mnie spotkałeś. – Łyżeczka opadła na talerzyk, a dłoń Pawła zamknęła w sobie moją, sprawiając, że poczułam te motyle w brzuchu, które czują zakochani.

– Kocham cię, Zosiu.

Uśmiechnęłam się do szarych oczu i do mężczyzny, który całował moją dłoń z taką delikatnością, jak nikt nigdy przed nim.

– A ja za tobą szaleję.

Ożywiony po świątecznym rozleniwieniu Lublin stał się świadkiem naszego wyznania. Prowadzona przez Pawła, chłonełam atmosferę miasta, w które wpisana była spora część historii mojego męża. Wąskie uliczki Starego Miasta kłaniały się jasnymi kamienicami, a moje czółenka wystukiwały swój rytm na kostce brukowej, stylizowanej na dawne kocie łby. To miasto miało swój klimat, którym nasiąkałam

powoli, zapatrzona w mijane galerie, puby i restauracje. Plac po farze zatrzymał mnie na dłużej. To było magiczne miejsce, z którego rozciągała się malownicza panorama, z lubelskim zamkiem na pierwszym planie, wznoszącym się na wzgórzu. Stojąc przy wysokim murze, wpatrzona w żyjący swoim rytmem Lublin, poczułam wyjątkowość tego miejsca, które tak wiele miało do opowiedzenia.

– Paweł?

Odwróciliśmy się oboje, słysząc męski głos wymawiający imię mojego męża. Stojący przed nami mężczyzna był mniej więcej wzrostu i postury Pawła. Jego wiek też był zbliżony do lat mojego męża. Przy jego oczach, podobnie jak u Pawła, rozbiegały się cieniutkie nitki zmarszczek, a bruzdy w kącikach ust wskazywały na doświadczenie i konieczność radzenia sobie z sytuacjami, które go przerastały. Krótkie włosy w kolorze płowego brązu sprawiały wrażenie artystycznie nieułożonych, a w kilkudniowym zarostie na opalonej twarzy mężczyzny można było dostrzec lekką siwiznę, która niczym szron przyprószyła brodę młodego jeszcze człowieka.

– Mariusz? Ty tutaj? Myślałem, że wyjechałeś na dłużej. – Uścisk wymieniony między mężczyznami wskazywał na ich bliską i dobrą znajomość.

– Kilka dni temu wróciłem z Kenii. Wcześniej też wpadałem na trochę. Chyba się starzeję, bo ciągnie mnie do domu. I zacząłem bardziej cenić spokój.

– Niemożliwe. – W oczach Pawła dostrzegłam wesołe ogniki. Miła odmiana po chmurnym spojrzeniu, które towarzyszyło mu od wczoraj, kiedy w domu pojawił się jego brat. – Zosiu, pozwól, to mój przyjaciel, Mariusz.

Paweł kątek oka dostrzegł moje ciche zainteresowanie spotkanym mężczyzną, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam. – A to Zosia, moja żona – dokończył prezentację.

Wyciągnęłam rękę i odwzajemniłam mocny uścisk.

– Bardzo mi miło. – Zielone oczy spojrzały na mnie z życzliwością.

Przez chwilę miałam wrażenie, że już gdzieś widziałam twarz człowieka, którego imię zupełnie nic mi nie mówiło, ale trwało to

zaledwie ułamek sekundy, bo po krótkim przywitaniu mężczyzna odwrócił się w stronę Pawła, stając do mnie bokiem.

– Tak, słyszałem o tym, że się ożeniłeś. Cieszę się.

Paweł uśmiechnął się.

– Co u ciebie?

Mariusz wzruszył ramionami.

– Nic nowego. Jeżdżę po świecie, fotografuję, sprzedaję zdjęcia, wykonuję zlecenia i spełniam marzenia, które się powoli wypalają.

– Towarzyszka życia?

Mężczyzna skrzywił się.

– Która by ze mną wytrzymała? Przecież wiesz, że wieczny ze mnie włóczęga.

– Myślę, że niejedna by się znalazła. Pomyśl o tym, bo lata lecą... Kto ci poda szklankę herbaty, kiedy się zestarzejesz?

– Zawsze umiałeś człowieka pocieszyć, doktorze.

Była między nimi nie porozumienia, którą wyczuwało się na odległość. Lubili się i dobrze się ze sobą czuli.

– Zadzwoń, jak będziesz w Warszawie. Pójdziemy gdzieś na piwo.

– Paweł wyciągnął rękę na pożegnanie, nie chcąc przedłużyć spotkania.

– A żona ci pozwoli? – Mariusz puścił do mnie oko, prowokując do uśmiechu.

– Nie wyliczam mojemu mężowi czasu ani go nie kontroluję. Po prostu mu ufam – odpowiedziałam, również wyciągając rękę na „do widzenia”.

– Widać, że żona jeszcze młoda stażem, bo wyrozumiała i tolerancyjna.

Paweł pogroził przyjacielowi palcem.

– Po prostu mądra. Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też. Trzymaj się, doktorze.

Uniesiona dłoń Pawła wyraziła ostatnie „do zobaczenia”. Mężczyzna odszedł szybkim krokiem, kierując się w stronę traktu prowadzącego do zamku. Dopiero teraz, gdy oddalał się od nas oświetlony popołudniowym słońcem, zauważyłam aparat przewieszony przez ramię.

– Tak mało o tobie wiem... – szepnęłam, ale moje słowa dotarły do



Pawła.

– Chodzi ci o Mariusza? – Stał naprzeciwko i popatrzył na mnie uważnie.

– Nie znam twoich przyjaciół. Nie mam pojęcia, co cię z nimi łączy. Nie wiem, dlaczego ty i twój brat warczycie na siebie jak dwa wściekłe psy, choć kiedyś byliście ze sobą tak blisko. Nie znam miejsc, które kochasz. Znam tylko twoją warszawską codzienność, do której mnie dopuściłeś. – Słowa wyływały ze mnie, jakby przerwały jakąś tamę milczenia, wybudowaną przez Pawła i oddzielającą „teraz” od „kiedyś”. – Rozumiem, że nie chcesz mnie zranić ani stawiać w niezręcznej sytuacji tej drugiej żony, ale może ciotka Klara ma rację? Żyjesz tak, jakby Julii nigdy nie było. A przecież była. Spędziłeś z nią osiem lat życia, dzieliłeś zarówno to, co radosne, jak i to, co bolesne. Budowałeś z nią inną codzienność, o której nie chcesz nawet pamiętać. Ja nie jestem z porcelany, Paweł, i nie rozprysnę się na drobne kawałki, mając świadomość, że inna kobieta była dla ciebie ważna i że ją kochałeś. Bardziej bolą domysły i podstępne myśli, że nie chcesz o niej mówić, bo... – Głos mi zadrżał, ale wiedziałam, że muszę dokończyć to, co zaczęłam. – ...bo wciąż nie możesz się pogodzić z jej odejściem, a ja nigdy ci jej nie zastąpię.

Umilkłam, próbując uspokoić wzburzenie i emocje, które szalały we mnie od wczoraj. Paweł milczał. Stał przede mną z rękami wbitymi w kieszenie, ze spuszczoną głową i zaciętym wyrazem twarzy. Odwróciłam się i wystawiłam twarz na wiatr, pozwalając mu schłodzić policzki, na których pojawiły się czerwone wypieki.

– Zosiu, to nie tak...

Stałam odwrócona do niego plecami, zbyt wzburzona, aby teraz na niego spojrzeć. Nie wiedziałam, czy to hormony, które w tej chwili rządziły moim ciałem, czy też półsłówka dobiegające do mnie z różnych stron, a może i to spotkanie przyjaciela, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Byłam wściekła na Pawła po raz pierwszy w życiu i nie zamierzałam mu niczego ułatwiać.

– Proszę cię, spójrz na mnie. – Dotknął mojego ramienia i delikatnie odwrócił mnie w swoją stronę. Szare oczy, w które spoglądałam, były tak smutne, że ścisnęło mi się serce. – Zosieńko, nigdy

nie kochałem nikogo tak, jak ciebie. Proszę, uwierz w to, bo to prawda. Nigdy też nie porównywałem cię z Julią i nie chcę, abyś kogokolwiek mi zastępowała, bo kocham cię właśnie taką, jaka jesteś, i nie oczekuję, że będziesz kimś innym. Bądź po prostu sobą, kochanie. Zosią, którą poznałem w szpitalu i która pokazała mi, czym jest prawdziwe człowieczeństwo. Nie mówię ci wielu rzeczy związanych z przeszłością nie dlatego, że nie mogę pogodzić się z odejściem Julii, ale dlatego, że ty i ja to zupełnie inny świat, którego nie chcę łączyć z tym, co minęło. Przeszłość już nie wróci i tamtego Pawła już nie ma. A dzięki tobie narodził się zupełnie inny. Jak Feniks powstałem z popiołów i teraz chcę patrzeć wyłącznie w przyszłość.

– Nic nie rozumiesz – pokręciłam głową. – Czy wiesz, że im dłużej będziesz o niej milczał, tym więcej domysłów będę snuła? Kobiety już takie są, wolą wiedzieć, niż żyć ze świadomością istnienia tajemnic, do których najbliżsi ich nie dopuszczają.

Paweł patrzył na mnie uważnie, a gdy skończyłam mówić, uśmiechnął się.

– Ty jesteś zazdrosna, Zosiu.

Założyłam ręce na piersiach, starając się przy tym nie połamać róży.

– Nie można być zazdrosnym o kogoś, kogo nie ma.

– Ale ty jesteś.

Miał rację. Byłam o ciebie zazdrosna, Julio, mimo że przecież cię nie było. Wiedziałam, że to irracjonalne, bo przecież nie rywalizowałam z pierwszą żoną, która triumfalnie mogła obserwować wszystkie błędy tej drugiej, czekając cierpliwie, w myśl powiedzenia, że stara miłość nie rdzewieje. Nie miałam konkurentki, a jednak czułam, że jeszcze nie powiedziałaś ostatniego słowa i że jeszcze możesz nie tylko mnie zaskoczyć. Niby cię nie było, a tak bardzo czułam twoją obecność. Jak miałam się z tobą chociażby zaprzyjaźnić, skoro nikt nie chciał, abyśmy się poznały? Tobie było łatwiej. Z niebiańskiej perspektywy dużo więcej widziałaś. Ja mogłam liczyć jedynie na te urywane zdania, zdjęcia i wspomnienia, które od czasu do czasu się komuś wymknęły. Tylko tyle. Za mało, aby cię polubić, i za mało, by zniechęcić. A zbyt wiele, aby o tobie zapomnieć.

– Zosiu, obiecuję ci, że odpowiem na każde twoje pytanie, ale nie tu i nie dzisiaj. Dość już było tych emocji dla was jak na jeden dzień. – Paweł wymownie zatrzymał wzrok na moim płaskim jeszcze brzuchu. – Kiedy przyjadę znów do Kazimierza, zrobimy sobie dzień wspomnień i szczerości. Zgadzasz się na taki układ?

Pokiwałam głową, jeszcze trochę naburmuszona.

– To powiedz mi przynajmniej, kim jest Mariusz i dlaczego dotąd nie miałam okazji go poznać.

Paweł pokręcił głową, pocierając kciukiem nasadę nosa.

– Mariusz Hadriański jest znanym fotografem. Pracuje dla „National Geographic” i stąd te jego wyprawy do Kenii i w inne najbardziej zaskakujące zakątki świata. Wciąż gdzieś podróżuje, dlatego nie widzimy się często, ale to naprawdę jeden z nielicznych ludzi, którego mogę nazwać przyjacielem.

Pokiwałam głową, wsuwając dłoń pod ramię Pawła.

– Jest jeszcze coś, Zosiu, o czym powinnaś wiedzieć. – Ostatnie zdanie Paweł powiedział z pewnym ociąganiem. – Mariusz jest bratem Julii.

\*\*\*

*Mocny uścisk Mariusza był dla Pawła zawsze kołem ratunkowym, którego się chwycił, gdy zabrakło mu sił. Te rzadkie chwile, jakie miał okazję spędzać ze szwagrem, były niczym zastrzyk adrenaliny. Pomagały wchodzić w codzienność z nową energią i spoglądać z innej perspektywy na wszystko, co dotychczas drażniło.*

*Byli w tym samym wieku i rozumieli się bardzo dobrze, mimo że nie padało między nimi zbyt wiele słów. To była taka męska przyjaźń, bez wylewności, ale za to z poczuciem wzajemnego zaufania i świadomością, że gdziekolwiek los ich poniesie, znajdą się, gdy jeden będzie potrzebował drugiego.*

*Ten rozpaczliwy SMS: „Proszę, przyjeźdź!” sprowadził Mariusza*

*z dalekiego Peru. Nie pytał o szczegóły, po prostu wsiadł w najbliższy samolot i przyleciał, by stanąć przed Pawłem z niepokojem w oczach.*

*– Julka?*

*Paweł skinął głową, z trudem powstrzymując łzy. Wiedział, że przed przyjacielem nie musi się ich wstydzić, bo nie były oznaką słabości.*

*– Straciliśmy dziecko. Julia poroniła w trzynastym tygodniu ciąży. Nie potrafię jej pomóc.*

*Mariusz wypuścił głośno powietrze i powoli pokiwał głową.*

*– Wlazła w tę swoją cholerną skorupę i nie chce z niej wyjść... – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.*

*– Milczy, prawie niczego nie je i nie wychodzi z pokoju. Mama wyprowadza ją do łazienki i kąpie jak dziecko, ale to jest wszystko, na co Julia pozwala. Nie chce nawet wyjść do ogrodu. Nic nie chce i boję się...*

*Silna dłoń szwagra poklepała uspokajająco ramię Pawła.*

*– Pogadam z nią.*

*Mariusz wszedł do zacienionego pokoju, w którym Julia ukryła się przed życiem. Paweł z zazdrością patrzył, jak jego żona ożywia się na widok brata, przytulając się do niego całą sobą, jakby pragnęła, aby zdjął z niej ten ból, którego sama nie potrafiła się pozbyć.*

*– Co ty tu robisz? – Ustyszał jej zachrypnięty głos.*

*– A jak myślisz?*

*– Przyjechałeś, bo Paweł cię o to poprosił. – Formułowanie prostych zdań sprawiało jej trudność i wyglądało to zupełnie tak, jakby Julia po wielu dniach całkowitego milczenia na nowo uczyła się mówić, nieporadnie dobierając słowa potrzebne do wyrażenia myśli.*

*– Przyjechałem, aby cię uratować, siostrzyczko. – Mariusz uśmiechnął się, chociaż serce mu się ścisnęło, widząc Julię i jej rozpacz, której nikt nie był w stanie z niej zdjąć.*

*– Przed czym? – Nie miała siły, aby odwzajemnić ten uśmiech.*

*– Przed tobą samą.*

*Czując, że jest tu intruzem, Paweł wycofał się po cichu, zostawiając Julię i jej brata samych. Nie pytał, o czym rozmawiali ani w jaki sposób Mariuszowi udało się nakłonić Julię do zejścia na taras i skubnięcia trochę kolacji. Nie był to jeszcze przełom, ale mały krok, który miał*

*zwrócić Julię światu żywych.*

*– Zabierz ją w Tatry – powiedział Mariusz, żegnając się ze szwagrem po tygodniu spędzonym z Julią. Na nowo uczył ją oddychać, chodzić i funkcjonować w świecie, w którym nagle zabrakło dla niej miejsca.*

*– W Tatry? – Paweł pokręcił głową z dezaprobatą. – Jest zbyt słaba, a myślę, że Krupówki to dla niej żadna przyjemność.*

*– Zabierz ją w Tatry, gdy tylko odzyska siły – powtórzył Mariusz jak mantrę. – Zaufaj mi, znam Julkę i wiem, że tylko tam uda ci się ją odzyskać. Zrozum, część niej umarła wraz z tym dzieckiem. Pomóż jej uratować to, co z niej zostało.*

*– Ale jak? Powiedz mi, niby co ja takiego robiłem, zanim cię tu ściągnąłem? – Wbrew sobie Paweł podniósł głos. Emocje ostatnich tygodni nim również mocno wstrząsnęły. Jego żona cierpiała, a on był wobec tego bezsilny. To bolało najmocniej i najdotkliwiej. – Byłem przy niej, ale ze mną nie chciała oddychać. Niczego nie chciała, a to było nasze dziecko! Nasze! Nie tylko jej! I ja też je straciłem, ale przecież nie zamknę się w ciemnym pokoju i nie pogrążę w czarnej rozpacz, bo wszyscy wokół oczekują, że mam być silny i mam być wsparciem dla Julii. – Wyrzucał z siebie słowa, chcąc w końcu pozbyć się ich ciężaru. Ciskał nimi na oślep, wiedząc, że jest w nich złość i rozgoryczenie, ale ten jeden raz dał sobie prawo do słabości, którą odrzucał od siebie wraz z agresją.*

*– I jesteś. – Mariusz zaryzykował i naruszył granicę, podchodząc do szwagra na tyle blisko, aby mocno uścisnąć jego ramię. – Najlepszym, jakie może mieć. Kochasz ją, a ona jest tego świadoma. Dlatego wyjeżdż z nią i zabierz ją jak najdalej od miejsca, które w tej chwili kojarzy jej się tylko z cierpieniem.*

*– I co, sądzisz, że tam zapomni?*

*Mariusz powoli pokręcił głową.*

*– Nie zapomni, ale na nowo zechce jej się żyć.*

*Paweł zaufał szwagrowi. Wiedział, że Mariusz zna Julię jak nikt inny na świecie. I chociaż sam najchętniej zabrałby żonę na jakąś egzotyczną wycieczkę, wiedział, że dzika natura Julii potrzebuje czegoś innego. Odczekał zalecony przez Urszulę czas, wziął urlop i wyjechał*

*z żoną tam, gdzie jedynymi granicami były ograniczenia człowieka, jego wytrzymałość, zmęczenie i umiejętność wmówienia psychice, że ciało da radę i że postawi każdy kolejny krok, dopóki nie dotrze do celu. A tego właśnie Julia wówczas najbardziej potrzebowała.*

\*\*\*

Paweł wyjechał wcześniej rano, a ja zostałam sama w domu, który nagle opustoszał. Bartek wrócił do szkoły, bo przerwa świąteczna już się skończyła, Jan prawdopodobnie wędrował gdzieś z Nelą, wyciszając emocje, a Bożenka z Joanną zaszyły się w aptece, porządkując zaległe faktury i myśli, których sporo nazbierało się w czasie świąt, przypominając, że życie ma również tę ciemną stronę, na którą najczęściej nie mamy wpływu. Choćbyśmy pozamykali wszystkie drzwi i odcięli się od tego, co w jakiś sposób zbrukało naszą przeszłość, ona i tak znajdzie sposób, aby o sobie przypomnieć. Wejdzie z zabłoconymi buciorami tam, gdzie dawno po niej posprzątaaliśmy, i roześmieje się szyderczo, przypominając, że nic nie jest po prostu czarne lub białe, bo rzeczywistość ma do dyspozycji wielobarwną paletę, w której wiele jest odcieni brunatności i szarości.

Nie wiedziałam, co stało się z Mikołajem, bo zniknął równie nagle, jak się pojawił. Nikt nie chciał o tym rozmawiać, a ja nie dopytywałam. Nauczyłam się już, że ten dom ma swoje tajemnice, i odkrycie ich dla mnie zostawiłam Pawłowi, wierząc, że dotrzyma danego słowa.

Nie mogłam wysiedzieć w Doktorówce, szczególnie gdy zobaczyłam zagładające przez kuchenne okno słońce. Zjadłam obfite śniadanie, wzięłam ze sobą małą butelkę wody mineralnej i wybiegłam na powietrze, zostawiając Janowi kartkę, że idę na długi spacer.

Nogi same zaniósły mnie na nadwiślańską promenadę, ale tym razem nie skręciłam w stronę centrum miasteczka, tylko w zupełnie przeciwną stronę. Potrzebowałam ciszy i mojego sam na sam z przyrodą. Tego luksusu nie mogłam mieć w mieście, które w zasadzie nigdy nie

zasypiało i rzadko pustoszało. W Warszawie wszędzie byli ludzie, a Kazimierz miejscami miałam wyłącznie dla siebie. To prawda, że w czasie świąt miasteczko bardzo się zmieniło. Turyści przywieźli ze sobą typowy dla ludzi miasta rozgardiasz i hałas. Kazimierskie uliczki stały się zbyt wąskie dla przepływającej masy gości, spokojne miejsca stały się bardziej gwarne, a cisza, która mnie tu przywitała trzy tygodnie temu, była tylko wspomnieniem. Dziś jednak było już o wiele przyjemniej. Święta się skończyły, choć w sercach tych, którzy uwierzyli w prawdziwe zmartwychwstanie, nadal trwały. Goście powyjeżdżali, wracając do swoich spraw, a miasteczko znów odetchnęło spokojniej, zbierając siły przed sezonem. Promenadą spacerowali nieliczni turyści, dając mi przestrzeń dla myśli, które i mnie obsiadły. Miałam nadzieję, że, idąc przed siebie i skupiając się na tym, co dzieje się tu i teraz, zgubię je po drodze albo przynajmniej wrócę do domu z mniejszym bagażem niż ten, z którym wyruszyłam.

Towarzystką mojej podróży stała się Wisła. Prowadziła mnie pewnie, z każdym kolejnym krokiem ukazując całe swoje piękno i zapowiadając to, czego świadkiem stanie się już niedługo, kiedy wiosna ukaze się w całej krasie i przemieni świat, pragnąc, by stał się lepszy. Słuchałam plusku fal, zafascynowana diamencikami słonecznego blasku rozkładającego się na pomarszczonej powierzchni wody. Nadrzeczne zarośla i krzaki zmieniały się w oczach. Jeszcze dwa tygodnie temu, kiedy spacerowałam nad brzegiem rzeki z Joanną, zawiązywały się na nich zielone supelki. Dziś widziałam młodziutkie listeczki. Pomyślałam, że przy tak słonecznej i ciepłej pogodzie cała uśpiona przyroda wybudzi się na dobre, przeciągając się wyciągniętymi w stronę słonecznej kuli gałązkami. To był ten magiczny czas, który rokrocznie dawał nadzieję na nowe. Dopieszczona słońcem pozwoliłam prowadzić się polnej drodze.

Widoczny w oddali wiatrak uświadomił mi, że doszłam do Mięćmierza, zaś pełny pęcherz uprzytomnił mi, że przewędrowałam ponad trzy kilometry i natychmiast potrzebuję toalety. Usłużna pamięć podsunęła mi obraz domu Romki, który gdzieś tu przecież musiał się znajdować. Nie pamiętałam dokładnie miejsca, bo na jajcowanie przyjechałyśmy w to miejsce z innej strony, samochodem Bożenki, wiedziałam jednak, że dom to nie igła w stogu siana, a ten należący do

Romany był dość charakterystyczny.

Poznałam go po pomalowanym na zielono ganku ustrojonym suszonymi bukietami zeszłorocznych kwiatów i ziół. Nie byłam pewna, czy o tej porze zastanę Romanę w domu, ale kiedy podeszłam pod drzwi, poczułam zapach świeżo upieczonego drożdżowego ciasta. Zapukałam więc z nadzieją i radością, że wkrótce będę mogła skorzystać z toalety.

Romka, która stanęła w drzwiach, zdębiała na mój widok.

– Zosia? Ty tutaj? Przyjechałaś z Pawłem? – Romana wyszła na ganek, rozglądając się dookoła. W jej oczach dostrzegłam niepokój, który mnie zaskoczył.

– Przyszłam sama, pieszo. W zasadzie nie planowałam tego, wybrałam się po prostu na spacer, ale nogi same zniosły mnie aż tutaj, a kiedy zorientowałam się, że jestem już w Mięćmierzu, pomyślałam sobie, że pozwolisz mi skorzystać z toalety.

Romana roześmiała się, a ja niemal poczułam, jak wraz z tym śmiechem oczyszcza się atmosfera.

– Chodź, kobieto ciężarna. Przez najbliższe kilka miesięcy nie mogę ci niczego odmówić.

– Na to właśnie liczyłam – powiedziałam, wymijając moją gospodynię i biegnąc do łazienki.

Kiedy z niej wyszłam, Romana zaprosiła mnie do kuchni, gdzie czekała już na mnie pachnąca, aromatyczna herbata i jeszcze ciepły kawałek drożdżowego ciasta z kruszonką.

– Aleś mnie, Zosiu, zaskoczyła. Diabła bym się tu prędeej spodziewała niż ciebie. – Romka krzątała się po kuchni z typową dla siebie energią. Przyglądałam się jej dyskretnie, nie potrafiąc sprecyzować drobnej przemiany, jaka w niej zaszła. Coś się zmieniło w rysach i zachowaniu Romki. Wyglądała tak, jakby ubyło jej kilka lat. Jej ruchy nabrały sprężystości, a ona sama promieniała, jak promienieje zakochana kobieta. Spod oliwkowego topu na ramiączkach zalotnie wystawał brzeg czarnego koronkowego stanika, a zarumieniona twarz kobiety nasuwała przypuszczenie, że jeszcze niedawno mogła być w ramionach kochanka.

Uśmiechnęłam się do podśpiewującej Romki i pomyślałam, że pachnie szczęściem. Takim prostym, niewyszukanym. Przyjętym bez



marudzenia i bez oczekiwania na więcej. Pochwyconym bez zastanawiania się, co będzie dalej, potem, kiedyś...

– Po tym, jak utknęłam za stołem przez kilka świątecznych dni, taki spacer to najlepsze rozwiązanie na niestrawność – powiedziałam dyplomatycznie, nie chcąc wprowadzać Romki w życie Rybickich od kuchni.

– Myślę, że ta niestrawność długo się jeszcze będzie odbijała. – Albo mi się tylko wydawało, albo Roma wiedziała więcej, niż sądziłam.

Starając się zyskać na czasie przed chłapieniem czegoś, zajęłam się ciastem. Smakowało równie dobrze, jak pachniało. Delikatna kruszonka rozpływała się w ustach, stanowiąc kwintesencję tego kulinarnego dzieła, które tak wspaniale wychodziło tylko tym, którzy w pieczenie wkładali serce, a do składników z przepisu dodawali szczyptę miłości.

– Paweł pojechał do Warszawy?

Skinęłam głową, odpowiadając między jednym kęsem a drugim:

– Musiał wracać do pracy. Wczoraj byliśmy w Lublinie na USG. Mam fotkę naszego dzidziusia, ale kompletnie nic na niej nie widzę oprócz kilku białych plam.

Romka roześmiała się, odgarniając za ucho pasmo włosów, które wysunęło się z kucyka.

– Też tak miałam. Lekarz zachwycał się główką, serduszkim i rączkami, a ja płakałam, wyrzucając sobie brak matczynej wyobraźni, bo nie widziałam tam nic poza tymi plamami, o których mówisz.

Pomimo wesołości Romki i jej niby beztroskiej krzątania wyczuwałam w mojej rozmówczyni dziwne napięcie. Piłam małymi łykami gorącą herbatę, tłumacząc sobie, że jako niezapowiedziany gość jestem intruzem i nie powinnam nadużywać gościnności. Postanowiłam więc szybko dokończyć ciasto, podziękować grzecznie i wyjść, ale nie zdążyłam tego zrobić, bo nagle tuż za sobą usłyszałam głos, który słyszałam niedawno i który wprowadził taki zamęt w uporządkowane życie Doktorówki.

– No proszę, proszę, kogo ja tu widzę? Moja urocza szwagierka. A jakie licho cię tu przygnało?

Zdążyłam odstawić szklankę i nie poparzyłam się herbatą tylko

dlatego, że w pierwszej chwili miałam wrażenie déjà vu. To samo drwiące spojrzenie i pewność siebie, jakiej byłam świadkiem dwa dni temu, jedynie scena się nie zgadzała, a i aktorów było mniej w tym akcie...

– Mikołaj, Zosia jest moim gościem! – Głos Romany był ostry i nie pozostawiał wątpliwości, że gospodyni nie życzy sobie konfliktu. – Proszę cię, nie przekraczaj granic – dodała ostrzegawczo.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsunął kuchenne krzesło i usiadł naprzeciwko, lustrując mnie przenikliwym spojrzeniem.

Poczułam się niepewnie.

– Przecież nie zamierzam zrobić jej żadnej krzywdy. Jest zbyt drogocennym skarbem dla całej rodziny Rybickich – odpowiedział Romce, patrząc na mnie. – Nowa nadzieja i do tego... przy nadziei. – Skrzywił się, zupełnie nieubawiony swoim własnym żartem. – Ciekawe, co wyjątkowego zobaczył w tobie mój brat, że tak szybko się pocieszył. Kochanka, rozumiem, ale żeby od razu ślub i rodzina?

– Mikołaj, dość! – Drobna dłoń Romy spoczęła na ramieniu mężczyzny, dając mu do zrozumienia, że powiedział o kilka słów za dużo. Mikołaj sięgnął po nią i pocałował.

– Kochanie, jeśli przyjęła nazwisko Rybickich, będzie potrafiła się obronić, uwierz mi.

Irytował mnie i prowokował. Wiedziałam, że mnie sprawdza, nie miałam tylko pojęcia, czego ode mnie oczekuje. I choć wszystko się we mnie gotowało od jego impertynencji, starałam się zachować spokój i nie pozwolić mu wyprowadzić się z równowagi.

– Kochanki na dłuższą metę są męczące, a po pewnym czasie robią się dużo bardziej pazerne niż żony – odpowiedziałam chłodno, nie spuszczać wzroku, choć spojrzenie Mikołaja stawało się coraz bardziej niewygodne.

– No proszę, a nie mówiłem? – Mężczyzna odwrócił się w stronę Romany, a ja poczułam pewną satysfakcję i małe zwycięstwo w walce na spojrzenia przypisałam sobie. – Ma pazurki, i to dość ostre, jak na kociaka przystało.

– Mógłbyś zostawić nas same? – Romana podeszła do Mikołaja, położyła mu dłonie na ramionach i popatrzyła głęboko w oczy.

– Chciałbym lepiej poznać bratową. W końcu jesteśmy rodziną – odpowiedział, rzucając mi drwiące spojrzenie.

– Będziesz miał jeszcze okazję. To jednak nie jest najważniejszy moment.

– Myślisz, że będzie odpowiedniejszy? Kiedy mój brat się dowie, że podszedłem do jego żonki tak blisko, od razu wynajmie dla niej ochronę, a mnie nie pozwoli się zbliżyć do niej na żadną odległość. Mam jedyną i niepowtarzalną okazję do rozmowy z nią. Tu i teraz. – Znów wbijał we mnie wzrok, ale tym razem odważniej patrzyłam w niebieskie oczy kojarzące się z niewinnością.

– Pawła tu nie ma, a ja nie zamierzam, póki co, wyjeżdżać. Również chętnie poznam bliżej człowieka, o którym nikt nie chce rozmawiać, mimo że jest wciąż obecny w Doktorówce.

– No proszę, więc jednak ktoś za mną tęskni. – Mikołaj powoli pokiwał głową, splatając ręce na piersi.

– Powiedziałabym raczej, że zbyt wiele spraw nie podomykałeś, uciekając przed czymś jak tchórz. To zdecydowanie nie jest tęsknota, a smród, który po sobie zostawiłeś i który najwyraźniej trudno wywietrzyć.

Spojrzenie Mikołaja zlodowaciało. Wiedziałam, że ugodziłam celnie, choć starał się tego po sobie nie pokazać. Twardziel z wdziękiem chłopca, któremu się wszystko wybacza.

– Niczego o mnie nie wiesz i o niczym nie masz pojęcia, panno mądralińska – syknął, a potem wstał i szybkim, zdecydowanym krokiem wyszedł z kuchni.

Zostałyśmy z Romką same w ciszy, która aż dźwięczała w uszach.

– No to się poznaliście... – Romka pierwsza nie wytrzymała, przerywając to niezręczne milczenie. – Teraz już rozumiesz, dlaczego jest u mnie, a nie w Doktorówce. Pozabijaliby się z Pawłem, a Jan dostałby kolejnego zawału.

– Mikołaj u ciebie mieszka? – Myślałam, że po tych wszystkich tajemnicach, na jakie się natykam, nic już mnie nie zaskoczy. A jednak brat Pawła był nieprzewidywalny.

– Czasowo – odpowiedziała Romka, odwracając się w stronę zlewu. – Przyjechał kilka dni temu. Nie miał się gdzie zatrzymać.

Wiedziałam, że to nie jest cała prawda. Blask bijący od Romany i poufałość Mikołaja nie pozostawiały wątpliwości, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń. Czy miałam prawo jednak wydawać jakiegokolwiek osady? Mikołaj miał rację, nic o nim nie wiedziałam, z wyjątkiem tych kilku strzępków informacji, jakie wyrwały się Pawłowi czy Joannie. „Nie oceniaj, zanim nie zrozumiesz” – przypomniały mi się słowa mojej świętej pamięci babci. Chociaż nie ukończyła wielu szkół, jej prosta życiowa mądrość nauczyła mnie więcej niż opasłe książki, które niczego nie wniosły w moje życie poza wiedzą teoretyczną.

– Powinien więcej czasu poświęcić Bartkowi. Chłopiec bardzo go potrzebuje, a on, jako ojciec, jest przecież za niego odpowiedzialny.

– Bożena na to nie pozwoli. Wiem, że tak nie powinno być, ale w wojnę między sobą a Mikołajem wciągnęła chłopca i zrobiła mu tym największą krzywdę.

– Czy ona wie...? – urwałam, nie mając pojęcia, jak powinnam o to zapytać.

– O tym, że jesteśmy kochankami? – Romka ułatwiła mi zadanie. – Nie wie, ale się domyśla. Kazimierz to małe miasteczko, nie wszystko jesteś w stanie ukryć przed ludzkimi językami. A o tym, że Mikołaj zatrzymał się u mnie, też jeszcze nie wie, ale to tylko kwestia czasu. Ktoś życzliwy na pewno jej doniesie.

– Jeśli myślisz o mnie... – zaczęłam obronnie, ale Romka uciszyła mnie gestem dłoni.

– Wiem, Zosiu, że ty jej tego nie przekażesz, ale nie znasz tutejszych ludzi. Tu się niewiele dzieje, więc o czymś trzeba mówić. W aptece nie tylko kupuje się leki. Tam wymieniasz się informacjami. Niby mimochodem wypadnie ci jakieś słowo albo mała aluzja, zupełnie jak drobny pieniążek z portfela. Niby nic, a jednak, chcąc nie chcąc, dowiadujesz się o czymś, czego wcale nie chciałybyś wiedzieć. Żal mi Bożeny, bo znów będzie na ludzkich językach.

– Ty też. Nie boisz się?

Romka uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było radości, tylko smutek, którego nawet nie starała się maskować.

– Przyzwyczyłam się, Zosiu. Mieszkam tu od urodzenia. Ludzie zawsze o mnie gadali, bo jestem inna, taka trochę pod prąd. Artystom

więcej wolno, więc teraz tylko szemrają za plecami, ale po odejściu męża nieźle mi się dostało.

– Tobie? – Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Wychowana w dużym mieście, w którym wśród tak wielu ludzi jest tyle samotności i anonimowości, nie byłam w stanie pojąć sposobu rozumowania małomiasteczkowej społeczności.

– Przecież to on cię zostawił i zniszczył ci życie.

– Widocznie miał powód. Gdybym była dobrą żoną, nie wyniosłby się nie wiadomo gdzie, zostawiając mnie z dojrzewającym nastolatkiem...

– Przecież to absurd! – zareagowałam ostro.

– Życie jest pełne absurdów, Zosiu, a tworzą je ludzie. Sami siebie uważają za nieskazitelnych, choć brudy mają pozamiatane po kątach, a innych palcami będą wytykać, aby odwrócić od siebie uwagę. Nie jestem bez winy, wiem o tym. Ale nie zabrałam Mikołaja Bożenie. On sam popełnił kiedyś błąd, za który musiał słono zapłacić. Ja go tylko przygarnęłam, bo nikt inny nie chciał. I choć wiem, że to tylko na chwilę, bo Mikołaj jest jak dzikie zwierzę, które nigdy do nikogo nie należało, łapię te chwile szczęścia, bo następnych może już nie być.

Nie mogłam się powstrzymać. Wstałam, podbiegłam do Romany i mocno ją przytuliłam. Na policzku poczułam mokrą plamę. Wiedziałam, że tak dziękuje serce.

– Odwiozę cię. Będą się o ciebie niepokoiłi – powiedziała cicho, odrywając się ode mnie i ocierając wierzchem dłoni płynącą po policzku łzę. I nagle zatrzymała się z uniesioną ręką, jakby cofnięta gdzieś w sobie. – Wiesz, Zosiu, jakie to cudowne uczucie, kiedy ktoś się o ciebie niepokoi? Kiedy wygląda przez okno, czekając na twój powrót, i wita cię z tym czymś w oczach, co trudno nazwać, a co daje ci poczucie, że nie jesteś obojętna, że coś dla kogoś znaczysz... Już tak dawno nikt o mnie się nie troszczył...

Rozumiałam Romkę. Rozumiałam jej potrzebę bliskości, której szukała w ramionach Mikołaja. Dla niej to było coś więcej niż romans czy przygoda. Szukała uczucia, obdarowując nim właśnie jego. Czy mój szwagier potrafił to docenić?

– Jesteś czarodziejką, wiesz? – Uśmiechnęłam się, chcąc zapewnić

ją, że jej nie potępiam. – Ciasto drożdżowe, tajemnicza herbata i twoje towarzystwo pomogły mi pozrywać z siebie emocje, z którymi ostatnio nie mogę sobie poradzić.

– Hormony są przeciwko tobie, a i Rybicy dostarczają ci wrażeń. Przyjechałaś tu, myśląc, że zanudzisz się na śmierć, a tymczasem każdy dzień wnosi coś nowego. – Romka znowu była sobą, pełną energii kobietą, której obecność naprawdę koła.

Wracałyśmy obie rozluźnione i bez niedopowiedzeń, które zwykle potrafią wyrządzić więcej szkody niż prosta prawda. Przed domem Romka wyściskała mnie mocno i szepnęła do ucha.

– Dziękuję!

Zostawiłam ją i weszłam do domu, który otulił mnie znajomym ciepłem i zapachem obiadu, przy którym krzątała się już Bożenka.

\*\*\*

Telefon Kingi oderwał mnie od kazimierskiego „tu i teraz”, wnosząc ze sobą powiew rozpedzonej Warszawy.

– Czy twoje zaproszenie jest aktualne? – Kinga nie bawiła się w konwenanse i od razu przechodziła do sedna.

– Jak najbardziej. Wydarłaś od swojej szefowej urlop? – Uśmiechnęłam się, słysząc znajomy głos mojej niby-przyjaciółki.

– Można tak powiedzieć – mruknęła Kinga. – Słuchaj, Zosia, przyjeżdżam w piątek. Będę w Puławach po osiemnastej, stamtąd złapię busa do tego twojego Kazimierza. Jak już do niego wsiądę, zadzwonię do ciebie, żebyś mnie odebrała jak przesyłkę z Warszawy.

– Nie martw się, nie pozwolę ci zbłądzić na kazimierskich drogach – zapewniłam Kingę, świadoma tego, że i bez mojej pomocy trafiłaby do Doktorówki.

– Zbłądzić to ja bym może i chciała, ale nie tak od razu. – Kinga była dziś w dużo lepszym nastroju niż w czasie naszej ostatniej rozmowy. – Powiedz mi lepiej, czy twoja mężowska rodzina wie

o zamiarze mojego najazdu i czy nie będzie kręcić nosem na moje towarzystwo. Wiesz, nie chciałabym ci się narazić.

– Porozmawiam dziś z teściową, ale jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko. Dom jest duży i miejsca w nim wiele – powiedziałam, a w myślach dodałam: „I tajemnic też”. Ale w to wolałam już Kingi nie wprowadzać.

– Zosiu... – Kinga zbierała siły przed następnym pytaniem albo szukała odpowiednich słów, aby je sformułować. – Dlaczego życie jest tak cholernie niesprawiedliwe? Jedni dostają wszystko i tego nie doceniają, a ci, którzy by docenili, nie mają nic.

– Zadajesz za trudne pytania. Może po prostu przyjedź, co? I wtedy razem się nad tym zastanowimy

– Stęskniłam się za tobą.

– Za dwa dni się zobaczymy. Czekam na ciebie.

– No to pa! Jak spotkam doktora, pozdrowię go od ciebie.

– Wielkie dzięki!

Pomimo świadomości, że coś się w życiu Kingi wydarzyło, cieszyłam się na jej przyjazd. Utknęłam w świecie sekretów i domysłów, a potrzebowałam normalności. Kinga była częścią mnie samej, ale tej warszawskiej. Jeszcze tak niedawno zamartwiałam się tyłoma niepotrzebnymi rzeczami. Na przykład szarpałam się z kierowniczką z przeświadczeniem, że jeśli czegoś nie dopilnuję i nie uzupełnię jakiejś tabelki w papierach, to wszystko się zawali. Poniedziałkowe poranki zawsze powodowały żołądkowy supeł, a chociaż naprawdę lubiłam swoją pracę i dzieciaki, biurokracja i wymysły kierowniczki przyprawiały mnie o gęsią skórę. Dziś, patrząc na wszystko z perspektywy tych trzech tygodni spędzonych z dala od Warszawy i w zupełnie innej rzeczywistości, moje dawne problemy wydawały się nieistotnymi szczegółami codzienności. Liczyłam więc na no, że również i Kinga spojrzy na swoje życie z dystansem i przewartościuje swoje kłopoty, oddzielając to, co ważne, od tego, co niewarte nerwów czy uwagi.

\*\*\*

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok, nie potrafiąc znaleźć dogodnej pozycji. W pokoju było duszno, więc uchylłam okno i wsłuchiwałam się w dźwięki wpisane w mrok. Znad Wisły dobiegało osamotnione kacze kwakanie i echo czyichś kroków oddalających się spiesznie. Poszczekiwanie psów niosło się po uśpionym miasteczku jak ostrzeżenie dla intruza, że są tacy, co czuwają i żeby przypadkiem nie zwiódła go pozorna cisza gospodarstw. Wsłuchiwałam się w szmery i odgłosy domu, rozpoznając miękkie kroki Neli i postukiwanie jej pazurów o drewnianą podłogę. W znajomej nocnej symfonii rozpoznałam jednak dźwięk, który nienaturalnie zakłócił rozpisany koncert wieczoru. Szloch. Rozpaczliwy, kobiecy szloch. Taki, który wyrzuca z serca nagromadzony żal i szuka ukojenia w oczyszczających łzach.

Nie mogłam go zignorować. Odrzuciłam kołdrę, wsunęłam stopy w ciepłe kapcie i owinęłam się grubym szlafrokiem, a potem wyszłam z pokoju, podążając za urywanym dźwiękiem kobiecej rozpacz.

Bożena siedziała przy kuchennym stole z twarzą wtuloną w zgięcie łokcia. Jej szloch ścisnął serce i nie pozwalał pozostać obojętnym. Podeszłam do niej i najpierw położyłam dłoń na jej ramieniu, sygnalizując, że nie jest tu sama, a potem przytuliłam się do wstrząsanych spazmami pleców w kobiecym geście solidarności.

– Jestem żałosna, wiem o tym – usłyszałam nabrzmiały płaczem głos.

– Nie jesteś ani żałosna, ani słaba. Po prostu w pojedynkę ciężko się borykać z losem. Za dużo niesiesz na swoich barkach, Bożenko.

– Chciałabym, aby Bartek miał szczęśliwe dzieciństwo i żeby nigdy nie czuł się odrzucony ani niechciany. – Bożena uniosła głowę i wydmuchała w chusteczkę nos. – Kiedy wydaje mi się już, że nad wszystkim panuję i że poukładałam Bartkowi codzienność tak, że czuje się w niej bezpiecznie i spokojnie, Mikołaj pojawia się znikąd i wprowadza zamęt. To jest mały ośmioletni chłopiec. Jak mam mu to wszystko wytłumaczyć, skoro sama tak mało rozumiem?



– Zaparzę melisy – powiedziałam, odwracając się i zapalając ledowe lampki tuż nad blatem. Nie chciałam rozpraszać nocy mocną żarówką. W lekkim półmroku lepiej się rozmawia.

– Myślisz, Zosiu, że nie wiem, co o mnie gadają za moimi plecami?

Wzruszyłam ramionami.

– Przy mnie nikt o tobie niczego złego nie mówi.

– Bo ty jesteś z Doktorówki. A ja znam tutejszych ludzi. Pochodzę stąd. Wszyscy wiedzą, że rzucił mnie mąż i wyjechał nie wiadomo dokąd. I że chytra jestem, bo w Doktorówce siedzę i na zapisanie majątku teściów liczę. Niektórzy, gdyby mogli, to i śmierć Julii by mi przypisali, bo zazdrosna o nią byłam. To prawda, byłam, ale nigdy źle jej nie życzyłam, a po śmierci synka szczerze jej współczułam.

Milczałam, świadoma tego, że przekroczyłyśmy pewną granicę oddzieloną cieniutką nicią. Bałam się, aby jej nie zerwać i aby Bożenka nie zatrzasnęła przede mną drzwi, przez które pozwoliła mi zajrzeć do przeszłości.

– Widzisz, Zosiu, prawda jest taka, że nie mam dokąd pójść. Mikołaj rzeczywiście mnie zostawił, uciekając tak naprawdę przed samym sobą. Wielki pan architekt pracujący w Norwegii jako stolarz. Rzucił wszystko i po prostu wyjechał. Nie mamy rozwodu, prawnie i wobec Boga nadal jesteśmy małżeństwem, ale co to za rodzina, w której wszystko się rozpadło? Czasami zastanawiam się, czy Mikołaj kiedykolwiek mnie kochał, czy nie byłam tylko kaprysem rozpieszzonego chłopca...

– Skoro wraca... – zaczęłam i zamilkłam, przypomniawszy sobie moją wizytę u Romki i butę szwagra zachowującego się tak, jakby wciąż był kawalerem.

– Gdybyś wiedziała, ile dziewczyn się w nim kochało... Ten wygląd słodkiego chłopca z sercem drania. To imponuje głupim gąskom, które naoglądały się starych filmów. Ile do niego wzdychało i jak zazdrościli Romce, z którą kumpłował się od lat. Za nią jedną latał, a ona traktowała go jak szczeniaka i wzdychała do Pawła... – Skrawki przeszłości wysypały się jak pierze z podziurawionej poduszki. Słuchałam głosu Bożeny, przypominając sobie te wszystkie zdjęcia,

które pokazała mi Joanna. – Czasami zastanawiam się, czy nasze małżeństwo to był jego wybór, czy raczej pomysł Joanny...

Pyknięcie elektrycznego czajnika zawiadomiło mnie, że zagotowała się woda i że mogę zalać zioła, przygotowując uspokajający napar dla siebie i dla Bożeny.

– Jako studentka farmacji odbywałam praktyki w aptece Joanny. Dużo mnie uczyła, cierpliwie odpowiadając na wszystkie moje dociekliwe pytania dotyczące leków. Dobrze nam się współpracowało. To było lato, które Mikołaj spędzał w Kazimierzu. Często zaglądał do apteki, kiedy bywał na Rynku. Nie wiem, czy z nudów, czy z chęci zdobywania zaczął ze mną flirtować. Odprowadzał mnie do domu, a wieczorami zapraszał na spacer, piwo albo zabawę gdzieś w okolicy. Wiesz, co to dla mnie znaczyło, Zosiu? Byłam w siódmym niebie! Panicz z Doktorówki, ten, za którym wdychały kazimierskie panny, starszy ode mnie o siedem lat, zapraszał mnie na zabawę, a w tańcu przytulał tak, jakby nikt inny nie istniał... Zakochałam się bez pamięci. Pozwoliłam mu na wszystko. Był moim pierwszym mężczyzną i nie miało dla mnie wówczas znaczenia, ile kobiet w jego życiu było przede mną. Byłam szczęśliwa, że to mnie wybrał...

Postawiłam przed Bożenką wyciszający napar, a sama usiadłam naprzeciwko. Nie przerywałam i nie dopytywałam. Pozwoliłam jej mówić, czując, że dla niej są to słowa oczyszczające. Ona bardziej ich potrzebowała niż ja.

– To lato było najszczęśliwszym czasem w moim życiu. W dzień biegłam jak na skrzydłach do apteki i chłonełam każde słowo Joanny, starając się udowodnić jej, że zasługuję na Mikołaja, a po południu i wieczorami włóczyłam się z nim po okolicach, dumna jak paw z tego, że jest mój. I kiedy zaczęłam wierzyć, że tak już będzie zawsze, Mikołaj po prostu wyjechał. W październiku wróciłam do Lublina na studia, a gdy odwiedziłam rodziców w czasie któregoś weekendu i jak durna pognałam do Doktorówki, aby mu zrobić niespodziankę, dowiedziałam się, że jest w Stanach. Pojechał tam na staż, słowem mi o tym nie wspominając. Wyobrażasz sobie, Zosiu, jak się czułam? Zraniona, oszukana, upokorzona i porzucona. To jest właśnie styl Mikołaja. Uciekał, gdy coś zaczynało go przerastać. Zadzwoił po kilku dniach

i wytłumaczył mi, że musi złapać oddech i nabrać dystansu. A tak naprawdę przestraszył się naszego związku i odpowiedzialności. Nie chciał się wiązać na dłużej. Taki już jest, wolny ptak. Jak Julia. Ona też taka była.

Wciąż wracałaś, Julio, w rozmowach i wspomnieniach. Wchodziłaś tam, gdzie snuła się rozmowa, i skłaniałaś do zauważenia twojej obecności. Mimo że Paweł ukrył cię za murem milczenia, ty i tak znalazłaś wyłom, przez który przechodziłaś w momentach, kiedy się ciebie nie spodziewano. Tak jak teraz.

– Ale przecież Julia nie uciekła od Pawła – powiedziałam, a Bożena drgnęła, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że tu jestem.

– Wyjeżdżała nieustannie na te swoje reportaże. Wciąż ją gdzieś nosiło, jakby chciała przeżyć życie na zapas. Zupełnie jakby wiedziała, że będzie zbyt krótkie...

Gdyby twoje życie potoczyło się inaczej, Julio, nie byłoby dla mnie miejsca w świecie Pawła. Prawdopodobnie nigdy bym go nie spotkała, bo nie przeniósłby się do Warszawy, i nie doświadczyłabym szczęścia, jakie mogło mi się zdarzyć tylko przy nim. Czy ja i Paweł byliśmy sobie przeznaczeni? Czy ktoś kiedyś wyznaczył dla nas jeden styczny punkt, dopasowując nas do siebie jak połówki jabłka? A jeśli tak, to kim ty byłaś w życiu Pawła, Julio? Bo przecież jabłko nie ma trzech połówek...

– Lecz przecież Mikołaj w końcu do ciebie wrócił – odezwałam się w tej nocnej ciszy, odsuwając od siebie rozmyślenia o przeznaczeniu.

– Nie od razu. Trochę na niego czekałam – odpowiedziała cicho Bożenka, dodając jeszcze: – I sama nie wiem, czy było warto.

Ludzkie losy splatają się niekiedy w zadziwiający sposób. Moja babcia powiedziała kiedyś, że życie składa się ze spotkań i z rozstań. Ludzie trafiają na siebie i coś ich przy sobie zatrzymuje na dłużej, bywa, że na całe życie. A potem przychodzi czas, że rozchodzą się, każde gdzie indziej. Niektórzy poszukują nowych dróg, czasami po prostu łatwiejszych, jak Mikołaj czy mąż Romki. A inni odchodzą tam, gdzie my jeszcze za nimi pójść nie możemy. Jak Julia.

– Nie miałabyś Bartka. Jesteś sobie w stanie to wyobrazić?

Bożena pokręciła głową.

– Bartek jest czymś najlepszym, co mogło mi się w życiu zdarzyć.

Jeśli kolejny raz, wiedząc o konsekwencjach, miałabym ponieść cenę, jaką za niego zapłaciłam, zrobiłabym to. Dla niego zniosę wszystko.

Po raz kolejny zdumiała mnie siła miłości matki do dziecka. Czy ja też ją poczuję? Czy podobna więź połączy także mnie i moje dziecko? Czy dla niego będę skłonna do wyrzeczeń i poświęceń wpływających ze szczerzej potrzeby serca?

– Nie wiem, dlaczego Mikołaj wrócił. Zaszły się jak tchórz, pewnie u Romki, i czeka na kolejne spektakularne wejście. Boję się, Zosiu. – Bożena podniosła opuchniętą od płaczu twarz i spojrzała na mnie bezradnie. – Boję się samej siebie, bo prawda jest taka, że go kocham. Przez cały ten czas próbowałam go znienawidzić, ale nie potrafię. Nie dość, że go kocham, to jeszcze wszystko bym mu wybaczyła. Wszystko.

\*\*\*

Spałam do dziesiątej. Po nocnej rozmowie z Bożenką długo nie mogłam zasnąć, mimo melisy. Pod zamkniętymi powiekami widziałam Mikołaja z Romką i stojącą naprzeciwko nich Bożenkę. Okazuje się, że Julia nie była jedyną tajemnicą Doktorówki. Za pozamykanymi drzwiami wielu pokoi kryły się sekrety, którymi Rybnicy nie chcieli się dzielić.

Uśmiechnęłam się do przygotowanego dla mnie śniadania, czekającego pod przykryciem na stole. Twarożek ze szczypiorkiem na stałe wszedł już do mojego kazimierskiego menu. Świeże bułeczki, które Jan kupował podczas porannego spaceru w piekarni Sarzyńskich, i prawdziwe masło dopełniały istic królewskiej uczyty, bogatej też w warzywa i owoce. Wiedziałam, że dzisiejszą porcję zawdzięczam Joannie, która to przedpołudnie miała spędzić, porządkując w domu papiery. Zjadłam i aby nie marnować słonecznego dnia, ubrałam się szybko, po czym wyszłam do ogrodu, w którym zastałam Joannę pracownicę uwijającą się przy grządkach.

– Miałam zająć się papierkową robotą, ale dzień taki piękny, że nie

mogłam usiedzieć za biurkiem. Mój ogród jest już gotowy na wiosenne zmiany – powiedziała, opierając się o grabie, którymi wyrównywała rozkopaną grządkę. Z zaróżowiałymi od słońca albo z wysiłku policzkami i bawełnianą opaską przytrzymującą włosy wyglądała jak młoda dziewczyna. Moja teściowa miała w sobie wdzięk, który zostaje nielicznym kobietom w tym wieku.

– Nie wiem zupełnie nic o ogrodzie i o pracach, jakich wymaga, ale uwielbiam ukwiecone miejsca i latem codziennie odwiedzam warszawskie Łazienki, aby chociaż tam mieć namiastkę tej zieleni, w której tak lubię przebywać.

– Tutaj będziesz miała jej pod dostatkiem. Zobaczysz, jak ten ogród i cała okolica będą wyglądać za miesiąc. – Joanna otarła czoło wierzchem dłoni i wróciła do przerwanej pracy. – Usiądź, Zosiu, tutaj na słoneczku i powygrzewaj się trochę. Potrzebna ci teraz naturalna witamina D.

Usiadłam w wiklinowym fotelu wyłożonym ciepłym polarowym kocem.

– Mamo, jutro spodziewam się gościa – zaczęłam, świadoma tego, że w zasadzie to jeszcze nie rozmawiałam z Joanną o przyjeździe Kingi, i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że moi teściowie mogą nie być z tego zadowoleni. – Moja przyjaciółka z Warszawy chce mnie odwiedzić. Czy mielibyście coś przeciwko temu, gdyby została tutaj przez kilka dni?

Joanna wyprostowała się i uśmiechnęła do mnie tak pogodnie, jak ten dzisiejszy, kwietniowy dzień.

– Zosiu, oczywiście że nie mamy nic przeciwko. Cieszę się, że chcesz zaprosić swoich przyjaciół tutaj, bo to oznacza, że czujesz się u nas dobrze. Przygotuję jej pokój obok twojego. Na szczęście dom przed świętami był gruntownie wysprzątnany i wystarczy tam jedynie odkurzyć, przewietrzyć i powlec świeżą pościel.

– Ja się tym zajmę – oznajmiłam, a kiedy Joanna chciała zaprotestować, popatrzyłam na nią, dodając cicho. – Mamo, proszę...

– Kupiłaś mnie tym słowem, wiesz? – Joanna westchnęła. – Tylko ty mówisz do mnie tak miękko to: „mamo”.

Uśmiechnęłam się, wiedząc, że i tak postawiłabym na swoim.

– Bo przyjęłaś mnie bez żadnych zastrzeżeń. Jak swoją. Takie rzeczy się docenia, mamó.

Joanna roześmiała się. Lubiłam słuchać jej śmiechu. Robiła to tak radośnie, a jej śmiech wydawał się wydobywać z głębi serca, którego dobroć się wyczuwało. W tej jednej chwili pomyślałam sobie, że jestem szczęściarą, bo nie tylko trafiłam na Pawła, ale mam również wspaniałych teściów.

– Zosiu, wiesz... – Śmiech Joanny urwał się równie nagle, jak się pojawił. – Tak w zasadzie to niewiele wiem o twojej rodzinie. Wiesz, jaki jest Paweł, oszczędny w słowach jak każdy mężczyzna. Nie chciałam ciągnąć go za język, ale jeśli tylko jesteś na to gotowa i chcesz o tym opowiedzieć, z ciekawością teściowej posłucham i dowiem się więcej. Twojego tatę poznałam na waszym ślubie...

Skinęłam głową.

– Poznałaś tatę i Alicję, moją macochę. Poznałaś również moje dwie przyrodnie siostry, starszą Weronikę i młodszą Izę. Tak naprawdę tylko Iza jest moją prawdziwą siostrą. Weronika jest córką Alicji z pierwszego małżeństwa, ale przez kilka lat wychowywałyśmy się razem.

Uświadomiłam sobie, że dawno już z nikim o tym nie rozmawiałam. Nie byłam z natury wylewna i niewiele osób dopuszczałam do siebie na tyle blisko, aby dzielić się tym, co najbardziej osobiste. Wyjątkiem była Kinga, która towarzyszyła mi od dzieciństwa, no i Paweł. Teraz do grona ludzi, którym zaufałam, dopuściłam również Joannę, wiedziałam jednak, że moja teściowa na to zasługuje.

– Moja mama zmarła, kiedy miałam osiem lat. Chorowała na nowotwór piersi, a dwadzieścia lat temu to był częściej wyrok niż choroba. Zostaliśmy sami z ojcem. Bardzo pomagała nam babcia, mama mojej mamy, której mieszkanie znajdowało się kilka bloków od nas. Mieszkaliśmy na warszawskim Ursynowie, osiedlu blokowisk, małych mieszkańek i zasikanych wind. Jako dziecko lubiłam jednak to miejsce. Miałam tam swoje ścieżki i koleżanki, a przede wszystkim tam była moja babcia, której zawdzięczam pogodne dzieciństwo, mimo że mama zmarła... – Zamilkłam, zapatrzona w czasy, do których tak dawno nie wracałam. Dopiero teraz, przyglądając się im dokładniej z perspektywy

minionych lat, zrozumiałam, że dzięki miłości babci i codzienności, w której dorastałam jako dziecko, to był najszczęśliwszy czas mojego życia pomimo straty, jakiej doświadczyłam.

– Tata nie radził sobie z samotnym rodzicielstwem; babcia była u nas codziennie. To ona mnie doglądała, szykowała do szkoły, odrabiała ze mną lekcje, gotowała i sprzątała. Starła się zastąpić mi mamę i chyba jej się to udało. Tata jednak potrzebował kobiety. Nie potrafił być sam. Przerastały go te wszystkie obowiązki, których i tak większą część przejęła od niego babcia. Rok po śmierci mamy ożenił się z Alicją i wtedy przeprowadziliśmy się do Józefowa. Mieszkanie Alicji było większe, a koszty utrzymania nieco niższe niż w stolicy. Ku rozpaczy babci tata sprzedał nasze mieszkanie na Ursynowie i wniósł Alicji w posagu dość spory majątek. A ja zostałam wyrwana z korzeniami i przeniesiona w zupełnie dla mnie obcy świat, do ludzi, którzy mnie nie kochali. Starsza ode mnie dwa lata Weronika stawiała się już nastolatką. Była bardzo rozpieszczona, bo jej ojciec, z którym Alicja rozwiodła się kilka lat wcześniej, pozwalał jej na wszystko. Czułam się jak intruz, ale ojciec uparł się, że będę mieszkać razem z nimi, choć zarówno ja, jak i babcia, chciałyśmy, abym została z nią na Ursynowie. Po dwóch latach pojawiła się Iza, oczko w głowie całej rodziny, a ja wyobrażałam sobie, że jestem Kopciuszkiem, i czekałam na swojego księcia.

– I doczekałaś się – powiedziała Joanna tak miękko, że łzy wzruszenia pojawiły się w moich oczach.

– Doczekałam się... – przytaknęłam.

„To jest tylko moja siostrzyczka, a nie twoja!” – Nie wiadomo skąd w mojej głowie pojawił się piskliwy głos Weroniki, a przed oczami stanęła mi scena z dalekiej przeszłości. Stałam przy wózku, w którym leżała Iza, kołysałam go i gaworzyłam z malutkim zawiniątkiem, gdy do pokoju wpadła Weronika, odpychając mnie od wózka.

„Nieprawda, to nasza wspólna siostra, twoja i moja” – nieporadnie próbowałam się bronić, choć w potyczkach z Weroniką zawsze byłam na przegranej pozycji.

„Wcale nie! To moja mama ją urodziła, a nie twoja! I to znaczy, że jest tylko moją siostrą, bo ciebie nie urodziła moja mama”.

„Ale tatą Izy jest mój tata!”

„To nic nie znaczy. Liczy się tylko matka. Odejdź od niej!”

Pamiętam tamto popchnięcie i wiele innych. Mimo że nie dzieliła nas wielka różnica wieku, nigdy się nie zaprzyjaźniłyśmy. Trochę lepszy kontakt miałam z Izą, choć tak naprawdę dopiero teraz szukamy do siebie drogi, bo w wieku szesnastu lat postawiłam na swoim, poszłam do liceum do Warszawy i przeprowadziłam się do babci. Iza miała wtedy pięć lat, niewiele więc miałyśmy czasu, aby nawiązać siostrzaną więź.

– Tak więc widzisz, mamo, że oprócz Pawła nie mam tak naprawdę rodziny, bo moja relacja z ojcem nie jest najlepsza, nie wspominając już o Alicji.

– Masz nas. – Joanna zostawiła grabie, podeszła do mnie i pogładziła mnie po policzku, wzruszając mnie tym gestem. – Dla nas jesteś jak rodzona córka, Zosiu. Ty i Bożenka jesteście dla nas rodziną.

– Dziękuję – wyszeptalam, czując, że się rozklejam.

– A babcia? – Joanna cofnęła się, rozpinając pikowany bezrękawnik i poprawiając opaskę.

– Zmarła, kiedy byłam na trzecim roku studiów. Zostało mi po niej małe mieszkanko, które teraz wynajmujemy, cudowne wspomnienia i złote myśli przychodzące do głowy zawsze wtedy, gdy wydaje mi się, że znajduję się w sytuacji bez wyjścia.

– Wkrótce centrum twojego świata stanie się to maleństwo, które nosisz pod sercem.

Pokiwałam głową, machinalnie dotykając koca tam, gdzie powinna znajdować się Kruszynka.

– Cieszę się, że będzie miało takie miejsce, jak Doktorówka, i takich dziadków, jak wy.

Joanna pochyliła się nad wyrównaną grządką, robiąc w niej miejsce na małe nasionka, z których miały wyrosnąć wiosenne kwiaty i warzywa. Jej pociągnięcia nosem dały mi do myślenia, że teraz to ja poruszyłam ją swoimi słowami.

– Nigdy nie miałam ogrodu, a zawsze o nim marzyłam. Mogłabym ci pomóc?

Odwróciła głowę w moim kierunku i spojrzała na mnie wilgotnymi oczami.



– Chodź, posadźmy razem rzodkiewkę i groszek. A potem w te dwie donice nasadźmy bratków, aby rozgonić już ten zimowy smutek i zacząć cieszyć się prawdziwą wiosną oraz obietnicą tego, co przyniesie.

Wilgotna ziemia oblepiła moje palce jakby z wdzięcznością, że pomagam jej na nowo poczuć się brzemienną. Łączyłam się z tym, co istniało na długo przed moim narodzeniem, i poznawałam od podszewki tajniki łączące człowieka i przyrodę, tak aby jedno mogło służyć drugiemu i plonami dziękować za opiekę, uprawę i szacunek.

\*\*\*

– O, kurczę, Zośka, jak tu ładnie! – Pomimo zmierzchu Kinga rozglądała się dookoła z otwartą buzią, podziwiając zabytkowe kamieniczki na kazimierskim rynku.

– No widzisz! – odpowiedziałam z dumą, jakbym miała coś wspólnego z tym pięknem. – Teraz już nie będziesz się dziwiła, że utknęłam tu na dłużej. I powiem ci w tajemnicy, że zupełnie nie chce mi się wracać do Warszawy.

– Jak nie musisz, to nie wracaj. – Kinga wzruszyła ramionami.

– No właśnie uświadomiłam sobie, że nie muszę. Paweł miał rację. W mieście siedziałabym zamknięta w czterech ścianach, a na spacerach wdychałabym spaliny. Tutaj jestem praktycznie cały czas na powietrzu, jeśli tylko pogoda na to pozwala.

Szłyśmy nieśpiesznym krokiem od przystanku, upajając się wilgotnym zapachem Wisły szykującej się do snu i mijanymi po drodze szczegółami, przy których Kinga wydawała „ochy” i „achy”.

– Przyznaję, że ten twój koniec świata jest naprawdę interesujący. Może tak się zakocham w tym miejscu, że przeniosę się tutaj na stałe? Co o tym myślisz? – Kinga puściła do mnie oko.

– Z twoim temperamentem umarłabyś tutaj z nudów.

W odpowiedzi dostałam tylko wykrzywioną minę, która mnie rozśmieszyła.

Długie wieczorne cienie kładły się wydłużonymi

i zniekształconymi smugami na ulicy wybrukowanej kocimi łbami. Walizka Kingi turkotała na nich, zabawnie podskakując, a jej właścicielka co chwila przystawała, przyglądając się temu, co było teraz moją codziennością.

– Jak to się stało, że nigdy nie byłam w Kazimierzu?

– A tak, że gnało cię do Grecji i Hiszpanii zamiast do naszych polskich perełek.

– No tak, cudze chwalicie, swojego nie znacie. – Kinga dmuchnęła w swoją grzywkę, ale jej niesforne włosy i tak zaglądały jej w oczy, jakby chciały się upewnić, że Kinga nie przeoczy żadnego szczegółu z mijanych pejzaży.

Patrzyłam na moją przyjaciółkę z radością nastolatki. Cieszyłam się, że będę mogła podzielić się z nią tym, czego tu doświadczam, i odpocznę od tych niedopowiedzeń, na które wciąż się natykałam. Wiedziałam, że bez względu na to, ile dni tu spędzi, ten czas ją odmieni i pomoże choć częściowo przepracować to, z czym przyjechała. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Nie umknęły mi sine cienie pod oczami i smutek w brązowych oczach. Zauważyłam jednak również coś, co mnie zaniepokoiło. Pewną zmianę w wyglądzie i zachowaniu przyjaciółki. Niedbałość, która pasowała do artystycznej i niepokładanej Kingi, została zastąpiona ładem. Jej włosy, które pomimo starannych zabiegów i tak zawsze żyły własnym życiem, teraz były przycięte w sposób, w jaki noszą się młode kobiety sukcesu, a w jasny brąz powplatanie zostały świetlne refleksy. Nie umknęła też mojej uwadze markowa torebka i ciuchy, które choć wyglądały na wygodne i sportowe, prawdopodobnie miały równie prestiżową metkę. Było to coś niepodobnego do Kingi, która dotąd ubierała się w second-handach. Niepokój, który poczułam po jej telefonie, powrócił.

– Mam nadzieję, że zostaniesz ze mną przez kilka dni? – spytałam zaczepnie, chcąc sprowokować Kingę do rozmowy.

– W środę muszę być w pracy. Do tego czasu zamierzam zapomnieć o wszystkim i poczuć się jak na prawdziwych wakacjach. Aaaa! Zapomniałbym! – Kinga przystanęła nagle, odwracając się w moją stronę. – Mam newsa! Kilka dni temu szefowa strzygła narzeczonego Weroniki, no wiesz, tego sztywnego niunia, co to udaje, że jest taki

ważny i dorosły.

Skinęłam głową. Szymon. Weronika prowadziła się z nim od kilku lat. Ostatnio, na moim weselnym obiedzie, na który zaprosiliśmy z Pawłem członków mojej rodziny, przebąkiwała nawet coś o ślubie, ale nic konkretnego od tamtego czasu się nie wydarzyło, a że mój kontakt z rodziną ojca był sporadyczny, nie doszły do mnie żadne nowe informacje.

– Czyżby ustalili w końcu datę ślubu? – spytałam z ciekawością, mając nadzieję, że może dowiem się czegoś od Kingi.

– Wygląda na to, że tak. Tylko że panna młoda się zmieniła, bo ten cały Szymon był z taką jedną, chudą jak miotła, która biegała dookoła niego, cmokając: „Kochanie, a gdybyś tak tu podciął, a tu zostawił?”.

– Może go z kimś pomyliłaś? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Nie ma mowy! – zaprzeczyła Kinga. – Zmieształ się, biedak, na mój widok, najwidoczniej nie miał pojęcia, że tam pracuję. A ta chuda tylko szczebiotała do szefowej, że za dwa tygodnie biorą ślub i że ma go obciąć, aby ładnie odrosło, ale nie za dużo, i że ona ma teraz tyle na głowie, bo krawcowa jeszcze tam coś w sukni ślubnej poprawia i takie tam. – Kinga machnęła ręką i ruszyła, ciągnąc za sobą turkoczącą walizkę. – I powiem ci, że jak nigdy nie lubiłam tej twojej Weroniki o paskudnym charakterze, tak w tamtym momencie zrobiło mi się jej po prostu żal. Tak po babsku.

Wiedziałam, o czym mówi Kinga. Poczułam dokładnie to samo. Odrzucenie. Coś, czego Weronika nigdy nie doświadczyła. To ona odrzucała i sięgała po to, na co miała ochotę. Teraz przewrotny los doświadczył też ją. Ale jakoś nie poczułam w związku z tym satysfakcji.

– Daleko jeszcze? – Kinga przystanąła, aby wyrównać oddech.

– Nie. Już jesteśmy prawie na miejscu. To tamten dom. – Wskazałam na widoczną w oddali Doktorówkę.

Kinga zagwizdała i pokręciła głową.

– Zośka, nie powiedziałaś mi, że twoi teściowie mieszkają w rezydencji.

Roześmiałam się.

– To po prostu duży, stary dom. I do tego dom z duszą.

– Coraz bardziej mnie zadziwiasz, moja droga. No cóż, jestem

gotowa na królewskie przyjęcie. Chodźmy!

Ruszyliśmy w stronę zarysowanych na tle jeszcze nagich drzew konturów domu, który przyjął mnie tak, jak jego mieszkańcy – serdecznie i ciepło. Z każdym krokiem, który zbliżał mnie do Doktorówki, czułam radosne podekscytowanie nie tylko tym, że wracam w miejsce, gdzie na mnie czekają, ale przede wszystkim świadomością, że mogę się tym podzielić z bliską mi osobą, która – byłam tego pewna – ulegnie czarowi tego miejsca, tak jak ja.

\*\*\*

Kolejny słoneczny poranek sprawił, że zachciało nam się zjeść śniadanie na tarasie. Siedziałyśmy wraz z Kingą w jeszcze niezakłóconej odgłosami dnia ciszy, wsłuchane w ptasi koncert, który odbywał się w ogrodzie.

Wiosna stawiała już coraz pewniejsze kroki i aż trudno było uwierzyć, że zaledwie tydzień temu na ziemi leżał jeszcze śnieg, a zimno nie pozwalało wyjść nawet na krótki spacer.

– Zośka, ale tu pięknie. – Kinga przeciągnęła się i wystawiła bladą twarz w stronę słońca. – Czuję wiosnę. W Warszawie nie ma takich zapachów.

– Tak... – Uśmiechnęłam się, patrząc na ogród, który piękniał każdego dnia, jakby odwdzięczając się Joannie za wkładaną w niego pracę. – Jeszcze trochę, a będzie nas uwodzić codziennie nowymi sukienkami. Wyobraź sobie delikatne koronki, kwiatowe motywy, dekolty odsłaniające jeszcze półnagie konary, wyszywane stokrotkami spódnice i zielone chusty, na tle których będą się żółcić zwrócone ku słońcu mlecze. Niejedna kobieta może pozazdrościć wiosnie jej garderoby i niejednemu mężczyźnie może zawrócić w głowie płomiennosc tej jednej z piękniejszych pór roku.

– Gadasz jak poetka. – Kinga otworzyła oczy i przyglądała mi się z lekko przekrzywioną głową.

– Kiedy pracujesz z dziećmi, musisz być trochę jak poeta. Dzieci lubią obrazowość. Nie zadowolają się suchymi faktami.

– Jak to jest być w ciąży? – Kinga zmieniła nagle temat, zaskakując mnie tym zupełnie.

– Oprócz tego, że tracisz kontrolę nad własnym organizmem, jesz rzeczy, na widok których wcześniej być zwymiotowała, masz poranne albo całodniowe mdłości, twoje piersi zachowują się jak przy dojrzewaniu, a hormony sprawiają, że nie jesteś sobą, jest fantastycznie!

– Myślałam, że rozbawię przyjaciółkę, ale Kinga uśmiechnęła się tylko, jakby bez przekonania.

– Zosia, co byś zrobiła, gdyby Paweł miał żonę?

Łyzeczka z miodem, który chciałam rozlać na bułce suto obłożonej białym serem, wypadła mi z ręki, opadając na talerzyk z głośnym brzdękiem.

– Paweł miał żonę – odpowiedziałam, zupełnie nie poznając swojego głosu, tak obco zabrzmiał.

Kinga potrząsnęła głową.

– O kurczę, zapomniałam. – Założyła za ucho kosmyk włosów i pokręciła się nerwowo na krześle. – Sorry, nie o to mi chodziło. Co byś zrobiła, gdybyś się w nim zakochała tak, jak się zakochałaś, a on nadal miałby tę żonę?

Spojrzałam na Kingę z niepokojem.

– Nie pozwoliłabym sobie na to, żeby zakochać się w żonatym mężczyźnie – odpowiedziałam sucho, bojąc się tego, co chce mi przekazać Kinga.

– Gówno prawda, Zośka! Kiedy poznałaś Pawła w szpitalu, nie wiedziałaś, czy jest żonaty, czy nie. A zadurzyłaś się w nim!

– Nawet mimo zadurzenia, gdybym się dowiedziała, że ma żonę...

– A gdyby ci nie powiedział?

Popatrzyłam uważnie w brązowe oczy przyjaciółki. Dostrzegłam w nich ból, bezradność. Kimkolwiek był człowiek, o którym próbowała mi powiedzieć, już ją zranił, a obawiałam się, że to jeszcze nie koniec.

– Kto to jest?

Milczała przez chwilę, jakby zbierała w sobie przyzwolenie na słowa, które miały za chwilę popłynąć. A potem zaczęła mówić.

– Ma na imię Karol. Poznaliśmy się w salonie. Przyszedł kiedyś do mnie na strzyżenie. Przyszedł raz, za kilka tygodni przyszedł ponownie, a potem czasami wpadał, niby na manicure do koleżanki, ale zawsze wymienialiśmy kilka zdań. Rozśmieszał mnie. Zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, że najbardziej paskudny dzień stawał się pogodny, jak ten poranek. – Kinga uśmiechnęła się do swoich wspomnień, zapatrzona gdzieś na czubki drzew. – Któregoś dnia spotkaliśmy się przypadkiem w Galerii Mokotów. Zaprosił mnie na kawę. Rozmawiało się nam tak cudownie, że nie mogliśmy się rozstać. Coś zaiskrzyło. Gdyby wtedy... – Kinga pokręciła głową. – Zaczęliśmy się spotykać. Rozpieszczał mnie. Przy nim nauczyłam się być taką kobietą, jaką chciał mnie widzieć. Zabierał mnie do teatru i do galerii. Pokazał mi inny świat, obok którego żyłam, a tak naprawdę go nie znałam. Dużo rozmawialiśmy. O wszystkim. O jednym tylko zapomniał mi powiedzieć. O tym, że ma żonę i dwoje dzieci. I wcale nie są w separacji, o czym poinformowali mnie życzliwi.

W głosie Kingi usłyszałam to wszystko, czego mi nie powiedziała – to, jak bardzo została zraniona przez człowieka, któremu zaufała, przepłakane noce i dni, które nie przynosiły nadziei, walkę serca z rozumem, który podpowiadał ucieczkę, zanim nie zabrnęła za daleko.

– Przy nim zrozumiałam, jak bardzo Filip mną pomiatał i jak wielki błąd popełniłam, trwając w tym chorym związku przez dziewięć lat. Patrząc na nasze odbicie w wystawowych szybach, zastanawiałam się, jak wyglądałyby nasze dzieci. Razem z Karolem meblowałam już w myślach nasz dom z ogrodem, który mi obiecał. I wiesz co, Zosiu, zupełnie mi odbiło, bo przy nim po raz pierwszy w życiu zapragnęłam pewności i stałości, a nie wolnego związku, w który dotąd wierzyłam. Zapragnęłam duetu w codzienności.

– Zakochałaś się – potwierdziłam fakt doskonale Kindze znany.

– Zabujałam się jak durna dziewczynka i widzisz, dokąd mnie to doprowadziło. – Kinga westchnęła ciężko.

– Do Kazimierza – dokończyłam, prowokując uśmiech na twarzy przyjaciółki.

Wiosna przystanęła przy nas, zaglądając nam w oczy ciepłym słonecznych promieni.

– Zobaczysz, to będzie dobry czas, który pomoże ci znaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia – powiedziałam, chcąc wierzyć, że tak będzie naprawdę.

– Ale ja nie chcę wychodzić z tej sytuacji – szepnęła Kinga smutno. – Ja go kocham, Zosiu. Po prostu chcę, żeby jego żona zniknęła...

\*\*\*

Leżałam w zacienionym pokoju, odpoczywając po długim i wyczerpującym spacerze, na który wybrałyśmy się wraz z Kingą po śniadaniu. Zmęczyła mnie zarówno droga, jak i nasza rozmowa, która prowadziła donikąd. Miałam wrażenie, że Kinga nie przyjechała tu po radę. Ona po prostu uciekła przed sobą samą, szukając u mnie rozgrzeszenia. Co mogłam jej powiedzieć? Wiedziałam, że poturbowana przez życie dziewczyna pragnie miłości, której tak naprawdę nigdy nie doświadczyła. Jej Piotruś Pan był namiastką uczucia, które z miłością niewiele miało wspólnego. W tym związku on brał, a Kinga głównie dawała, żywiąc nadzieję, że któregoś dnia to się zmieni. A kiedy w końcu spotkała kogoś, kto zaopiekował się nią, obdarowując tym wszystkim, o czym marzy kobieta, życie zagrało jej na nosie i roześmiało się szyderczo w twarz.

– Po raz pierwszy w życiu ktoś się o mnie zatroszczył. – Kinga wrzucała słowa do Wisły, jakby w nadziei, że bagaż, z którym tu przyjechała, zelżeje. – Po raz pierwszy ktoś wziął odpowiedzialność za moje życie. Pokazał mi, co znaczy radość z każdej przeżywanej chwili. I dzielił się ze mną sobą. A potem wystarczyło kilka fotek na facebookowym profilu jego żony. Może gdyby była tylko ona... Ludziom czasami nie wychodzi. Tak bywa. Rozstają się i zakładają nowe związki. Ale dzieci... Kiedy zobaczyłam na zdjęciu jego dzieci, Zosiu, tak ufnie wtulające się w ojca, który je oszukuje, zrobiło mi się niedobrze. Jak ja mogę im go zabrać, skoro one go potrzebują?

Mokre oczy Kingi patrzyły na mnie z taką rozpaczą, jakby szukały we mnie właściwej odpowiedzi na zadane przez nią pytania. Ale czy była w ogóle jakaś właściwa odpowiedź?

– Rozmawiałaś z nim o tym?

Kinga skinęła głową.

– Powiedział, że nie planował tego. Po prostu się zakochał. Tak jak ja. Wierzę mu, Zosiu, bo nasz związek to nie jest tylko seks. I wcale nie od tego się zaczęło. To jest miłość, której ktoś splatał paskudnego figla. Bo jak można, będąc ojcem dziewięcioletniego chłopca i czteroletniej dziewczynki, po prostu się zakochać w innej kobiecie niż ich matka? Jak można pozwolić sobie ma marzenia, skoro mają być zbudowane na czyjejs krzywdzie?

– Co mu powiedziałaś?

– A co miałam niby powiedzieć? Żeby spadał. Oszukał mnie. Rozbudził we mnie pragnienie czegoś, czego nie mogę mieć. Zranił mnie potwornie. Pokazał mi bombonierkę, która okazała się tylko pustym opakowaniem. Tylko że łatwiej to było powiedzieć, a o wiele trudniej z tym żyć. Codziennie rano budzę się i chce mi się wyć, jak tylko przypomnę sobie, dlaczego nie ma przy mnie Karola. Wstaję i idę do pracy, ale zupełnie nie mam do niej serca. Wracam do domu i wchodzę pod koc, patrząc na telefon i licząc nieodebrane połączenia. Zupełnie się w tym pogubiłam, Zośka.

Współczułam Kindze. Nie potrafiłam jej pomóc, choć serce mięknęło mi z żalu, gdy patrzyłam, jak się miota pomiędzy uczuciem a poczuciem przyzwoitości. Leżąc i wyciszając nospą skurcze, które zaczęły mi dokuczać po dość długim chodzeniu, pomyślałam o sobie i Pawle. Czy potrafiłabym z niego zrezygnować, gdybym dowiedziała się, że ma żonę?

Znałam odpowiedź, bo znałam siebie. Tak zostałam wychowana i słowa babci: „Pamiętaj, Zosieńko, żyj tak, aby nikt przez ciebie nie zapłakał gorzko”, wbiły mi się głęboko w pamięć, stając się nijako moją filozofią. Nie potrafiłabym cieszyć się własnym szczęściem, wiedząc, że wyrwałam je komuś innemu.

„Po prostu chcę, żeby jego żona zniknęła...” – Przypomniałam sobie słowa Kingi i poczułam zimny dreszcz, który przebiegł



nieprzyjemnym mrowieniem po moim ciele.

Czy ktoś kiedykolwiek pomyślał tak o tobie, Julio? I czy taka myśl przeszłaby mi przez głowę, gdybyśmy spotkały się w innym życiu, walcząc o tego samego mężczyznę?

\*\*\*

– Czy ty naprawdę uważasz, że to jest dobry pomysł?

*Julia roześmiała się, a Paweł pomyślał, że dałby się zaprowadzić wszędzie, nie tylko na Czerwone Wierchy, aby tylko móc słyszeć śmiech, który nieśmiało powracał wraz z tą nową Julią, z każdym dniem silniejszą i coraz bardziej pragnącą życia, o którym tutaj, w Tatrach, zaczynała sobie przypominać.*

– A co, panie doktorze, wymiękasz? Nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi. Jeszcze nas chroni cień lasu, ale zobaczysz, jak wejdziemy na skały, dopiero wtedy słoneczko da nam wycisk, a zmęczenie zrobi swoje.

– I tego się właśnie obawiam – mruknął Paweł, wzbudzając tym kolejny wybuch śmiechu Julii.

*Rozsadzała ją energia. Była jak ptak, który rozprostował skulone skrzydła, spragnione lotu. Jeszcze się bała wzbić wysoko, ale pamiętała, że kiedyś to potrafiła.*

– Ja wymiękam? – spytał, próbując wyrównać oddech. – Ja się po prostu martwię o ciebie.

– Wiem. – Podeszła do mężczyzny, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – Gdybyś był inny, byłoby mi łatwiej – szepnęła, a potem odwróciła się i ruszyła przed siebie szybkim marszem.

*Miała dobrą kondycję, dużo lepszą od niego, nawet pomimo ostatnich przejść. On spędzał długie godziny w szpitalu, przemierzając prostokątne korytarze, a Julia codziennie biegała, przetwarzając w głowie wszystkie informacje, które gromadziła, przygotowując reportaż. Lubiła być w ruchu. Powiedziała kiedyś Pawłowi, że to pomaga pozbyć się napięcia i odzyskać trzeźwość myślenia. Bieganie*

*było jej antydepresantem, który zażywała regularnie.*

*Wędrując wraz z Julią po górach, tak dzikich, jak ona sama, Paweł nabierał pewności, że wszystko w ich życiu się ułoży. Wiedział, że wspólnie muszą postawić wiele mozolnych kroków i pokonać dużo takich stopni, jak te skalne progi, ale ta droga, podobnie jak górski szlak, doprowadzi ich do miejsca, w którym oboje poczują pełnię i odnajdą to, czego wciąż poszukiwali.*

*SZEŚĆ...*



W niedzielę Doktorówkę odwiedził dość nieoczekiwany gość.

Wróciliśmy właśnie z kościoła, do którego udało mi się zabrać również i Kingę, od wielu lat przeżywającą kryzys wiary, gdy głośnie ujadanie Neli zawiadomiło domowników o tym, że ktoś się zbliża. Nela szczeękęła ponaglająco, machając przy tym puszystym ogonem, co oznaczało, że był to ktoś, kogo suka znała i rozpoznawała, i z kim

koniecznie chciała się radośnie przywitać.

Joanna wyjrzała ciekawie przez otwarte drzwi, a dostrzegłszy gościa, wybiegła mu naprzeciw z uśmiechem rozjaśniającym jej twarz. Zerknęłam zaintrygowana i rozpoznałam znajomą sylwetkę mężczyzny, którego spotkaliśmy z Pawłem w Lublinie.

– Mariusz! Tak miło cię widzieć! – Joanna otworzyła furtkę i przywitała mężczyznę mocnym przytuleniem.

– Przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem sobie, że wstąpię na kawę. – Mężczyzna odwzajemnił uścisk i pocałował Joannę w policzek. – Pięknie wyglądasz, Joanno.

Moja teściowa zarumieniła się, wyglądając przy tym tak uroczo, że nie mogłam powstrzymać się przed uśmiechem.

– Jak ty to zrobiłeś, że jeszcze jesteś sam? Przecież kobiety cię uwielbiają.

– Ja je też, i dlatego nie mogę się zdecydować na tę jedyną – odpowiedział, wchodząc za Joanną do domu.

Witał się z domownikami tak zażyłe, jakby spędzał w Doktorówce dużo czasu. Bożenkę cmoknął w czoło i przytulił równie serdecznie, jak Joannę. Bartka podniósł do góry i zakręcił się z nim kilkakrotnie, wywołując tym głośny, radosny pisk chłopca, a z Janem uściśnął się po męsku, trwając w tej bliskości chwilę dłużej niż z pozostałymi.

Podchodząc do mnie, wyciągnął rękę.

– Witaj, Zosiu. Miło zobaczyć cię ponownie.

Podaliśmy mu dłoń, czując moc męskiego uścisku, jakim zostałam powitana.

– Dzień dobry – odpowiedziałam i przesunęłam się, aby zrobić miejsce stojącej za mną Kindze. – Moja przyjaciółka, Kinga.

– Cześć. Jestem Mariusz. Przyjaciółka męża Zosi.

Kinga podała mężczyźnie swoją dłoń zakończoną długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami.

– Kinga. Przyjaciółka Zosi.

Przez chwilę wydawało mi się, że w jej oczach zauważyłam błysk zainteresowania, ale trwało to tak krótko, że mogło mi się po prostu wydawać.

W domu zapanowało niemal świąteczne poruszenie, a Doktorówka

ożyła, rozbrzmiewając dźwiękiem porcelanowych talerzyków i filiżanek, zapachem świeżo parzonej kawy i gwarem rozmowy, który wypełnił ściany jadalni. Kroiłam ciasto i podpatrywałam tą spontaniczną radość, jaka zawitała tutaj wraz z bratem Julii.

Bez wątpienia Mariusz był tutaj lubiany. Miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że chciało się z nim przebywać. Stawiając na stole sernik pod bezową pianką, pomyślałam, że Mariusz przyjechał w najwłaściwszym czasie. Nie tylko odciągnął swoją obecnością myśli Kingi od smutków Warszawy i komórki, w którą wciąż się wpatrywała, licząc nieodebrane wiadomości, ale również dał Doktorówce szansę na odczarowanie atmosfery skażonej całkiem niedawną obecnością ciotki Klary.

Przy bliższym poznaniu Mariusz wzbudzał jeszcze większą sympatię, a jego spokojny, opanowany, lecz nie flegmatyczny głos sprawiał, że przebywając z nim, odczuwało się kojące wyciszenie i chciało się go słuchać, chłonąc każde słowo.

Zauważyłam, że zaczarował nawet Kingę, która bez skrupowania wpatrywała się w mężczyznę jak małe dziecko w ciastko z kremem.

Uśmiechałam się w chwili, gdy przechwyciłam spojrzenie Mariusza. Odwzajemnił ten uśmiech, dając mi do zrozumienia, że moja obecność tutaj nie stanowi dla niego problemu.

– A czy to prawda, wujku, że widziałeś prawdziwego słonia? – Bartek siedział blisko Mariusza i pomyślałam, że gdyby mógł, wdrapałby się mu na kolana. Uważnie słuchał opowieści mężczyzny o ostatniej podróży do Kenii, zapamiętując każde słowo i domagając się szczegółów.

– Widziałem nie tylko prawdziwego słonia, ale i małpy, i żyrafy, a nawet lwa! – Mówiąc to, zaryczał głośno, a Bartek odchylił się na krześle, zanosząc się śmiechem.

Patrzyłam, jak chłopiec łągnie do mężczyzny, i myślałam chyba to samo, co Bożenka, której ciemne oczy posmutniały. Bartek bardzo potrzebował ojca. Pomimo całej miłości, jaką otrzymywał od dziadków, i starań Bożeny, aby jej syn w niczym nie czuł się gorszy od swoich rówieśników, była w jego sercu wyrwa, którą zapełnić mógł tylko ojciec.

– Skąd się biorą tacy faceci? – szepnęła mi do ucha Kinga, kręcąc

się na krześle jak uczeń przed stresującą lekcją.

– Z dobrych baśni, w które wierzą grzeczne dziewczynki – odszepnęłam, myśląc sobie, jaką jestem szczęściarą, bo Paweł ulepiony był dokładnie z tej samej gliny, co Mariusz.

Kinga skrzywiła się.

– Widocznie ja czytałam te niewłaściwe, bo za każdym razem trafiam na jakichś wybrakowanych królewiczów.

Nie mogłam nie przyznać jej racji ani w żaden inny sposób jej pocieszyć.

Przed obiadem spotkałam się sam na sam z Mariuszem na werandzie wychodzącej wprost na ogród, która stała się moim ulubionym miejscem odpoczynku. Lubiłam tu siedzieć, otulona kocem, wpatrując się w ażurowe wzorki słonecznych promieni przeciskających się przez wyrzeźbioną balustradę i chroniący przed wiatrem i ostrym słońcem drewniany okap. W niektórych jego oczkach zadomowiły się małe pajęczki; tkwały jedwabną sieć, w którą łapały się pobudzone wiosną muchy. Nie przeszkadzała mi samotność. Kinga wybrała się na rundkę po galeriach sztuki, które mimo niedzieli były pootwierane, zapraszając do wstąpienia do środka i zakupienia dzieła jednego z okolicznych artystów. Bożenka z Joanną zajęły się przygotowaniem obiadu, przeganiając mnie z kuchni i zalecając odpoczynek, a Jan z Bartkiem i Nelą poszli pospacerować nad Wisłę, aby omówić jakieś swoje, męskie sprawy. Byłam pewna, że Mariusz im towarzyszy, więc na dźwięk jego głosu drgnęłam zaniepokojona.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Uśmiechnęłam się dając mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

– Mogę się przysiąść?

– Proszę. – Wskazałam wiklinowy fotel stojący po drugiej stronie również wiklinowego stolika.

– Julka też lubiła to miejsce. Mogła godzinami wpatrywać się w ogród, wymyślając w głowie te wszystkie swoje tematy, które potem w różny sposób utrwałała.

Słuchałam głosu Mariusza i bałam się, żeby mój fotel nie zaskrzypiał i nie przerwał słów, których byłam tak bardzo ciekawa.

– Myślę, że polubiłybyście się.

Odwrociłam głowę i spojrzałam prosto w ciemne i szczerze oczy mężczyzny. Nie chciał mnie zranić, wiedziałam o tym i byłam mu wdzięczna za to, że mówił o Julii tak naturalnie, nie urywając zdania w pół słowa i nie zasłaniając się murem milczenia.

– Tak niewiele o niej wiem – powiedziałam cicho, kierując te słowa w stronę ogrodu i przelatującej sikorki.

– Wiem. Między innymi dlatego tu jestem. Paweł zadzwonił do mnie i poprosił, abym ci to przywiózł. To jej artykuły. Niektóre czytała na antenie w czasie swoich audycji, inne wplatała w reportaże, a część była drukowana regularnie w jednej z lubelskich gazet. Lubiła pisać o tym, co dostrzegła w codzienności. Z tych tekstów dowiesz się, jaka była.

Podał mi grubą, papierową teczkę. Sięgnęłam po nią z drżeniem serca i przytuliłam do siebie jak skarb.

– Paweł nie chce rozmawiać ze mną o Julii. – Słowa, które mi się wyrwały, były jak skarga małego dziecka szukającego wytłumaczenia.

– Paweł z nikim nie chce o niej rozmawiać. Tak już jest. – Głos Mariusza był spokojny. – Nie bierz tego, Zosiu, do siebie. On musi pewne sprawy przepracować, a to nie jest łatwe.

– Bardzo ją kochał, prawda? – Patrzyłam na Mariusza wyczekująco. Sama nie wiem, co chciałam wyczytać z jego twarzy i co usłyszeć. Z czym poczułabym się lepiej, z kłamstwem, czy z prawdą?

– Julki nie można było nie kochać. Miała w sobie tyle wdzięku... Na każdego znalazła sposób, potrafiła docierać do ludzi. To nie była młodzięcza miłość, Zosiu. Paweł i Julka poznali się, gdy oboje byli już po trzydziestce. Dojrzałość smakuje inaczej niż szaleństwo młodości.

Tyle pytań chciałam mu zadać, o tyle rzeczy zapytać. Wiedziałam jednak, że z lojalności wobec Pawła Mariusz nie powie mi wszystkiego. Był uroczym dyplomata i chyba właśnie dlatego zjednywał sobie sympatię ludzi.

– Powiesz mi, jak zginęła Julia?

Zapatrzył się przed siebie, w dal, poza rzeczywistość, która nas otaczała. Był w tej chwili w innym świecie i w innym wymiarze. Być może szukał odpowiednich zdań wśród tych, które zapamiętał. Dotykał

rany, która dopiero się zabiźniła, a którą znów musiał naruszyć, wracając do tego, od czego wszyscy uciekali.

– Był koniec września. Julka od kilku tygodni była w kiepskiej formie, Paweł zrobił więc to, co zawsze wyciągało ją z czarnych dziur, w jakie czasami wpadała – zabrał ją w góry. Julka kochała Tatry. Tam odżywała, stamtąd czerpała swoją siłę i po każdej wyprawie na nowo mocno stawiała na nogach. Jadąc tam z nią, Paweł miał nadzieję, że wróci odmieniona, radośniejsza, silniejsza.

Zadrżałam. Teraz żałowałam, że go spytałam o przeszłość, ale było za późno, aby powstrzymać lawinę słów...

– Tamtego dnia pogoda nie była najlepsza. W nocy padało, szlaki były błotniste i śliskie. Julka jednak się uparła. Wyruszyli wcześniej rano, chcąc wykorzystać jasne godziny dnia. Weszli na Kasprowy Wierch, a z niego skierowali się na Świnicę. To było szaleństwo, ale Julka taka właśnie była. Żyła łapczywie i wykorzystywała każdą chwilę, którą udawało się jej pochwycić. Nie zawróciła, bo nigdy się nie poddawała. Ale popełniła błąd. Wystarczył jeden nierozważny krok... Zginęła na Zawracie. To dlatego Paweł nie chce o tym rozmawiać. On tam był, razem z nią. A jednak nie zdołał jej ochronić. Nie mógł zrobić nic. Po prostu nic, Zosiu.

Ukryłam twarz w dłoniach, chcąc zasłonić łzy, które niepostrzeżenie zaczęły wymykać się spod zaciśniętych powiek. Wiedziałam już, dlaczego Paweł kulił się za każdym razem, kiedy pytałam o Julię. Znałam mojego męża. Żył z poczuciem winy wobec kobiety, której nie był w stanie uratować. Nosił te emocje w sobie każdego dnia, a ucieczką stało się milczenie, które nieświadomie przerwałam. Chciałam mu pomóc, nie wiedziałam jednak jak, bałam się, że rana na nowo się rozjątrzy. Wierzyłam tylko, że Kruszyńka, którą nosiłam pod sercem, da mu siłę do zmierzenia się z demonami przeszłości, z którymi wcześniej czy później będzie musiał stanąć twarzą w twarz, i wniesie w nasze życie nadzieję, że można budować nawet na ruinach, wychodząc z ciężkiego mroku w stronę jasnej strony życia, przeblaskującej gdzieś na horyzoncie.



\*\*\*

– Zauważyłaś, że w domu twoich teściów prawie w każdym pomieszczeniu są misy pełne jabłek? – Kinga przystanęła zaspana, próbując wyrównać przyśpieszony oddech.

W poniedziałkowe przedpołudnie wędrowaliśmy na Górę Trzech Krzyży. To był pomysł mojej przyjaciółki. „Wyczytałam o tym wzgórzu w przewodniku i chcę się przekonać na własne oczy, czy widok stamtąd jest tak imponujący, jak twierdzą autorzy broszury” – zawiadomiła mnie Kinga w niedzielny wieczór. Tą uwagą wzbudziła moje zainteresowanie. A teraz mozolnie wspinałyśmy się po kamiennych schodach, wdychając zapach towarzyszącej nam wiosny.

Uwaga Kingi uświadomiła mi, że nie poznałam jeszcze dobrze zwyczajów Doktorówki. Jej domownicy wciąż mnie czymś zaskakiwali.

– Rzeczywiście – odpowiedziałam, mając przed oczami misy i patery z owocami, obecne w kuchni, na tarasie i w niektórych pokojach.

– Myślałam, że to tak z troski o ciebie. Mama doktorka bardzo o ciebie dba. Aż ci zazdroszczę – westchnęła Kinga, powoli ruszając przed siebie.

– To się nazywa rodzina. Taka, jakiej żadna z nas nigdy nie miała. – Mijałam porastające zbocze drzewa i przyglądałam się w zadziwieniu zielonym listkom, rozwijającym się z malutkich supełków, które jeszcze tydzień temu były ledwie widoczne.

– Szczęściara z ciebie. Dostałaś od losu nie tylko kochającego męża, który naprawdę cię szanuje, ale jeszcze fajnych teściów ze szwagierką w pakiecie. Powiedz mi, Zosiu, czy ja kiedykolwiek doświadczę czegoś podobnego?

Kinga odwróciła się i spojrzała na mnie tak, że serce mi się ścisnęło z żalu i współczucia.

– Pamiętasz, co mówiła moja babcia o marzeniach?

– Że sami je przyciągamy lub się przed nimi zamykamy.

– I że prawdziwa siła do ich realizacji tak naprawdę jest w nas – dorzuciłam, przypominając sobie niedzielne popołudnia i rozmowy

z babcią przy herbacie i kawałku domowego ciasta. – Od nas zależy, czy chcemy wyjść krok naprzód, czy też cofamy się przed tym, co przynosi nam życie, bo przecież ze zwykłej codzienności wyłuskujemy to, co najcenniejsze.

– No to wyłuskałam... – wtrąciła ponuro Kinga. – Miłość mojego życia i marzenie, któremu wyszłam naprzeciw. I co? Dostałam ekstra dwójkę dzieci i żonę, a o to wcale nie prosiłam. Kup jedno, a drugie weź za pół ceny! Dziękuję, nadmiar szkodzi.

Wiedziałam, że pod tymi słowami kryje się ogromna bezradność młodej kobiety uwikłanej w emocjonalne uzależnienie od mężczyzny, który bezmyślnie wplątał ją w układ bez wyjścia.

– Jeżeli on sam nie zdecyduje się zniknąć z twojego życia, sama w Warszawie nie obronisz się przed tym i wpadniesz w pajęczynę jak te ogłupiałe po zimie muchy.

– Już wpadłam, Zosiu. Jedyńm wyjściem byłaby przeprowadzka, choćby tutaj, albo wycięcie sobie głupiego serca, które trzepocze, gdy tylko wymówię jego imię albo o nim pomyślę.

– Nie pakuj się w to, Kinga. Proszę cię.

Kinga przymknęła oczy i pokręciła głową.

– Weszłam w bagniste błoto, Zosiu, i już nie potrafię się stamtąd wydostać. A grząski grunt wciąga mnie coraz głębiej. Boję się samej siebie.

Podeszłam do przyjaciółki i mocno ją objęłam. Wtuliła się we mnie jak dziecko, szukając ciepła i pocieszenia, a może również nadziei, której w tej sytuacji nie mogłam jej dać.

– A może wyjedź z Mariuszem do Indii. Słyszałaś, wybiera się tam za kilka tygodni – rzuciłam, chcąc oderwać myśli Kingi od warszawskich rozterek.

– Pocięło cię? Do Indii?

– Sama mówiłaś, że potrzebujesz zmiany. I że Mariusz to fajne ciacho. – Puściłam oko do Kingi, prowokując ją do podjęcia tematu innego niż toksyczna miłość.

– Zupełnie nie był mną zainteresowany. A poza tym po co miałabym wyjeżdżać do Indii?

– Bo nigdy tam nie byłaś? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– W wielu miejscach nigdy nie byłam.

– No to może najwyższy czas, aby to zmienić? – zasugerowałam. – Wybierz się w podróż życia i wyjedź tam, gdzie dotąd nie byłaś. Spędź trochę czasu z innymi ludźmi, popatrz, jak żyją i co jest dla nich ważne. Kinga, tak naprawdę ty nie uciekasz przed Karolem, ale przed samą sobą. Potrzebny ci inny kawałek nieba, na który spojrzysz z innej długości i szerokości geograficznej.

– Myślisz, że jak pojedę kopać studnie do Afryki, to przestanie tak boleć?

– Myślę, że każde doświadczenie czegoś nas uczy.

– Niewątpliwie moje doświadczenia z facetami nauczyły mnie tego, aby nigdy im nie ufać, bo prędzej czy później zrobią coś takiego, że... O rany! Zośka, jak tu pięknie! – Kinga wdrapała się właśnie na szczyt wzgórza i zachwycała rozciągającym się stąd widokiem.

Miałyśmy u stóp cały Kazimierz. Wisła widziana z tej perspektywy wyglądała jak pozwijana wstążka o błękitnym odcieniu rzymskiego poranka. Trzy wysokie, drewniane krzyże upamiętniały ofiary cholery, jaka niegdyś panowała na tych terenach. Paweł powiedział mi, że przywodzące na myśl Golgotę krzyże postawiono tu w tysiąc siedemset ósmym roku. Od tego czasu stały niewzruszone, spoglądając, podobnie jak my teraz, w cichej zadumie na miasteczko i okolice, strzegąc tego miejsca tak tłumnie odwiedzanego przez turystów. Czerwone dachy kazimierskich kamienic dumnie prezentowały się na tle tego malowniczego pejzażu, a pobielane ściany wyróżniały się schludnością i artystycznym pięknem, którego Kazimierzowi nie brakowało.

– Ja tu zostaję. – Kinga stała na zboczu, chłonąc całą sobą panoramę utkaną z przeróżnych wzorów i kolorów.

– Nie podglądaj życia przez lornetkę, tylko zbliż się do tego, czemu chcesz się przyjrzeć.

– To ty czy babcia? – Przyjaciółka spojrzała na mnie przelotnie, a potem odwróciła głowę, chcąc zapamiętać każdy szczegół.

– Już sama nie wiem. Czasami coś przychodzi mi do głowy, a nie mam pojęcia, czy to ona mi coś podszeptuje, czy po prostu zapamiętałam to z naszych rozmów. Wiem tylko, że to ona powiedziała, że bezsilność jest oznaką niskiego poczucia własnej wartości. Jesteś fantastyczną

babką, Kinga, i zawsze doskonale sama sobie radziłaś ze wszystkim. Teraz też sobie poradzisz, tylko nie możesz zapomnieć o swojej wartości ani godności. Żadne rozwiązanie nie będzie bezbolesne, ale pomyśl o tym, że jeśli ulegniesz i będziesz z Karolem, skrzywdzisz nie tylko trzy niewinne osoby, ale i samą siebie. Znam cię i wiem, że nawet jak on z tobą zostanie, nie będziesz potrafiła spojrzeć sobie w oczy, bo to cię będzie uwierało. Każdego dnia będziesz budziła się z poczuciem, że kogoś skrzywdziłaś, i nie będziesz szczęśliwa, wiedząc, że tak naprawdę to szczęście komuś wyrwałaś. Nie osądzam cię, bo nie mam takiego prawa. Jakąkolwiek podejmiesz decyzję i tak będę w twoim życiu, chyba że mnie z niego wyrzucisz. Ale zależy mi na tobie i chciałabym, żebyś znalazła swoją bezpieczną przystań przy boku kogoś, kto da ci wszystko, a nie tylko marne resztki.

– Dobrze, że jesteś, Zosiu. – Oczy Kingi były mokre od łez. Pozwoliłam jej na chwilę oczyszczenia, której bardzo potrzebowała. Wraz ze szlochem wyrzucała z siebie różne złudne nadzieje, zbierając siły, aby odnaleźć w tym wszystkim sens i odszukać drogę w labiryncie, w którym się pogubiła.

Schodziłyśmy w milczeniu, chłonąc w siebie ciszę opustoszałego o tej porze wzgórza.

W dół szłam z pochyloną głową, uważając na każdy krok, by nie zaliczyć niepotrzebnego upadku, dlatego nie zauważyłam zakapturzonej postaci idącej w przeciwną stronę. Nim dostrzegłam stopy, było już za późno na cofnięcie się czy zejście na bok. Poczułam tylko, jak wpadam na kogoś, tracę równowagę i lecę do tyłu. Nie upadłam jednak, bo czyjeś mocne ramiona przytrzymały mnie, a ja, wtulona w nieznanego, próbowałam uspokoić serce, które biło tak szybko, jakby za chwilę miało wyskoczyć.

– Wiem, że osobistego wdzięku nie można mi odmówić, ale żeby zaraz pchać mi się w ramiona? – Usłyszałam znajomy głos, a kiedy podniosłam głowę, spojrzałam prosto w niebieskie oczy Mikołaja.

– Przepraszam – wyszeptałam. – Nie zauważyłam cię.

– Całkiem ci odbiło, żeby w ciąży pchać się na Górę Trzech Krzyży? – W tonie głosu Mikołaja wyczułam typową dla niego ironię. Pierwsze zaskoczenie minęło i mój szwagier zdążył już nałożyć maskę,

za którą z jakiegoś powodu chronił się przed światem.

– Przecież tu nie jest stromo, a Zosia doskonale się w tej ciąży czuje. – Kinga pojawiła się tuż przy mnie, gotowa stanąć w mojej obronie. – A w zasadzie to z kim mamy przyjemność?

Mikołaj uniósł jeden kącik ust w półuśmiechu i zmierzył Kingę uważnym spojrzeniem.

– A ta pyskata to kto, koleżanka?

– Nie twój interes – szybko odpowiedziała Kinga, biorąc mnie pod ramię i odciągając na bok.

– To jest... brat Pawła – powiedziałam, czując już, że odzyskałam miarowy rytm serca i oddechu. Uścisk Kingi na moim ramieniu zelżał.

– Znaczy... twój szwagier.

Mikołaj pokręcił głową, sprawiając tym samym, że kaptur się obsunął, odsłaniając zmierzwione blond włosy i twarz mężczyzny, na której dostrzegłam kilkudniowy zarost.

– Brawo dla koleżanki! Dość bystra. Zakładam, że skoro łązicie tu same, mój braciszek pracuje jak mróweczka w tej swojej stolicy, do której zwiął...

Chciał mnie wyprowadzić z równowagi, wiedziałam o tym, ale nie zamierzałam dać mu powodu do satysfakcji.

– Paweł przed nikim nie ucieka, bo nie musi. Za to ty nie masz w sobie za grosz odwagi. Schowałeś się za spódnicą Romki i nawet nie znajdujesz w sobie dość przyzwoitości, aby szczerze porozmawiać z własną żoną.

Oczy Mikołaja pociemniały gniewnie.

– Co ty możesz wiedzieć o naszym życiu, dziewczynko? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Uwiłaś ciepłutkie gniazdko Pawłowi, więc zajmij się nim, bo on bardzo potrzebuje utulenia. A w cudze sprawy nie wtykaj nosa, bo ktoś ci go może utrzyć, a wtedy zaboli.

Wyminał mnie, zarzucił na głowę kaptur i ruszył szybko przed siebie z rękami wbitymi w kieszenie.

Zostałyśmy same w ciszy, która była jednym wielkim znakiem zapytania.

– No, wow, ten to dopiero ma temperament. Wymiata wszystkich.  
– Kinga otrząsnęła się pierwsza. – Że tak spytam, ma coś osobiście do

ciebie, czy tak ogólnie nie lubi ludzi?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze go nie rozgryzłam, ale raczej ma coś do całej rodziny. A najbardziej czepia się Pawła, tylko zupełnie nie mam pojęcia, co między nimi zaszło. Bo coś musiało.

– Myślisz, że kobieta?

Pytanie Kingi rzucone mimochodem sprawiło, że aż przystanąłam, opierając się odruchowo o pień drzewa. Co takiego się wydarzyło, że dwaj bracia, których dziecięcą zażyłość widziałam na zdjęciach, teraz nie potrafili stanąć naprzeciw sobie jak rodzeństwo? Czyżby rzeczywiście poróżniła ich kobieta? A jeśli tak, to która? Tajemnicza Julia? Bożenka? A może Romka?

– Dobrze się czujesz? – Kinga podeszła do mnie i zaniepokojona spojrzała mi w oczy.

– Jest okej – odpowiedziałam, oddychając głęboko. – Przez moment zrobiło mi się słabo, ale już jest dobrze. Chodźmy.

Kinga nie była chyba do końca przekonana, bo trzymała się blisko mnie, niemalże depcząc mi po piętach.

– Kurczę, Zośka, a mówiłam ci, że będziesz jeszcze miała przez tego doktora kłopoty.

Nie odpowiedziałam, nie chcąc się wdawać w dyskusję, w której mogłoby paść o jedno słowo za dużo. Nie było to potrzebne ani Kingie, ani mnie. Ufałam Pawłowi, a po rozmowie z bratem Julii wiedziałam, że mój mąż ma prawo do milczenia, za którym się schronił. Żył z poczuciem winy, z której nikt oprócz niego samego nie był w stanie go rozgrzeszyć. Po tym wszystkim, czego dowiedziałam się tutaj, w Kazimierzu, z całego serca pragnęłam, aby nasze dziecko stało się dla Pawła odrodzeniem i aby pozwoliło mu uwierzyć, że ma prawo do tego, aby być, tak po prostu, szczęśliwym.

\*\*\*

– Stęskniłem się!

Nie mógł zobaczyć uśmiechu, który pojawił się na mojej twarzy, ale wyczuł go w moim głosie.

– Ja też tęsknię za tobą, kochanie. I z każdym dniem coraz bardziej uzależniam się od Kazimierza.

Prowokowałam go, chcąc usłyszeć po drugiej stronie słuchawki śmiech. Udało mi się i potraktowałam to jako jeden z maleńkich kroczków w stronę ocalenia Pawła przed... Pawłem.

– Wybacz zatem, kochanie, że zakłócę twój sielsko -anielski spokój, ale kończy się twoje zwolnienie. Obiecałem ci, że w drugim trymestrze, jeśli będziesz czuła się na siłach, wrócisz do pracy, i nie chciałbym, abyś zarzuciła mi, że nie dotrzymuję słowa.

Przypomniałam sobie naszą rozmowę, którą odbyliśmy zaledwie miesiąc temu.

Cztery tygodnie, a tyle się przez ten czas wydarzyło. Moja praca stała się odległa jak lata świetlne, a dobro naszego dziecka, które nabrało realnych kształtów, stało się w tej chwili dla mnie wartością nadrzędną.

– Doceniam prawość twojego charakteru, skarbie, ale nie czuję się na tyle dobrze, aby być gotowa wejść z naszą Kruszyneką w tłum rozbieganych i rozkrzyczanych dzieci. Zdecydowanie nasze dziecko zasługuje na spokój i świeże powietrze Kazimierza, nie będę więc go narażać na powrót do miasta pełnego spalin, nerwowości i wiecznego pośpiechu – powtórzyłam słowa Pawła, z którymi jeszcze niedawno nie chciałam się zgodzić.

– No proszę, jak zmieniają się priorytety kobiety ciężarnej – westchnął teatralnie, ale w jego głosie usłyszałam pogodny ton. – W takim razie pod koniec tygodnia pojedziesz z mamą do przychodni i zrobisz podstawowe badania, a ja umówię się na wizytę u doktora Banasika i przedłużę twoje zwolnienie.

– Wiedziałam, że znajdziesz najwłaściwsze rozwiązanie.

– Kokietka!

Roześmiałam się. Jak dobrze było słyszeć mojego dawnego Pawła, od którego nie rozdzielały mnie labirynty tajemnic i niedopowiedzeń.

– A jakie wrażenie zrobił Kazimierz na Kindze?

– Zauroczył ją. Rozważa nawet przeprowadzkę.

– Obawiam się, że z jej temperamentem nie wytrzymałaby tam

dłużej niż miesiąc. – Przez pół roku naszego małżeństwa Paweł zdążył już dobrze poznać moją przyjaciółkę.

– Kto wie... – odpowiedziałam tajemniczo. – W końcu ludzie się zmieniają, a w pewnym wieku dojrzewają do życiowych decyzji. A wiesz, że mieliśmy gościa w niedzielę?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza i przez chwilę sądziłam nawet, że straciłam zasięg. Jednak po dwukrotnym moim „halo” Paweł odezwał się cicho.

– Poprosiłem Mariusza, aby przywiózł ci te artykuły, bo nie chcę, byś myślała, Zosiu, że ukryłem Julię przed tobą. Obiecałem ci, że odpowiem na każde twoje pytanie, ale wcześniej chciałbym, byś poznała ją poprzez to, co po sobie zostawiła. W tych tekstach jest Julia taka, jaką była. Taka, jaką kochali ją słuchacze.

– Dziękuję.

Wiedziałam, że ten telefon do Mariusza i jego wizyta były wyciągniętą ręką Pawła i komunikatem, że naprawdę mu na mnie zależy. Umiałam to docenić i ufałam mu bez względu na wątpliwości, jakie na kazimierskich ścieżkach niejednokrotnie zaglądały mi w oczy.

– Zosiu, chciałbym, abyś wiedziała...

– Ale ja wiem, kochanie.

Nie chciałam, by teraz wracał do przeszłości. Nie chciałam zostawić go samego w Warszawie z ranami, które nieświadomie rozdrapałam w Lublinie. Potrzebowaliśmy rozmowy, ale takiej twarzą w twarz, ze splecionymi dłońmi i bliskością, jakiej oboje pragnęliśmy. Dzisiejszy wieczór to nie był dobry moment, by roztrząsać przeszłość.

– Wytrzymasz jeszcze trochę beze mnie? W najbliższy weekend mam dyżur i nie będę mógł przyjechać. – Głos Pawła posmutniał, a nutki tęsknoty, które w nim wybrzmiały, spowodowały, że zapragnęłam go przytulić. Miałam jednak tylko łączący nas sygnał i telefon komórkowy, który mocno przyciskałam do ucha, wyobrażając sobie, że wtulam się w nagi tors Pawła.

– Wytrzymam. Ale tęsknię i czekam na ciebie.

– Przyjadę, Zosieńko, jak tylko pozałatwiam sprawy związane z twoim zwolnieniem. Do twojej pracy też je zaniosę i delikatnie zawiadomię, że prawdopodobnie do końca ciąży nie wrócisz. Pamiętaj



tylko o badaniach!

– Jestem pewna, że twoja mama nie pozwoli mi o nich zapomnieć. Dbaj o siebie, jedz regularnie i wysypiaj się, póki jeszcze możesz.

Śmiech Pawła był tym, czego w tej chwili najbardziej potrzebowałam.

– Kocham cię, Zosiu.

– Ja też cię kocham.

Telefon zamilkł, a ja poczułam przejmującą pustkę. Brakowało mi Pawła. Brakowało mi tych dni, kiedy w naszej wspólnej codzienności ocieraliśmy się o siebie i dotykaliśmy w pośpiechu lub rzadkich chwilach odpoczynku. Brakowało mi jego fizycznej obecności i przytulenia. Zapachu, który długo nie znikał z koszul, i spojrzenia, które roztopiało moje smutki.

Spojrzałam na zdjęcie stojące na nocnej szafce, tuż obok mojego łóżka. Nie mogłam się powstrzymać i dotknęłam palcem zimnej szybki, pod którą mój Paweł uśmiechał się do mnie z tą swoją łagodnością wypisaną w oczach i rysach twarzy. Chciałam być dzielna, więc też się do niego uśmiechnęłam, a potem sięgnęłam po grubą szarą kopertę, którą dostałam od Mariusza, i wsunęłam do niej drżącą dłoń z zamiarem wyciągnięcia spiętych kartek z tekstem pierwszego artykułu.

*Ponad nami szumi czas. Przesypuje się jak ziarenka piasku, opadając zużytymi minutami i godzinami jak suche liście z jesiennych drzew. Minione dni niczym miękki mech łagodzą ostre kany rzeczywistości, ucząc nas, że wszystko przemija bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy coś lub kogoś zatrzymać na dłużej, na lata, na zawsze...*

*Przeszłość, którą staje się każde wczoraj, tęsknie ogląda się za siebie, bez nadziei jednak, że człowiek uczy się na błędach. Człowiek szybko zapomina, choć wydaje mu się, że będzie pamiętał.*

*Wokół nas przechadza się czas, odmierzając dni i noce ludzkiego życia. To nie on pędzi, tylko my, próbując zdążyć z tyłoma rzeczami naraz. Czas daje nam czas na wszystko, my zaś niejednokrotnie nie potrafimy tego uszanować, planując po swojemu. Chcemy mieć nad wszystkim kontrolę i sami rozdawać karty. Chcemy dyktować czasowi,*

*kiedy ma się zatrzymać, a kiedy przyspieszyć. Oganiamy się od niego, gdy nagle robi się go za dużo i gdy dzień wydłuża się pustką odbijającą się jedynie od opatrzonych ścian... Błagamy, by tak szybko nie zabierał nam cennych minut, gdy każda z nich staje się na wagę złota. A on przygląda się naszym wysiłkom ze zdziwieniem, nie potrafiąc pojąć, dlaczego ludzie są tak niecierpliwi i dlaczego brakuje im pokory. Przecież każdemu daje po równo, dwadzieścia cztery godziny każdego dnia. Jedynie lata rozdziela po swojemu, jednym dodając, drugim ujmując, według siebie tylko znanemu systemowi wyliczeń...*

Odłożyłam kartkę. Serce waliło mi jak młotem. Czułam się trochę tak, jakbym czytała czyjeś prywatne zapiski albo przeglądała osobisty pamiętnik przechowywany gdzieś na dnie szuflady. Julia, której tak naprawdę nigdy nie znałam, zaczynała dla mnie żyć i stała się tak wyraźna, jakby siedziała tuż obok mnie. Poprzez słowa, w których się zanurzałam, pozwalała mi odkrywać swoje myśli, dopuszczając tak blisko, jak nigdy dotąd.

Z wypiekami na twarzy, spoglądając przelotnie na cienie rzucane na ścianę przez nocną lampkę, sięgnęłam po kolejną kartkę, wiedząc, że dzisiaj długo nie zasnę, uwiedziona słowami kobiety, której śladami nieświadomie podążałam...

\*\*\*

Kinga wyjechała, a ja znów snułam się po domu, nie mogąc w nim znaleźć swojego miejsca.

Odprowadziłam moją przyjaciółkę na przystanek, myśląc o czasie tak obrazowo opisanym przez Julię i o przesypujących się między naszymi palcami godzinach, które nieustannie nas ku czemuś prowadzą. Julia pisała ten tekst zupełnie nieświadoma, że jej życie zostanie nagle przerwane. Tym bardziej wymowne stawały się zdania, które zapadły już we mnie głęboko.

– Wiesz, Zosiu, wyjeżdżam stąd silniejsza. I bez lęku, z jakim tu przyjechałam. – Kinga z ociąganiem maszerowała w stronę przystanku busa mającego zawieźć ją do Puław, a stamtąd do Warszawy.

– Dasz radę ze wszystkim, musisz się tylko zdecydować, czego tak naprawdę chcesz. Możesz utknąć przy Karolu, a wtedy twoje życie stanie się wiecznym czekaniem na resztki jego czasu i okruchy, które zechce ci podarować. Zgorzkniesz w tym czekaniu i zestarzejesz się, ale będziesz miała swoje dziesięć minut szczęścia.

– Złośliwa jesteś. – Kinga spojrzała na mnie spod niesfornej grzywki.

– Nie. Po prostu szczerą. Sama zresztą wiesz, że mam rację.

– No wiem – westchnęła. – Masz dla mnie jakąś bardziej optymistyczną alternatywę?

– Zmień coś. Utknęłaś w monotonii zdarzeń i dlatego zafascynował cię Karol. Był nowością, wiedział, jak cię zaczarować. Zamiast biernie obserwować życie zrób coś sama. Nie marudź i nie czekaj, tylko wyjdź naprzeciw ludziom i sytuacjom, które zawsze cię dokądś doprowadzą.

– Myślisz, że jak będę maszerować ulicami Warszawy, na których nigdy wcześniej nie byłam, to spotkam kogoś takiego, jak twój Paweł?

Roześmiałam się.

– Nie, bo mój Paweł jest wyjątkowy! Ale kiedy wyjdiesz poza ramy swojej codzienności, będziesz miała szansę przeżyć coś innego, coś, dzięki czemu poczujesz, że życie naprawdę ma smak i barwy niekoniecznie szaro-bure.

– Zośka, przecież ja wyszłam poza ramy codzienności! Przyjechałam do Kazimierza! A zupełnie nową sytuacją jest dla mnie to, że moja przyjaciółka będzie miała dziecko! Takiego małego wrzeszczącego potworka, który zajmie cały jej czas i zabierze mi moją Zosię.

Pokręciłam głową. To była cała Kinga. Niby pyskata i przebojowa, a w rzeczywistości wrażliwa i krucha, ukryta pod pancierzem pewności siebie, której tak naprawdę często jej brakowało.

Pożegnałyśmy się mocnym uściskiem, który nie potrzebował słów.

– Jak zatęsknisz, przyjeżdżaj – szepnęłam tylko, a Kinga skinęła głową i odwróciła się szybko, nie chcąc pokazać łyzy słabości, która

wymknęła się nieproszona spod powieki.

Wróciłam do domu, dziś wypełnionego pustką, szczególnie rażącą dla mnie po intensywnych ostatnich dniach, kiedy pokoje przesycone były ludzką obecnością, a sama Doktorówka rozbrzmiewała głosami. Szukałam podświadomie śladów Pawła i Kingi, ale natykałam się tylko na milczenie albo ciche pochrapywanie Neli. Nawet Julia gdzieś się przede mną schowała, jakby nakłaniała mnie do poszukiwań. Nie podjęłam ich jednak, zaintrygowana podśpiewywaniem dobiegającym od strony bramy wjazdowej. Wyjrzałam przez uchylone kuchenne okno i uśmiechnęłam się na widok znajomej postaci, którą dziś chyba posłały do mnie anioły. Romka!

Wybiegłam jej na spotkanie z radością dziecka, które wita dorosłego z nadzieją, że dostanie prezent.

– Idziesz do nas czy tylko tędy przechodzisz? – spytałam, kiedy dobiegłam do furki, przy której zatrzymała się Romka.

Spojrzała na mnie oczami, w których była niepewność, i spróbowała się uśmiechnąć.

– Joanna zadzwoniła dziś rano i poprosiła mnie, bym przyszła pomóc w ogrodzie. – Romana odpowiedziała na moje pytanie, wchodząc na teren posesji.

– Jednym słowem Joanna posłała po posiłki – mruknęłam, po czym, niewiele myśląc, podeszłam do Romki i mocno ją przytuliłam. – Ale bardzo się cieszę, że przyszaś. Dom tak nagle opustoszał, a ja nie mogę znaleźć sobie miejsca.

– To pomożesz w ogrodzie, dobrze? – Romana, ośmielona moim powitaniem, pewnie skierowała się w stronę domu.

Ruszyłam za nią, ciesząc się jej obecnością i intymnością naszego spotkania w cztery oczy. Lubiłam Romkę i nie oceniałam jej, choć inni pewnie to robili. Być może było mi łatwiej, bo nie byłam w to wszystko osobiście zaangażowana, a może po prostu chciałam ją zrozumieć?

– Słyszałam, że miałaś gościa, Zosiu.

Skinęłam głową. Obserwowałam, jak Romana przebiera się w swobodniejszy strój i przygotowuje się do pracy.

– Przyjaciółka z Warszawy spędziła u mnie kilka dni.

– Tęsknią tam pewnie za tobą w tej Warszawie. – Romana patrzyła

na mnie życzliwie.

Ciepło, jakie dostrzegłam w jej wzroku, skłoniło mnie do otwartości.

– Paweł na pewno tęskni, i jeszcze moja kierowniczka, choć z zupełnie innych powodów niż mój mąż. Tak prawdę mówiąc, to nie mam w Warszawie zbyt wielu przyjaciół. Właściwie oprócz Kingi mam tylko kilka koleżanek w pracy, ale prywatnie nie spędzamy ze sobą wiele czasu. W dużym mieście żyje się zupełnie inaczej niż tutaj.

– Wiem. – Romana pokiwała głową. – Ale młodym to się podoba. Mój syn jest zachwycony Krakowem i do Kazimierza wracać nie zamierza. Twierdzi, że nie ma po co.

– A ja chętnie bym tu zamieszkała – powiedziałam, sama siebie zaskakując tym wyznaniem. – Myślę, że pracę bym znalazła w tutejszej szkole, przyjaciół z czasem też. Rodzinę już tu mam, a Kruszyńska miałaby dziadka i babcię nie tylko od święta. Gdyby tylko Paweł mógł zmienić pracę... – westchnęłam.

Romana przyjrzała mi się uważnie.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

Pokręciłam głową.

– Nie, bo zupełnie nie wiem, jak. Tobie pierwszej o tym mówię, choć w zasadzie wcześniej o takim wariacie nawet nie myślałam.

– Mówiłam ci, że Kazimierz potrafi z czarować. Sama nie wiesz, jak to się stało, a już jesteś pod jego urokiem.

Romka miała rację. Przyjechałam tu niecały miesiąc temu, a przez ten krótki czas pokochałam ścieżki, które szczególnie sobie upodobałam, i Wisłę, zupełnie inną niż w Warszawie. Spokój tego miejsca pozwolił mi się wyciszyć i skoncentrować na sobie i dziecku, a każdy nowy dzień, mimo że z pozoru taki sam jak poprzedni, czymś mnie zaskakiwał, podobnie jak i miasteczko, które pokazywało mi coraz więcej swoich zakamarków, jakby naprawdę chciało mnie tutaj zatrzymać na dłużej.

– Ubierz się ciepło i przyjdź do mnie do ogrodu. – Romka wyminęła mnie i wyszła przez tarasowe drzwi, a ja postanowiłam zaparzyć jeszcze dla nas herbatę „Dziwisza”, która uzależniała podobnie jak Kazimierz.

Ogród pachniał świeżością wiosny rozbudzającej uspioną zimą

przyrodę, z dnia na dzień oblekając ją w kolory, które wyblakły i zszarzały w ciągu długich chłodnych miesięcy. Świat piękniał z dnia na dzień, życie budziło się do życia, a nieśmiała jeszcze zieleń nabierała takiej soczystości, jakiej pędzel nawet największego artysty nie był w stanie oddać.

– Kocham wiosnę. – Romka zmrużyła oczy i wystawiła do słońca bladą twarz. – Podobnie jak ogród, tak i mnie wybudza z uśpienia i daje nową energię, dzięki której chce mi się żyć.

– Co będziesz dzisiaj robić? – Postawiłam na wiklinowym stoliku dzbanek z herbatą i dwa kubki.

– Dziś zajmę się różami. Joanna bardzo o nie dba. To jej ulubione kwiaty. Nadszedł czas na zlikwidowanie zimowych osłon, które chroniły je przed mrozem, i na poprzycinanie. Zobaczysz, Zosiu, jak tu będzie pięknie już za miesiąc. Ogród oszaleje feerią barw i zapachów, a w czerwcu dojdą do tego również i smaki.

Zobaczyłam to oczami wyobraźni. Ukwiecone klomby i rabatki, a tuż przy nich zadbane grządki z warzywami. I czerwcowe truskawki, których już nie mogłam się doczekać, a za których smakiem szczególnie tęskniłam. Dokładnie tak, jak powiedziała Romana. Barwy, zapachy i smaki tuż pod moim oknem.

– Spotkałam wczoraj Mikołaja – rzuciłam mimochodem, nalewając zielonej herbaty do kubków.

Pochylona nad krzakiem róż Romana wyprostowała się i spojrzała na mnie, mrużąc oczy przed ostrym słonecznym światłem.

– Nic mi nie wspomniał o tym. Ostatnio w ogóle zachowuje się jak dziki kocur. Znika na całe dni, po czym wraca milczący. Nie sypia po nocach, tylko łązi po domu i nie może sobie znaleźć miejsca. Wiem, że coś go gryzie, ale nie chce ze mną o tym rozmawiać. Wszystko bagatelizuje, a ja nie wiem, jak mu pomóc. Zachowuje się jak dzieciak. – Romka westchnęła, odgarnęła włosy z policzka, zostawiając na nim ślad ziemi, i wróciła do róż, a ja sięgnęłam po herbatę, ogrzewając dłonie ciepłym kubkiem.

– Powiedz mi, jak ty to robisz? – spytałam Romkę, która podśpiewywała cicho. – Życie ci tyle razy dokopało, a ty znajdujesz w sobie tyle pogody i życzliwości. Nie zgorzkniałaś i nie narzekasz,

tylko wchodzisz tak promiennie w tę swoją codzienność, że zarazasz wszystkich tym optymizmem. Skąd masz na to siłę?

Romka uśmiechnęła się, nie przerywając pracy.

– Życie, Zosiu, może mniej boleć, jeśli nauczymy się rytmu jego codziennych oddechów i zaakceptujemy siebie takimi w tej codzienności, jacy po prostu jesteśmy. Bez wymyślania i odwracania się od samych siebie, bo coś nam nie wyszło. Porażki są wpisane w ludzką egzystencję, a często po prostu nie mamy na nie wpływu, bo zadziała jakiś czynnik zewnętrzny. To jednak nie znaczy, że jeśli nie wyszło, to coś z nami jest nie tak. Dlatego nie możemy karać siebie za to, że rzekomo zawaliliśmy sprawę. Musimy po prostu wstać, otrzepać się i ruszyć dalej z tego miejsca, w którym się potknęliśmy, bez oglądania się za siebie i rozpamiętywania przeszłości, bo to do niczego nas nie doprowadzi.

Słuchałam Romki, smakując zieloną herbatę z domieszką owocowych nut. Obie były nieprzeciętne, Romka i herbata, dzięki czemu to dzisiejsze spotkanie zyskało niecodzienny klimat i było dla mnie przyjemnością. Syciłam się wiosenną chwilą i słowami znajomej, głęboko zapadającymi mi w serce. Ta kobieta miała w sobie ten sam magnes, co Kazimierz. Nie można było przejść obok niej obojętnie i aż chciało się przebywać w jej towarzystwie.

– Nie wiesz, dlaczego w Doktorówce niemal wszędzie poustawiane są misy z jabłkami? – spytałam nagle, przypominając sobie spostrzeżenie Kingi, które przyjąłam jako coś oczywistego, zupełnie nie zwracając na to uwagi.

Romana odłożyła sekator i rozpięła polar, a potem powoli podeszła do mnie i wyciągnęła rękę po herbatę. Kiedy spojrzała na mnie, w jej oczach było coś dziwnego. Jakaś nostalgia, zamyślenie i pewne zmieszanie.

– Julia uwielbiała jabłka. To ona wszędzie je zostawiała, żeby nie biegać do kuchni za każdym razem, gdy pracowała. Miała swoje ulubione miejsca w Doktorówce i dekorowała je jabłkami. Julii już nie ma, a jabłka zostały. Taki ślad, który człowiek pozostawia po sobie.

Poznałam kolejny szczegół dotyczący ciebie, Julio. Jabłka. Sądziłam, że jesteś bardziej egzotyczna, a ty po prostu kochałaś góry

i jabłka. Żadnych ekstrawagancji, tylko prostota. Czy myślisz, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, gdybyśmy spotkały się w innym życiu? Nie wiem, pewnie nie, bo przecież kochałybyśmy tego samego mężczyznę.

Czy jesteś gdzieś tutaj, Julio? I czy masz do mnie żal, że wypełniłam sobą miejsce po tobie?

\*\*\*

– *Kawowe!*

– *Nie! Jabłkowe!*

– *Chałwowe!*

– *W żadnym wypadku! Jabłkowe!*

– *No to może chociaż waniliowe. Albo śmietankowe.*

– *Jabłkowe.*

*Paweł roześmiał się, patrząc na Julię stojącą przed dużą lodówką i wybierającą smak lodów, na które nabrali ochoty podczas zakupy zakupów w markecie. Gdyby mogła, jego żona tupałaby nogą jak mała dziewczynka. Dobrze znał to jej jabłkowe upodobanie, ale przekomarzał się z nią, bo wzruszała go tym dzieckiem w sobie, któremu od czasu do czasu pozwalała się odzywać.*

– *No dobra, ustępuję. Bierzemy jabłkowe.*

*Julia uśmiechnęła się i wrzuciła do koszyka opakowanie lodów w swoim ulubionym smaku.*

– *Wiesz, zdecydowałam, że jednak pojedę na weekend do Kazimierza. Ty i tak utkniesz w szpitalu na dyżurze, a ja podyskutuję trochę z twoim tatą i powłóczę się po okolicy.*

– *Widzę, że i ty poddałaś się urokowi Doktorówki. – Paweł roześmiał się szeroko. Dzielili swoją codzienność pomiędzy Lublinem a Kazimierzem. Mieszkanie Julii w kamienicy na Skłodowskiej było obszerne, ale od jakiegoś czasu Paweł zauważył, że coraz więcej osobistych rzeczy jego żony przenosi się w jakiś magiczny sposób do Doktorówki, w której dostali do dyspozycji całe piętro. To tam Julia*



*spędzała długie godziny, pracując nad reportażami i artykułami, do których tematów i natchnienia szukała w kazimierskich klimatach. Odkrywała niedoceniony Kazimierz i jego okolice z zachłannością, wyszukując tu swoje ścieżki, do których chętnie wracała. Była otwarta i ciekawa ludzi, dlatego udawało jej się nawiązywać dobre relacje z mieszkańcami. Zjednywała ich sobie umiejętnością słuchania i rozmową, którą prowokowała. Interesowało ją to, co dla nich było banalną częścią codzienności, a niby zwyczajne drobiazgi potrafiła pokazać w taki sposób, że zadziwiały niezwykłością, którą ludzie uczyli się doceniać. Julia wsiąkała w Kazimierz, a Paweł coraz trudniej znosił samotne dni w Lublinie i pustkę mieszkania, w którym zostały już w zasadzie tylko fotografie i milczące meble.*

\*\*\*

Lubiłam dni, kiedy odbierałam Bartka ze szkoły. Robiliśmy sobie wtedy takie nasze małe prywatne święta, starając się wykorzystać wiosenne światło dnia i odwlec jak najbardziej moment powrotu do domu, gdzie czekały lekcje do odrobienia, a w zaganianiu do nich Bożenka była bezwzględna.

– Tylko przez naukę dojdiesz do czegoś w życiu i nie utkniesz tutaj, tak jak ja. – To była jej życiowa filozofia. Nie zrozumieliby jej ci, którzy przez cały sezon ściągali tłumnie do Kazimierza, marząc, by pozostać tu na dłużej. Ja ją rozumiałam. Choć Kazimierz i mnie zachwycił i rozkochał w sobie zupełnie jak świadomy swojej urody kochanek, dla Bożeny było to miejsce, które zabiło jej marzenia i odebrało radość dni zaplanowanych zupełnie inaczej.

Patrząc teraz na chłopca, który wybiegł do mnie w niedopiętej kurtce i niezasnurowanych butach, pomyślałam sobie, że pomimo tych losowych zawirowań Bożena była fantastyczną matką. Nie uwięziła Bartka w swojej nadopiekuńczości, jak to się często zdarza kobietom starającym się być obojgiem rodziców równocześnie, i nie rozpuściła

chłopca, rekompensując mu brakiem stanowczych granic nieobecność ojca w domu, tylko prowadziła go przez życie z pozorną surowością, za której cienką granicą były ogromne pokłady mądrej matczynej miłości.

– Nie zawiązałeś sznurowadeł i zaraz się przewrócisz. – Zamiast powitania wyszedł ze mnie pedagog.

– Spieszyłem się do ciebie, żeby ci powiedzieć, co wymyśliłem. – Widziałam, że energia aż rozsadza tego małego człowieka, bo nawet mówiąc to i stojąc przede mną, Bartek podskakiwał niecierpliwie, jakby już chciał dokądś biec.

– Super. To ja zasznurowuję ci buty, a ty mi powiedz, co dla nas dzisiaj zaplanowałeś. – Kucnęłam, chcąc zawiązać splot zbyt skomplikowany dla dziecięcych rączek i paluszków, ale pochylając się nad butem, poczułam wielką niedogodność. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że przytyłam, a moja Kruszynka zajmowała już coraz więcej miejsca, zupełnie lekceważąc to, jak się z tym czuję i że może mi to przeszkadzać. Kiełkowała jak ziarenko, z którego powstawał najdoskonalszy owoc miłości mojej i Pawła.

– Będziemy badaczami przeszłości – powiedział tajemniczo Bartek, ścisząc głos.

Wstałam powoli, wpatrując się w duże i szczere oczy chłopca.

– Sugerujesz, że będziemy szukali śladów dinozaurów?

Bartek roześmiał się i pokręcił głową.

– Nie dzisiaj, choć to też bardzo ciekawy pomysł, ciociu. Dziś pójdziemy na cmentarz i będziemy zagłębiać tajemnice pochowanych tam ludzi.

– Cmentarz, mówisz... – Zaskoczyła mnie siła i nieprzewidywalność dziecięcej wyobraźni. Słyszałam o kazimierskim cmentarzu pod Wietrzną Górą, znajdującym się tuż za klasztorem reformatorów, dotąd jednak tam nie dotarłam. Od Pawła wiedziałam, że na malowniczo położonym cmentarzu spoczywają ci, którzy zostawili swój ślad w miasteczku: Maria Kuncewiczowa, Cezary Sarzyński, Tadeusz Feliks Tyszkiewicz, ksiądz Andrzej Kamiński czy Józef Miłosz. Uświadomiłam sobie również, że, poszukując Julii, nie trafiłam tam, skąd te poszukiwania powinnam zacząć. Na cmentarz.

– Chodźmy więc, kolego badaczu. – Wyciągnęłam dłoń, zamykając

w niej drobną i zimną rączkę dziecka i doświadczając tym samym zalewającej mnie fali czułości.

Szłam obok Bartka, wysłuchując relacji ze szkolnego dnia, o którym opowiadał z przejęciem. Dzięki tym wspólnym chwilom, do których dopuściła mnie Bożenka, mogłam uczestniczyć w życiu chłopca patrzącego na świat z wciąż jeszcze dziecięcą szczerością, bez oceniania i kategoryzowania, przyjmującego dzień w takiej postaci, w jakiej przychodził. Te chwile nas zbliżały, dając poczucie więzi, jakiej chyba oboje potrzebowaliśmy. Bo oboje potrzebowaliśmy akceptacji, każde w świecie tego drugiego.

Bartek żył z poczuciem odrzucenia. Pamiętałam to z własnego dzieciństwa. Pomimo starań Bożenki i miłości Joanny i Jana chłopiec miał świadomość, że dla ojca nie jest ważny. Mikołaj go zostawił, a skoro tak się stało, to sądził, że coś z nim, Bartkiem, było nie tak. Dzieci nie zagłębiają się w skomplikowane relacje dorosłych. Nie ogarniają tego, co dla samych dorosłych jest niejednokrotnie zbyt trudne do zrozumienia. Dzieci przyjmują świat takim, jakim go widzą. Wszystkie mechanizmy ludzkich zachowań są dla nich proste i każde przekazuje konkretną informację. „Nie jesteś wystarczająco dobry, aby być moim synem, więc wyjeżdżam. Odchodzę. Zostawiam cię...” – Taki komunikat Bartek wyczytał w postawie Mikołaja, a mnie serce ścisnęło się z żalu za każdym razem, gdy spoglądałam w te szczere oczy chłopca, ukryte za szklami zbyt poważnych okularów.

– Spójrz, ciociu, to jest ławeczka, na której odpoczywają sobie zmęczone ziemską wędrówką dusze. – Mój wzrok podążył za ręką chłopca wskazującą zmurszałą ławkę ustawioną tuż pod wyłomem muru, za którym rozciągał się zapierający dech widok na Wisłę i okolice Kazimierza. Znajdowaliśmy się na wzgórzu, co odczułam, próbując dorównać kroku Bartkowi. Przed nami, na Plebance, wznosił się kościół ojców franciszkanów, a w dole widać było wiodącą pod górę drogę prowadzącą na cmentarz. Zza kamiennego muru patrzyłam na miasteczko, które od Wielkanocy zmieniało się dzień po dniu. Znów przybywało turystów, wabionych – szczególnie w weekendy – słońcem i wiosennym ciepłem, a w plenerze coraz częściej spotykało się artystów zauroczonych przebudzeniem przyrody i próbujących oddać piękno

świata swoim talentem.

– A dlaczego sądzisz, że zmęczone dusze właśnie na tej ławeczce odpoczywają? – spytałam rozbawiona, mimochodem jednak rozglądając się, czy nie nadepnę jakiejś powłóczystej sukni albo też nie zderzę się z przedwojennym gentelmanem.

– Bo nigdy nie widziałem, aby siedział na niej jakiś człowiek, a wygląda na dość wysłużoną.

Nie mogłam nie przyznać racji bystrości chłopca.

– A nie uważasz, że w grobowcach jest im wygodniej odpoczywać? – spytałam i wzdrygnęłam się, bo moja wyobraźnia już zaczęła mi pokazywać upiorne obrazy zmarłych wchodzących do rodzinnych grobów i wychodzących z nich.

– Ależ tam jest potwornie nudno! Ciocia Julia mówiła, że ona nawet dwóch dni nie wyleży bez ruchu i nawet po śmierci będzie wędrować po górach i po Kazimierzu.

Przystanąłam, czując ostry ból w prawym boku. Zgięta wpół, musiałam przytrzymać się muru, aby wyrównać oddech i pozbyć się tego dziwnego uczucia, które przebiegło mi, jak mrówki, po kręgosłupie.

– Boli cię brzuch, ciociu? – W głosie Bartka słychać było poruszenie i zdenerwowanie.

– To tylko kolka – odpowiedziałam, prostując się i próbując uśmiechnąć do chłopca. – Idziesz tak szybko, młody badaczu, że nie mogę za tobą nadążyć. – Pulsujący ból powoli mijał, podobnie jak zaglądający w oczy niepokój.

– Przecież nie jesteś jeszcze stara, więc powinnaś za mną nadążyć.

Roześmiałam się szczerze.

– Stara może i nie jestem, ale pamiętaj o tym, że w moim brzuchu jest mały dzidzius, a ja jestem jak mama kangurzyca, tylko że zamiast kieszonki mam takie specjalne miejsce, w którym twój kuzyn albo kuzynka na razie bardzo dobrze się czuje, ale zaczyna już coraz więcej ważyć.

Bartek pokiwał głową, jakby chciał mi pokazać, że jest już duży i rozumie wszystko, co dzieje się teraz z moim ciałem.

– To będziemy teraz iść wolniej, aby niczego nie przeoczyć. Musimy zejść do tamtej ścieżki, bo cmentarz jest tam. – Wskazał małą

rączką drogę wijącą się pod murem. – Wypatruj śladów, ciociu.

– Śladów czego?

– No jak to czego? Przeszłości.

No jasne, było to tak oczywiste, że aż sama zawstydziłam się własnym pytaniem. Ślady przeszłości. Co znajdziemy, kiedy wejdziemy na uśpiony ciszą cmentarz, i jak przyjmą nas ci, którzy tam spoczywają? Czy nie zakłócimy naszą obecnością spokoju, który w końcu po trudach życia odnaleźli, i czy nie naruszymy równowagi pomiędzy przenikającymi się w nieokreślonym punkcie światami? Wierzyłam, że ci, którzy odeszli, podglądają nas zza kurtyny – tajemnicy niepojętej dla ludzkiego rozumu. Wiedziałam też, że złudna cisza cmentarza ma w sobie więcej słów, niż zapędzony i zajęty sobą człowiek jest w stanie usłyszeć. Ci, których wśród nas już nie było ciałem, tak naprawdę nie odchodzili, choć my nie byliśmy ich w stanie dotknąć ani poczuć. Istnieli w innej rzeczywistości i wymiarze, mimo że pustka, jaka towarzyszyła po ich utracie, była niemożliwa do wypełnienia. Po stracie kogoś bliskiego już nigdy nie jesteśmy tacy sami. Na zawsze pozostaje w nas wyszczerbienie i tak wiele pytań bez odpowiedzi, z którymi musimy żyć.

Nie znałam Pawła sprzed śmierci Julii, ale byłam pewna, że był zupełnie innym człowiekiem niż mój mąż. Być może częściej się uśmiechał i rzadziej zamyślał, wpatrując się w pustkę przed sobą. I może nie było w nim tyle lęku i ostrożności, z jaką teraz podchodził do naszego wspólnego życia i rodziny, która miała się wkrótce powiększyć. Nie wiedziałam, jaki był, ale kochałam tego, którego znałam i któremu ufałam jak nigdy nikomu na świecie.

– Detektywie, ciociu Zosiu, spójrz na tamten grób. Wygląda na bardzo stary i jest strasznie zaniedbany. Myślisz, że wszyscy z tej rodziny już pomarli?

Dziwnie zabrzmiały te słowa w ustach małego chłopca. Bartek był dojrzały od swoich rówieśników, na co prawdopodobnie wpłynął fakt, że większość czasu spędzał z dorosłymi. Kilka razy mimochodem usłyszałam rozmowę Jana z Bartkiem, w czasie której mój teść wcale nie traktował swojego wnuka z pobłażliwością, z jaką podchodzi się do dzieci, ale rozmawiał z nim jak równy z równym, uważnie słuchając tego, co chłopiec miał do powiedzenia.

– Pewnie tak. Spójrz, ta kobieta zmarła w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku i nikt tutaj nie jest z nią pochowany. Nawet jeśli miała dzieci, mogły porozjeżdzać się po świecie i może nie wróciły już do Kazimierza.

– Kiedy zakwitną kwiaty w ogrodzie babci, nazrywamy bukiet i przyniesiemy tutaj, dobrze, ciociu?

Skinęłam głowę, zaskoczona wrażliwością chłopca.

– Babcia zawsze tak robi. Gdy idziemy na cmentarz do cioci Julii i do Kacpra, zatrzymujemy się przy grobie pana Broniewicza, a babcia zapala tam światełko i wyrzuca stare kwiaty, mówiąc, że o zmarłych trzeba pamiętać, szczególnie gdy wszyscy inni już zapomnieli.

– Pokażesz mi grób cioci Julii? – spytałam cicho.

Bartek z powagą skinął głową.

– To niedaleko. Ciocia jest pochowana tam, nad samym wąwozem – powiedział i ruszył przodem, zwinnie przechodząc między grobami.

Ruszyłam za nim, zastanawiając się, czy jestem gotowa na to spotkanie. Wiedziałam, że znalazłam się na cmentarzu, ale nie mogłam odgonić od siebie myśli, że miejsce, w kierunku którego zmierzał Bartek, jest tak malownicze, jak cały Kazimierz, a znajdujący się poniżej nas wąwóz, gęsto obrosnięty drzewami, składał obietnicę odrodzenia, wyciągając w naszą stronę gałązki z zieleńjącymi na nich pączkami.

Szukałam Julii, a tymczasem już z daleka dostrzegłam postać skulonego mężczyzny, stojącego z rękami wbitymi w kieszenie kurtki. Bartek, który też go zauważył, cofnął się niepewnie i schował za mną, a ja podeszłam powoli, nie wiedząc, na jaką odległość pozwoli mi się zbliżyć tym razem.

– Irytujesz mnie. Wciąż się na ciebie natykam.

Przełknęłam ślinę, obiecując sobie, że nie dam się sprowokować.

– Kazimierz to małe miasteczko, a ty chodzisz akurat moimi ścieżkami – odpowiedziałam spokojnie, podchodząc już pewniej do rodzinnej mogiły Rybickich.

Mikołaj prychnął pogardliwie.

– Twoimi ścieżkami? Nic tu nie jest twoje, nawet powietrze, którym oddychasz. Nie przywłaszczaj sobie czegoś, co do ciebie nie należy, tylko wracaj tam, skąd przyjechałaś.

– A ty uważaj na słowa, bo nie jestem sama – odpowiedziałam spokojnie, choć czułam, jak wzbiera we mnie złość.

Odsunęłam się, przepuszczając Bartka, który stanął przede mną, przytulony plecami do mojego brzucha. Widziałam jego zagubienie i moje serce o mało nie wyskoczyło z żalu. Chciało się objąć tego chłopca patrzącego na rodzzonego ojca swoimi wielkimi oczami, zupełnie nie wiedząc, jak ma się zachować.

– Cześć, tato. – Głos Bartka leciutko zadrżał, a ja położyłam mu dłoń na ramieniu, aby dać znać, że jestem tutaj i nie odejdę.

– Cześć – mruknął Mikołaj, cofając się o krok. Z satysfakcją zauważyłam, że obecność chłopca wytrąciła go z równowagi. Zgubił gdzieś ten nonszalancki ton i poczuł się równie niepewnie, jak Bartek. – A ty nie masz co robić, tylko łazić po cmentarzu?

– Bawimy się z ciocią w badaczy przeszłości – odpowiedział chłopiec, a mnie nie wiadomo po raz który wzruszyła dziecięca szczerość, tak obca dorosłym szukającym wiecznie wymówek i usprawiedliwień.

– No i co żeście takiego odnaleźli? – spytał mój szwagier w wyczuwalną nutą ironii w głosie.

Bartek przestąpił z nogi na nogę, przysuwając się nieznacznie w stronę Mikołaja.

– Odkryliśmy, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku musiała być w miasteczku jakaś zaraza, bo na wielu grobach wyryta jest ta data jako rok śmierci.

W oczach Mikołaja dostrzegłam błysk i miałam nadzieję, że to niewypowiedziane uznanie dla bystrości chłopca, który przecież był jego synem.

– A na kilku pomnikach są takie same kwiaty i do tego identycznie ułożone, założyliśmy więc, że musiała je zostawić ta sama osoba i to najprawdopodobniej kobieta.

– Bystrzak z ciebie. Może kiedyś zostaniesz detektywem?

Bartek popatrzył na ojca z powagą i pokręcił głową.

– Nie, tato. Ja chcę być lekarzem, tak jak dziadek i wujek Paweł. Dziadek mi powiedział, że to tradycja w naszej rodzinie, bo przecież pradziadek też był lekarzem, i że kolejny Rybicki też powinien nim

zostać. A ten kolejny Rybicki to przecież ja, bo dzidzius cioci Zosi jest jeszcze zupełnie malutki, poza tym nie wiadomo, czy to będzie chłopak, czy dziewczyna.

Mikołaj spojrział na mnie i skrzywił się. Nie potrafiłam go rozgryźć. Coś w środku mnie szeptało, że wcale nie jest taki, jaki starał się być w stosunku do mnie. Może to było irracjonalne, ale wyczuwałam w nim to samo zagubienie, jakie było w Bartku. Grał, by ludzie postrzegali go jako pewnego siebie, ale tak naprawdę odnosiłam wrażenie, że jedynym widzem tego zachowania jest on sam, próbujący udowodnić sobie, że jest kimś zupełnie innym niż w rzeczywistości.

– Ładne miejsce – powiedziałam, wskazując na wąwóz znajdujący się w dole i na drzewa pochylające w refleksyjnej zadumie swoje gałęzie tuż nad rodzinną mogiłą Rybickich.

– Masz dość specyficzne poczucie piękna.

– Nie powinno cię to dziwić. W waszej rodzinie każdy jest na swój sposób specyficzny.

– Każdy z wyjątkiem Pawła – odpowiedział Mikołaj, a w jego głosie było tyle zimna, że przeszedł mnie lodowaty dreszcz. – On jeden jest doskonały.

– Dlaczego go tak nienawidzisz?

Mikołaj uciekł wzrokiem w bok.

– Jego zapytaj. Niech ci powie, dlaczego.

Spuściłam głowę, patrząc na czubki swoich przybłoconych butów.

– Zbudowałeś jakiś nowy dom, tato? – Głos Bartka odwrócił uwagę moją i Mikołaja od punktu zapalnego, jakim z niezrozumiałych dla mnie powodów był Paweł. Odetchnęłam i uśmiechnęłam się do Bartka w duchu, zadziwiona intuicją tego dziecka i jego wycuciem sytuacji.

– Myślę, że macie sporo do nadrobienia – odezwałam się cicho, podnosząc wzrok i patrząc Mikołajowi prosto w oczy. – Poczekam na Bartka w „Dziwiszu”.

Przez twarz Mikołaja przebiegł grymas, ale nie zdążył zaprotestować ani rzucić żadnej złośliwości, bo odwróciłam się, nie czekając na jego reakcję. Oddalając się, słyszałam jeszcze rozszczebiotany głos Bartka, który próbował opowiedzieć ojcu fragment



swojego życia, zupełnie obcy Mikołajowi z wyboru, jakiego dokonał. Nie zamierzałam mu niczego ułatwić i nie zastanawiałam się nad tym, czy robię dobrze i czy Bożena by to pochwaliła. Właściwie znałam odpowiedź – zupełnie by się jej to nie spodobało. Chroniła Bartka przed Mikołajem i rozumiałam ją. Sama została zraniona tak bardzo, że chciała tego zaoszczędzić dziecku. Ale ja, patrząc na to wszystko z boku, dostrzegałam więcej, niż Bożenka chciała widzieć. Bartek potrzebował Mikołaja. Był dzieckiem i nie myślał jak dorosły. Brak kontaktu z ojcem odbierał jako odrzucenie, dlatego byłam przekonana o słuszności decyzji, jaką podjęłam, zostawiając chłopca z mężczyzną w tym momencie równie zagubionym, jak jego syn.

\*\*\*

Są pewne rzeczy i sprawy, o których mówi się tylko po cichu. Są takie chwile, kiedy jedynie szept nie naruszy ciszy związanej z tą chwilą jednym oddechem. Są takie słowa, które wypowiedzieć można jedynie szeptem, bo tylko on nie zrani i nie zniekształci tego, co tym szeptem zostało przekazane.

Szeptem mówi się z czułością i łagodnością. Jak tchnienie wiatru porusza najdelikatniejsze struny ludzkiej duszy, wychwytyjąc to, co głośne słowa potrafią zakrzyczeć. Szept jest esencją tego, co najistotniejsze. Otwiera wrażliwość i wnika w nas z całym swoim ładunkiem, który przynosi i przekazuje. Wycisza wszystko, co nieistotne, i nastroja nas do tego, czego wraz z tym szeptem możemy dotknąć i doświadczyć.

Siedząc nad mocno przestudzoną już filiżanką zielonej herbaty „Magiczna Porzeczką” w przestrzeni wypełnionej subtelnymi dźwiękami spokojnej muzyki, usłyszałam ciche słowa Mikołaja:

– Jest cały i bezpieczny. Prania mózgu też mu nie zrobiłem.

Uśmiechnęłam się do Bartka, którego zaróżowiona od emocji i wiosennego powietrza buzia mówiła sama za siebie. To było szczęście.

Takie proste, dziecięce i pochwycone wraz z chwilą, bez zastanawiania się, czy starczy na długo.

– W czwartek też go odbieram ze szkoły. Kończy o dwunastej. Zatrzymamy się przy ławeczce, na której odpoczywają zmarli. Stamtąd rozciąga się bardzo ładny widok na Wisłę.

– Dziękuję.

Wypowiedziane szeptem słowo zawisło gdzieś ponad nami i nie zdołało już dogonić Mikołaja, który zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Szept nie krzyczy, ale często jest wymowniejszy od krzyku. Skłania do zastanowienia, nie potrzebuje zbędnych słów, dzięki czemu ma dużo większą wartość niż głośny słowotok. Szept zbliża i uczy słuchać. Aby go zrozumieć, trzeba wyeliminować wszystkie zbędne dźwięki, które zaśmiecają nasze otoczenie i nachalnie wdzierają się do naszego świata. My im na to pozwalamy, szept nie. Paradoksalnie cichy i spokojny sprawia, że rozkrzyczane dźwięki milkną, a cisza w nas nagle przewartościowuje obraz rzeczywistości.

Czy Mikołaj wrócił właśnie po to, aby odnaleźć w sobie ciszę i usłyszeć szept, który starał się za wszelką cenę zakrzyczeć? Co zdarzyło się w tej rodzinie, że żaden z jej członków nie potrafił odnaleźć drogi do siebie? I dlaczego miałam nieodparte przeczucie, że ty, Julio, miałas w tym swój udział?

*SIEDEM...*



*– Zgubiła się pani?*

*Czerwcowe słońce prześwitywało przez ubrane w zielone listki drzewa, oślepiając Julię. Tuż przed nią zamajaczyła postać mężczyzny, pod światło widziała tylko, że jest wysoki i ma blond włosy, w których promienie słoneczne figlarnie układały się jaśniejszymi pasemkami.*

*– Wręcz przeciwnie, właśnie się odnalazłam – odpowiedziała głosem, w którym przebrzmiewało szczęście w najczystszej postaci.*

– Droga jest tam. – Mężczyzna wskazał dłonią kierunek przeciwny do tego, z którego nadszedł. – Tam są kamieniołomy, a tam wiatrak. – Obracał się jak róża wiatrów, a Julia nie mogła powstrzymać uśmiechu, który nieznajomy zauważył.

– Jeśli pani chce, mogę dotrzymać towarzystwa i pokazać wszystko, co w Mięćmierzu warte zobaczenia – zaproponował ośmielony.

– Przeszkadza mi pan.

Zaskoczyła go. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– A mogę wiedzieć, co takiego pani robi?

– Nagrywam.

– Nagrywa pani? Ale co? Przecież tu się nic nie dzieje.

– Nagrywam ciszę.

– Nagrywa pani ciszę?

– Dokładnie tak. Nagrywam ciszę, którą pan mi zakłóca.

Wzruszył ramionami i powstrzymał się od gestu popukania palcem w czoło.

– Zatrzymała się pani w Mięćmierzu?

– Strasznie jest pan wścibski. A mówią, że to kobiety są wszystkiego ciekawe. – Niedbałym ruchem odrzuciła na plecy długie rude włosy, rozświetlone w słońcu pasmami, które iskrzyły się jak diamenty. Mikołaj nie mógł oderwać od nich wzroku. Stał jak zahipnotyzowany i po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć w obecności kobiety.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego. – Tyle tylko był w stanie wyrazić, patrząc na stojącą przed nim kobietę.

– Mówi pan o tym? – spytała przekornie, wskazując dłonią na okolicę.

– Nie. Mówię o pani na tle tych drzew i pola z makami i bławatkami.

– Czy pan mnie podrywa?

– Sam nie wiem. Zrobiła mi pani w głowie taki mętlik, że już niczego nie wiem.

– Julia. – Wyciągnęła drobną dłoń z długimi palcami.

– Mikołaj.

Jej dotyk był zimny, mimo słonecznego ciepła, którym rozgrzewało się powietrze.

– A z tą łąką w tle ma pan rację. Jest piękna, choć piękniejszy byłby widok sadu pełnego kwitnących jabłoni.

W tej jednej chwili Mikołaj był pewien tylko jednego – odnajdzie w Kazimierzu najpiękniejszy sad z jabłoniami i podaruje ten widok kobiecie, o której od tej krótkiej chwili w Mięćmierzu nie mógł przestać myśleć.

\*\*\*

Od kilku dni Roma obserwowała Mikołaja z niepokojem. Odkąd przyjechał, wciąż go gdzieś nosiło, a kiedy już wracał do domu, chodził z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Drzewa do kominka narąbał jej tyle, że starczyłoby na całą przyszłą zimę, a siekierą machał z taką zaciętością, jakby walczył z jakimś widmem. Czymś, co powracało w nocnych koszmarach, bo w środku nocy budził się z krzykiem i wtulał w Romanę w taki sposób, jak przerażone dziecko uczepia się matki. Akceptowała to. Pozwalała mu odchodzić i wracać, i wyciągała do niego ramiona wtedy, gdy wyczuwała, jak bardzo tego potrzebuje.

Wiedziała, że się pogubił, ale kiedy i gdzie dokładnie, tego pewnie sam Mikołaj nie umiałby sprecyzować. Tęsknił za spełnieniem, podobnie jak ona. Kobieta jednak wiedziała, że musi wystarczyć jej to, co ma, i godziła się z tym. Mikołaj natomiast chciał wszystkiego. Nie znosił porażek, ale nie potrafił też przyjąć rozwiązań kompromisowych i dlatego walczył z życiem, wyszarpując od niego dni, które mógłby dostać w prezencie, gdyby tylko zrzucił z siebie pancerz wojownika.

– Jak mam ci pomóc, skoro uciekasz przed demonami, które tak naprawdę są w twojej głowie? – pytała, gdy ciemną noc przerywał krzyk chłopca skulonego w ciele dorosłego mężczyzny.

– Po prostu bądź, Roma. Po prostu bądź.

\*\*\*

Przez sercowe rozterki Kingi moje włosy znalazły się w nieładzie, którego w żaden sposób nie mogłam nazwać artystycznym. W zachmurzone przedpołudnie zdecydowałam się odwiedzić Wiolę w jej zakładzie fryzjerskim z nadzieją, że o tej porze dnia nie będzie obłożona klientkami i przyjmie mnie, podejmując próbę doprowadzenia moich włosów do porządku.

Miałam szczęście, bo w salonie była tylko jedna klientka, której fryzurę Wiola dopieszczała modelowaniem krótkich, rozjaśnionych blond włosów. Na mój widok fryzjerka uśmiechnęła się radośnie, natomiast nieznajoma obserwowała mnie w lustrzanym odbiciu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, w której uderzył mnie chłód niebieskich oczu.

– Zosia! Dawno cię nie widziałam. Zaokrągliłaś się.

Dotknęłam dłonią lekko wypukłego brzuszka, odwzajemniając uśmiech Wioli.

– Zaokrągliłam się i zarosłam. Zrobisz coś z tym? – spytałam, wskazując na miszmasz na mojej głowie.

– Jasne, musisz tylko chwilkę poczekać. Dokończę czesać Luizę i zajmę się tobą.

– Nigdzie mi się nie spieszy. – Usiadłam, wciąż czując na sobie nieprzyjemne spojrzenie kobiety.

Luiza. Nie znałam jej i nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Była bardzo elegancka i zadbana. Wszystko w niej doskonale się ze sobą komponowało. Biała jedwabna bluzka, na której kolorowe motyle rozkładały swoje skrzydła, spływała miękko na wąskie dzinsy, podkreślające smukłą sylwetkę kobiety, a zwisające z uszu kolczyki z białego złota migotały maleńkimi brylancikami, podobnie jak subtelna bransoletka do kompletu, połyskująca na nadgarstku. Trudno mi było sprecyzować wiek tajemniczej Luizy, ale wyglądała na kobietę koło czterdziestki, dojrzałą, spełnioną i bardzo pewną siebie. Przy niej poczułam się jak Kopciuszek wysmarowany sadzą.

– Więc Paweł pocieszył się przy boku kogoś takiego... – Głos kobiety był równie chłodny, co jej spojrzenie. Poczułam nieprzyjemny dreszcz. – Podejrzewałam go o lepszy gust. Diament zastąpił tombakiem. – Wydęła pogardliwie usta, krzyżując swoje odbite w lustrze spojrzenie z moim.

– Przepraszam, czy my się znamy? – zapytałam spokojnie, choć słowa, które padły, mocno mnie zraniły. Nie chciałam jednak dać tej kobiecie powodu do satysfakcji, czując, że właśnie o to jej chodzi. O tę drzazgę, którą zamierzała wbić głęboko pod paznokiec, aby dokuczała i nie dała się tak łatwo pozbyć.

– Luiza Winnicka – odparła takim tonem, jakby to nazwisko miało mi powiedzieć wszystko.

– Była kochanka mojego męża czy jego niespełniona miłość? – Wiedziałam, że odpowiadając atakiem na atak, sprowokuję ją i być może dowiem się czegoś więcej. Zaczynały mnie męczyć te wszystkie tajemnice. Wydawało mi się, że już nikt mnie tutaj nie zaskoczy, a jednak Luizie się to udało.

– Twój mąż jest marnym robakiem, w którym nigdy nie widziałam niczego interesującego. Nie zasługiwał na Julię. Nie rozumiał jej. Prosty pan doktor, dla którego świat jest albo biały, albo czarny. A przecież w samej szarości jest tyle odcieni, że można się w nich pogubić. Nie pasuje ci ten beż. – Kobieta odwróciła się i wskazała na mój sweter. – Zamień go na fiolet, będzie wyraźniejszy. – Dotknęła ręką włosów i zerknęła na swoją fryzurę odbijającą się w dużej tafli lustra.

– Przyjdę na czesanie w sobotę rano – zwróciła się do Wioli, wstając z fotela i strzepując z rękawa bluzki zabłąkany włos. – Zapisz mnie na dziewiątą.

Nie do wiary, jak wiele ignorancji było w tej kobiecie. Nie znałam jej, więc nie wiedziałam, czy to jest tylko gra, czy też taka jest naprawdę. Arogancka i zarozumiała, na każdym kroku podkreślająca swoją wyższość.

– Kazimierz to małe miasteczko, więc, niestety, na pewno się jeszcze spotkamy – zwróciła się do mnie, narzucając na siebie elegancki płaszcz w kolorze écru.

– Niestety dla mnie czy dla pani? – spytałam prowokacyjnie.

– Dla nas obu – odpowiedziała. Pożegnała się z Wiolą, w drzwiach jeszcze oglądając się w moją stronę.

– A zatem, do widzenia, pani doktorowo.

Wyszła, zostawiając za sobą zapach drogich perfum i spory napiwek ukryty w kieszonce firmowego fartuszka Wioli.

– Przepraszam cię za Luizę. Jest nieco ekscentryczna, ale przy bliższym poznaniu naprawdę zyskuje.

Pokręciłam głową, zajmując miejsce pachnące Luizą Winnicką.

– Powiedz mi, Wiola, dlaczego niemal wszyscy w tym miasteczku mnie atakują, choć tak naprawdę niczego o mnie nie wiedzą i zupełnie mnie nie znają.

– Tu nie chodzi o ciebie, Zosiu, tylko o Rybickich. Od zawsze byli bardzo szanowaną rodziną, a taka zawsze komuś przeszkadza. Ludzie lubią doszukiwać się dziury w całym, więc kiedy Paweł przywiózł żonę z Lublina, która do tego pokochała Kazimierz, ludzie tylko czekali na temat do plotek. Niejedna gospodyni obraziła się o to, że jej córka leczy złamane serce, a jak już Mikołaj ożenił się z Bożeną, wiadro pomyj na nią wylewali z zawiści i zazdrości. Tak funkcjonuje każda małomiasteczkowa społeczność, Zosiu. Jeden drugiemu przez płót zagląda i tylko czeka na okazję, aby plotki po okolicy poroznosić.

– Nie rozumiem tego. – Pokręciłam głową.

– Bo z innej gliny jesteś ulepiona. Co robimy na twojej głowie?

– Podcinamy, cieniujemy i modelujemy taką fryzurę, aby mąż się mną zachwycił.

Wiola uśmiechnęła się, kiwając ze zrozumieniem głową. Przez chwilę milczała, przyglądając się mojej twarzy w lustrze, a potem, z poczuciem inspiracji, nałożyła mi pelerynkę i zaprosiła do myjki.

Leżąc z odchylną głową, zrelaksowana kolistymi ruchami zwinnych palców Wioli masujących skórę, zapytałam o Luizę.

– Kim ona jest?

– Luiza Winnicka jest projektantką mody. Słyszałaś o włoskiej marce LuiVinc?

Skinęłam głową. Znałam tę kolekcję. Nie była to jednak moja półka, więc chociaż niektóre ubrania bardzo mi się podobały, bo zostały uszyte dokładnie w moim stylu, nie było mnie na nie stać.



– To marka Luizy. Ciężko pracowała na sukces. Zaczynała od niczego, a teraz ma dom pod Mediolanem, a drugi tutaj, w Kazimierzu. Tutejsi mieszkańcy są z niej dumni i bardzo jej sprzyjają, akceptując Luizę taką, jaka jest.

– Wytłumacz mi coś, bo nadal czegoś tu nie rozumiem – spytałam, podnosząc się od myjki i wracając do fotela, na którym siedziała przede mną sama Luiza Winnicka. – Ta kobieta jest akceptowana pomimo swojej arogancji i obnoszenia się tym, że jest tutaj kimś wyjątkowym, a na potknięcia takich rodzin, jak Rybicy, tylko się czeka, aby potem wyciągać nieprawdopodobne wnioski i snuć niestworzone historie?

– Zosiu, czy ty życia nie znasz? Zawsze jest tak, że jak masz coś na wyciągnięcie ręki, to po prostu tego nie doceniasz. Gdyby Rybicy wyjechali z Kazimierza i zrobiliby się o nich głośno w świecie, ludzie pękaliby z dumy, że ich korzenie są właśnie tutaj. Ale skoro wciąż tu tkwią, nie ma sensu pokazywać im, że są w jakiś sposób wyjątkowi. Po co ma się im w głowach przewracać? A Luiza jest egzotyczna. Trochę tu pobędzie, pieniądze powydaje, coś się będzie działo, może nawet jacyś dziennikarze tu przyjadą, aby o niej napisać, to przecież i o miasteczku wspomną. A potem wyjedzie i stworzy kolejną głośną kolekcję, zainspirowaną pobytem nad Wisłą. Tak to działa. Proste jak drut.

– A gdzie w tym wszystkim jestem ja i dlaczego to mnie tak ostro zaatakowała?

Wiola przez krótki moment w milczeniu ważyła słowa, jakby zastanawiając się, jak wiele może mi powiedzieć.

– Luiza przyjaźniła się z Julią. Były sobie bardzo bliskie.

A więc nie o Pawła chodziło, a o ciebie, Julio. To nie osoba mojego męża sprowokowała cały ten jad wpuszczony złośliwie w mój krwiobieg, ale ty, Julio. Wciąż potykałam się o słowa, których nie rozumiałam. Słowa, które w mojej obecności nagle się urywały i milkły, jakby wystraszone; słowa atakujące, jak te Luizy czy Mikołaja; słowa, które oddzielały cię ode mnie grubym murem, zupełnie jakby ktoś nie chciał mi pokazać prawdziwej ciebie, dopuszczając jedynie do skrawków twojego życia i osobowości. Przez ile musiałam się jeszcze przebrnąć, aby poznać cię naprawdę?

\*\*\*

Wracalam od Wioli z glowa wypeIniona myslami, ktore obsiadly mnie jak wyglodniale ptaszyska. Gdzie byl ukryty ten klucz, Julio, ktory otworzylyby drzwi tajemnicy i pozwolil mi zajrzec ponad to, do czego bylam dopuszczana? Bylas tu przede mna. Dotykalam twoich sladow, nieswiadoma lawiny, jaka pociagalo za soba jedno niewinne pytanie, slowo czy fotografia. Jak mialam sie poruszac po labiryncie niezrozumialych dla mnie zdarzen, skoro zupełnie nie wiedzialam, w ktora strone zmierzam i dokad doprowadzi mnie droga, jaka wybrałam?

Luiza Winnicka. Kolejna zagadka, o ktora raczej nie powinnam pytac Pawla. Tak czulam, a kobieca intuicja rzadko zawodzi. A skoro nie Pawel, to Romana. Ona duzo wie i byc moze bedzie chciala mi o tej przyjazni opowiedziec. Byc moze, bo i Roma nie o wszystkim mi mowila, a mnie coraz bardziej zaczynalo to draznic.

Weszlam do domu zamyslona i dopiero w przedpokoju uslyszalam podniesiony glós Jana dobiegajacy z salonu kominkowego. Bylo juz jednak za pozno, aby sie wycofac ukradkiem, utknelam wiec przy wieszaku, stajac sie mimowolnym swiadkiem slow, ktore docieraly do przedpokoju na przekór moim intencjom, aby ich nie slyszeć.

– Myślisz, że tego nie widzę? Nie jestem ani ślepy, ani głuchy. Ludzie śmieją się ze mnie za moimi plecami, a on biega potajemnie do apteki, aby dać się pogłaskać mamusi po główce, i robi to zawsze wtedy, kiedy w aptece nie ma Bożeny.

– W ten sposób jest jej łatwiej. Nie rani jej. – Głos Joanny był cichy i zrezygnowany, zupełnie jakby nie miała już siły bronić Mikołaja, bo to o nim rozmawiali moi teściowie, byłam tego pewna.

– Nie rani? Wciąż to robi. Rozdrapuje rany, które już się pogoily, i ma w nosie swoją żonę, syna, mnie i ciebie. Myśli wyłącznie o sobie!

– Nigdy nie chciałeś go zrozumieć. Faworyzowałeś Pawła,

a Mikołaja odrzucałeś. Nie może być taki sam, jak Paweł, bo jest po prostu inny. Ale inny nie oznacza gorszy.

– Bzdury wygadujesz! Nigdy nie wyróżniałem żadnego z naszych synów i obu traktowałem jednakowo. Owszem, z Pawłem spędzałem więcej czasu, ale to naturalne, bo wykonujemy ten sam zawód. Ale obu uczyłem takich samych wartości i obu jednakowo kochałem. Nie wymagaj jednak ode mnie, abym przyjmował go teraz z otwartymi ramionami jak marnotrawnego syna, i to na jego warunkach. Jego miejsce jest tutaj, bo tu jest jego żona i jego syn. Ale ten tchórz woli chować się za babskimi spódnicami, zamiast stanąć twarzą w twarz z życiem, którego nie da się, ot tak, wykreślić czy wymazać.

– Jak ma tu wrócić, skoro obaj skaczecie sobie do oczu i o mało co się nie pozabijacie?

– Wystarczy trochę jego dobrej woli, nic więcej. – Głos Jana złagodniał i wyciszył się, ale stanowczość w ostatnim wypowiedzianym zdaniu nie pozostawiała wątpliwości, że póki co on jest tutaj głową rodziny, a jego decyzje mają być szanowane. – Nie życzę sobie, Joanno, abys przyjmowała go w aptece czy spotykała się z nim gdziekolwiek. Mikołaj zna drogę do domu i dopóki nie wejdzie jak człowiek tymi drzwiami, nie ma prawa oczekiwać ani od ciebie, ani ode mnie jakichkolwiek przejawów rodzicielskiej miłości.

Nie zdążyłam uciec na górę niepostrzeżenie. Jan wyszedł z salonu zbyt szybko, i nawet Nela była tym zaskoczona, próbując teraz dogonić pana, zazwyczaj przewidywalnego. Stanęliśmy naprzeciw siebie w niezręcznym milczeniu, które zaciążyło podobnie jak cisza powstała w kominkowym pokoju. W spojrzeniu Jana zobaczyłam czułość, a jego dłoń dotknęła mojego policzka z delikatnością, jakiej się nie spodziewałam.

– Przepraszam, że byłaś świadkiem tej rozmowy. – Usłyszałam. Patrzyłam, jak mężczyzna narzuca na siebie płaszcz i sięga po smycz. Trzask zamykanych drzwi był jak kropka na końcu zdania. Niczego już nie trzeba było dodawać. Zupełnie niczego.

\*\*\*

– Wróciłeś.

*Patrzyła na młodego mężczyznę, który stał pod jej drzwiami z walizką mieszczącą cały jego dobytek.*

– Wróciłem. – Wszedł do środka tak naturalnie, jakby robił to codziennie i jakby nie było tych dziewięciu miesięcy milczenia i pustki, jaką zostawił, wyjeżdżając. – Gdzie Artur? – spytał, rozglądając się ciekawie po odnowionej kuchni, w której remont Romana włożyła całą swoją energię po jego wyjeździe.

– W szkole. Dziś wróci późno. Ma jeszcze po lekcjach korki z matmy, a potem gitarę.

– Uczy się grać na gitarze?

*Kobieta skinęła głową, obserwując sylwetkę człowieka, który przy niej stał się mężczyzną. Przytył nieco i spoważniał, zachowując jednak młodzieńczy urok, wobec którego trudno było pozostać obojętnym.*

– To dobrze. – Mężczyzna sięgnął po walizkę i wniósł ją do środka, zamykając za sobą drzwi.

*Patrzył na Romę wzrokiem, który parzył i rozpalał równocześnie.*

*Nie potrafiła się mu oprzeć, a on dobrze o tym wiedział. Przyciągał ją niczym magnes. Podeszła do niego powoli i dotknęła jasnych, krótko ostrzyżonych włosów.*

– Ty draniu – wyszeptala. – Ty cholerny draniu, dlaczego nie umiem o tobie zapomnieć?

– Bo wcale nie chcesz zapomnieć. Ja też nie chcę. – Musnął ustami jej wargi, powodując, że zadrżała, wilgotna i gotowa na niego.

*Rozbierał ją zachłannie, jakby szkoda mu było minionego czasu i każdej nocy bez niej. Miał inne kobiety, w ramionach których szukał pogubionego szczęścia, ale tam, za wodą, nigdy go nie odnalazł.*

*Wiedział, że Romana też nie była portem docelowym, ale stała się przystanią, do której pchały go wzburzone wody życiowego oceanu. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa i przynależności, akceptując go takiego, jakim był. Dlatego do niej wracał. Bo nigdy go nie oceniała i nie próbowała zmieniać jego natury.*

– Mikołaj – wyszeptala, przysuwając się do jego twarzy. Czująca

*gorący oddech mężczyzny i była w stanie dostrzec pragnienie w jego oczach, które chciała zaspokoić.*

*– Nic nie mów, tylko kochaj się ze mną tak, jakby nie było jutra.*

*– Dla nas nie ma jutra, nigdy nie było i nigdy nie będzie.*

*– Ciii – położył jej palec na ustach. – Nic nie mów, tylko pozwól mi cię kochać.*

*Wziął ją na ręce, nagą, drobną i zupełnie bezbronną w jego silnych ramionach, i zaniósł do sypialni, w której niewiele się zmieniło od jego wyjazdu. Całował zachłannie jej nabrzmiałe z podniecenia piersi, błędząc dłońmi po ciele, które zapamiętał.*

*Czekała na niego, wiedział o tym, dlatego gdy wszedł w nią, kochał ją tak, jakby chciał wymazać z jej pamięci wszystkie te samotne wieczory i dni, kiedy jak zdrajca zanurzał się w rozkoszy z tymi słodkimi dziewczynami, których imion nie pamiętał już po przebudzeniu. Chciał doprowadzić ją do takiego samego szaleństwa, do jakiego ona doprowadzała go za każdym razem, kiedy otwierała dla niego drzwi swojej sypialni. Jęk Romany jeszcze bardziej go podniecał, ale był w stanie kontrolować się tak, że najpierw jej podarował szczyt rozkoszy, a potem sam pogrążył się w niebycie, rozładowując napięcie i zasypiając z głową wtuloną w ciepłą pierś kobiety.*

*Obudziła go delikatnie, kreśląc palcem małe kółka na jego zarośniętym torsie.*

*– Musisz się ubrać, Artur niedługo wróci. Nie chcę, żeby tak nas zobaczył.*

*– Myślisz, że nie zrozumiałby? – Przewrócił się na bok i podparł głowę na łokciu, patrząc na kobietę, na której twarzy malowało się szczęście.*

*– Wolalabym go o to nie pytać. Przechodzi teraz etap zbuntowanego młodego człowieka i nie będę mu dawać powodów do słownych przepychanek. Jak chcesz, możesz zostać, ale w pokoju gościnnym.*

*Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie w usta.*

*– Nie umiem trzymać rąk przy sobie, gdy jesteś w pobliżu. Myślisz, że stara Antoniowa dałaby mi na kilka dnia klucze do tej chatupy przy młynie?*

– Jeśli ją ładnie poprosisz i położysz na stole parę dolarów, to na pewno ci da. Ma do ciebie słabość.

– Nie ona jedna – uśmiechnął się i puścił do kobiety oko.

– Nie śpieszy ci się do domu... – Roma usiadła, zbierając w niedbały kucyk potargane włosy.

– Mojemu bratu tak śpieszyło się do żeniaczki, że nie poczekał ze ślubem do końca mojego stażu, dlatego teraz mi się nie śpieszy, aby poznać bratową i uradować rodzinę swoim widokiem.

– Nie osądzaj, zanim nie zrozumiesz. Gdy poznasz swoją bratową, będziesz wiedział, dlaczego Paweł nie chciał czekać.

– Nie mów, że mój braciszek zmalował jej dzieciaka!

– Czy tobie wszystko musi się kojarzyć tylko z jednym?

– Przy tobie tak. – Wyciągnął rękę i dotknął sterczącego sutka Romany. Jęknęła cicho, ale odepchnęła dłoń Mikołaja i wstała z łóżka.

– Ubieraj się.

– Tęskniłem za tobą.

– Wiem. – Uśmiechnęła się i zostawiła Mikołaja wpatrzonego w drzwi, za którymi zniknęła.

\*\*\*

– Zosieńko, przepraszam cię, nie przyjadę w sobotę. – Głos Pawła był zmieniony i bardzo słaby.

Przestraszyłam się, bo nigdy dotąd go takiego nie słyszałam.

– Co się stało, kochanie?

– Przyniosłem ze szpitala jelitówkę. To cholerstwo panowało ostatnio u nas na oddziale i pomimo wszelkich środków ostrożności nie udało mi się go uniknąć. Dobrze, że jesteś w Kazimierzu, Zosiu. Przynajmniej o ciebie jestem spokojny.

– Za to ja jestem pełna obaw o ciebie. Nie ma przy tobie nikogo, kto choćby kaszy manny by ci ugotował.

– I tak bym niczego nie przełknął. Każda myśl o zjedzeniu czy wypiciu czegokolwiek powoduje u mnie odruch wymiotny.

Uchyliłam okno i usiadłam na łóżku, czując, że robi mi się słabo.

– Pawełku, ale powinieneś dużo pić. Masz w domu wodę?

– Zosiu, nie martw się o mnie, wyliżę się. A jak będzie już naprawdę źle, pojedę do szpitala i podłączę się do kroplówki. Dbaj o siebie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Wyzdrowiej szybko i przyjedź do nas. Tęsknię. – Ostatniego słowa Paweł już nie usłyszał. Rozłączył się, a ja nie miałam mu tego za złe. Dobrze wiedziałam, jak nieprzyjemną dolegliwością jest jelitówka, bo kiedy pracowałam z dziećmi, sama wielokrotnie przez to przechodziłam. W świetlicy szkolnej, nawet przy zachowaniu najbardziej higienicznych warunków, pewnych rzeczy nie da się uniknąć, podobnie jak w szpitalu. Niepokoiłam się jednak o Pawła, bo wiedziałam, że sam o siebie nie zadba. Jediną osobą, którą mogłam do niego wysłać, była Kinga. Odebrała po trzecim sygnale.

– Jeśli chcesz zapytać, co zrobiłam ze swoim życiem, to cię rozczaruję, bo nie zrobiłam zupełnie nic. – Powitał mnie głos przyjaciółki, przybity i przygnębiony.

– Nie chcę cię o nic pytać, a jedynie o coś poprosić.

– Czy mam prawo odmówić?

Uśmiechnęłam się.

– Masz, ale liczę na to, że nie zostawisz mojego biednego, chorego męża w potrzebie.

– Nie mów, że mam go pielęgnować podczas twojej nieobecności.

– Pielęgnować nie, ale mogłabyś kupić mu parę rzeczy. Wodę niegazowaną, coca-colę i jakieś elektrolity. Paluszki, sucharki, krakersy.

– Zatrul się, biedaczek?

– Złapał jelitówkę.

– Niedobrze. I co jeszcze, może mam mu krupniczek ugotować? – Czułam, że Kinga jest w lepszej formie, niż mi się to początkowo wydawało.

– A mogłabyś? – spytałam proszącym tonem.

– Czego się nie robi dla męża przyjaciółki – odburknęła. – Mogę mu ugotować ten krupnik, ale nie zamierzam tam siedzieć i słuchać jego biadolenia, jak bardzo mu źle i jak bardzo czuje się samotny i opuszczony.

– O to cię nawet nie proszę. Tylko zakupy i zupa.

– Da się zrobić. Zadzwońię po wizycie i zdam ci relację ze stanu zdrowia pacjenta. A teraz muszę kończyć, bo mam klientkę.

Rozłączyła się, a ja odłożyłam telefon i podeszłam do okna. Ogród teściowej rozkwitał na moich oczach. Pielęgowany dłońmi Joanny i Romy odwdzięczał się pierwszymi delikatnymi kwiatami. Tulipanowe główki pyszniły się ponad różnokolorowymi bratkami, a owocowe drzewka zarzucały na siebie lekkie zielone sweterki, jeszcze delikatne, koronkowe, ale składające obietnicę, że ta zieleń wkrótce zakróluję, podobnie jak wiosna, której nic już nie było w stanie zatrzymać.

Czułam ją nie tylko w zapachu wilgotnej ziemi wpadającym przez otwarte okno, ale i w sobie samej. W ciągu tych tygodni spędzonych w Kazimierzu wypełniłam się wiosną. Jej radość rozsadzała mnie, a oczekiwanie i obserwowanie wzrastania mojej Kruszyнки sprawiały, że każdy dzień witałam uśmiechem i poddawałam się mu bez marudzenia, ciekawa, czym mnie zaskoczy.

Już nie miałam problemów ze snem. Dotleniona długimi spacerami, zasypiałam niemal natychmiast, tęskniąc jakby mniej za dotychczasowym życiem, zgiełkiem Warszawy i moimi podopiecznymi ze świetlicy. Jedynie Pawła mi brakowało. Ciężko mi było żyć w oderwaniu od niego i choć miałam trochę żalu o te tajemnice i niedopowiedzenia, moje serce wariowało za każdym razem, gdy słyszałam jego głos przypominający mi zapach jego ciała.

Paweł był wszystkim. Był moim domem, przystanią i bezpieczeństwem. Moją polisą na przyszłość i codziennością, która przy nim smakowała jak święto. Przy nim moje życie naprawdę stało się bajką, w której chciałam pozostać, wierząc, że jestem i będę dla niego księżniczką, która nigdy nie zmieni się w obojętną królową.

\*\*\*

*Stał w balkonowych drzwiach prowadzących na taras i nie mógł*



*oderwać wzroku od kobiety pochylonej nad rabatką pod różami. Podśpiewywała cicho, nieświadoma, że ktoś ją obserwuje, i była tak skupiona na tym, co robi, że Mikołaj nawet z odległości mógł dostrzec lekko zmarszczone czoło, charakterystyczne dla kogoś, kto z wielką starannością przykłada się do pracy. Jego uwagę przyciągnęły jednak włosy. Długie, rude i wymykające się niesfornie z kucyka, w jaki były zebrane. Pamiętał te włosy i tę kobietę. Pamiętał dotyk jej zimnej dłoni, która aż się prosiła o rozgrzanie, i spojrzenie, o którym nie mógł zapomnieć od tamtego spotkania w Mięćmierzu. Julia. Kobieta, której szukał, straciwszy nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ją spotka. Co ona tu do licha robiła?*

*– Nie słyszałam, jak wstałeś. Jadłeś już śniadanie? – Ciepły głos Joanny był jak uścisk po długiej nieobecności. Zawsze taka była w stosunku do niego, ciepła i łagodna.*

*– Kto to jest? – spytał, nie przestając obserwować kobiety w ogrodzie.*

*– To Julia. Wczoraj nie miałeś okazji jej poznać, bo przyjechała późno z Lublina.*

*Joanna pomachała kobiecie, która już ich zauważyła. Podniosła się powoli i odgarnęła nadgarstkiem włosy przyklejone do spoconego czoła.*

*– Kim ona jest i co tutaj robi? – Zniecierpliwione pytanie Mikołaja zaskoczyło Joannę, ale odpowiedziała spokojnie:*

*– Julia tu mieszka. To twoja bratowa, synku. Żona Pawła.*

*Świat zatrzęsł się pod stopami Mikołaja. Próbując utrzymać równowagę, przytrzymał się balkonowej futryny, stając twarzą w twarz z Julią, którą poznał w zupełnie innej scenerii, nie mając pojęcia, że rozmawia z żoną własnego brata.*

*– Witaj, ty pewnie jesteś Mikołaj. – Wyciągnęła do niego rękę umorusaną ziemią.*

*– Witaj, ty niewątpliwie jesteś Julia. – Uścisnął drobną dłoń, nie zwracając uwagi na to, że brunatno-czarny osad przykleja się do wnętrza jego dłoni.*

*– Paweł dużo o tobie opowiadał. Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać osobiście.*

*Nawet jeśli go skojarzyła ze spotkaniem na łące, nie dała tego po*

sobie poznać, a Mikołaj był jej za to wdzięczny. Nie chciał sprawiać Joannie przykrości i uświadamiać jej, że wrócił do Polski trochę wcześniej, ale nie pokazał się w domu, bo był obrażony na brata, że tamten nie chciał poczekać dwóch miesięcy ze ślubem. W tej chwili jednak nie miało to dla Mikołaja żadnego znaczenia. Nie był zdolny się poruszyć, zapatrzony w Julię, która – zupełnie nieskrępowana tym spotkaniem – uśmiechała się do niego wraz ze słońcem wplątany w rude włosy.

– Należą ci się moje przeprosiny, bo to ja postawiłam Pawłowi warunek, że albo pobieramy się w kwietniu, albo dopiero za rok. Mój brat trzydziestego kwietnia wyleciał na roczny kontrakt do Peru. Egoistycznie wybrałam jego... Jest jedyną rodziną, jaką mam. Moi rodzice nie żyją, więc nawet nie brałam pod uwagę ślubu bez obecności Mariusza, a Paweł nie chciał czekać aż rok. – Patrzyła na Mikołaja przeprasząc, a on czuł, że naprawdę jest jej przykro.

– Cóż, prawdę mówiąc, ja też bym nie czekał – odpowiedział.

– Słuchajcie, kochani, zaparzę kawę, usiądziemy na tarasie i lepiej się poznacie. Mikołaj, pytałam, czy jadłeś śniadanie?

– Jadłem, ale kawy chętnie się napiję. – Chciał jak najdłużej patrzeć na Julię i słuchać jej głosu, który brzmiał jak melodia. Raz usłyszana, wpadała w ucho i nie dawała o sobie zapomnieć, powracając nawet wtedy, gdy miało się jej dość.

– Pomogę ci, mamo, tylko doprowadzę się do porządku.

„Mamo”. Zastawiał się, czy Joanna już oswoiła tę nową sytuację. Dotychczas tylko on i Paweł zwracali się do niej w ten sposób, widać jednak było, że Julia i Joanna miały ze sobą dobry kontakt. Lubily się i szanowały swoją odrębność, nie wchodząc sobie w drogę. Córka, której Joanna i Jan kiedyś pragnęli, pojawiła się w ich domu dość nieoczekiwanie, wnosząc ze sobą radość i nadzieję na nowe.

I tylko samemu sobie Mikołaj zadawał pytanie, jak ma się w tym wszystkim odnaleźć...

\*\*\*

*Siedzieli przy piwie w knajpie, do której kiedyś często zaglądali. W starych, dobrych czasach, kiedy w ich życiu było jeszcze szaleństwo młodości i beztroska lat nieobciążonych zobowiązaniami, dyżurami i projektami. Dwaj bracia. Bliscy, a jednak oddzieleni dystansem minionych miesięcy, w czasie których każdy z nich poszedł w swoją stronę, oczekując od życia czegoś innego.*

*– Ożeniłeś się z kobietą, którą znasz zaledwie trzy miesiące?*

*– Dlaczego to cię tak dziwi? Uważasz, że jeśli ożeniłbym się z Julią za dwa lata, kochałbym ją bardziej?*

*Mikołaj pokręcił głową, zapatrzony w słomkową barwę rozkołysanego w kuflu piwa.*

*– Być może w ogóle już byś jej nie kochał – odpowiedział powoli na pytanie brata. – Przecież ty jej tak do końca nie znasz. Co można powiedzieć o kobiecie po trzech miesiącach znajomości?*

*– Dokładnie to samo, co po dwudziestu latach bycia razem. Wiesz, jakie to uczucie odkrywać ją codziennie? Wciąż czymś mnie zaskakuje i to jest właśnie fantastyczne, każdego dnia od nowa zachwycać się swoją żoną.*

*– Zazdroszczę ci. – To były pierwsze szczerze słowa wypowiedziane przez Mikołaja przy Pawle. – Spotkałeś kobietę i nie miałeś żadnych wątpliwości, że to jest właśnie ta jedyna, na całe życie. Ożeniłeś się z nią po tak krótkim czasie, bez lęku, że coś pieprznie i całe twoje życie się zawali. Dlaczego ja tak nie potrafię?*

*– Bo jeszcze do tego nie dorosteś.*

*– Albo jeszcze nie spotkałem swojej Julii.*

*Patrzyli na siebie, szukając w swoich twarzach tego porozumienia, które kiedyś ich łączyło. Każdy z nich się zmienił i obaj to dostrzegli. Życie rozpisywało dla nich inne scenariusze, ale dawało im wybór, którego właśnie dokonywali.*

*– Głupio wyszło z tym ślubem bez ciebie. Przepraszam.*

*Mikołaj wrzucił ramionami, bagatelizując słowa Pawła, które jednak nie były dla niego bez znaczenia.*

*– Julia jest bardzo związana z Mariuszem. Ich rodzice zginęli*

w wypadku samochodowym, kiedy Julia miała szesnaście lat. Mariusz jej ich zastąpił, biorąc na siebie odpowiedzialność za nich dwoje. Przez ten kontrakt, którego terminu nie mógł już zmienić, wybraliśmy kwiecień. Rozumiesz, nie mogło go zabraknąć na tej uroczystości. To było dla Julii bardzo ważne.

– Jego nie mogło zabraknąć, mnie tak. Rozumiem.

Paweł usłyszał ironię w głosie brata, ale nie miał mu tego za złe.

– Nigdy nie przywiązywałeś uwagi do uroczystości rodzinnych.

– Dziwisz się? Sama perspektywa spotkania z ciotką Klarą powoduje, że uciekam na drugi koniec świata. Chyba dlatego się dotąd nie ożeniłem.

Roześmiali się, rozładowując atmosferę, która była już dość gęsta.

– Dobrze, że jesteś, bracie. Brakowało tu ciebie.

Mikołaj zamrugał oczami i pociągnął spory łyk piwa.

– Wszystko się zmienia, Pawło. My też.

– Nie możemy wiecznie być dziećmi. Trzeba kiedyś dorosnąć, Mikołaj, i wziąć odpowiedzialność nie tylko za siebie.

– Co to znaczy dorosnąć, Pawło? Spójrz na siebie. Ożeniłeś się dwa miesiące temu, a nadal mieszkasz z rodzicami. Co się zmieniło oprócz tego, że już do końca życia będziesz musiał sypiać z jedną kobietą?

Nawet jeśli cienka szpila Mikołaja zabolala, Paweł nie dał tego po sobie poznać.

– Mamy mieszkanie w Lublinie, ale Julia zakochała się w Kazimierzu i Doktorówce. A ja zakochałem się w Julii i dałbym jej wszystko, o co by poprosiła. Tak to działa, Mikołaj. Tak działa miłość.

– Albo obłąd. Między jednym i drugim jest tylko cienka granica.

Paweł nie zdążył odpowiedzieć na celną ripostę brata, bo w ich męską rozmowę wplótł się miły dziewczęcy głos, sprowadzając braci z dość grząskiego gruntu do bezpiecznej rzeczywistości.

– Cześć, Mikołaj! Słyszałam, że wróciłeś. Na długo?

Obaj podnieśli głowy, natrafiając na ciemnobrązowe oczy wpatrujące się w Mikołaja z takim oddaniem, że Paweł musiał spuścić wzrok, czując się intruzem w tej niemal intymnej chwili.

– Cześć, Bonia! Sam już nie wiem, na jak długo i gdzie mnie dalej

*poniesie, ale, póki co, jestem i raczej nigdzie się nie wybieram.*

*– Mogę? – Bożenka wskazała na wolne miejsce przy stoliku braci.*

*– Jasne, siadaj. Napijesz się piwa?*

*– Chętnie.*

*Mikołaj chciał wstać, ale Paweł powstrzymał go gestem dłoni.*

*– Ja zamówię.*

*Zostawił ich samych, wiedząc, że Bożenka i tak nie zauważa już nikogo poza Mikołajem. Chciał, żeby im się udało. Lubił Bożenę. Była dobra i szczerą. Nikogo nie udawała i wielbiła Mikołaja, zapewniając go o swoim oddaniu każdym spojrzeniem, przed którym Mikołaj uciekał. Joanna też ją lubiła. Bardzo chwaliła jej wakacyjny staż w aptece i miała nadzieję, że po skończeniu studiów Bożenka zostanie w Kazimierzu i podejmie tu pracę na stałe. W jej aptece. Być może jako synowa, choć przy Mikołaju nigdy nie można było być niczego pewnym. Niespokojny duch. Wiecznie gdzieś go gnało i ciągle czegoś poszukiwał.*

*Paweł miał nadzieję, że teraz, kiedy on się ożenił, Mikołaj również zwolni i zapragnie stabilizacji i trwałości, bo ileż razy można budować domy z piasku? Najwyższa pora, aby postawić coś solidnego, a Bożenka była najlepszym fundamentem. Paweł to dostrzegł, ale czy Mikołaj był w stanie spojrzeć na to w ten sposób? Tego nie wiedział nikt.*

\*\*\*

*– Co to jest? – Obracałam w dłoniach zaproszenie, którego sensu kompletnie nie rozumiałam.*

*– Zaproszenie na Babskie Balety, czyli dużą imprezę tylko dla kobiet u Luizy.*

*– U Luizy? – Prawie zachłysnęłam się melisą, którą właśnie popijałam. – Przecież ona ostatnio omal nie zabiła mnie wzrokiem bazyliuszka. Chyba zaprasza mnie tylko dlatego, że tak wypada.*

*– O Rybickich się gada i plotkuje, ale nie można ich lekceważyć, wszyscy o tym wiedzą. Luiza też. A poza tym ona bardzo lubi się chwalić i wie, że na jej tle nawet Rybiccy zbledną.*

– Chyba nie mam ochoty być dla niej ścianką. Dziękuję, ale nigdzie nie idę.

Bożenka spojrzała na mnie z uśmiechem, który rzadko widywałam na jej twarzy.

Stanowczym ruchem odłożyłam zaproszenie na kuchenny stół i spokojnie dopiłam melisę.

– Zosia, nie zrobisz mi tego. – Bożenka odsunęła krzesło i usiadła przy stole, tuż obok mnie. – W pojedynkę Luiza pożre mnie żywcem, we dwie będziemy silniejsze. Te przyjęcia, podobnie jak jajcowanie, odbywają się co roku. Luiza wraca tu na wiosnę i szuka nowych pomysłów, a w międzyczasie pokazuje się, gdzie tylko może. Babskie Balety są dla niej okazją, aby zaprezentować się wielu wpływowym kobietom w naszej okolicy. Joanna też dostała zaproszenie. Sama więc widzisz, że nie możesz nie pójść. Tym bardziej że z tej imprezy zawsze wraca się z jakąś kreacją z zeszłorocznej kolekcji Luizy. Taki ma gest, dla każdej obecnej na przyjęciu kobiety organizuje ciuchowisko i pomaga ci dobrać to, co naprawdę do ciebie pasuje. Jest dziwna i nieco ekscentryczna, ale można się z nią dogadać. Ona i Julia przyjaźniły się – powiedziała Bożenka i zamilkła.

Skinęłam głową.

– Wiem, Wiola mi o tym wspominała. – Odstawiłam pusty kubek na stół i, korzystając z tego, że Bożena siedziała przy mnie i nigdzie nie pędziła, spytałam:

– A ta Luiza pochodzi stąd?

Bożenka pokiwała głową.

– Z okolic Kazimierza, a konkretnie z Rąblowa. Była jedynym dzieckiem rodziców, którzy doczekali się jej, sami będąc już w wieku biblijnych Elżbiety i Zachariasza. Od dziecka miała zdolności plastyczne, a projektować i szyć ciuchy dla siebie zaczęła jeszcze w podstawówce. Skończyła liceum plastyczne w Nałęczowie, a potem wyjechała na studia do Warszawy. Długo nie mogła się przebić przez hermetyczny świat projektantów mody. Wiem tyle, że pracowała razem z Grażyną Hasse, ona jej pomagała. Po śmierci rodziców sprzedała gospodarstwo, robiąc na tym świetny interes, bo Rąblów zrobił się miejscem turystycznie atrakcyjnym, zwłaszcza dla narciarzy. Za

pozyskane pieniądze kupiła dom w Kazimierzu, a resztę zainwestowała w swoją pierwszą kolekcję, która choć nie wzbudziła wielkiego zainteresowania, to przetała Luizie pewne ścieżki, co nauczyła się z czasem wykorzystywać. Teraz jej ciuchy noszą hollywoodzkie aktorki, a sama Luiza osiągnęła to, o czym marzyła od dziecka. Pytanie tylko, czy jest w tym wszystkim naprawdę szczęśliwa...

– Nie wyszła za mąż? – spytałam, zaszuchana w opowieść, która brzmiała dla mnie jak bajka.

– Nie. – Bożenka szybko pokręciła głową i wstała od stołu. – Ja wyszłam i co z tego? Wcale nie jestem szczęśliwa.

Bożenka zabrała mój kubek i odwróciła się do mnie plecami, nie chcąc, abym zauważyła jej słabość w oczach, które nagle zwilgotniały.

– Nie chcesz się spotkać z Mikołajem? – Wiedziałam, że prowokuję tym pytaniem wybuch, ale urodzona z naiwnością Kopciuszka chciałam wierzyć w dobre zakończenia. Skoro Mikołaj wrócił, musiał mieć w tym jakiś powód. Może przemyślał swoje życie i zrozumiał, że Bożenka była w nim naprawdę kimś wyjątkowym?

– Chcę, ale co z tego? – Bożenka wykorzystwała te kilka chwil przy zlewie, aby nałożyć na twarz maskę obronną, za którą czuła się bezpieczna. Patrzyła teraz na mnie oczami zranionej kobiety, która wie, że obojętność boli mniej niż zaufanie, zwłaszcza to wielokrotnie zawiedzione. – Mikołaj wie, gdzie mnie szukać, a skoro tego nie robi, najwidoczniej nie chce. Swój honor mam i latać za nim nie będę. Bartusia mi tylko szkoda. Ostatnio coraz częściej wypytuje mnie o Mikołaja, a ja nie wiem, co odpowiadać, aby nie wylewać na dziecko swojego żalu i rozgoryczenia.

– A może powinni spędzić ze sobą trochę czasu? – Zaczęłam dyplomatycznie.

Źle się czułam ze świadomością, że ukrywam przed Bożenką spotkanie Bartka z ojcem, ale wiedziałam, jak ważne to było dla chłopca, i nie chciałam, aby Bożenka kategorycznie mu tego zakazała. Gorycz zaślepiła, a człowiek słuchający jej podszeptów nie działa racjonalnie i często szkodzi najbardziej sobie, kierowany złymi emocjami i bezsilnością.

– Po co, Zosiu? Żeby Mikołaj namieszał małemu w głowie

i naobiecował mu gruszek na wierzbie? Tak, jak jest, jest dobrze. – Miałam wrażenie, że ostatnimi słowami Bożenka przekonywała samą siebie.

– Wcale nie – zaczęłam, ale moja bratowa powstrzymała mnie gestem ręki.

– Zosia, nie ciągnijmy tego tematu, proszę cię. Nie mam siły o tym rozmawiać. Jestem emocjonalnie poobijana i posiniaczona, nie dokładaj mi więcej, dobrze?

– Okej. – Wiedziałam, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas i moje wyznanie musi poczekać na lepszą okazję. – Powiedz mi tylko jeszcze, jak mam się ubrać na tę imprezę? – Podniosłam w górę zaproszenie i pomachałam nim.

– Elegancko. Tak, aby twój strój podkreślał kobiecość i dawał ci złudne poczucie wyjątkowości choć przez jeden wieczór.

– I masz babo placek! – Podparłam brodę na dłoniach, opierając łokcie na stole. – Przyjeżdżając tutaj, nie brałam pod uwagę tego, że będę bywać na eleganckich przyjęciach. Miało być zwyczajnie, spokojnie i ociężale, a tymczasem zostałam zaproszona do projektantki światowej klasy, co bynajmniej nie sprawia, że skaczę do góry z radości.

Bożenka uśmiechnęła się, a ja wiedziałam, że to dobry znak, bo odciągnęłam ją od czarnych myśli, delikatnie popychając w przeciwnym kierunku.

– Nie martw się, na to akurat coś zaradzimy. Jak przyjedzie Paweł, zażyczymy sobie, aby zawiózł nas do jednej z lubelskich galerii. Nie ma to jak męskie oko przy wyborze kreacji.

– No właśnie, Paweł! Muszę zadzwonić do Kingi i spytać, jak on sobie radzi.

– Biedak – westchnęła Bożenka. – Że też musiał akurat to przywlec ze szpitala. Jelitówka to straszliwe paskudztwo. Pozdrów go ode mnie.

– Pozdrowię.

Idąc na górę go pokoju, z którym już się zaprzyjaźniłam i który zaczęłam uważać za swój, myślałam z niepokojem o Pawle i jego samotności w wielkim mieście. Co z tego, że mieszkało tam tylu ludzi, skoro większość z nich pozostawiała sobie obojętna? Mijali się na zatłoczonych ulicach, ale unikali patrzenia sobie w oczy i śpieszyli się do



swoich bardzo ważnych spraw, rzadko znajdując na cokolwiek czas. Teraz, kiedy mieszkałam w Kazimierzu, bardziej doceniałam życie w małym mieście. Tutaj ludzie przy sobie przystawali, aby choć chwilę porozmawiać, i nawet jeśli za bardzo interesowali się sprawami innych, zawsze można było liczyć na to, że w razie choroby ktoś zajrzy i pomoże. Tak to funkcjonowało, a ja coraz poważniej zaczynałam się zastanawiać nad tym, czy naprawdę chcę wracać do Warszawy.

Długo czekałam na połączenie z Kingą i już nawet miałam odłożyć telefon, gdy usłyszałam w nim zadyszany głos mojej przyjaciółki.

– Ty to masz wycucie, kobieto. Dzwonisz akurat w momencie, kiedy obciążona jak wielbłąd wyszłam ze sklepu i zębami niemalże musiałam wyciągnąć telefon, bo obie ręce mam zajęte.

– To po co tyle nakupiłaś? – spytałam, kładąc się na łóżku i rozgrzeszając samą siebie, że robię to w ciągu dnia.

– Dobre pytanie, he, he. – Kinga najwidoczniej się przemieszczała, bo w tle naszej rozmowy wyraźnie słyszałam zgiełk ulicy. – Twojemu mężowi zachciało się kaszy manny w rosole, rozumiesz? Muszę najpierw ten rosół ugotować, tacham więc siaty z zakupami, bo przy okazji coś dla siebie ugotuję.

– Kochana jesteś. – Uśmiechnęłam się i cmoknęłam głośno w telefon. – Jak Paweł? Tylko szczerze poproszę.

– Szczerze to ci powiem, Zosiu, że szkoda mi chłopca, bo złapał jakąś wredną odmianę jelitówki. Na nogach się ślania, ale pościeli zmienić sobie nie pozwolił. Poprosił tylko, abym wyprasowała świeżą, więc wyprasowałam, krupnik mu podałam i przypilnowałam, aby zjadł przy mnie, elektrolity zrobiłam, paluszki i wodę zostawiłam przy łóżku i obiecałam, że dziś wieczorem zajrzę z tym rosółem. Widać, że źle się czuje, bo nawet nie marudzi.

– Nie strasz mnie.

– Ja cię nie straszę, rękę na pulsie trzymam. Pielęgniarki żadnej u niego nie było, ale strzeżonego... Rozumiesz. Dał mi nawet swoje klucze, więc o nic się, Zośka, nie martw.

Odetchnęłam, myśląc, że moja niby-przyjaciółka okazała się w momencie prawdziwego kryzysu po prostu przyjaciółką.

– Dziękuję – szepnęłam do telefonu, boleśnie zdając sobie sprawę

z tego, że to ja powinnam pielęgnować Pawła, a nie Kinga.

– Daj spokój, to nic takiego. Może się w końcu przekonam do tego twojego doktora. – Kinga nie lubiła sentymentów, a przynajmniej starała się, aby wszyscy myśleli, że nie lubi.

– Mam taką nadzieję – powiedziałam, łapiąc się na tym, że od jakiegoś czasu głaszczę brzuch, zupełnie jakbym chciała uspokoić naszą Kruszynekę, że wszystko jest pod kontrolą i jej tata nie jest jednak w tej Warszawie zupełnie sam.

– Dam ci znać, czy mój rosół się przyjął i czy pan doktor wraca do zdrowia, choć wczoraj naprawdę wyglądał jak z krzyża zdjęty.

– Okej, to czekam na wiadomość. Pa!

– Pa! Pa!

Odłożyłam telefon na nocną szafkę przy łóżku i położyłam się na boku. Mój pokój pachniał świeżością budzącego się do życia ogrodu, a znad Wisły dolatywało świergotanie mieszkających w przybrzeżnych zaroślach ptaków, które pozlatywały do pustych gniazd z przeróżnych zakątków świata, a teraz uwijały się, zakładając rodziny i budując swoje domy. Wiosna z każdym dniem coraz bardziej odurzała i rozbudzała uśpione zmysły. Miałam wrażenie, że nawet moja Kruszyńska to czuła, choć nie dawała jeszcze gwałtownych znaków swojej obecności. Wyczuwała jednak z pewnością energię i poruszenie, oczekiwanie i chęć wzrostu, jak rośliny, które pięły się ku słońcu.

Nie miałam ochoty na drzemkę, ale wstawać też mi się nie chciało. Wyciągnęłam rękę i sięgnęłam po kopertę leżącą na szafce. Spośród wielu wydrukowanych kartek wybrałam artykuł, który zaintrygował mnie tytułem: *Wywiad z Nadzieją*.

Coraz bliżej dopuszczałaś mnie do siebie, Julio, i coraz bardziej się odkrywałaś, pozwalając mi czytać między wersami. Co z tego było jedynie moimi domysłami, a co prawdą, tylko ty wiedziałaś. Czułam jednak, że nie masz mi za złe faktu, że podążam twoimi śladami, wręcz przeciwnie, odnosiłam wrażenie, jakbyś sama mnie prowadziła. Jeszcze nie wiedziałam, dokąd, ale to w tym momencie nie miało najmniejszego znaczenia. Czułam, że wcześniej czy później znajdziesz sposób, by mi to przekazać, dlatego teraz spokojnie oparłam się plecami o poduszkę i stałam się świadkiem twojej urzekającej rozmowy z Nadzieją...

– *Przychodzisz i odchodzisz. Jesteś jak ocean ze swoimi przyływami i odpływami, który tak wiele przynosi, ale i w jednej chwili może wszystko zabrać. Ludzie chwytają się Ciebie kurczowo, bo niejednokrotnie zostajesz im tylko Ty, Nadziejo. Jak ostatnia deska ratunku. Obserwujesz nas swoimi zielonymi, szeroko otwartymi oczami i nie możesz się nadziwić, że tyle wieków minęło, a my wciąż popełniamy te same błędy. Ze wszystkich sióstr jesteś najbardziej płochliwa i tak łatwo stracić Cię z oczu...*

*Nadzieja uśmiecha się, a zieleń w jej oczach jaśnieje. Jej głos jest łagodny i bardzo cichy. Tak cichy, że czasami muszę się pochylić, by ją usłyszeć.*

– *Nazywają mnie matką głupich i oskarżają o to, że zawodzę. Nie widzą, bo nie chcą widzieć. Mówią, że nie mają już nic, nawet nadziei, która ich opuściła, a tak naprawdę ja odchodzę ostatnia. Nie usuwam się tak łatwo, jak moja siostra, Wiara, która, gdy jest lekceważona, nie narzuca się, tylko usuwa się w cień i pragnie, aby jej szukać. Ja trwam pomimo wszystko, choć często wraz ze mną trwają ból, rozpacz, cierpienie i nieporozumienie. Nie opuszczam ludzi, nawet gdy się ode mnie odwracają. Jestem przy nich, choć ich rozczarowanie przesłania im wzrok i nie potrafią mnie dostrzec.*

– *Ludzie Cię potrzebują, Nadziejo. I potrzebuje Cię świat, który w pewnym momencie stał się tak pyszny, że odrzucił Ciebie i Twoje siostry, twierdząc, że jest wszechmocny i sam sobie ze wszystkim poradzi, sam się uszczęśliwi, uleczy, uzdrowi. Kimże jesteś, Nadziejo, że czasami tak trudno Cię dostrzec?*

– *Jestem czekaniem. Na cud, na wyzdrowienie; na jakiś znak, na czyjeś przyjście; na słońce i wiosnę; na Miłość, której świat potrzebuje. Jestem deszczem po długim okresie suszy, który spękana ziemia z wdzięcznością przyjmuje, aby ocalić te ziarna, które jeszcze w niej przetrwały. Jestem przypadkowym dzwonkiem do drzwi, kiedy nikogo się nie spodziewamy, pogrążeni w samotności. Jestem Twoim odbiciem w oczach człowieka patrzącego na Ciebie z zainteresowaniem. Jestem obietnicą przyjaźni, spotkania, bliskości. Jestem, naprawdę jestem, choć nie zawsze mnie dostrzegasz. Razem z Tobą siedzę na brzegu szpitalnego*

*łóżka i razem z Tobą wierzę... a czasami i za Ciebie. Nigdy nie opuszczam człowieka. To człowiek mnie opuszcza. Odwraca się i odchodzi. Ja wciąż jestem. I trwam.*

*– Jak mogę Cię odnaleźć, jeśli już stracę Cię z oczu?*

*– Pamiętaj, że zawsze przychodzę przez drugiego człowieka. I wiesz, „nic nie stracisz, jeżeli Twoją świecą zapalisz świecę kogoś drugiego”. Jeżeli masz nadzieję, przekaz ją dalej; tam, gdzie jej zabrakło. Po prostu czasami uwierz za kogoś, kto już tego nie potrafi.*

\*\*\*

Chciałam spotkać się z tobą, Julio, sam na sam. Bez świadków, którzy zniekształcali twój obraz układający się mgliście w mojej głowie.

Chciałam stanąć naprzeciw ciębie i spytać cię o tę nadzieję, w którą wierzyłaś. Do czego jej potrzebowałaś? Podejrzewam, że do niespełnionego macierzyństwa. Pragnęłaś być matką. Tak, jak ja, nosiłaś pod sercem dziecko Pawła, oczekując z radością narodzin swojej Kruszyнки będącej zlepkiem nieprzypadkowych komórek połączonych nieobojętym cudem miłości. Jak ja oczekiwałaś tej chwili, kiedy weźmiesz swojego synka w ramiona, i snułaś plany na przyszłość. Jak bardzo musiało boleć kolejne rozczarowanie i jak wiele ran pozostało w twoim sercu rozdartym rozpaczą. Czy dzięki tej nadziei, o której napisałaś, udało ci się kiedykolwiek je posklejać? Poszłam dziś na cmentarz, potrzebując tej chwili samotności z tobą. Ale zamiast ją znaleźć, znów zderzyłam się z wrogością, do której trudno było się przyzwyczaić.

– Nie powinnaś tu przychodzić. – Luiza zawarczała na mnie, zanim jeszcze doszłam do grobu Julii, przy którym stała. Na płycie leżały rozsypane białe róże i paliło się jedno światełko.

– Oceñałaś mnie, jeszcze zanim mnie poznałaś – odpowiedziałam spokojnie, zatrzymując się i żegnając znakiem krzyża.

– Zajęłaś jej miejsce. Przychodząc tutaj, chcesz odebrać jej

pamięć?

– Chcę ją zrozumieć.

Luiza prychnęła, a potem opuściła głowę i pokręciła nią już bez tej zawziętości.

– Nikt tak naprawdę nie znał jej do końca, nawet twój mąż. Julia miała swoje własne miejsca, do których nie dopuszczała nikogo. Ja również pozostawałam gdzieś obok jej życia. Niestety nigdy nie uczestniczyłam w nim tak w pełni, do końca.

Zamilkła z głową zaprzątą myślami, do których ja nie miałam dostępu. Nie przerywałam milczenia, które tu, na cmentarzu, było czymś normalnym. Odmówiłam modlitwę za twoją duszę, Julio, ale na rozmowie z tobą skupić się nie potrafiłam. Rozpraszała mnie obecność Luizy i jej wyraźna niechęć do mnie, której nawet nie starała się ukrywać.

– Pokłóciłyśmy się podczas naszego ostatniego spotkania. – Wyciszona spokojem cmentarza drgnęłam na dźwięk głosu Luizy. Nie patrząc w moją stronę. Stała przygarbiona, wyginając szczupłe palce dłoni niczym palacz na odwyku szukający zajęcia dla rąk. – Powiedziała mi o czymś, co bardzo mi się nie spodobało. Nawrzeszczałam na nią, przekraczając pewną granicę, co Julię zezłościło. Kilka lat pięknej przyjaźni, najpiękniejszej, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w moim życiu, zostało podsumowanych trzaśnięciem drzwi, na których z wściekłością rozbiłam kryształowy wazon. Rozbił się na setki maleńkich odprysków, zupełnie jak ja, kiedy później dowiedziałam się o jej śmierci. Niczego nie mogłam zrobić, niczego wyjaśnić ani przeprosić. Nie mogłam nawet jej powiedzieć, kim dla mnie była!

Luiza podniosła zapłakaną twarz, patrząc teraz na mnie szklistymi od łez oczami.

– Nie umiem żyć ze świadomością, że mi nie wybaczyła. Szukam jej i próbuję zmusić do odpowiedzi, czy zabrała ze sobą żal, czy odpuściła zaraz po tym, jak wyszła z mojego domu. Byłam u medium, ale okazała się jedną wielką oszustką, radziłam się u Cyganek, jednak one też nie odczytały dla mnie odpowiedzi. Wiesz, co mi jedna stara powiedziała? „Czekaj na wiadomość, którą przyniesie ci młoda doktorowa”. – Luiza zaśmiała się ironicznie, wycierając mokre oczy. –

Masz dla mnie jakąś wiadomość, czy każesz mi czekać, aż całkiem oszaleję?

Pokręciłam bezradnie głową.

– Tak myślałam – odpowiedziała, wyciągając z małej torebki chusteczkę i wycierając twarz. W jasnym, idealnie skrojonym na jej szczupłą sylwetkę garniturze widocznym spod rozpiętego lekkiego płaszcza, wyglądała bardzo elegancko i z całą pewnością wyróżniała się na tle kazimierskiej społeczności i turystów, który coraz śmieiej i coraz tłumniej zaglądali do Kazimierza wraz z ciepłem wiosny.

– Zamień te mdłe kolory na bardziej zdecydowane. Fiolet lub czerwień. Nie bój się ich, szara myszko – powiedziała jeszcze, wymijając mnie i odchodząc od grobu. – Zbyt wiele ci dzisiaj nie powie – wskazała na porcelanową fotografię, na której nieznany fotograf uchwycił Julię z lekko rozmarzonym uśmiechem, błędzącym na ustach jakby na przekór miejscu, w którym się znajdowałyśmy. – Przyjdź na Babskie Balety. Mam dla ciebie ekstrakieckę, która uwydatni twój brzuszek. W tym sezonie ciąża jest modna.

Obejrzałam się za znikającą w oddali Luizą. Pomimo filigranowej sylwetki jej krok był ociężały, zupełnie jakby nosiła na sobie ciężar, który przeszkadzał jej żyć.

Cóż takiego mogłam jej od ciebie przekazać, Julio? I dlaczego stałam się częścią układanki, w jakiej zupełnie nie chciałam się znaleźć? Mnie również nie odpowiedziałas tego dnia na żadne pytanie.

\*\*\*

*Lubił jej śmiech. Brzmiał jak muzyka, której piękno dopiero przy niej odkrywał. Obserwował ją po kryjomu, zajęta ogrodem albo zamyśloną nad grubym zeszytem, który wszędzie ze sobą nosiła. Patrzył z uśmiechem, jak zabawnie marszczy nos, kiedy nad czymś intensywnie się zastanawia, i nieodmiennie zachwycał się tym jednym gestem, jakim odgarniała długie włosy z twarzy i przerzucała je na plecy. Odkąd Julia*

*zamieszkała w Doktorówce, nie chciało mu się nigdzie stąd wyjeżdżać.*

*– Udało ci się nagrać ciszę? – spytał, wychodząc na taras z dwoma kubkami zaparzonej po turecku kawy. – Kawy?*

*– Chętnie. Dziękuję. – Wyciągnęła rękę i ujęła ciepły kubek, zaglądając do środka. – Czarna, męska, zdecydowana.*

*– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jaką lubisz, ale innej nie umiem robić. W tej się wyspecjalizowałem.*

*Julia upiła łyk i chwilę się nim delektowała.*

*– Dobra. Mało słodka, ale i bez goryczy. Czym ją doprawiłeś?*

*– Odrobiną miodu i przyprawami. Kardamon, imbir, cynamon. Wszystko w odpowiednich proporcjach.*

*– Paweł takiej nie umie robić. – Z każdym łykiem Julia coraz bardziej doceniała smak napoju.*

*Mikołaj skrzywił się w odpowiedzi.*

*– Bo Paweł, podobnie jak nasz ojciec, umie zaparzyć tylko lekarskiego szatana, do tego z kilkoma kostkami cukru w środku, co dla mnie jest profanacją. Cukier to trucizna. Doskonała kawa to ziarna, przyprawy i ewentualnie miód od uczciwego pszczelarza.*

*– No proszę, chyba nagram z tobą reportaż o kawie. Bo w ten o ciszy wdarły się jakieś nieproszone dźwięki. – Julia spojrzała na Mikołaja znacząco.*

*– Dzięki, że mnie wtedy nie zdradziłaś. Mamie byłoby przykro, że nie przyjechałem od razu do domu, a ja po prostu musiałem najpierw złapać oddech. Nie było mnie w Polsce ponad dziewięć miesięcy.*

*– Przyznaj, że byłeś wściekły na Pawła i chciałeś ich wszystkich ukarać.*

*Mikołaj zapatrzył się w zielone oczy, które rozgryzły go, zanim jeszcze zdolał cokolwiek wyjaśnić.*

*– Fakt, byłem. A ty byś nie była, gdyby twój brat ożenił się, nic ci o tym nie mówiąc?*

*– Zabiłabym go! Ale przecież tobie Paweł powiedział.*

*– Tyle że na mnie nie poczekał. Zresztą, teraz to już nie ma żadnego znaczenia.*

*Julia przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.*

*– To znaczy, że mnie zaakceptowałaś?*

*– To znaczy, że jesteś w porzo.*

*Roześmiali się, grzejąc się w ciepłe czerwcowego poranka.*

*– Dzięki za kawę. – Julia odstawiła kubek, na dnie którego ułożyły się ciemnobrązowe fusy pachnące kardamonem. – Wracam do pracy. Muszę dziś jeszcze wysłać ten artykuł i pomyśleć o kolejnym reportażu.*

*– Gdybyś mnie do niego potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać. – Posłał Julii łobuzerski uśmiech, który jednak nie zrobił na niej takiego wrażenia, jak na amerykańskich dziewczynach.*

*– Jasne. – Kobieta zmrużyła zielone oczy i przez chwilę patrzyła na Mikołaja.*

*Mężczyzna miał nadzieję, że powie coś jeszcze. Ale Julia zamilkła i wróciła do pisania.*



*OSIEM...*



Pod czujnym okiem Kingi Paweł powoli wracał do zdrowia i odzyskiwał siły, a ja z coraz większą niecierpliwością wyglądałam jego przyjazdu.

– W tym tygodniu, Zosieńko, jeszcze zostanę w Warszawie. Czuję się już dość dobrze, ale mam zaległości w papierach. Nie chcę tego odkładać, bo potem się z tego nie wygrzebię. Wytrzymasz?

Westchnęłam, przytulając się do rozgrzanego ciepłem mojego ciała telefonu.

– Zamiast tyć, zacznę chyba usychać z tęsknoty. Poza tym nie mam sukienki na Babskie Balety.

– O! Luiza już przyjechała?

– Uhm – mruknęłam na potwierdzenie i przygryzłam wargi.

Doszłam do wniosku, że nie będę dokładała Pawłowi niepotrzebnych problemów, którym i tak nie mógł na odległość zaradzić, zachowałam więc dla siebie zimne stosunki, jakie panowały między mną a Luizą.

– Nie przejmuj się, Zosiu, jeśli powie lub zrobi coś nie tak. Luiza to dziwadło. Nigdy za mną nie przepadała, zresztą z wzajemnością. To ciekawe, że zaprosiła i ciebie.

– W końcu mam na nazwisko Rybicka, prawda? – odparłam lekko zadziornie.

– Niewątpliwie tak – odpowiedział mój mąż, a ja zatęskniłam za jego dotykiem i spojrzeniem pełnym czułości, przy którym niemal się roztapiałam.

– Co tam w Doktorówce, pani Rybicka? Mama dzwoniła dwa dni temu, zapewniając, że jesteś pod najlepszą opieką, w co nie wątpię, ale czuję, że nie mówi mi wszystkiego.

– Mieli ostatnio małe spięcie z tatą o Mikołaja. – Nie wiedziałam, czy powinnam o tym wspominać Pawłowi, ale skoro stałam się świadkiem tej sceny, uznałam, że mogę podzielić się tym z mężem.

– Standard. Za każdym razem, kiedy Mikołaj pojawia się w Kazimierzu, jest tak samo. On nie potrafi odpuścić i dorosnąć, a mama jak zwykle go broni...

– Dziwisz się jej? – Nie wiedziałam, jaką ja będę matką i co dla mnie przygotowuje los, ale byłam pewna, że tylko miłość matki jest miłością bezwarunkową, nieupominającą się o swoje i akceptującą wszystko, nawet mimo wątpliwości. Dla Joanny Mikołaj wciąż był jej dzieckiem, choć miał już sporo lat i wiele błędów popełnił.

– Czasami tak, ale z drugiej strony staram się ją zrozumieć.

– Ciebie też broniłaby jak lwica, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Wiem, Zosiu. Dlatego nie mam do niej żalu. Mam go za to do

Mikołaja.

Nie przekazałam Pawłowi wszystkiego. Nie powiedziałam mu o tym, że Bartek już trzykrotnie spotkał się z Mikołajem i że dziś prawdopodobnie Mikołaj też będzie czekał na nas przy ławce, która stała się dla nas niemalże miejscem tajemnych schadzek. Ale patrząc na radość chłopca wyprzedzającego mnie i biegnącego w stronę Wietrznej Góry, nie mogłam mu tego odebrać, choć nie miałam wcale pewności, czy któregoś dnia Mikołajowi nie znudzi się ta zabawa. Bartek, jak każde dziecko, żył chwilą i oceniał świat emocjami. Nie wartościował, bo miał w sobie jeszcze dziecięcą ufność, ale patrzył sercem, które w tym momencie jego życia mocno przyłgnęło do Mikołaja z nadzieją, że tata zostanie w jego życiu na zawsze.

– Dbaj o siebie, Pawełku.

– Ty też, kochanie. Pa!

– Pa! Kocham cię. – Ostatnich słów, wyszeptanych, Paweł już nie słyszał. Ale nie musiał, bo i tak miał pewność, że jest dla mnie wszystkim.

Od września żyłam otoczona bezpiecznym kokonem jego miłości, odwzajemniając mu ją oddaniem i zaufaniem. Miłość. Gdy się pojawia, zmienia wszystko. Zmieniła mnie i Pawła, i nasze postrzeganie świata, który stał się dużo przyjemniejszym miejscem, niż był do tej pory. Tak to czułam. Miłość, którą obdarowywał mnie mój mąż, wywróciła moje życie do góry nogami dosłownie i stała się najpotężniejszym uczuciem, którego nic nie było w stanie pokonać. Wierzyłam w to, bo zawsze byłam niepoprawną romantyczką. Jeszcze zanim poznałam Pawła, marzyłam o miłości, która nie zawiedzie i nie będzie ranić. O takiej, do której biegnie się z radością po pracy i w której ramionach odchodzą smutki, a problemy dzieli się na pół. Marzyłam o miłości, która nie odtrąci i nie podnosi ręki; o takiej, która wspiera i wierzy nawet wówczas, gdy mnie samej zabraknie wiary. O miłości, która ufa i rozumie. Taką miłość dostałam wraz Pawłem i byłam wdzięczna za każdy wspólny dzień i za spotkanie w szpitalu, kiedy w oczach poważnego lekarza znalazłam zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

\*\*\*

Tym razem Mikołaj czekał na nas pod szkołą, czym zaskoczył nie tylko Bartka, ale i mnie.

– Pomyślałem sobie, że dziś jest tak ładnie i ciepło, że może wybralibyśmy się do parku linowego. Co ty na to? – Pytanie teoretycznie skierowane było do Bartka, ale wiedziałam, że Mikołaj zwraca się z tym również do mnie, bo to ja byłam tak naprawdę odpowiedzialna za chłopca w te dni, w które go odbierałam.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – zaczęłam niepewnie, ale obaj mnie zakrzyczeli.

– No coś ty, ciociu, to jest fantastyczny pomysł!

– Wyluzuj, nic mu się nie stanie. Zresztą możesz pójść z nami.

Dotychczas dawałam im czas tylko dla siebie, wycofując się taktownie i czekając na nich w Herbaciarni u Dziwisza. Dzisiejsza propozycja, bo tak potraktowałam słowa Mikołaja, była czymś nowym i tak nieoczekiwanym, że, zaskoczona, nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Ciociu, chodź z nami! Będzie fajnie.

– Może się nie pogryziemy – dopowiedział Mikołaj, natrafiając na moje pytające i niezdecydowane spojrzenie.

Odpuściłam, choć napadło mnie tysiące wątpliwości. Odsunęłam wszystkie: „Co będzie, jeśli...?”, po czym wsiadłam do ubłoconego land rovera, na widok którego Bartkowi rozbłyły oczy.

– To twój samochód, tato?

– Mój. – Mikołaj z dumą skinął głową. Duży chłopiec cieszący się swoją zabawką.

– Ale fajowski!

– Zapnij pasy. Ty też – rzucił przez ramię, nie patrząc w moją stronę.

Mimo nonszalancji Mikołaj prowadził spokojnie. Nie starał się popisywać na tym dość krótkim odcinku i miałam nawet wrażenie, że prowadził ostrożniej, niż gdyby jechał sam. Choć starał się ignorować moją obecność, czułam, że czuwa nie tylko nad Bartkiem i że jego

wrogość znacznie osłabła od czasu tamtego spotkania na cmentarzu.

– Mam nadzieję, że tobie nie strzele do głowy wspinać się po tych drzewach. – Mikołaj wskazał na zawieszony wysoko między konarami liny, gdy przybyliśmy już na miejsce.

Pokręciłam głową.

– Nie mam aż takiej ułańskiej fantazji. Za to mam nadzieję, że nie puścisz po tej trasie Bartka samego.

– Może i nie wyglądam na takiego, ale staram się myśleć. Idziemy razem, a ty usiądź tam, na ławce, i powygrzewaj się w wiosennym słońcu. Dzień dobry! – Te ostatnie słowa skierowane były do instruktora, który pojawił się z zapraszającym uśmiechem. O tej porze dnia, w środku tygodnia, było tu pustawo. Prawdę mówiąc, Mikołaj i Bartek byli jedynymi uczestnikami linowej przygody, mieli zatem cały park i uwagę instruktora tylko dla siebie.

Po raz pierwszy miałam okazję obserwować relację Mikołaja i Bartka niezakłóconą przez ingerencję innych. Wyglądało na to, że to, co robił Mikołaj, było szczere. Czulałam to. Dogadywali się z Bartkiem bez żadnych problemów, ojciec i syn pochłonięci tą samą czynnością. Nie było między nimi tej niezręczności, którą dostrzegłam przy spotkaniu na cmentarzu. Widać było, że wykorzystali ten wspólny czas, który wykradliśmy w tajemnicy przed Bożenką, aby odnaleźć wspólną dla nich obu przestrzeń. Patrząc na Mikołaja zapinającego uprząż Bartka i na jego szorstkie, ale zupełnie naturalne ruchy, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że zarówno Paweł, jak i Bożena przedstawili mi Mikołaja w trochę krzywym zwierciadle. Może i nie był dobrym mężem, a na pewno nie takim, jakiego Bożenka mieć pragnęła, ale chciał być ojcem. I był w tym naprawdę dobry, o czym świadczyła rozpromieniona buzia chłopca i jego spojrzenie, pełne uwielbienia dla faceta, który wraz z nim miał wspinać się po drzewach i zjeżdżać na linie. I nagle przyszła mi do głowy myśl, że być może Mikołaj nigdy nie dostał szansy, aby być dla Bartka właśnie takim tatą, jakiego mogłam obserwować, i że być może Bożenka trzymała chłopca zbyt blisko siebie, od początku chroniąc go przed ojcem, który zranił ją jako kobietę i któremu nie potrafiła zaufać.

Dorośli często popełniali ten błąd. Tocząc wojny między sobą, wciągali w to dzieci i z góry formułowali osądy, nie zawsze prawdziwe.

Manipulowali dziećmi, wmawiając wszystkim wokół, że to nie oni ponoszą winę. Być może Bożenka nieświadomie tak właśnie robiła. Odsunęła Mikołaja, zarzucając mu jednocześnie brak zainteresowania własnym dzieckiem.

– Ciociu! Popatrz na mnie!

Uniosłam głowę i odmachalam chłopcu, który uniósł do góry jedną rączkę, drugą zaś obejmował gałąź, czekając na ojca.

– Trzymaj się mocno! – krzyknęłam, zdając sobie sprawę, że zachowuję się jak nadopiekuńcza mamuśka.

– Nie martw się, ciociu, tata jest ze mną – odpowiedział mi chłopiec najbardziej oczywistą z oczywistości, a Mikołaj dorzucił:

– Nie pękaj, ciotka.

Nie wiem, czy było to tylko złudzenie optyczne, gdyż patrzyłam na nich pod słońce, ale miałam wrażenie, że przez twarz Mikołaja przemknął uśmiech. Ale może tylko mi się to wydawało?

Ciekawe, jakim tatą będzie Paweł? – pomyślałam jeszcze, a potem, znużona bezczynnością, wstałam i poszłam kibicować ojcu i synowi w linowych potyczkach między konarami.

\*\*\*

To był długi i pełen emocji dzień. Rozbrykany i wcale niezmęczony wspinaczką Bartek nie chciał wracać do domu.

– Obiecałeś, że nauczysz mnie rąbać drzewo.

– Chłopie, nie wszystko naraz. Nie mogę spełnić wszystkich swoich obietnic jednego dnia.

– Ale ja mam dzisiaj w sobie tyle siły, że czuję, że dałbym radę! – Bartek skakał przed Mikołajem w rozpiętej kurtce.

– W to nie wątpię – odpowiedział Mikołaj, szukając w kieszeni kluczyków do samochodu. – Ty masz dzisiaj w sobie tyle energii, że mógłbyś nią zasilić sporą elektrownię. Nie tańczuj tak przede mną, bo mi się w głowie kręci.

– Chcę iść na lody!

– A wiesz, czego ja chcę? – odpowiedział Mikołaj, otwierając drzwi do swojego land rovera. – Wskakuj.

– Powinien coś zjeść, jest głodny – wtrąciłam, wiedząc, jak świeże powietrze zaostrza apetyt, i sama czując lekkie zawroty w głowie i ssanie w żołądku.

Mikołaj spojrział na zegarek.

– Druga. W sumie mamy jeszcze czas.

– Mama wraca dopiero o osiemnastej, babcia jeszcze później, bo dzisiaj zamyka aptekę, a do dziadka zadzwonimy i uprzedzimy, że trochę się powłóczymy po Kazimierzu. – W świecie dziecka wszystko było proste i nieskomplikowane.

– No to załatwione. – Mikołaj zrobił zapraszający ruch ręką. – Zabieram was na obiad, co prawda nie do żadnej wykwintnej restauracji, bo tu wszystkie „mają oczy i uszy”, ale na pewno nie pożałujecie.

– Bartek, a lekcje? – Odezwał się we mnie pedagog, choć, szczerze mówiąc, bardzo chciałam, aby ta nić porozumienia, jaka połączyła chłopaków, nie została przerwana, lecz by miała czas się umocnić. Ich wspólny czas.

– Ciotka, ty jakaś strasznie drętwa jesteś – skrzywił się Mikołaj. – Gdzie ten Pawło cię znalazł?

– Ciocia pracuje w szkole! – odpowiedział za mnie Bartek z nieskrywaną dumą.

– No i wszystko jasne – dopowiedział pod nosem Mikołaj. – Zapnijcie pasy.

Ruszył powoli, w międzyczasie wybierając jakiś numer w telefonie.

– Aniele mój, będziemy mieli gości na obiedzie. Dwie osoby. Wykombinujesz coś? – Słyszając pogodny i tak niepodobny do Mikołaja głos, nie miałam wątpliwości, że dzwoni do Romy. – Nie, aniele, to nie leśniczy. Proboszcz też nie. Czy wybredni? – Wzrok Mikołaja skrzyżował się z moim w lusterku wstecznym. Przez twarz mojego szwagra przemknął cień uśmiechu. – Obawiam się, że tak. Kobieta w ciąży i dzieciak nie jadają raczej czegokolwiek, ale oboje są głodni, zakładam więc, że twoim pierogom się nie oprą. Co ugotowałaś? Zupę

ogórkową?

Poczułam, jak na dźwięk tych słów moje soki żołądkowe zaczęły pracować z podwójną siłą.

– To cudownie, kochanie – kontynuował Mikołaj. – Kończę, bo ta ciężarna już się ślini, a muszę ich dowieźć bezpiecznie. Pa, anielico.

Jechaliśmy w milczeniu.

Obrazy za oknem przesuwały się z umiarkowaną prędkością, bo Mikołaj starał się prowadzić bezpiecznie i nie za szybko. Byłam mu za to wdzięczna. Co więcej, czułam, że za tą powłoką nonszalancji, chłodu i ignorancji kryje się po prostu człowiek. Być może nierozumiany i kiedyś mocno zraniony, ale z gruntu dobry. Bo Mikołaj nie był zły. Był jedynie rozżalony, bo w pewnym momencie życie ułożyło mu się inaczej, niż zamierzał czy planował. O ile w ogóle planował, bo mogło być też i tak, że pewnego dnia mu się poddał i pozwolił, aby samo się działo, bez jego zaangażowania.

Nie pomyliłam się. Mięćmierz rozpoznałam od razu, dom Romy też wypatrzyłam z daleka. Ja nie okazałam zdziwienia, ale Bartek pogubił się w tym wszystkim. Nic dziwnego, miał dopiero osiem lat i patrzył na toczące się obok niego życie ze szczerością dziecka. Uczestniczył w nim jednak na warunkach dorosłych.

– Tu mieszka ciocia Roma.

– Jest znakomitą kucharką. Pomyślałem, że obiad u niej na pewno będzie ci smakować. A jak narąbiemy jej trochę drzewa do kominka, też się ucieszy.

Mikołaj zaparkował samochód przed bramą i wyłączył silnik.

W otwartych drzwiach domu czekała już na nas Roma. W powłóczystej, błękitnej sukience z żółtymi mazajami wyglądała jak niebo, na którym porozkładały się w wiosennych igraszkach słoneczne promienie. Czarne włosy miała upięte w roztrzepany kok, z którego figlarnie wymykały się długie, pofalowane pasemka, ocierające się z czułością o policzki. Z podobną czułością jej policzek musnął palec Mikołaja, prowokując uśmiech, który rozświetlił twarz Romy. Nie umknęło mi spojrzenie, jakim obrzuciła mężczyznę. Kochające i oddane. Tak intymne, że musiałam odwrócić wzrok, aby nie odebrać im tej chwili.



– Za dużego pola do popisu z tym obiadem nie miałam, bo Mikołaj mnie zaskoczył. Ale czym chata bogata... – Roma wyciągnęła do mnie ręce, a ja wtuliłam się w ramiona kobiety, wdychając znajomy zapach jej perfum.

– Nawet nie wiesz, jak to dobrze pobyć z kimś, przed kim nie musisz niczego ukrywać – szepnęłam do ucha Romy, a ona mocniej mnie przytuliła, odszeptując:

– Wiem, Zosiu. Wiem.

W całej kuchni pachniało zupą ogórkową. Na szczęście nie musiałam długo na nią czekać. Zanim zdążyłam umyć ręce i przekonać do tego Bartka, talerz z parującym daniem stał już na stole. Byłam podwójnie głodna i miałam wrażenie, że Kruszynka upominała się o jeszcze, chciałam jednak zostawić miejsce na domowe pierogi bez obawy, że będę cierpieć z przejedzenia.

– Wciąż mnie zaskakuje. Kiedy wydaje mi się, że już go poznałam, robi coś takiego, że kręcę głową z niedowierzaniem, zadając sobie pytanie, czy to naprawdę on. – Roma krzątała się po kuchni, odsmażając pierogi na przyrumienionym na patelni maśle, a ja grzałam się w przyjemnym cieple domu w oczekiwaniu na obiad.

– Wiem, że to spisek, bo robimy to za plecami Bożenki, ale... – Spojrzałam w stronę okna, za którym Mikołaj i Bartek znosili drewno, składając grube szczapy przy pieńku z wbitą w niego siekierą. – Powiedz mi, czy miałybyś serce ich obu tego pozbawić?

Roma wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się.

– Nie, Zosiu. Nie miałabym serca. To jest ich czas. Ten, do którego Mikołaj najwyraźniej dorósł. Wielu lat na to potrzebował, ale się stara. Dobrze, że dałaś mu szansę, bo od Bożeny by jej nie dostał. Zraniona kobieta nie działa racjonalnie i często nie kieruje się dobrem dziecka, tylko chowaniem urazy i szukaniem okazji, by odplacić pięknym za nadobne. Rani, bo i ją zraniono. Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że dziecko cierpi najbardziej. Wiem coś o tym, bo też to przerabiałam. Czułam się nawet zdradzona przez syna, kiedy ten odnowił kontakt z ojcem, tym sukinsynem, co to zostawił nas bez środków do życia. Dużo czasu minęło, zanim zrozumiałam, co mój syn starał się mi wytłumaczyć. Dziecko potrzebuje ojca, jakikolwiek by on

nie był.

– Zobacz, jaki Bartek jest szczęśliwy...

– Zobacz, jaki szczęśliwy jest Mikołaj. Sam jest jak dziecko. Gryziesz się faktem, że ukrywasz to przed Bożeną?

Skinęłam głową, choć wiedziałam, że Roma nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, bo jej pytanie było czysto retoryczne. Przez te kilka tygodni zdążyła mnie już poznać.

– Pawłowi też o tym nie wspomniałam. Wiem, że nie byłby zadowolony.

– Łatwiej jest osądzać, niż zrozumieć. Nie zrobiłaś nic złego, Zosiu. – Roma położyła mi swoją dłoń na ramieniu, a ja poczułam jej ciepło, którym w ten sposób chciała mnie otoczyć.

– Nie jestem tego taka pewna...

Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo do kuchni jak bomba wpadł Bartek, a zaraz za nim pojawił się Mikołaj. Obaj mieli zaróżowione od świeżego powietrza twarze i błyszczące radością oczy w tym samym kolorze. Niebieskie jak dzisiejsze niebo.

– Ciociu, kiedy będzie drugie danie? Bo tam już drzewo czeka, a tata ma mi pokazać, jak je porąbać, i to prawdziwą siekierą!

– Mam nadzieję, że tata wie, co robi – mruknęła Roma, posyłając Mikołajowi lekko karcące spojrzenie podczas nakładania na kolorowe talerze sporych porcji.

– Wszystko mam pod kontrolą. – Mikołaj chwycił swój talerz i usiadł naprzeciwko mnie. – Byle tylko bratowa mi się do niczego nie wtrącała – dodał jeszcze, patrząc na mnie znacząco.

Co miałam mu odpowiedzieć? Na samą myśl, że ostra i ciężka siekiera znajdzie się w rączkach ośmioletniego chłopca, bladłam i robiło mi się słabo, ale nie byłam w stanie już powstrzymać lawiny zdarzeń. Bartek mocno się nakręcił, a Mikołaj obiecał mu coś, czego ja nie mogłam mu zakazać.

– To ty jesteś jego tatą.

Mikołaj długo patrzył na mnie, nic już nie mówiąc. Krępowало mnie to spojrzenie. Co prawda, nie było już drwiące ani nieprzyjemne, ale czułam się z nim niezręcznie. Spuściłam wzrok i wtedy usłyszałam ciche pytanie:

– Co on takiego w sobie ma?

Wiedziałam, że pyta o Pawła.

– Jest dobry i zawsze mogę na niego liczyć. Nigdy mnie nie zawiódł.

– I nie oszukał?

Pokręciłam głową.

– Za to ty oszukujesz jego.

Trafił w czuły punkt, ale nie pokazałam mu tego.

– A ty za wszelką cenę chcesz mu coś udowodnić.

– Mylisz się, Zofio. Ja po prostu próbuję mu wybaczyć. I nie potrafię.

\*\*\*

– *Naprawdę zamierzasz pracować w noc świętojańską? – Stał w drzwiach pokoju, który Julia wybrała sobie na gabinet, i uśmiechał się do bratowej pochylonej nad biurkiem i wpatrującej się w ekran laptopa.*

– *Jestem już mężatką, nie będę puszczać wianków na Wiśle – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech Mikołaja.*

– *Wianków puszczać nie musisz, ale przecież kwiatu paproci szukają nie tylko panny.*

*Julia przeciągnęła się, rozprostowując obolałe plecy.*

– *Muszę to jak najszybciej zmontować, a poza tym Paweł ma dzisiaj dyżur, tak więc sam widzisz, że praca jest dziś moim przeznaczeniem.*

– *Jesteś mi winna taniec. – Mikołaj nie odpuszczał.*

– *Naprawdę? – Julia zmarszczyła zabawnie nos, a Mikołaj złapał się na tym, że pewnych zachowań, gestów i min zaczynał uczyć się na pamięć. – Nie przypominam sobie, abym ci to obiecywała.*

– *Bo nie obiecywałaś. Nie byłem jednak na waszym ślubie, a chyba jako bratu pana młodego należy mi się choć jeden taniec z panią młodą.*

*Julia pokręciła głową, mrużąc swoje kocie oczy.*

– *Sprytny jesteś.*

– Zrób sobie dziś wolne i jedź ze mną do Janowca. Puszczanie wianków możemy sobie darować, ale tańców przy ognisku nie odpuszczę.

– Naprawdę nie masz z kim iść na te tańce? – spytała Julia z niedowierzaniem.

– Ależ mam! Wszystkie panny z Kazimierza liczą na to, że się tam pojawię, ale ja nie jestem jeszcze gotowy na to, aby któreś składać deklaracje, więc asekuracyjnie pójdę tam z bratową.

– Widzę, że wszystko sobie przemyślałeś. – Julia odgarnęła włosy, związując je na karku kolorową gumką.

– Bardzo starannie. Pójdiesz ze mną?

– Zastanowię się.

Poszła. Włożyła na siebie zwiewną, zieloną sukienkę i płaskie, lekkie sandaalki. Pomimo że nie zrobiła makijażu, a włosy jedynie przeczesała, Mikołaj nie mógł oderwać od niej wzroku. Gdy tańczyła wraz z innymi dziewczętami wokół ogniska, klaszcząc w dłonie z radością małej dziewczynki, obrzucana zaciekawionymi spojrzeniami mężczyzn i niechętnych jej kobiet, Mikołaj czuł wibrujące w niej życie i po raz pierwszy pomyślał, że cholernie zazdrości swojemu bratu. Zazdrości mu Julii, którą on spotkał za późno.

Zajęty obserwowaniem kobiety nie zauważył, że jego też ktoś obserwuje. Ciemne oczy wpatrywały się w niego z uwagą. Było w nich coś jeszcze. Niepokój? Zazdrość? Zdziwienie? I coraz bardziej nikła nadzieja na to, że Mikołaj może do kogokolwiek należeć.

Najkrótsza noc w roku mijala szybciej niż wszystkie pozostałe. Mikołajowi przemknęła jak letnia błyskawica. Noc Kupały. Święto radości i miłości. Mikołaj miał wrażenie, że tej nocy umarł i narodził się na nowo. Ta noc uświadomiła mu, że zakochał się w Julii, która nigdy nie będzie należała do niego.

\*\*\*

Telefon Kingi nie odpowiadał od kilku dni. Zaczynało mnie to

niepokoić. Co prawda, Paweł czuł się już całkiem dobrze i nie potrzebował niczyjej pomocy, jednak brak jakiegokolwiek kontaktu z przyjaciółką martwił mnie i podsuwał przeróżne wizje, nawet te makabryczne. A już po tym, jak po telefonie do jej szefowej dowiedziałam się, że moja przyjaciółka wzięła kilka dni urlopu, wiedziałam, że nie mam innego wyjścia, jak teraz poprosić Pawła o przysługę.

– Zajrzę do niej w drodze powrotnej z pracy i oddzwonię do ciebie, kochanie – obiecał mój mąż.

Czekałam więc na telefon niecierpliwie, nie mogąc się na niczym skupić. Snułam się z kąta w kąt, aż w końcu, znużona bezczynnością, wysprzątałam łazienkę, wiedząc, że tam akurat nie pomieszam niczego i wszystko odstawię na właściwe miejsce. Nie było bowiem nic gorszego od porządku robionego przez kogoś, kto, kierując się sobie tylko wiadomą logiką, pozbywał się rzeczy, do których inny był akurat przywiązany, lub układał je po swojemu, najczęściej tak, że niczego nie można było potem odnaleźć.

Nie doczekałam się telefonu od Pawła, bo Kinga oddzwoniła pierwsza.

– Dlaczego nasyłasz na mnie doktorka? – zaatakowała mnie pytaniem. Wiedziałam więc, że coś jest nie w porządku.

– A dlaczego ty nie odbierasz ode mnie telefonów? – odparłam.

– Chorowałam trochę i nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. – Kinga spuściła z tonu.

– Zaraziłaś się od Pawła, tak?

Nie odpowiedziała od razu.

– Nie chciałam, żebyś miała jakieś wyrzuty sumienia albo się o mnie zamartwiała. I tak niedyspozycja doktorka dała ci nieźle w kość.

– Kinga! Czy ty słyszysz, co mówisz? – Czułam, jak moja irytacja podnosi się do niepokojącego poziomu. – Opiekowałaś się moim mężem, od którego złapałaś jelitówkę, i słowem nie pisnęłaś, żeby ktoś z nas w jakikolwiek sposób ci pomógł?

– Daj spokój, Zośka. I co byś zrobiła? Wsiadła w autobus i przyjechała? Już to widzę. Ciężarna trafia w sam środek zarazy.

– Poprosiłabym Pawła... – zaczęłam, ale Kinga nie dała mi

dokończyć.

– I co? Przyjechałby z rosółkiem? Sama umiem sobie ugotować. Zaraz chciałby mnie badać i nawymyślałby setki chorób, a ja nie mam na nie ani czasu, ani zdrowia. Poza tym, czy ty, Zośka, wiesz, jak wygląda kobieta, która cały czas rzyga?

– No, to akurat przerabiałam całkiem niedawno – odpowiedziałam, dotykając dłonią wypukłości brzucha.

– Ale ty to co innego. Jesteś jego żoną od całkiem niedawna i jeszcze nie czuje do ciebie obrzydzenia. A mnie zawsze widywał kompletnie ubraną i w pełnym makijażu. Chciałam po prostu oszczędzić sobie tego upokorzenia, kapujesz?

– Ale przecież Paweł jest lekarzem! – powiedziałam z takim przekonaniem, jakby to tłumaczyło wszystko.

– Ale jest również mężczyzną. I to bardzo przystojnym, o ile jeszcze tego nie zauważyłaś.

– Nie wierzę, że ty to dostrzegłaś – odpowiedziałam sarkastycznie.

– Przestań się czepiać, Zośka, i nie męcz mnie, bo nie mam jeszcze siły się z tobą kłócić.

– Nie mówisz mi wszystkiego...

Milczenie po drugiej stronie słuchawki potwierdziło moje przypuszczenia, że Kinga coś przede mną ukrywa.

– Bo nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. – Usłyszałam jej zalękniony, bardzo cichy głos.

Przez chwilę poczułam lęk, a po plecach przeszedł mi zimny i nieprzyjemny dreszcz. W jednej chwili zrozumiałam wszystko.

– Pozwoliłaś mu na to, żeby wrócił, prawda?

Nie widziałam miny mojej niby-przyjaciółki po drugiej stronie słuchawki, ale byłam pewna, że po moim pytaniu skinęła głową.

– Przyszedł, a ja nie miałam nawet siły, aby go wyrzucić. Zaopiekował się mną, Zosiu. Wiesz, jak boli samotność w chorobie? Wtedy, kiedy człowiek nawet nie walczy, a jedynie bezsilnie poddaje się ogarniającej go słabości, marząc o tym, by ktoś zrobił mu gorącej herbaty i przyniósł do łóżka? Karol przychodził codziennie. Wpadał rano przed pracą i robił mi tę cholerną herbatę, a po południu przebierał mnie w czystą piżamę, zmieniał pościel i pilnował, żebym coś przełknęła.

A potem siedział przy mnie, dopóki nie zasnęłam. Nie wiem, co mówił żonie, i, prawdę mówiąc, głównie mnie to obchodzi. Nie chcę, żeby zniknął, Zosiu. Chcę, żeby był, na warunkach, jakie będzie mógł mi zaproponować. Pieprzę to, że jest żonaty, i w dupie mam, co pomyślą czy powiedzą ludzie. Nikt nigdy nie kochał mnie tak, jak on, i nikt nigdy tak się mną nie opiekował. Nie mówiłam ci o tym, bo ty i tak tego nie zrozumiesz.

Te wszystkie słowa Kinga wyrzuciła z siebie tak szybko, jakby chciała się ich pozbyć. Czy miałam prawo ją osądzać albo oceniać? To było jej życie, brała za nie pełną odpowiedzialność, i to była jej miłość, której nie potrafiła odrzucić. Dorosła kobieta z deficytem miłości... Nie da się zapomnieć o takim braku, bo on zawsze będzie przypominał o sobie pustką zagubionego elementu.

– Sama decydujesz o swoim życiu, a ja nie będę się w nie wtrącać. Ale nie powiem ci też, że masz prawo być szczęśliwa w ten sposób, kosztem czyjś szczęścia. To takie krzywe zwierciadło, Kinga. Im szczęśliwsza ty jesteś przy Karolu, tym nieszczęśliwsi są ci, do których on i tak wraca każdego dnia, kiedy ty zaśniesz. Pomyśl, ile warte jest takie szczęście, i sama sobie daj rozgrzeszenie.

Wiedziałam, że ją ranię, ale nie mogłam dawać jej nadziei słowami, że wszystko jakoś się ułoży. Bo niby jak ma się ułożyć? To nie była bajka, a żona i dzieci Karola istniały naprawdę. Nawet jeśli to była zła kobieta, bo i takie przecież bywają, ona i dzieci na zawsze zostaną integralną częścią życia Karola, nawet jeśli on zdecyduje się być z Kingą.

Czy moja przyjaciółka była gotowa na to, aby się nim dzielić? Bo na wyłączność nigdy go mieć nie będzie.

– Zośka, przecież świat nie jest tylko czarny czy biały. Musi być też w nim miejsce na tęczę.

– Ale czasami ta tęcza, którą widzisz, to tylko złudzenie, a rozczarowanie boli.

– Samotność też.

– Tylko że samotność możesz czymś lub kimś wypełnić, a popapranego życia nie naprawisz tak łatwo.

– Zmęczona jestem i nie chce mi się już gadać. I tak niczego nie

zrozumiesz, bo jesteś obrzydliwie szczęśliwa. A ja nawet polubiłam tego twojego męża.

Uśmiechnęłam się, choć wcale mi do śmiechu nie było.

– On ciebie też. Wiesz, że cokolwiek zrobisz, i tak będę cię kochać, pyskata przyjaciółko?

– Wiem. I... dziękuję, Zosiu.

Samo życie, ze wszystkimi swoimi blaskami i cieniami. Zaskakiwało, zadziwiało i podsuwało wybory, które zawsze dokądś prowadziły. Wystawiało na próbę i zdumiewało nieprzewidywalnością, dawało, ale i zabierało. Czy miałam prawo odtrącać Kingę za to, że pragnęła jedynie wykorzystać każdy moment bliskości, jej tu i teraz z drugim człowiekiem, nawet tym najmniej odpowiednim, bo po prostu chciała zapamiętać te chwile i nasycić się nimi, aby kiedyś móc z nich czerpać? Wtedy, kiedy życie zaboli i zapiecze, chciała mieć wspomnienia, którymi będzie mogła opatrzyć ranę. Pytanie tylko, czy te wspomnienia nie rozjątrzą tej piekającej rany goryczą i wyrzutami, z którymi serce nie będzie umiało sobie poradzić...

\*\*\*

*Od kilku dni Julia chodziła wściekła jak chmura gradowa. Miotła się po pokojach i szukała swojego miejsca w ogrodzie. Paweł schodził jej z drogi, Joanna czujnie obserwowała synową, a Jan kiwał tylko głową z pobłażliwym westchnieniem: „Kobiety! Kto tam za nimi trafi albo je zrozumie?”.*

*Mikołaj też nie rozumiał, choć podświadomie czuł, że noc świętojańska mogła mieć jakiś związek z tym nastrojem. Chciał tak myśleć. Chciał mieć chociaż nadzieję, że tamtej nocy, gdy trzymał ją w tańcu, po raz pierwszy tak blisko, nie tylko w nim coś się poruszyło. Chciał wierzyć, że Julia też to poczuła, choć sam nie wiedział, do czego ta wiara jest mu potrzebna.*

*Jako jedyny z całej rodziny szukał z nią kontaktu, choć Julia akurat*



jego unikała.

*Spotkał ją nad Wisłą. Wyciszona wieczorem rzeka układała się do snu, a Julia, ubrana w bluzę z kapturem, siedziała po turecku na jednej z ławek na nadwiślańskim wale, wpatrując się w przeciwległy brzeg, jakby tam chciała znaleźć odpowiedź na swoje pytania.*

*– Szafirową nitką wieczór się splata – szepnęła, gdy bez słowa usiadł obok niej, z rękami wbitymi w kieszenie džinsów. – Koloruje niebo czerwienią i pomarańczem i rozpoczyna koncert, do którego wkrótce dołączą świerszcze. Świat jest taki piękny z tymi swoimi barwami, zapachami i dźwiękami. Wiesz, chciałabym czasami po prostu się w nim rozpuścić. Zamknąć oczy i wtopić się w to wszystko... – Ręką zatoczyła koło, a potem oparła drobną dłoń o szczebelki drewnianej ławki.*

*– Ty i Paweł... – zaczął i odchrząknął, bo słowa były dziwnie kanciaste i z trudem przeciskały się przez zaciśnięte gardło. – Jesteście jakby z innych planet. Jak to się stało, że się spotkaliście?*

*– Dobre pytanie. – Odwróciła się w jego stronę, zsuwając z głowy kaptur. – Myślę, że tak naprawdę połączył nas czas i miejsce. Właściwy czas, przypadkowe miejsce i my dwoje w tej przestrzeni. Bez eksplozji i fajerwerków, z pustą połówką do wypełnienia.*

*– I tylko tyle? – Mikołaj pokręcił z niedowierzaniem głową.*

*– Tylko? Aż tyle. – Julia wzruszyła ramionami i znów zapatrzyła się w rzekę, która nie umiała odpoczywać.*

*– Kochasz go?*

*W wieczornej ciszy usłyszeli plusk. Znudzona kaczka wskoczyła do wody w poszukiwaniu swoich towarzyszek.*

*– Kocham miejsce, które mi podarował, i jego oczy, kiedy patrzy na mnie ze szczęściem wypisanym na surowej twarzy lekarza. Kocham sposób, w jaki wymawia moje imię. Robi to jakoś tak miękko, inaczej niż pozostali. Niż ktokolwiek na świecie. Kocham jego łagodność i sposób rozmawiania z dziećmi na oddziale. Kocham jego wiarę w to, co robi, jak rzuca wyzwanie śmierci i jak zamyka jej przed nosem drzwi swojego oddziału. Kocham jego relację z rodzicami i rodziną, którą i ja dzięki niemu zyskałam. Czy to wystarczy, aby mieć pewność, że się kogoś kocha?*

*– Bardzo asekuracyjna odpowiedź. – W głosie Mikołaja Julia*

wyczuła lekką ironię.

– Nie takiej oczekiwałeś? – Znow odwróciła się w jego stronę i świdrowała go swoim kocim spojrzeniem.

– Tak. Nie. Nie wiem.

– Życie nie jest takie proste, aby odpowiadać na tak ważne pytania monosylabami.

Nie pytał, czy może, i nie zastanawiał się, czy powinien. Wyjął rękę z kieszeni i nakarmił ciepłem chłodną dłoń Julii.

Nie cofnęła ręki. Patrzyła na Mikołaja w milczeniu.

– Spóźniłem się. Przyjechałem dwa miesiące za późno.

– To i tak niczego by nie zmieniło.

– Może nie, a może tak. – Wskazującym palcem gładził delikatną skórę kobiecej dłoni.

– Nie lubię gdybania. To tak, jakbyś płakał nad rozlanym mlekiem.

– Chciała zabrać rękę, ale jej na to nie pozwolił.

– Każdy z nas rodzi się z pustką, którą wypełnić może tylko jedna osoba. Ktoś przypisany ci od stworzenia świata. Twoje „ja” w ciele drugiej osoby. Pokrewnej duszy, przeznaczenia, drugiej połówki... Różnie to nazywają. Ale prawda jest taka, że wśród milionów ludzi na ziemi taki ktoś jest tylko jeden. Jeden właściwy i pasujący do wzoru nakreślonego kiedyś w raju dla Adama i Ewy, bo od nich wszystko się zaczęło. Wystarczy jedna niewłaściwa decyzja, czyjeś przeoczenie czy zwykła pomyłka, aby związać się z kimś, kto tej pustki w tobie nie wypełni. Nigdy. I nie dlatego, że nie chce, bo może się naprawdę starać... Dlatego, że dostajesz tylko jedną taką osobę do kompletu i tylko jedna pasuje idealnie.

– A skąd pewność, że to właśnie ta? – Głos Julii przeszedł w szept, zupełnie jak wieczór, który stał się lipcową nocą rozświetloną gwiazdami zawieszonymi nad taflą Wisły, odbijającymi się od niej migotliwym, pomarańczowym blaskiem.

– Bo na pytanie, czy ją kochasz, nie odpowiadasz wymijającymi zdaniem. Po prostu wiesz, że tak. I tyle.

– Nie mogę znaleźć tematu na reportaż. Za kilka dni mam oddać gotowy materiał, a tymczasem nie mam bladego pojęcia, co to ma być. – Uciekła, sprytnie zmieniając temat.

– *Robiłaś kiedyś reportaż o Romach?*

*Julia pokręciła głową.*

– *To już masz materiał. Jutro cię do nich zabiorę.*

*Delikatnie wysunęła rękę z dłoni Mikołaja, w których ta nie wiadomo kiedy się znalazła, i wstała z ławki, poprawiając związany ciasno kucyk.*

– *Wracasz do domu?*

*Zaprzeczył ruchem głowy.*

– *Jeszcze trochę pogapię się na rzekę.*

*Odeszła, znikając za zasłoną nocy, zostawiając pustkę, którą odczuł boleśnie.*

\*\*\*

Późnowieczorny głód zaprowadził mnie do kuchni, w której na szczęście lodówka była zawsze dobrze zaopatrzona, o co na zmianę dbały Joanna z Bożenką. Kuchnia w Doktorówce była tym pomieszczeniem, w którym toczyło się rodzinne życie i które rzadko pustoszało. Przyciągała ciepłem, zapachami i atmosferą, jakiej nie miał żaden ze znanych mi domów. Może jedynie kuchnia babci miała to „coś”, co Doktorówka. Nieuchwytną magię, dzięki której to miejsce otulało sobą, łagodziło i wyciszało.

Nie zdziwiłam się, że właśnie tu zastałam Bożenkę pochyloną nad laptopem.

– Nie śpisz jeszcze, Zosiu? – Bożenka oderwała zmęczone oczy od ekranu, rozprostowała bolące plecy i popatrzyła na mnie z życzliwością.

Skurcz żalu do siebie ścisnął mnie w okolicy serca i skłonił do odwrócenia głowy i ucieczki przed jej spojrzeniem.

– Ja to bym pewnie już spała, bo tutejsze powietrze dość wcześnie zbija mnie z nóg, ale to małe jest głodne i wymyśliło sobie pajdę chleba grubo posmarowaną masłem i konfiturą wiśniową. Myślisz, że coś takiego tutaj znajdę? – Obrzuciłam wzrokiem szafki, jakby w nadziei, że

któraś z nich ukrywa słoiczek lepkich i słodkich konfitur, na które w tym właśnie momencie miałam nieodpartą ochotę.

Bożenka roześmiała się i wstała.

– Poszukam. Teściowa w tamtym roku robiła konfiturę wiśniową, może jeszcze gdzieś uchował się słoiczek. – Przykucnęła i otworzyła drzwi dolnej szafki, pełnej przetworów. Śledziłam jej ruchy z łapczywością dziecka.

– A może wolisz korniszonka albo marynowane grzybki? – spytała moja szwagierka, przeglądając słoiki.

Pokręciłam zdecydowanie głową.

– Nie, dziękuję. Chcę konfiturę wiśniową.

– Jak nic, dziewucha. – Bożenka odwróciła się w moją stronę, patrząc wymownie na lekko zaokrąglony brzusek. – Kiedy byłam w ciąży z Bartusiem, non stop chciało mi się kwaśnego i ostrego, a od słodkiego zupełnie mnie odrzuciło.

– Ja tam nie mam nic przeciwko słodyczom, a w dołku tak mnie ssie, że zaraz zwariuję.

– Marynowana papryka, buraki, ogórki. O! A może gruszka lub śliwka w occie?

– Wiśniowa konfitura!

Bożenka, śmiejąc się, pokręciła głową, sięgając coraz głębiej i brzęcząc słoikami.

– Aleś się uparła – wysapała, wyciągając mały, trochę zakurzony słoik z samego rogu. – Mam! Konfitura wiśniowa. Jan jest uratowany. – Triumfalnie podała mi słoiczek. Zaraz też podniosła się z kucek i otrzepała z kurzu.

– Jan? – Nie zrozumiałam.

– No Jan, Jan. Przecież gdybym nie znalazła tych nieszczęsnych konfitur, Joanna natychmiast wysłałaby teścia do sąsiadów i zakazała powrotu bez wiśniowych konfitur. Jesteś teraz ich oczkiem w głowie, Zosiu, a dla wnuka albo wnuczki zrobią wszystko! Nawet gdyby trzeba było pukać do każdych sąsiedzkich drzwi po kolei w poszukiwaniu wiśniowych słodkości.

– A wiesz, że to mogłoby być ciekawe. – Przycisnęłam słoiczek do piersi, zupełnie tak, jakby to był drogocenny klejnot. – Znając mężczyzn,

teść wróciłby, tak na wszelki wypadek, nie tylko z kilkoma słoikami różnych konfitur wiśniowych, ale i z kompotem z wiśni, i z wiśniami w spirytusie, co mogłoby skończyć się interesująco.

Bożenka opłukała ręce, po czym wytarła je w kuchenny ręcznik i popukała się palcem w czoło.

– Ty jednak jesteś wariatką. A ja myślałam, że z ciebie takie spokojne niebożątko.

– Spokojne niebożątko nie przetrwałoby w szkole na warszawskiej Pradze.

– Fakt. – Bożenka westchnęła i potarła kciukiem i palcem wskazującym nasadę nosa. Coś ją gryzło, a moje wyrzuty sumienia rozrastały się do rozmiarów arbuźów. – Zosia, ty pracujesz z dziećmi... To normalne, że ośmiolatki przechodzą bunt?

Nóż, którym miałam właśnie kroić chleb, zawisł w powietrzu, a ja patrzyłam na Bożenkę szeroko otwartymi oczami.

– Co masz na myśli, mówiąc o buncie? – spytałam ostrożnie, zastanawiając się, czy Bożena nie daje mi sygnału, że coś wie o tajemnych spotkaniach z Mikołajem.

– Bartek ostatnio bardzo się zmienił. Spoważniał i jakby wydorósł, a przynajmniej chce, abym go tak traktowała. Już nie daje się przytulać tak często jak dawniej i wyprasza mnie z pokoju, gdy zasypia. Z kociaka staje się kocurem, zupełnie jak jego ojciec... – Ostatnie słowa dodała ciszej, nie odrywając oczu od laptopa.

– Bartek wchodzi teraz w taki wiek, że tego ojca bardzo potrzebuje, Bożenko. – Chciałam, aby mój głos zabrzmiał jak najłagodniej i aby Bożena nie odebrała tego jak atak.

– Staram się dać mu wszystko.

Wiedziałam, że ciężko jej było poradzić sobie z samotnym macierzyństwem, ale czułam, że nie jest jeszcze gotowa na przyznanie, że Mikołaj również ma prawo do wychowywania Bartka.

– Nigdy nie zastąpisz mu ojca, tak ja mnie ojciec nigdy nie zastąpił mamy. Tylko że moja mama umarła, a ojciec Bartka żyje.

– No i co z tego? – Bożenka popatrzyła na mnie z hardością tej dziewczyny, którą poznałam zaraz po przyjeździe do Kazimierza. – Myślisz, że to coś zmienia?

– Zmienia. – Pokiwałam głową. – Dużo zmienia, bo Bartek jest świadomy jego obecności.

– Chciałaś raczej powiedzieć: nieobecności. – W głowie Bożenki nie było już ciepła, jakim powitała mnie, gdy zesłam do kuchni w poszukiwaniu konfitur.

– Nie zabieraj mu ojca, Bożenko, bo kiedyś ci to wypomni. I może nie wybaczyć... – Nie powinnam tego mówić, ale powiedziałam. Wytrzymałam nawet zimny wzrok Bożeny. Ale apetyt straciłam.

– Nie znasz Mikołaja. Nic o nim nie wiesz. Chyba już lepszy żaden ojciec niż taki.

Tym razem przemilczałam słowa Bożeny, choć tyle chciałam jej powiedzieć.

Myliła się. Mikołaj potrafił być dobrym ojcem, ale z jakichś powodów nie umiał spełnić oczekiwań Bożeny. Dwoje bliskich sobie ludzi, a tak obcych, jakby się nigdy nie znali. Dalej więc miałam pozostać w spisku... Dla dobra czyjego? Bartka? Mikołaja? Bożeny?

Czy byłaś kiedyś w podobnej sytuacji, Julio? Co byś mi doradziła, gdybyś tu przypadkiem zajrzała? Cisza. Odpowiedziała mi cisza, którą przerywało wyłącznie ciche posapywanie Bożeny zmieszane ze stukotem plastikowych klawiszy laptopa.

\*\*\*

Nowy dzień nie przyniósł nowej nadziei. W powietrzu zawisała ta stara, zawieszona gdzieś między wiarą a pragnieniem, zwątpieniem a niedowierzaniem. Wilgotny świt wstawał wraz z mgłą, otulony nią jak kąpielowym płaszczem. Zakradł się cichutko, jakby w obawie, że obudzi uśpiony świat zbyt gwałtownie, za szybko. Miękkość nocy powoli przepuszczała jasne smugi, mające sprowadzić kolejny dzień, jeden z tych, które dostajemy.

Podniesione głosy, które wyrwały mnie ze snu, nie wróżyły niczego dobrego. Oznaczały kolejne starcie Joanny i Jana, którego

świadkiem znowu się stałam. Oddzielona zamkniętymi drzwiami nie słyszałam słów, ale gniewny pomruk docierał nawet pod kołdrę, a zatrzaśnięte głośno drzwi wejściowe stały się manifestem podziału, który dotknął Doktorówkę.

Nic nie jest takie, na jakie wygląda. Jakże często sądzymy po pozorach i wydajemy osądy dalekie od prawdy. Jakże często karmimy się złudzeniami, wyolbrzymiamy problemy lub po prostu zakładamy czyjś scenariusz, głusi i ślepi na życie, które toczy się po swojemu, po ludzku, z wpisanymi w nie słabościami i niedociągnięciami.

Patrząc z zewnątrz na Doktorówkę i jej mieszkańców, można było snuć rozmaite wizje szczęśliwości. Tylko ci, których dotykała ta rzeczywistość, wiedzieli, ile kosztuje to szczęście i jak bardzo trzeba walczyć, aby coś z niego ocalić.

Rozbudzona na dobre pobiegłam do łazienki, której teraz potrzebowałam dużo częściej niż przed ciążą. Wychodząc z niej, usłyszałam szloch. Nie potrafiłam go zignorować. Joanna siedziała na łóżku w małżeńskiej sypialni i płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. W bawełnianej, ładnie dopasowanej piżamie wyglądała jak skrzywdzona dziewczyna, niezrozumiana przez tego, któremu zaufała. Jej drobnymi ramionami raz po raz wstrząsał szloch. Z nim wylewał się cały żal, którego najwyraźniej sporo się w niej nabierało. Objęłam ją, przytulając się do jej pleców ciepłem swojego ciała.

Szloch ustał, jedynie spazmy wstrząsające Joanną nadchodziły falami, by w końcu wyciszyć się jak morze po sztormie.

Z kartonowego pudełka stojącego na szafce przy łóżku wyjęłam chusteczkę. Rozkwitające róże na pojemniku w żaden sposób nie kojarzyły się ze łzami wypływającymi z oczu kobiety, której poukładany świat chwiał się niebezpiecznie, bo zabrakło podtrzymujących go dotąd filarów. Przyjmując ode mnie chusteczkę, Joanna poklepała mnie po ręce, a potem wytarła twarz, a w kolejną wydmuchała nos. Dopiero wtedy spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Tak mi przykro, że w tym wszystkim uczestniczysz, Zosiu. – Głos Joanny był mocno schrypnięty.

Potrząsnęłam głową, układając ją na ramieniu teściowej.

– Jestem przecież częścią rodziny, a rodzina to żywa materia.

Składa się z wielu indywidualności. Nie sposób zapanować nad wszystkim i sprawić, aby życie biegło jak w zegarku. Nawet najlepsze szwajcarskie zegarki czasem się psują.

Joanna przytuliła swoją głowę do mojej.

– Dobrze, że tu jesteś. Z nami. Jesteś taką iskierką radości w tym całym mroku, który zapanował. Naszą nadzieją, Zosiu. Ty i wasze dziecko.

– Jeszcze się rozjaśni, mamo. Zobaczysz, że się przejaśni.

– Chciałabym w to wierzyć, Zosiu, ale coraz mniej mam sił. To już trwa zbyt długo. Ta emocjonalna huśtawka, której motorem zawsze jest Mikołaj. Wiem, że Jan ma rację, bo sama jestem wściekła na niedojrzałość mojego syna. Jego pojawianie się i znikanie, wprowadzanie zamętu, chowanie głowy w piasek. Ale to moje dziecko. Mój syn. I nie potrafię odwrócić się od niego tak, jak zrobił to Janek.

Siedziałyśmy przytulone do siebie głowami, każda zasłuchana w poranną ciszę, która tak naprawdę wcale ciszą nie była. W ogrodzie awanturowały się rozćwierkane wróble, bijąc się zapewne o wyciągniętą z ziemi dżdżownicę. W oddali czekał pies, a zza uchylonego okna dobiegł odgłos kobiecych kroków stukających obcasami o wybrukowaną uliczkę. Rozpoczął się kolejny dzień, niosący ze sobą nowe zdarzenia, stawiający wyzwania i snujący obietnice, w które ludzie chcieli wierzyć, aby na nowo odkrywać sens nieustannej wędrówki, jaką jest życie.

– Muszę ci coś wyznać, mamo.

Joanna podniosła głowę i odwróciła się lekko, zmuszając także i mnie do zmiany pozycji. Jej czujne spojrzenie znieruchomiało wyczekująco i w pewnym momencie w prześlicznych, niebieskich oczach teściowej dostrzegłam lęk. Strach przed słowami, które padną, i ich konsekwencjami.

– Od dwóch tygodni Mikołaj widuje się z Bartkiem w te dni, w które odbieram go ze szkoły. Spędzają ze sobą dwie, może trzy godziny. Dwa dni temu byliśmy razem aż do późnego popołudnia. Zdążyliśmy wrócić do domu tuż przed Bożenką.

– Czy ona wie?

Pokręciłam bezradnie głową.

– Próbowałam z nią o tym porozmawiać, ale ona nie chce słuchać.



– Wiem, Zosiu. – Ze spojrzenia Joanny wyczytałam, że i ona pewne rzeczy rozumie inaczej niż Bożena. – Popełnia ten sam błąd, co wiele innych, rozgoryczonych i porzuconych matek. Izoluje Bartka od Mikołaja, chcąc chronić dziecko. Staram się ją zrozumieć i nie wtrącam się, jednak rozumiem też mojego syna. Popełnił w życiu wiele błędów, ale kocha Bartka. Odsuwając chłopca, Bożena wcześniej czy później zerwie tę więź, która jeszcze jest pomiędzy ojcem i synem.

– Wszystko się ułoży, mamó. Zobaczysz. – Uśmiechnęłam się i poklepałam ją po dłoni złożonej na kolanie.

– Każdego dnia modłę się o to – westchnęła. – Ale chyba moja wiara jest zbyt mała, bo owoce są marne.

– Nie znam dobrze Mikołaja. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy, nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Ale wydaje mi się, że on nie jest takim złym człowiekiem, jak postrzega go Paweł czy Bożena.

Smutne oczy Joanny rozjaśniły się blaskiem.

– Mówiłam, że jesteś moją nadzieją. Umiesz dostrzec dużo więcej, bo patrzysz bez uprzedzeń, a twoje serce jest po prostu szczere. Nie zgub tego w życiu, Zosiu. Proszę, zachowaj to. Dla nas. I dla Pawła.

Szukałam słów, aby odpowiedzieć coś Joannie, gdy zaskoczyły mnie jej kolejne, wypowiedziane prawie szeptem zdania:

– Obiecuj mi, Zosiu, że zawsze będziesz starała się zrozumieć ich obu, zarówno Pawła, jak i Mikołaja, bez względu na to, ile wersji prawdy usłyszysz.

– Prawdy? – Nie rozumiałam. – Jakiej prawdy, mamó?

– Prawdy o Julii...

Więc to ty, Julio, byłaś supłem, którego ta rodzina do dziś nie potrafi rozwiązać. Twoje imię stanęło pomiędzy braćmi i pozostawiło głęboką rysę w Bożenie. Milczenie Pawła o tobie nie wynikało z jego bólu po przedwczesnej stracie, ale było wynikiem czegoś dużo bardziej złożonego. Czy obaj cię kochali? Czy ty kochałaś obu? Czy byłaś miłością Mikołaja, którą Paweł mu odebrał? A może to Mikołaj... Kolejne pytania przemykały po mojej głowie jak spuszczone z łańcucha psy, a ja wiedziałam tylko jedno: że znów jestem w punkcie wyjścia i tak naprawdę wiem coraz mniej, bo moje domysły nie były słuszne, a wszyscy, którzy mogli je sprostować, milczeli. Z zasłyszanych tu i tam

półśłówek składałam twój popękany portret, daleki od doskonałości z racji brakujących elementów. Chciałam cię poznać, aby zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się w tej rodzinie, którą pokochałam szczerym sercem. Chciałam cię poznać, żeby zrozumieć, co gryzie Pawła, i aby mu pomóc zaleczyć stare rany. Bo co do tego, że były, nie miałam wątpliwości. Nosił je w sobie, jak ja nosiłam pod sercem naszego Okruszka. Tylko że ja robiłam to z radością, z nadzieją oczekując rozwiązania, Paweł natomiast poukrywał zranienia pod maską codziennych zdarzeń, z nadzieją, że w końcu o nich zapomni. Nie da się jednak wymazać tego, czego się nie przebaczyło komuś lub... sobie.

Gdybyś mogła mi o wszystkim opowiedzieć, Julio, gdybyś mogła...

\*\*\*

*– Co to jest? – Julia jak zauroczona wpatrywała się w zdjęcie budynku, który z pewnością miał duszę i wiele do opowiedzenia.*

*– Dom w Toskanii, a dokładnie w Sansepolcro. Prowadzony przez Polkę, która tam odnalazła swoje miejsce. Kolejną rodaczkę znalazłem pod Florencją, ma bardzo ciekawą historię życia, z blaskami i cieniami, które wy, dziennikarze, tak lubicie. Pomyślałem sobie, że mogłabyś zrobić o tym reportaż.*

*„Pomyślałem sobie, że to przywróci blask w twoich oczach, którego w nich zabrakło...” – Nie wypowiedział głośno tego zdania, ale podał kobiecie wydrukowane z Internetu zdjęcia miejsc, do których postanowił ją zabrać, by odnaleźć swoją Julię, tę zgubioną gdzieś zaledwie trzy miesiące po ślubie.*

*– Zabierasz mnie do Włoch?*

*– Florencja, Asyż, Toskania i Umbria. Abruzja, Sansepolcro, Orvieto, Cortona. Trzy tygodnie podróży po Włoszech i krainach, które zapierają dech w piersiach.*

*– Trzy tygodnie? – Julia patrzyła na Pawła z niedowierzaniem, a w jej oczach zaczęły się zapalać ogniki, dające mężczyźnie nadzieję, że*

może jednak uda mu się wybudzić z dziwnego letargu młodą żonę, którą życie nagle przestało cieszyć. – Dostaniesz tyle urlopu?

Stanął tuż za obrotowym fotelem, na którym siedziała, i oparł brodę o jej rudą głowę.

– W sierpniu zamykamy na miesiąc oddział z powodu remontu. Mogę zniknąć na trzy tygodnie, aby nacieszyć się żoną i zwiedzić z nią kawałek świata.

Julia obróciła się w stronę Pawła i zarzuciła mu ręce na szyję, podekscytowana jak dziewczynka.

– I nie będzie ci przeszkadzało, że będę tam pracowała?

Pokręcił głową.

– Zupełnie nie, bo przez cały czas będę z tobą.

– Wiesz, że nigdy jeszcze nie spędziliśmy ze sobą tyle czasu? Wciąż się mijamy... Albo ty masz dyżur, albo ja jestem w terenie czy w radiu.

– Najwyższy czas, aby się lepiej poznać, nie sądzisz, moja młoda żono?

– W zupełności się z tobą zgadzam, mój wiecznie nieobecny mężu.

Całował ją niespiesznie, poszukując na niej śladów swojej obecności. Jak ślepiec błędził rękami po ciele kobiety, która otwierała się na niego. Całował jej kark, odgarniając długie włosy, przystaniające nagość, jakby nią zawstydzono. Ręce Julii były bardziej niecierpliwe niż dłonie Pawła. Mocowały się z guzikami koszulki, próbując je rozpiąć jak najszybciej i poczuć nagość torsu pachnącego mężczyzną. Guzik w dzinsach też stawiał opór, ale przemogła go, zrzucając w pośpiechu swoje spodnie i przywierając do ciała, które pragnęło jej tak, jak ona jego. Wargi Pawła rozpałały Julię, a jego dotyk sprawiał, że płonęła. Przyłgnęła do męża, a on podniósł ją, tak lekką i drobną w jego lekarskich dłoniach, i posadził na biurku. Objęła go nogami, pozwalając na bliskość, przed którą już nie mógł się powstrzymać.

Kolorowe zdjęcia Toskanii zsunęły się, jedno po drugim, z zajętego przez miłosne uniesienie blatu i pospadały na podłogę, zdziwione obojętnością ludzi na piękno, które zostało na nich utrwalone.

– Oszalałem dla ciebie – wyszeptał Paweł, wtulony w żonę, wyczerpany i bezbrzeżnie szczęśliwy. – Kocham cię jak wariat.

Przytulając do siebie mężczyznę, który w jej dłoniach robił się

*miękki jak wosk, Julia wyszeptała:*

*– Ja też cię kocham.*

*I zapragnęła w to do końca uwierzyć.*

## *DZIEWIĘĆ...*

---

Dopiero kiedy przytuliłam się do Pawła po tak długiej jego nieobecności, uświadomiłam sobie, jak bardzo się za nim stęskniłam. W ogóle najchętniej nie odkleiałabym się od niego, wtulona w męża na zawsze, gdyby nie słowa wyszeptane tuż nad moim uchem:

– Słyszałem, że nie masz się w co ubrać...

Podniosłam głowę i spojrzałam czujnie w kochane szare oczy

mojego mężczyzny.

– Sikorki ci o tym doniosły?

Roześmiał się.

– Dokładnie tak. Szczególnie taka jedna rozćwierkana i do tego brzemienna.

Dotknęłam ręką brzucha i pomasowałam go delikatnie. Robiłam to codziennie. Szukałam kontaktu z dzieckiem, którego oboje oczekiwaliśmy. Naszym Okruszkiem. Ziarenkiem miłości.

– Dam się tylko nakarmić mamie, bo bez porządnego śniadania mnie nie wypuści, i zabieram całe wasze babskie towarzystwo. Jedziemy do Lublina. Tam jest dużo większy wybór niż w Puławach i na pewno znajdziesz dla siebie coś wystrzałowego.

Pokiwałam głową i oddałam Pawła na wyłączność Joannie. Potrzebowali tej kuchennej chwili dla siebie. Szczególnie Joanna. Po ostatniej kłótni teściów atmosfera w domu mocno się zagęściła. Jan przesiadywał do późnej nocy w swoim gabinecie, na całe dnie znikał gdzieś z Nelą lub wsiadał w samochód i wyjeżdżał. Złe emocje unosiły się w powietrzu i zbierały w naładowaną gniewem kulę, która, przyczajona, czekała na odpowiedni moment, by wybuchnąć.

Wiedziałam, że jednym weekendem Paweł niczego nie wyprostuje, ale sama jego obecność dodawała Joannie siły i wlewała w serce nadzieję, że przecież nadal są rodziną, która z niejedną górą lodową miała do czynienia.

Wiosna w mieście nie zachwycała tak, jak w Kazimierzu. Szare ulice wypełnione tłumem kolorowych ludzi pozbyły się już co prawda pozimowego brudu, ale wciąż były tylko betonem, z wąskim pasem zieleni oddzielającym przeciwległe jezdnie. Z nosem przyklepionym do szyby chłonełam Lublin przesuwany się przed moimi oczami. Musiałam przyznać, że to miasto miało niepowtarzalny klimat, tak że chciało się tu zatrzymać na dłużej.

Duża galeria handlowa Tarasy Zamkowe, usytuowana naprzeciwko lubelskiego zamku, kusiała tonącą w zieleni przestrzenią na dachu i różnobarwnymi neonami. Sobotnie przedpołudnie ścigało ludzi, i chociaż nie był to najlepszy czas na spokojne zakupy, każda z nas była podekscytowana zmienionym rytmem dnia i wiele sobie obiecywała po

tym miejscu. Po dwóch miesiącach pobytu na prowincji czułam się tak, jakbym miasta nie widziała od lat, ale, co dziwniejsze, nie tęskniłam za nim tak bardzo, jak mi się wydawało. Kazimierz z jego urokami wnikał systematycznie w mój krwiobieg, uzależniając od widoku tej Wisły, która pędziła jakby mniej niż w Warszawie. Zmieniał mnie i budził w sercu tęsknotę za czymś, czego jeszcze nie umiałam do końca sprecyzować, choć czułam, że to tylko kwestia czasu.

– Drogie panie, wy prowadzicie. Galeria handlowa to miejsce nieprzyjazne mężczyźnie, za to wy w tym obcym dla mnie środowisku odnajdujecie się bez problemu. – Wiedziałam, że Pawła cieszy ten czas, który mogliśmy spędzić razem, mimo niesprzyjających bliskości warunków.

– Chciałeś chyba powiedzieć, Pawełku, że galeria to miejsce nieprzyjazne dla męskiego portfela. – Bożenka również odżyła w czasie tej podróży. Krótki wypad do miasta wiele zmieniał. Odrywał od problemów, które nie zdołały dogonić szybkiego samochodu Pawła, i przenosił choć na chwilę w inny świat, w którym nic nie gniotło i nie ciążyło.

– Trafne spostrzeżenie. – Paweł puścił oko do bratowej i objął mnie troskliwie. – Chcesz gdzieś usiąść, Zosiu, czy jesteś gotowa na zakupowe wyzwania?

– Na razie nasyciłam się porcją owocowej energii w postaci jabłka, banana i pomarańczy, którą przygotowała mi mama w pakiecie na drogę, możemy więc ruszać na zakupy, zanim nie poczuję wilczego apetytu.

– Ruszajmy zatem. – Paweł puścił przodem Joannę i Bożenkę, mnie trzymając za rękę, jakby w obawie, abym nie zgubiła się w tłumie.

Najmniejszym problemem okazała się kreacja dla Bożenki. Może dlatego, że moja szwagierka nie miała wygórowanych wymagań, a może to właśnie na nią czekała prosta szafirowa sukienka na grubych ramiączkach, doskonale podkreślająca kobiece kształty szwagierki i leżąca tak, jakby właśnie dla niej została uszyta. Pierwszy sklep i pierwszy wybór okazały się strzałem w dziesiątkę. Ze mną i Joanną było już gorzej. Nie wszystko, co mi się podobało, pasowało na ciężarną, a jeśli już coś pasowało, Paweł zdecydowanie kręcił głową, a dziewczyny mu przytakiwały.

– To ma być naprawdę coś wyjątkowego, Zosiu. Babskie Balety to nie bal debutantek, tylko impreza dla świadomych swojej kobiecości matek, żon, kochanek i pańienek, tych mniej i bardziej dojrzałych, na ten jeden wieczór stających się po prostu zmysłowymi kobietami. – Bożenka odniosła skromną letnią sukienkę w kwiaty, po którą sięgnęłam. – To musi być coś takiego, co zbije Pawła z nóg. Wizytowa sukienka, która podkreśli twoją delikatną urodę i sprawi, że będziesz błyszczeć.

– Nie ma takich sukienek dla ciężarnych – jęknęłam.

– Ależ są. Trzeba tylko odnaleźć właściwą – odpowiedziała Bożenka, wyprowadzając mnie z kolejnego butik, w którym ani ja, ani Joanna nie znalazłyśmy niczego dla siebie.

Sukienkę dla mnie wypatrzyła w końcu Joanna. Ja minęłam ją obojętnie, nie mając odwagi sięgnąć po tak ekskluzywną kreację. Podwyższony stan ładnie ukrywał mój uwypuklający się brzuszeczek, a rozkloszowana długa spódnica spływała miękko do ziemi, podkreślając smukłość sylwetki, którą na szczęście wciąż jeszcze zachowałam. Granatowa sukienka była zdecydowanie wieczorowa, z plisowanym gorsetem, zdobiona sztucznymi perełkami i wykończona małymi koralikami u góry. Piękna, skromna, a jednocześnie bardzo elegancka, szyfonowa z satynową podszewką. Wzrok Pawła powiedział mi wszystko. Tylko raz patrzył na mnie w ten sposób. To było w dniu, kiedy stałam wraz z nim przed ołtarzem, ślubując mu miłość, wierność i uczciwość. I to, że go nie opuszczę, aż do śmierci któregoś z nas. Złożyłam tę przysięgę z całą świadomością, wierząc, że oboje jej dotrzemy, bo oboje jesteśmy świadomi wartości, jaką jest miłość. Ta miłość, która nas odnalazła. Ta, którą odnaleźliśmy my, w najmniej sprzyjających temu okolicznościach i niesprzyjającym temu miejscu.

– Zosiu, wyglądasz tak pięknie, że gdybym już nie kochał cię bez pamięci, w tej chwili zakochałbym się w tobie na zabój.

Zarumieniłam się, posyłając swojemu mężowi pełne wdzięczności spojrzenie.

Joanna uśmiechnęła się lekko, a Bożenka dyskretnie odwróciła wzrok, nie chcąc być świadkiem chwili, która mnie uskrzydliła, a ją zabolęła. Ona też kochała swojego męża pomimo głębokiego zranienia, wiedziała jednak, że od niego takich słów nie usłyszy.



– Mamo, jeszcze ciebie musimy ubrać, dziewczynom dokupić dodatki i jedziemy na obiad. Zabieram was do Mandragory na Stare Miasto, a potem...

– A potem podrzucisz mnie do Klary, dobrze? Obiecałam, że wstąpię do niej, gdy będę w Lublinie – powiedziała cicho Joanna.

Bożenka zacisnęła usta i odwróciła głowę. Zrozumiałam, że ona na tę wizytę się nie wybierze. Joanna też to wiedziała, bo spojrzała prosząco na mnie i na Pawła.

– Pojedziesz, Zosiu, ze mną?

Choć odwiedziny u ciotki Klary były ostatnią rzeczą, której oczekiwałam tego wypełnionego emocjami dnia, zgodziłam się, nie chcąc zostawiać Joanny sam na sam z siostrą, która wypowiadała słowa szybciej, niż pomyślała.

– Akurat dobrze się składa, bo ja muszę zajechać do szpitala na Chodźki. Umówiłem się tam z Andrzejem Ślusarskim, pamiętasz go, mamo?

– Byliście razem na roku.

Paweł skinął głową.

– Potem przez chwilę razem pracowaliśmy. Andrzej jest teraz ordynatorem dziecięcego oddziału onkologicznego. Poprosił mnie o konsultację, obiecałem, że pojawię się dzisiaj na jego dyżurze. A ty, Bonia, nie chcesz pojechać z mamą i Zosią?

Bożenka zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Spotkam się z Anetą, dawno jej nie widziałam.

Joanna nie nalegała. Taka już była. Szanowała zdanie drugiego i sama niczego nikomu nie narzucała. Za to ceniłam ją jeszcze bardziej. Zastanawiałam się też, jaką będzie babcią dla naszego dziecka. Nie była zaborcza wobec Bartka, mimo że mieszkali w tym samym domu, wierzyłam więc, że wobec dziecka Pawła będzie taka sama. Kochająca, ale i wymagająca, obdarowująca mądrą miłością, nie rozpuszczająca i pozwalająca na wszystko, ale stawiająca granice, których przekraczać nie wolno. Babcia, która będzie kojarzyła się z ciepłem i bezpieczeństwem, z beztróską dzieciństwa i domem chroniącym przed każdą życiową burzą. Taka była Doktorówka dzięki tym, którzy oddali jej duszę. Dzięki ludziom, którzy stali się moją rodziną i którzy czekali

na moje dziecko z taką samą nadzieją, jak ja i Paweł.

\*\*\*

– To miło z twojej strony, Zosiu, że chciałaś mnie odwiedzić. – Ułożone w malinowy dzióbek usta ciotki Klary cmoknęły dwukrotnie powietrze w okolicy moich uszu.

– Powieś tam żakiet, Joanno. – Wskazała przygotowany wieszak, witając się z siostrą podobnie jak ze mną. – Głodne jesteście? Odgrzać wam obiad? Co prawda zbyt wiele go nie zostało, bo dla nas dwojga gotuję co drugi dzień, i to mniejsze porcje niż kiedyś, gdy Ewelinka była jeszcze w domu.

– Dziękuję, Klaro, ale jesteśmy po obiedzie. Paweł zabrał nas do Mandragory. Pyszną kuchnię tam mają, polecam.

Joanna zerknęła w lustro, poprawiając zmierzwione wiatrem włosy, Klara natomiast prychnęła.

– Nie mam ani czasu, ani pieniędzy, aby prowadzić się po restauracjach. Ja nie jestem farmaceutą, a moje dziecko nie jest lekarzem. – Ostry język ciotki Klary ciął powietrze z taką siłą, że musiałam się odsunąć z obawy, aby mnie nie pokaleczył.

– Ale jest żoną dyplomaty, który zarabia o wiele więcej niż lekarz i farmaceuta w Polsce razem wzięci. – Odcięła się Joanna, a ja siłą powstrzymałam się, aby nie podnieść w górę uniesionego kciuka.

– Ja tam mojemu zięciowi do portfela na zaglądam. – Klara wydeła usta, na co Joanna zrobiła minę, z której wyczytałam: „Akurat”, ale nie odezwała się ani słowem, nie chcąc prowokować siostrzanego słowotoku. – Zapraszam do dużego pokoju, tam na wprost. Salonów nie mam, jedynie mieszkanie w bloku, ale za to w mieście mieszkam, a nie jak moja siostra, której odbiło, aby się na prowincję wyprowadzić.

– Ta prowincja, ciociu, jest tak urokliwa, że mnie samej do Warszawy nie ciągnie. – Odważyłam się zareagować, wiedząc, że mogę liczyć na wsparcie Joanny.

– Do Warszawy, moje dziecko, to i mnie by nie ciągnęło. Zupełnie

nie rozumiem Pawła, że właśnie tam się wyprowadził. Przecież w tym mieście nie da się żyć, ten wieczny pęd i gonitwa za sukcesem, korki, smog i ludzie, z których jeden drugiemu nóż w plecy wbiłby przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Zależy, w jakim środowisku, ciociu. – Próbowałam bronić swojego miasta, z którym w jakiś sposób byłam emocjonalnie związana.

– W każdym, Zosiu. W każdym. Młoda jeszcze jesteś i życia nie znasz. Ludzie zawsze byli zawistni, a już Polak Polakowi to chętnie nogę podstawi, aby tylko ten drugi nie miał lepiej. Szarlotkę upiekłam, jeszcze ciepła, dopiero co z piekarnika wyjęłam. Tobie, Zosiu, to herbatki owocowej zrobię, a ty, Joanno, co chcesz? Kawy o tej porze bym ci już nie radziła...

– A ja jednak poproszę o tę kawę. – Moja teściowa przerwała wywód siostry i usiadła przy stole nakrytym haftowanym obrusem.

– Jak chcesz. Ale kiedy będziesz się w nocy przewracała z boku na bok, pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Żadna z nas nie zaoferowała pomocy ciotce Klarze w kuchni. Joanna odpoczywała, sycąc się ciszą, a ja rozglądałam się ciekawie dookoła, nie mogąc się nadziwić, że te dwie tak różne kobiety były rodzonymi siostrami.

Gościnnie pokój, w którym siedziałyśmy, nie był duży, przez co sprawiał wrażenie przytulnego. Urządzony z gustem, odzwierciedlał potrzebę estetyki gospodarzy. Owalny, drewniany stół wyglądał na antyk, podobnie jak kredens i oszklona witryna zastawiona kryształami i eleganckimi filiżankami. Puszysty dywan komponował się kolorystycznie z ciemnym brązem mebli, na których nie można się było dopatrzeć ani odrobiny kurzu. Wiedziałam, że ciotka Klara jest pedantką, zastanawiałam się tylko, jak czują się tutaj jej wnuki. Czy są tak dobrze wychowane, że trzymają lepiące się rączki z dala od wychuchanych przedmiotów, czy też w ich obecności ciotka Klara łagodnieje i odpuszcza, co trudno mi było sobie wyobrazić.

Nasz wzrok przykuły kwiaty.

W kryształowym wazonie ustawionym na samym środku stołu pyszniły się żółte gałązki forsycji, spośród których wyglądały kolorowe tulipany, a na podłodze w kącie pokoju stał kolejny wazon z długimi

gałązkami dużych puszystych bazi. Jak widać, wiosna wtargnęła również do mieszkania ciotki Klary.

– Włodek przeprasza cię, Joanno, za swoją nieobecność, ale w soboty chodzi na basen. Kręgosłup ostatnio mocno mu doskwiera, lekarz zalecił pływanie i jakąś rehabilitację zapisał. Dobrze, że się rusza, bo ostatnio najchętniej by z domu nie wychodził. – Klara wniosła do pokoju na tacy talerzyki i pachnące cynamonem ciasto. Rozstawiła je na stole i sięgnęła do witrynki po filiżanki. – Nie wspominałaś, Joasiu, że Janek do pracy wrócił. Myślałam, że po tym zawale zrezygnował ze szpitala.

Joanna zbladła i uniosła się lekko, a jedno spojrzenie Klary wystarczyło, aby domyśliła się wszystkiego.

– Nic ci nie powiedział... Dziwne. Te tulipany to właśnie od niego. Kilka dni temu wpadł na herbatę, bo kawy mu nie zrobiłam. Załatwiał jakieś sprawy w pobliżu i zajrzał. Jakie, nie pytałam. – Klara podniosła w górę obie ręce, jakby tym gestem chciała pokazać Joannie, że cudze życie jej nie interesuje.

– A bazie i forsycja to od Mikołaja. Odwiedza mnie dość regularnie. Zakupy cięższe robi, bo Włodek dźwigać nie może, szafkę w kuchni naprawił, bo mężowi to mogę mówić i mówić, a i tak nie słucha.

– Mikołaj był u ciebie? – Joanna nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

– To nie wiesz, że otwiera biuro projektowe? Wygląda na to, że na razie w świat go nie ciągnie. Nigdy nie mogłam nadażyć za tym twoim Mikołajem, Asiu, ale muszę przyznać, że to dobry chłopak. Choć Janek jest na niego strasznie cięty i każdą próbę rozmowy ucina. Proszę, częstujcie się szarlotką. Zosiu, tu jest twoja herbata, kawę zaraz przyniosę, w kawiarence dochodzi.

Zastanawiałam się, jak ciotce Klarze udaje się nie zgubić kontekstu.

Dokładnie pamiętała, o czym mówiła i na czym skończyła, co więcej, kojarzyła doskonale, co ktoś kiedyś powiedział w jej obecności i w jakiej sytuacji padły dane słowa. Umiejętność godna podziwu.

To nie była miła wizyta, choć gdy porównywałam ją ze

świętecznym spotkaniem, musiałam przyznać, że ciotka starała się ugościć nas najlepiej, jak potrafiła.

Po wyjściu nie mogłam się powstrzymać i przytuliłam się mocno do teściowej, szepcząc jej do ucha:

– Jak to dobrze, że nie jesteś taka, jak Klara.

Joanna odwzajemniła uścisk, którego chyba potrzebowała po tak wielkiej dawce toksyn, jakiej dostarczyła jej siostra.

– Ma trudny charakter, ale to moja siostra. Tylko siebie mamy na tym świecie.

– Nieprawda... – zaprzeczyłam. – Ty masz jeszcze cudowną rodzinę, dwie synowe, które cię kochają, i synów, który co prawda nie są dyplomatami, ale są blisko.

Joanna spojrzała na mnie z wdzięcznością.

– Kochana jesteś, Zosiu. Dzięki tobie jakoś lżejsze są te dni, które prowadzą nas donikąd.

Wsunęłam rękę pod ramię Joanny i ruszyłyśmy przez wyciszone sobotnim wieczorem lubelskie osiedle, wsłuchane w nasze kroki odbijające się echem od wyłożonych kostką brukową alejek.

\*\*\*

– Myślałaś już o tym, Zosiu, jak go nazwiemy?

Wygodnie rozłożona na wiklinowej sofie, podparta poduchami i z głową przytuloną do torsu Pawła, wygrzewałam się w kwietniowym słońcu na tarasie Doktorówki. Niedzielne przedpołudnie nigdzie się nie śpieszyło, podobnie jak my. Po porannej mszy w kościele franciszkanów, który pokochałam bardziej niż farę, mieliśmy cały dzień na leniwe nacieszenie się sobą. Dopiero jutro rano Paweł miał wrócić do Warszawy, do naszego starego życia, które dla mnie w pewnym momencie zaczęło biec innym rytmem, przewartościowując wszystko, czym dotąd się kierowałam.

– Go? – spytałam, nie otwierając nawet przymkniętych przed ostrym światłem powiek. – Czy mówiąc „go”, masz na myśli chłopca,

czy tego bobasa, który niedługo pojawi się w naszej rodzinie?

– Oczywiście, że chłopca.

Podniosłam się, otworzyłam oczy i odwróciłam w stronę Pawła, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Typowy samiec. Spłodzić potomka i przedłużyć ród. Jeden mały Rybicki już jest, może teraz pora na dziewczynkę?

– Dziewczynkę? – Paweł zrobił śmieszny minę, udając przerażonego. – Wszyscy będą się ze mnie śmiali, że baby mi w domu rządzą.

– Naprawdę? Mój ty biedaku. – Spuściłam nogi z sofy i usiadłam, przysuwając się bliżej. Objął mnie ramieniem i pocałował w czubek głowy.

– Wiesz dobrze, Zosieńko, że jedyne, czego pragnę, to aby było zdrowe. Jeśli to będzie chłopiec, będę starał się być jego najlepszym przewodnikiem przez życie, pokazując mu świat z męskiej perspektywy. A jeśli urodzi się dziewczynka, po prostu dla niej oszaleję. Tak jak oszalałem dla ciebie.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w nieogolony dziś, trochę szorstki policzek.

– Wiesz, Pawełku, czuję, że to będzie dziewczynka. I będzie po prostu Anią.

– Anna Maria Rybicka. Ładnie.

Gdzieś nad nami rozspiewał się skowronek. Wysokie, wibrujące, świergocące trele, wabiące samiczkę i oznajmujące gotowość. Tu i teraz, pod tym niebem wybranym na swoje miejsce na ziemi.

– Rozmawiałeś z tatą?

Paweł późno wrócił do pokoju. Długo siedział w gabinecie Jana. Spałam już, gdy wślizgnął się do łóżka obok mnie. Być może chciał mnie zbudzić, ale wsłuchany w mój oddech wtulił się tylko we mnie i zasnął, oczyszczając głowę z całego tego nadbagażu myśli, jaki przywiózł tu ze sobą.

– Rozmawiałem i powiem ci, Zosiu, że rozumiem jego decyzję powrotu do pracy. Jest lekarzem, a to nie zawód, tylko powołanie. Tata tęsknił za szpitalnym poruszeniem, za decyzjami podejmowanymi w ułamku sekundy i za kontaktem z pacjentem. To jego życie, które

zawał nagle czasowo mu odebrał. Wiem, że mama chce dla niego jak najlepiej i że troszczy się o niego aż do przesady, ale on jest mężczyzną, nie potrafi siedzieć i odpoczywać. Musi działać, bo taka jest jego natura.

– Zupełnie jakbyś mówił o sobie – odpowiedziałam z lekkim przekąsem.

– No widzisz, jaki ojciec, taki syn. Przynajmniej wiesz, że do końca życia będę oddany swojej pasji. I do końca życia będę cię obłądnie kochał.

Ta niedzielna chwila w ogrodzie sprawiła, że czas się zatrzymał. Doświadczaliśmy życia, sycąc się jego odcieniami i podarowaną bliskością. Niespokojne myśli poodchodziły, zostawiając nam tylko zachwyty nad wymalowanym przez wiosnę światem. Chłonełam to, co było tu i teraz. Nie rozmyślałam nad przeszłością i nie snułam wizji przyszłości. Po prostu byłam, szukając dotykami Pawła, by się przekonać, że i on tu jest i podobnie, jak ja, czuje tę magię. Tego przedpołudnia w kazimierskim ogrodzie udało mi się dotknąć szczęścia. I wcale nie musiałam go szukać. Ono przez cały czas tu było, po prostu nagle je dostrzegłam.

\*\*\*

– *Widziałeś, przyszła kartka od Pawła i Julii. – Joanna wyciągnęła w stronę Mikołaja kolorową pocztówkę, na którą ten spojrzał z udawaną obojętnością.*

– *Bella Toscana – skrzywił się. – Jakie to obrzydliwie romantyczne.*

– *Dlaczego taki jesteś? – Joanna obrzuciła syna czujnym spojrzeniem.*

– *Jaki, mamo? – Mikołaj usiadł przy kuchennym stole, wyciągając przed sobą długie nogi.*

– *Drwiący. Wciąż masz do niego żal o ten ślub?*

– *„Nawet nie wiesz, jak wielki” – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Nie powiedział też, że sam nie wie, na co liczył, i że zaskoczył go niespodziewany wyjazd Pawła i Julii.*

– Możemy już do tego nie wracać? Było, minęło. Pawło ma żonę...

– A ty?

– Co ja? – Spojrzał na matkę, choć dobrze wiedział, o co pyta.

– Słyszałam, że znowu zacząłeś spotykać się z Bożenką.

Skrzywił się po raz drugi.

– Ależ szybko roznoszą się plotki po tej prowincji. Czasami wychodzimy gdzieś razem, ale nie jest to tak poważne, jak sądzisz.

– Trzydziestka za pasem... Nie uważasz, że pora się ustatkować, założyć rodzinę?

– Gadasz jak ojciec. Czasy się zmieniły, a granica wieku mocno się przesunęła. Nie uszczęśliwajcie mnie na siłę, sam znajdę na siebie sposób.

– Tylko po drodze możesz skrzywdzić zbyt wiele osób. Jeśli nie myślisz o Bożence poważnie, odpuść sobie te spotkania i nie dawaj jej nadziei. To dobra dziewczyna, nie chcę, żeby znów przez ciebie płakała.

– Mamo, nikogo do niczego nie zmuszam. Przyjaźnimy się, to wszystko. Nie wiem, co będzie za rok albo dwa. Nie wiem nawet, czy tu zostanę.

– Pora dorosnąć, synku. – Joanna wyciągnęła dłoń z zamiarem zmierzwienia jasnych włosów Mikołaja, tak jak robiła to zawsze, gdy się przekomarzali.

Powstrzymał ją jednak wzrok syna. Jej ręka zawisła w powietrzu, a to, co dostrzegła, przeraziło ją. Potrząsnęła głową i wyszła z kuchni, zostawiając Mikołaja sam na sam z kolorową pocztówką z Toskanii i z myślami, których nie umiał się pozbyć, choć bardzo tego chciał.

\*\*\*

Odważyłam się zadzwonić do Kingi po wyjeździe Pawła, kiedy tęsknota znów zaczęła wyglądać z każdego kąta w domu, zbijając się w kule kurzu z domieszka sierści Neli. Rozstania bolały, nawet jeśli były chwilowe.



Chciałabym móc powiedzieć Kindze, że ją rozumiem i zawsze będę wspierać we wszystkim, co postanowi, ale nie mogłam. I nie chodziło już o to, czy akceptuję ten związek i czy to, co moja przyjaciółka robi, jest zgodne z moim światopoglądem, jakkolwiek by on nie był. Tu chodziło o coś więcej. O Kingę.

Facet, który dla niej oszalał, oszukując przy tym żonę i własne dzieci, prędzej czy później oszaleje dla kogoś innego. Być może stanie się to za kilka miesięcy albo i kilka lat, ale nie miałam wątpliwości, że tak będzie.

A Kinga? Zostanie tak pokaleczona, że nie zaufa żadnemu mężczyźnie, choćby był tego wart. Albo będzie rzucała się od jednego kiegońskiego związku bez przyszłości w drugi, chcąc zapomnieć to, czego zapomnieć się nie da. Bo miłość to żywe uczucie. Kiedy rozdziera serce i zostaje odebrana, wraz z tym sercem obumiera. Nie chciałam, aby obumarło serce Kingi.

– No proszę, proszę. Stęskniłaś się za mną? – Głos mojej niby-przyjaciółki był pełen wiosennej radości, zupełnie jak rozświergotany trel słowika, któremu wczoraj wraz z Pawłem się przysłuchiwałam.

– Stęskniłam się – przyznałam. – I chciałam zapytać, co u ciebie. Jak się czujesz?

– U mnie maj – odpowiedziała Kinga rozmarzonym głosem. – Wiem, wiem, że jeszcze jest kwiecień, ale ja wszędzie czuję maj, Zosiu. Jestem szczęśliwa i kochana, i wiem, że na to zasłużyłam. Jeśli chcesz wciskać mi teraz umoralniające gadki, od razu możesz się rozłączyć, bo i tak nie będę tego słuchać.

– Co ja ci mogę powiedzieć? – spytałam bezradnie – I tak zrobisz po swojemu.

– To moje życie, Zośka. Posłuchaj, mówiłam ci to już, ale powtórzę jeszcze raz, nikt nigdy nie troszczył się o mnie tak, jak Karol, i byłabym ostatnią idiotką, gdybym to odrzuciła.

– Wprowadził się do ciebie albo wspomniął o rozwodzie? – Szukałam argumentów, dzięki którym mogłabym delikatnie Kingą potrząsnąć.

– Nie, ale za dwa tygodnie lecimy razem na Malagę. Południowa

Hiszpania, Morze Śródziemne, słońce, plaża, lazurowa woda i my. Żadnej żony, żadnych dzieci i żadnych wyrzutów sumienia nie zabieramy ze sobą, a jedyne, co zamierzam przez te dziesięć dni, mając Karola na wyłączność, to kochać, żyć i być szczęśliwą. Jeśli powiesz mi, że to nie jest dobry pomysł, natychmiast się rozłączę.

Westchnęłam.

– Trochę zazdrozczę ci tej Malagi, ale chyba nie zamieniłabym na nią mojego Kazimierza – odpowiedziałam dyplomatycznie.

– No fakt, każdy tam dba o ciebie, a na Maladze tylko jeden Karol będzie się mną przejmował. Wiesz, Zosiu, coś się we mnie zmienia, coś dojrzewa. – Głos Kingi zabrzmiał bardziej refleksyjnie, co jeszcze bardziej wzmoгло moją czujność.

– Możesz jaśniej?

Kinga chwilę milczała, a potem powiedziała to, czego się spodziewałam i obawiałam zarazem.

– Myślę, że jestem gotowa, aby urodzić Karolowi dziecko. Patrzyłam na ciebie, jak się zmieniałaś, jak wypiękniałaś i jakim spokojem się wypełniłaś. Chciałabym doświadczyć tego samego. Dać początek życiu, które będzie owocem namiętności i miłości.

– Rozmawiałaś o tym z tym całym Karolem? – spytałam cicho, starając się ukryć targające mną emocje.

– Jeszcze nie, ale myślę, że on też by tego chciał. Częstka mnie i jego w kimś zupełnie niepowtarzalnym.

– Pamiętaj, że dziecko to nie zachcianka, ale decyzja na całe życie. I zanim ją podejmiesz, przemyśl, czy ojciec twojego dziecka...

– Ojejku, głędzisz, Zośka.

– Kurczę, bo nie umiem rozmawiać z Kingą, której odebrało rozum! – Nie wytrzymałam i pozwoliłam, aby te słowa wymknęły się i dotarły do Kingi.

Nie była nimi zachwycona.

– Każdy ma prawo do miłości, Zośka. A mnie należy się ona tak samo, jak tobie. Nie zrezygnuję z Karola, rozumiesz?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo Kinga się rozłączyła. Jednym przyciskiem odizolowała mnie od swojego świata, zatrzaskując przede mną drzwi. Wiedziałam, że minie trochę czasu, zanim je na nowo

otworzy. Byłam za daleko, aby cokolwiek zrobić, a zresztą, nawet gdybym mieszkała w Warszawie, i tak niczego by to nie zmieniło. Kinga była uparta i zachowywała się jak dziecko. Kiedyś, dawno temu, ktoś skrzywdził małą dziewczynkę zaniedbaniem, obojętnością i brakiem miłości. Duża dziewczynka, która stała się kobietą, próbowała tamtej małej to wszystko wynagrodzić. Ale robiła to bardzo nieumiejętnie, bo nikt nie nauczył jej, jak kochać, nie krzywdząc przy tym samej siebie.

\*\*\*

Tak bardzo przyzwyczaiłam się już do tych wtorków i czwartków z Mikołajem, że gdybym go nie zobaczyła któregoś z „naszych” dni, czekającego na Bartka w okolicach szkoły, byłabym zawiedziona i rozczarowana. Bartek nie brał nawet pod uwagę takiej ewentualności, że Mikołaja mogłoby nie być, bo wypadwał ze szkoły i biegł, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu ojca, nie czekając nawet na mnie.

Dziś też dobiegł do land rovera przede mną, nie oglądając się za siebie. Zajrzałam do środka z pytaniem, o której Mikołaj go odwiezie i gdzie mam na Bartka czekać, ale mój szwagier zatrzymał mnie przywołującym gestem ręki.

– Byłaś już w Parku Miniatur w Rąblowie?

Pokręciłam przecząco głową.

– To wsiadaj. Zabiorę was tam dzisiaj.

Po drodze dowiedziałam się, że Rąblów to malownicza wioska położona w sercu Kazimierskiego Parku Krajobrazowego, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Kazimierzem Dolnym a Nałęczowem.

– Czy to nie z Rąblowa pochodzi Luiza? – spytałam, kojarząc nazwę i przypominając sobie opowieść Bożeny.

– Taa... – krótko odpowiedział Mikołaj, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy oprócz Romy w tej kazimierskiej społeczności jest ktoś, kogo Mikołaj po prostu lubi bez zastrzeżeń? – W Rąblowie kilka lat temu powstał Park Miniatur Architektury Drewnianej Trójkąta

Kazimierz Dolny – Nałęczów – Puławy. Zebrano w nim kilkadziesiąt eksponatów prezentujących w miniaturze to, co najbardziej interesujące w tym regionie. Stare wille Nałęczowa, słynne budowle Kazimierza Dolnego z architekturą witkiewiczowską, jatkami Małego Rynku, Kuncewiczówką i z naszą kazimierską studnią, a nawet chaty Mięćmierza, młyn rzeki Bystrej, Bramę Puławską i wiele innych, naprawdę wartych obejrzenia obiektów. – W głosie Mikołaja słyszałam autentyczne podekscytowanie. Jako architekt musiał doceniać pracę włożoną zarówno w wykonanie, jak i odtworzenie tych pomników historii, kreślących sobą opowieść o mijających latach i zmieniającym się stylu, niejednokrotnie współcześnie trudnym do zaakceptowania.

– Nuda! Nie chcę tam jechać! – Bartek miał zdecydowanie odmienne zdanie i zupełnie się mu nie dziwiłam, bo był po prostu dzieckiem. Architektura Kazimierza i okolic, choćby najpiękniejsza, nie stanowiła dla niego żadnej rozrywki. Miał to na co dzień. Wyrastał tu i nie potrafił spojrzeć na to wszystko z perspektywy wartości, jaką ta architektura przedstawiała. To był mały chłopiec i bardziej zainteresowałby go Legoland czy park dinozaurów niż miniaturka tego, co miał na wyciągnięcie ręki.

– Spokojnie, kolego. – Mikołaj podniósł w górę rękę, zerkając na syna karcąco we wstecznym lusterku. – Po pierwsze, nie tym tonem, bo zaraz odwiozę cię do domu i tyle będzie z naszej wyprawy. Po drugie, Zośka obejrzy sobie Park Miniatur, a my wejdziemy w labirynt, gdzie przygotowane są zadania i wyzwania dla takich żądnych przygód chłopców jak ty. Teraz twoja decyzja – jedziemy i nie marudzimy, czy wracamy?

– Jedziemy, tato!

– Tak myślałem. No i po krzyku.

Zafascynowana patrzyłam na ich relację. Bartek i Mikołaj. To nie było sztuczne ani udawane. Mikołaj nie robił niczego na pokaz, nie chciał też nikomu zaimponować, bo niby komu? Bożenka nic o tym nie wiedziała, Paweł też, a moje zdanie zupełnie się dla niego nie liczyło. On był po prostu ojcem. Był i chciał nim być, co Bartek doskonale wyczuwał. I tego cennego doświadczenia nikt nie mógł go już pozbawić.

– Ale fajowskie! – Bartek pomimo wcześniejszych obiekcji

z zainteresowaniem wszedł między małe domki sięgające mu do kolan, niczym Guliwer do krainy liliputów. – A czy jest tu gdzieś nasz dom? Mikołaj uśmiechnął się, a ja zapatrzyłam się na ten uśmiech z niedowierzaniem, zafascynowana jego chłopięcym wdziękiem i tym nieuchwytnym czymś, co miał w sobie.

– Poszukaj, to może znajdziesz Doktorówkę – odpowiedział synowi rozbawiony, puszczając do mnie oko.

– To niesamowite, że takie miejsca wciąż się w Polsce zachowały – szepnęłam, wpatrując się w budynki, które rozpoznawałam ze swoich spacerów po Kazimierzu.

– Chyba tylko dla nich tu wracam, bo nie potrafię nigdzie indziej zdomowić się na dobre – powiedział zamyślony, wpatrzony w miniaturową Górę Trzech Krzyży.

– Chyba nie tylko dla tego – wskazałam ręką małe domki jak dla lalek. – Ani nie dla klimatu Kazimierza, tylko dla ludzi, nie uważasz? To oni wiążą nas z pewnymi miejscami, bo mieszkać tak naprawdę można wszędzie.

– Czasami działasz mi na nerwy. – Mikołaj odwrócił się w moją stronę. W jego oczach zatańczyły figlarne iskierki. Uśmiechnęłam się do nich, a on tylko pokręcił głową. – Ale niekiedy nawet cię lubię – dodał, zostawiając mnie z tymi słowami i odchodząc w stronę Bartka.

\*\*\*

*– Bonia! Bonia! – Głos Mikołaja wpadł przez otwarte okno wraz z wyjątkowo ciepłą, sierpniową nocą.*

*Bożenka wychyliła się, próbując dostrzec chłopaka w ciemnościach ogrodu.*

*– Mikołaj? Ciiichoo, wszystkich pobudzisz. Wiesz, która jest godzina?*

*– Północ? – Zatoczył się, w ostatniej chwili przytrzymując sztachety przy płocie.*

*– No, prawie! Czego chcesz?*

– Bonia, chodź ze mną na spacer. Muszę z kimś koniecznie porozmawiać.

– Oszalałeś? Po ciemku?

– Przecież i tak wszystko tu widziałaś, więc światło ci niepotrzebne.

– Po sposobie mówienia i rozciąganych samogłoskach Bożenka domyśliła się, że Mikołaj wypił o kilka piw za dużo. – No chodź, Bonia.

– Pijany jesteś.

– Nie pijany, tylko lekko wstawiony. Jak nie pójdziesz ze mną, to ja przyjdę do ciebie. Muszę z kimś porozmawiać.

– Rodziców i Anetę pobudzisz!

– To chodź ze mną. Przecież jeszcze nie śpisz.

Wiedziała, że się nie odczepi. Mikołaj nigdy nie działał racjonalnie, a już pijany Mikołaj robił się naprawdę nieprzewidywalny. Gotów był jeszcze wpakować się do jej pokoju przez okno. Dopiero by ludzie gadali, że Biernacka kawalerów po nocy przyjmuje. W małej miejscowości wszystkie domy mają oczy i niewiele da się ukryć przed sąsiadami.

– Poczekaj na mnie przy drodze. Ubiorę się i zaraz przyjdę.

– Ubierać to się nie musisz, Bonia. Bez ubrania jesteś jeszcze ładniejsza.

– Zamknij się i idź na drogę!

Straciła dla niego głowę. Biegła na każde jego skinienie i grzała się w ciepłe tych spojrzeń, które były przeznaczone wyłącznie dla niej. Nie miała pewności, czy tak powinna wyglądać miłość, ale kiedy Mikołaj był przy niej, w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Wrócił i znów zaczął się z nią spotykać, a ona czuła się tak, jakby otworzyło się dla niej niebo. Na każdej zabawie Mikołaj pojawiał się tylko z nią, po niedzielnej mszy na oczach wszystkich ciekawskich podchodził do niej, kłaniał się rodzicom i zamieniał z nimi kilka słów, a potem zabierał ją na lody do Nałęczowa. I nawet ta dziwaczna Luiza nie wzbudzała jego zainteresowania, choć zawsze była ładnie ubrana i bardzo pewna siebie. Pasowałiby do siebie, każdy to mówił. Ale Mikołaj miał Luizę w nosie. Przychodził do niej, do Bożenki, która dla niego była Bonią i która pozwalała mu na wszystko. Na wszystko.

– Naprawdę nie musiałaś się ubierać.

Szturchnęła go łokciem, aż się zatoczył, a potem dogonił ją

*niezdarnie i wziął za rękę.*

*– Gdzie chcesz iść na ten spacer? – spytała, sycąc się ciepłem jego dłoni i wdychając zapach mężczyzny, w którym zakochała się bez pamięci.*

*– Nad Wisłę.*

*– Chyba nie masz zamiaru się kąpać? – Odwróciła się w jego stronę, ale w ciemności niewiele widziała.*

*– Kąpać nie, ale zamierzam się tam z tobą kochać.*

*– Na pewno! – Pokręciła głową, nie podejmując tematu.*

*– Bonia, życie jest takie popieprzone, wiesz?*

*– Upiłeś się na smutno czy na filozofa?*

*Potknął się, a ona przytrzymała go, zastępując mu drogę. Stali naprzeciw siebie, Mikołaj z rozbieganym wzrokiem, a ona ze spojrzeniem wiernych oczu, które mówiły więcej, niż Bożenka chciałaby przed nim zdradzić. Mikołaj podniósł rękę i odgarnął długie włosy z twarzy dziewczyny.*

*– Ożenię się z tobą, Bonia, wiesz?*

*Odwróciła się, aby nie dostrzegł jej wilgotnych oczu.*

*– Zobaczysz, że się z tobą ożenię.*

*– Ciekawe, czy jutro będziesz o tym pamiętał... – Bożenka puściła rękę chłopaka i odeszła parę kroków.*

*– Ożenię się z tobą i jak będziesz chciała, też zabiorę cię do Toskanii. – Mikołaj ze złością kopnął kamień leżący na drodze. – I do cholерnej Wenecji też cię zabiorę. Wszędzie, gdzie tylko będziesz chciała, Bonia. I będziesz mieszkała w Doktorówce. Albo nie, wybuduję dla ciebie dom. Tam, gdzie są jabłonie. Będziesz miała najpiękniejszy dom z kwitnącymi jabłoniemi. Będziesz to miała tylko dla siebie, bo właśnie tobie to podaruję. A ona... będzie mogła tylko popatrzeć. Tylko popatrzeć, bo to wszystko będzie twoje.*

*– O kim ty mówisz, Mikołaj? – Bożenka poczuła, jak robi jej się zimno, choć żaden podmuch wiatru nie zakłócił nocnej ciszy i koncertu zajętych muzykowaniem świerszczy.*

*– Kochaj się ze mną, Bonia. – Dłoń Mikołaja odszukała w ciemnościach dziewczynę i zatrzymała się na jej piersiach. Ubierając się w pośpiechu, nie założyła stanika i teraz jej sutki podniosły się, jakby*

*przyciągane magnetyzmem Mikołaja, prosząc, aby objął je pieśczośliwym dotykiem dłoni lub języka.*

*– Całkiem zwariowałaś! – Chciała go odtrącić, ale nie pozwolił jej na to, przyciągając mocniej do siebie jedną ręką, a drugą nie przestając drażnić piersi dziewczyny. A one, jakby na przekór Bożenie, były już gotowe, podobnie jak Mikołaj, którego męskość poczuła w tym mocnym przytuleniu.*

*– Proszę, pozwól mi się dziś kochać – szepnął rozpaczliwie, przyciskając dziewczynę do drzewa. – Nie odtrącaj mnie dziś, Bonia, proszę. Nie odtrącaj mnie dziś.*

*– Tutaj chcesz się kochać? – Spojrzała w ciemność, w której słyhać było cichy plusk Wisły. Rozgwieżdżone niebo nad nimi idealnie wkomponowało się w tę scenę rozgrywającą się pomiędzy chłopakiem a dziewczyną, przypadkową parą w przypadkowym miasteczku.*

*– Tutaj. Teraz. Z tobą.*

*Chropowata kora drażniła, a przyspieszony oddech Mikołaja zlał się z ciszą, która nagle ciszą być przestała. Gdzieś w zaroślach zakwakała kaczka, być może obudzona przez nocnych intruzów. Z oddali doleciało pohukiwanie sowy, a świerszcze tak zapamiętały się w muzyce, że Bożenka poczuła, jak kręci jej się w głowie od nadmiaru dźwięków i wrażeń. Nocy i Mikołajowi wyszeptala słowa: „Kocham cię”, ale odpowiedziała jej tylko cisza.*

\*\*\*

Buzia Bartka nie zamykała się przez całą drogę powrotną. Dawno już nie widziałam go tak szczęśliwego i podekscytowanego. Zastanawiałam się, jak uda mi się skłonić go do odrobiny skupienia przy odrabianiu lekcji. Chciałam to zrobić przed powrotem Bożenki, aby zdjąć z jej głowy ten obowiązek i dać im obojgu czas na nacieszenie się wieczorem, który z dnia na dzień coraz później przynosił ciemność.

Poprosiłam Mikołaja, aby wysadził nas przy cmentarzu. Chciałam



wyciszyć Bartka, zanim dojdziemy do domu, choć podejrzewałam, że dziś może to być trudne.

– Tata dał mi swój numer telefonu. Powiedział, że gdybym chciała po męsku pogadać, mogę do niego zadzwonić. Opowiedział mi o biurze projektowym, które otwiera. Wiesz, ciociu, że mój tata jest architektem?

– Wiem. – Uśmiechnęłam się, wyglądając Doktorówki. Dość krótka droga dłużyła mi się dzisiaj, być może dlatego, że sama czułam się już zmęczona i potrzebowałam odpoczynku. Mało dziś leżałam i puchły mi nogi, a oczy same się zamykały na popołudniową drzemkę. W drodze z Rąblowa wstąpiliśmy na obiad do przydrożnego zajazdu, byłam więc ociężała i trochę bardziej znużona, bo i ja w końcu, zachęcona przez Bartka i Mikołaja, zaliczyłam słynne labirynty.

Z ulgą dotknęłam zimnej klamki, otworzyłam drzwi Doktorówki i... Wpadłam prosto na Bożenkę, która raczej nie wyglądała na zadowoloną, kiedy nas zobaczyła.

– Mama! – Bartek, mniej zdziwiony, a bardziej uradowany obecnością matki, podbiegł do niej, wtulając się w Bożenkę, która jednak dość oschle go od siebie odsunęła.

– Idź do swojego pokoju i zajmij się lekcjami. Zaraz do ciebie przyjdę. – Wydała rodzicielską komendę, popychając chłopca w stronę jego sypialni.

– Ale...

– Idź i zrób to, o co cię proszę! – Podniesiony głos Bożenki uciął dyskusję. Bartek zdjął buty, odwiesił kurtkę i poszedł grzecznie do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Jak mogłaś? – Ciemne oczy Bożeny patrzyły na mnie z takim wyrzutem, że musiałam spuścić głowę, choć wcale nie poczuwałam się do jakiegokolwiek winy. – Jak mogłaś? – powtórzyła, a dla mnie te słowa zabrzmiały jak syk. – Zaufałam ci, a ty mnie po prostu okłamałaś. I do tego wciągnęłaś w to dziecko.

– Posłuchaj, Bożenko, porozmawiajmy spokojnie, zaraz wszystko ci wytłumaczę.

– To ty mnie posłuchaj, Zosiu. Świat nie jest taki piękny, jak ci się to może wydawać tutaj, w Kazimierzu. Nie naprawisz tego, co się popsuło już dawno temu, a tym, co robisz, krzywdzisz moje dziecko, bo

dajesz mi nadzieję na takiego ojca, jakim Mikołaj nigdy nie będzie. Dlatego proszę cię, trzymaj się od tego z daleka i nigdy więcej nie podejmuj w moim imieniu decyzji dotyczących mojego dziecka. – Bożena odwróciła się i chciała odejść, lecz powstrzymały ją moje słowa. Być może nie powinnam była ich wypowiadać, ale one padły, zatrzymując Bożenkę wpół kroku:

– To jest również syn Mikołaja.

Zobaczyłam wściekłość na twarzy kobiety, jakby ten, który ją skrzywdził, w pewnym sensie chciał odebrać jej dziecko. Zobaczyłam grymas zaciętości i zostałam obrzucona tą goryczą, która wypłynęła, choć nie ja miałam być jej adresatką.

– Syn? Żeby być ojcem, trzeba najpierw samemu do tego dorosnąć. Chcesz znać prawdę? Jest taka, że Mikołaj nigdy tego dziecka nie chciał. Dlatego teraz nie pozwolę mu na to, aby pojawił się na chwilę, by znów zniknąć nie wiadomo na jak długo i nie wiadomo gdzie. A ciebie proszę, nie mieszaj się w to. Nie znasz Mikołaja i nie wiesz, jaki jest naprawdę.

„A może to ty tego nie wiesz?” – pomyślałam, zatrzymałam jednak te słowa dla siebie. Miałam już dość tej rozmowy i niedomówień, ciągłych rodzinnych sekretów i nieporozumień, które zasupłyły się tak mocno, że nie wiadomo było, gdzie tak naprawdę jest węzeł i za który sznurek pociągnąć, aby wszystko się nie rozpadło.

– Przepraszam – odparłam, bo tylko tyle tak naprawdę mogłam w tym momencie powiedzieć. Odwróciłam się i weszłam na górę, czując się tak, jakbym dźwigała na sobie te wszystkie lata, których jeszcze nie przeżyłam. Ciężka atmosfera Doktorówki jeszcze bardziej mi zaciężyła, a ja po raz pierwszy chciałam stąd uciec jak najdalej albo zasnąć i obudzić się, nie pamiętając niczego, co tu się wydarzyło.

\*\*\*

*Julia wróciła z Włoch odmieniona. Znowu promieniowała tym ciepłym blaskiem, który zachwycił Mikołaja w dniu, w którym ją poznał. Jej*

*uśmiech rozgrzewał każdego obdarowanego nim domownika, a lekkość, z jaką się poruszała, świadczyła o tym, że odpoczęła. Paweł wpatrywał się w żonę z jeszcze większym uwielbieniem niż przed wyjazdem. Było jasne, że miesiąc, który spędzili w Toskanii, gdyż przedłużyli swój pobyt o tydzień, był najpiękniejszym prezentem ślubnym, jaki oboje mogli sobie podarować.*

*Julia z nową energią rzuciła się w wir pracy. Większość tygodnia spędzała wraz z Pawłem w Lublinie, montując przywieziony z Toskanii materiał i nadrabiając zaległości. Od września dostała na antenie Radia Lublin swój autorski program: „Lublin ma twarz kobiety”. Wyszukiwała i zapraszała do studia zwyczajne kobiety, których wyjątkowość dostrzegła, i w czasie godzinnej audycji pokazywała ich piękno, którym często same były zaskoczone. Miała wiele pomysłów i planów zawodowych, do których z uporem dążyła, nie poddając się nawet wtedy, gdy zamykano przed nią drzwi.*

*Właśnie ta cecha tak bardzo Pawła w niej zachwycała. Jej upór i determinacja, zachłanność na życie, które codziennie odnajdował w jej oczach, i nieprzewidywalność, bo z Julią każdy dzień był inny. Wniosła w życie Pawła światło, dzięki któremu w szpitalnej rzeczywistości coraz częściej dostrzegał nadzieję i nauczył się ignorować piętrzące się problemy biurokratyczne. Rok temu nie miał pojęcia o jej istnieniu. Dziś nie wyobrażał sobie, że mogłoby jej w jego życiu zabraknąć.*

\*\*\*

Wiedziała już, jak czuła się Stefcia Rudecka, kiedy okrzyknięto ją trędowatą. Najchętniej w ogóle nie wychodziłabym ze swojego pokoju, ale przestrzeń ograniczona czterema ścianami przytłaczała mnie jeszcze bardziej niż atmosfera, która zapanowała w Doktorówce po mojej ostatniej rozmowie z Bożenką.

Cały wieczór przeleżałam zwinięta w kłębek w pokoju, który, będąc moją bezpieczną przestrzenią, stał się równocześnie w pewnym

sensie więzieniem. Nie zeszłam na dół na kolację. Przyniosła mi ją Joanna z prawdziwą troską matki, gładząc mnie po włosach i dotykając otwartą dłonią czoła tym gestem, który każdemu kojarzy się z błogością dzieciństwa. Wtuliłam się w nią, pozwalając, aby powstrzymywane dotąd łzy wypłynęły.

Zaledwie kilka dni temu to ja próbowałam zabrać Joannie choć część tego żalu, jaki w sobie nosiła. Teraz ona robiła to samo dla mnie. Wiedziałam, że mnie rozumie i w tej chwili jest moim jedynym sprzymierzeńcem, bo nie miałam wątpliwości, że Paweł zajmie stanowisko Bożeny i Jana.

– To minie, Zosiu. To wszystko minie, bo to ludzkie.

Otarłam dłonią łzy i pokręciłam głową na znak, że nie potrafię tego zrozumieć.

– Dlaczego nikt nie zapyta o zdanie Bartka? Przecież to najbardziej dotyczy jego.

– Bo dorosłym wydaje się, Zosiu, że wiedzą najlepiej, co jest dobre dla ich dziecka. A że popełniają błędy... – Joanna zawiesiła głos. – To też ludzkie – dokończyła cicho.

– Akceptacja Mikołaja i ten spędzony z ojcem czas budują w nim poczucie własnej wartości. Wiele dzieci żyje z poczuciem winy, że rodzic odszedł; są przekonane, że to z nimi było coś nie tak. Mikołaj daje Bartkowi coś cennego, więc dlaczego Bożena nie potrafi tego zrozumieć?

Joanna zebrała kciukiem dwie słone krople, które uparcie trzymały się mojego policzka.

– Już o tym rozmawialiśmy, Zosiu. Została zraniona, a jako matka chce chronić swoje dziecko. Zrozumiesz to, gdy twój maluszek stanie się dla ciebie centrum świata. Potrzeba czasu, Zosiu. Potrzeba czasu, aby to wszystko poukładać. Chciałabym tylko wierzyć, że Mikołaj zachowa się tym razem odpowiedzialnie i nie odpuści.

Ja też chciałam w to wierzyć. Stając się częścią tej rodziny, pokochałam ją i nie mogłam patrzeć na to, jak domownicy odwracają się do siebie plecami i szarpią te łączące ich więzi.

Cichy nieobecnością dom był nieco przyjaźniejszy niż ten nabrzmiały atmosferą wyrzutu. Nie byłam w nim jednak sama.

Dobiegający z gabinetu Jana charakterystyczny stukot klawiatury dał mi sygnał, że mój teść pracuje dziś nad czymś w domu, że to nie jest jeden z tych dni, kiedy wyjeżdża z samego rana i znika na długie godziny w szpitalu, bez którego, jak się ostatnio okazało, nie umiał żyć.

Chciałam przerwać to milczenie i gromadzenie złych emocji, nawet jeśli groziłoby to wybuchem. Pomyślałam, że Joanna nie obrazi się na mnie, jeśli trochę ogołocę jej ogród z tulipanów, które z dumnie uniesionymi główkami królowały nad bratkami i aksamitkami. Ułożone w bukiet zniosłam je do gabinetu Jana, chcąc, aby wiosna weszła także do jego serca, pozwalając mu odmarznąć.

Zapukałam w otwarte drzwi, wzbudzając tym czujność Neli. Jan odwrócił się i odsunął w obrotowym fotelu od biurka.

– Mogę? – spytałam.

– Wejdz, Zosiu. – Jan zdjął okulary i potarł nasadę nosa. – Te kwiaty to dla mnie? – Z uśmiechem wskazał na tulipany. Wzięłam to za dobry znak i przyzwolenie do naruszenia samotności.

– Przyniosłam ci trochę wiosny. Pomyślałam, że tulipany rozjaśnią gabinet i wniosą tu trochę świeżości i... radość? – Ostatnie słowo wypowiedziałam ze znakiem zapytania.

– Myślisz, że naprawdę jej potrzebuję?

– Wydaje mi się, że tak.

Przysiadłam na fotelu nieopodal biurka i spojrzałam na gabinet wypełniony regałami pełnymi książek. Ich grzbiety i przykurzone kartki nadawały ciepła temu pomieszczeniu, a naukowa atmosfera dodawała mu powagi. To był azyl Jana, miejsce, w którym szukał odosobnienia. Tu znosił wszystkie swoje smutki i rozterki, zrzucając je, jedno na drugie, niczym stosy książek, a potem upychając po kątach.

– Możemy chwilę porozmawiać, tato?

Popatrzył na mnie swoimi mądrymi oczami i kiwnął głową. Wstałam z fotela, wyjęłam komórkę i odszukałam na małym ekranie galerię, w której miałam kilka zdjęć.

– Chciałam ci coś pokazać. – Podeszłam do Jana, trzymając telefon w pozycji poziomej, dzięki czemu Mikołaj i Bartek wspinający się razem na drzewo w parku linowym byli lepiej widoczni. Podobnie jak na kolejnym zdjęciu, kiedy udało mi się ich uchwycić na podwórku Romy,

rąbiących drzewo. I w Parku Miniatur. W labiryncie i na lodach. Tylko jedno zdjęcie, z wielką porcją lodów, było pozowane. Resztę utrwaliałam w locie, zatrzymując chwile łączącej ich bliskości, aby były dowodem na to, że potrafią żyć ze sobą i wzajemnie siebie potrzebują.

Jan przesuwiał palcem po dotykowym ekranie i, zaskoczony, bez słowa przyglądał się badawczo fotografiom. Nie tego się spodziewał. Nie takiego Mikołaja oczekiwał, bo, podobnie jak Bożena i Paweł, już dawno go zaszukadkował, nie dając mu szansy na udowodnienie, że przetrwało w nim to coś, co przyciągało ludzi, choć on sam wydawał się ich odpychać.

– To nie jest na pokaz, tato. Żadne z tych zdjęć i żadna z tych chwil nie są udawane. To jest prawdziwe, tak jak prawdziwa jest bliskość i uczucia.

– Czyje uczucia? – spytał Jan zachrypniętym głosem.

– Bartka i Mikołaja.

– A czy Mikołaj jest w ogóle zdolny do jakichkolwiek uczuć?

– Nie wiem, co takiego zrobił, że wszyscy go poskreślaliście, ale każdy popełnia błędy, tato. Mało kto jednak ma na tyle odwagi, aby się do tych błędów przyznać i próbować je naprawić.

– Kilka spotkań z synem nie oznacza jeszcze, że Mikołaj rzeczywiście chce te błędy naprawić. – Jan odłożył na biurko komórkę z wygasłym wyświetlaczem.

– Bo może wymagacie od niego za dużo naraz? I może on nie jest jeszcze na to gotowy? – Sięgnęłam po telefon i schowałam do kieszeni bluzy. – To jest proces, do którego dojrzeć się powoli. A jeśli Mikołaj go podjął, nie stawajcie mu na drodze, tylko okażcie mu choć odrobinę zaufania.

Jan przekręcił się wraz z krzesłem i zapatrzył w okno. Nela zastrzygła uszami, a po chwili wstała, otrzepała się i przeciągnęła. Jej merdający ogon komunikował panu: „Nie uważasz, że to dobry czas na spacer?”. Jan machinalnie pogłaskał łeb podsunięty przez wilczycę.

– Wiesz, tato, czym najbardziej oczarowała mnie Doktorówka, kiedy tu przyjechałam? Wcale nie pięknem architektury starego domu. To ludzie czynią to miejsce wyjątkowym. – Oparłam się o framugę drzwi, stając na granicy gabinetu i przedpokoju. – Ty i mama, Bożenka

i Bartek, a wśród was Paweł i to „coś”, co tworzy rodzinę, sprawiając, że pewne więzi cementują bardziej niż najtrwalszy beton. Nie doświadczyłam tego w życiu. Byłam dzieckiem, kiedy straciłam mamę, a w domu mojej macochy nigdy nie czułam się u siebie. Wychodząc za Pawła, pragnęłam przede wszystkim rodziny, ale nie marzyłam nawet o tym, że dostanę was. Zauroczyliście mnie, ty i Joanna, miłością, którą potrafiliście pielęgnować przez tyle lat. Umocniliście w tej wierze, jaką miałam, wychodząc za Pawła. Jesteście żywym i najlepszym przykładem na to, że miłość nie ustaje i nie wypala się. Że trwa bez względu na to, jak wielkie góry lodowe pojawią się na oceanie życia. Że wspiera i wzmacnia, a z biegiem lat nabiera mocy i staje się tak silna, że nic nie jest w stanie jej złamać. Patrząc na wasze relacje, twoją i mamy, i na to, z jaką czułością na siebie spoglądacie, jak wzajemnie się szanujecie i jak wiele was łączy, nabieram pewności, że Paweł też taki będzie, bo te właśnie wartości mu przekazaliście. Podobnie jak Mikołajowi. Wiem, że są zupełnie różni i pewnie nie tego oczekiwaliście, ale on też należy do tej rodziny, tato, i nosi jej pragnienie w sercu, tylko że zupełnie się do tego nie przyznaje. On tęskni za miłością, choć nikomu tego nie powie. Bo każdy jej potrzebuje. Naprawdę każdy.

Umilkłam, choć moje słowa nadal jeszcze wibrowały gdzieś w tej przestrzeni pomiędzy mną a Janem. On też milczał, zapatrzony w okno, za którym świat żył swoim rytmem, mniej lub bardziej przewidywalnym. Umiał składać obietnice bez pokrycia, ale to ludzie wartościowali te, do których spełnienia dążyli.

– Bliskie relacje buduje się latami, ale wystarczy jedna chwila, aby zburzyć to, co z takim trudem powstało. Łatwo jest niszczyć, ale naprawić to już sztuka. I nie każdy jest na to gotów.

Zostawiałam Jana z tymi zdaniem i pachnącymi ogrodem tulipanami. Nie chciałam siedzieć sama w domu, który dziś tak się naburmuszył. Wyszłam i skierowałam się nad Wisłę, a nogi same poniosły mnie w stronę Mięćmierza.

\*\*\*

- Unikasz mnie.
- Dlaczego tak uważasz?
- Prawie w ogóle nie przyjeżdżasz do Doktorówki.

To był jeden z niewielu weekendów, jakie Julia spędziła w Kazimierzu.

Przez czas jej nieobecności jesień na dobre rozgościła się nad Wisłą, tworząc w kazimierskim krajobrazie kipiące kolorami dzieła sztuki. Drzewa nad spichlerzami pyszniły się żółtopomarańczową barwą, z wplecioną doń nutą czerwieni, zatrzymując wzrok każdego, kto spoglądał w stronę baszty. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych liści i jabłek pozostałych na dzikich jabłoniach, zbyt kwaśnych do zjedzenia, ale zbyt ładnych, by się ich pozbyć. Te dzikie jabłonki z rajskimi jabłuszkami powpisywały się w tutejszy krajobraz, stapiając się z nim i stając się jego nierozzerwalną częścią.

– Mam dużo pracy. Wygodniej ogarnąć to wszystko, kiedy jestem na miejscu, w Lublinie. Słyszałam, że myślisz o wyjeździe do Stanów.

Zielone oczy przeszywały Mikołaja na wskroś. Szukał w spojrzeniu Julii tej iskierki, którą dostrzegł latem, nie mógł jej jednak odnaleźć, tak jak nie mógł odnaleźć Julii, za którą tęsknił.

– Myślę – odpowiedział wymijająco. – Pusto tu bez ciebie. Bez was – poprawił się, widząc czujne spojrzenie bratowej.

– Przyjedziemy w grudniu. Nie wyobrażam sobie świąt z dala od Doktorówki.

– Do świąt jeszcze tyle czasu...

– Pozwól mi żyć normalnie, Mikołaj – szepnęła Julia, zawieszając nieruchomy wzrok na ogrodowej jabłoni, z którą zawsze rozmawiała, gdy przyjeżdżała do Kazimierza. Przytulała się do niej, z czułością dotykając kruchych z pozoru gałęzi, które dźwigały na sobie owoce drzewa rodzącego obficie każdej jesieni.

– Co to znaczy „normalnie”, Julio?

Podszedł bliżej i stanął tuż za nią. Czuł zapach kwiatowego szamponu i delikatnych perfum Julii. Ciepło jej ciała przyciągało. Objął ją, oplatając ramiona wokół jej talii i opierając podbródek o jej ramię.

– Tęsknię za tobą. Każdego dnia. Myślę o tym, że moglibyśmy być



*razem, gdyby... On zrozumie.*

*Julia pokręciła powoli głową.*

*– Mikołaj, nie mogę. Nie mogę mu tego zrobić. To minie...*

*– Nie minie, Julio. Nie minie, bo to jest prawdziwe. Nie jesteś moim kaprysem. Całe życie na ciebie czekałem. Właśnie na ciebie, Julio. Właśnie na ciebie.*

*Odwróciła się, stając twarzą w twarz z mężczyzną, o którym każdego dnia próbowała zapomnieć. Gdy go nie widywała, wydawało się to prawie możliwe. Z dala od niego niemal umiała cieszyć się tym życiem, które miała, i doceniać codzienność, Pawła i ten świat, jaki razem próbowali tworzyć. Przyjeżdżając tutaj, do Kazimierza, chciała sprawdzić samą siebie i przekonać się, czy może i czy umie oddychać tym samym powietrzem, co Mikołaj, bez tego trzepotania serca, które niczego nie chce zrozumieć. Głupie serce, podzielone i tak samo zagubione w uczuciach, jak sama Julia. Głupia Julia, która pokochała nie tego brata, którego powinna.*

*– Jak mam mu to powiedzieć? Jak mam to powiedzieć twoim rodzicom? Jak będę mogła usiąść wraz z nimi przy świątecznym stole, naprzeciwko Pawła, jeśli mu powiem, że był pomyłką?*

*– Nie zostaniesz z tym sama. Będę przy tobie. Będzie bolało, ale wcześniej czy później te rany się pogoją, Julio, a oni to zaakceptują.*

*– Nie wiem, czy będę potrafiła tak żyć. Ze świadomością, że go skrzywdziłam. Paweł jest bardzo dobrym człowiekiem. Nie zasłużył na to.*

*Mikołaj podszedł tak blisko Julii, że zadrżała. Najpierw delikatnie odgarnął długie pasma rudych włosów z twarzy kobiety, a potem dotknął delikatnego płatka ucha ciepłymi ustami i wyszeptał:*

*– A będziesz potrafiła żyć ze świadomością, że go oszukujesz?*

*Zbierał wargami słone łzy spływające po policzkach Julii. Bez pośpiechu szukał drogi do jej ust, które przyjęły dotyk jego warg z taką samą zachłannością, z jaką on czekał na nie. Ramionami wyznaczył granicę świata, który obiecał Julii, wierząc, że przyjmie go i uwierzy tak, jak on wierzył za nich oboje.*

*Pozwolił jej wrócić do Lublina i dał czas na to, aby poukładała sobie różne sprawy. Wbrew wszystkiemu uwierzył miłości. I czekał. Na święta i jej przyjazd. Na jej decyzję. Na nich w świecie, w którym nic nie*

*było takie, jak być powinno.*

*\*\*\**

*– Bożenka, czy młody Rybicki wybiera się do nas w pierwszy lub drugi dzień świąt? – Stach przestał ucierać chrzan i otarł wierzchem dłoni lzy ciskające się do oczu.*

*– Jeśli go ojciec zaprosi, to przyjdzie. – Bożenka dmuchnęła w grzywkę, próbując odgonić ją z czoła, i otrzepała umączzone ręce, którymi właśnie zagniatła ciasto.*

*– Najwyższa pora, żeby o rękę cię poprosił.*

*Bożenka znieruchomiała, patrząc na ojca szeroko otwartymi oczami.*

*– No co też ojciec...*

*– Ludzie gadają. Tyle czasu już się przy tobie kręci. Myślisz, że ja durny jakiś jestem i nie wiem, że wy jak mąż i żona bez ślubu żyjecie? Tak nie można, Bożena. Może ty i nie z tak dobrego domu, jak ta cała Doktorówka, ale na uczciwego i wykształconego człowieka cię wychowaliśmy. I szanować się masz, bo jak sama siebie nie będziesz szanować, to i inni żadnego szacunku dla ciebie mieć nie będą.*

*Policzki Bożeny płonęły, a rozbiegany wzrok próbował skupić się na kruchym cieście, zagniecionym na stolnicy.*

*– Doktorowa bardzo jest za tobą. Kilka dni temu z matką gadała, o twoje egzaminy wypytywała i o plany, bo ona miejsce dla ciebie w aptece trzyma. Rybicki to dobra partia, tylko różnie o nim gadają.*

*– A bo tam ojciec słucha ludzkiego gadania. Ludzie zawsze gadali i gadać będą, a jak prawdy nie znają, to ją sami sobie dopowiedzą. – Bożenka sięgnęła po blachę i zaczęła ją wyklejać wyrobionym ciastem.*

*– A jaka ta prawda jest? Chcesz ty iść za tego Rybickiego czy może już sobie kogoś w tym Lublinie upatrzyłaś?*

*– Niech mi da ojciec najpierw skończyć studia, a potem będziemy o ożenku rozmawiać – odpowiedziała wymijająco Bożenka.*

*– A kończ ty te studia, kończ. Dużo już ich nie zostało. Żebyś mi*

*tylko panną z brzuchem nie została, bo zabiję drania, choćby i sam hrabia to był.*

*– Niech się ojciec nie martwi, studia dla mnie najważniejsze. A Mikołaja jak ojciec chce, to niech zaprosi w Szczepana.*

*– Ano zaproszę. I o zamiary też zapytam. – Stach wrócił do ucierania chrzamu, spoglądając na córkę, która ze spuszczoną głową próbowała uspokoić roztrzępane serce bijące w rytmie usłyszanych kilka miesięcy temu słów: „Ożenią się z tobą, Bonia. Zobaczysz, że się z tobą ożenię”.*

\*\*\*

– To ty? – Mikołaj otworzył mi w samych dzinsach, a ja przez chwilę stałam nieruchomo, wpatrując się w jego umięśnione ramiona i wyrzeźbiony brzuch. – Znowu przyszedł na piechotę? – Odsunął się i wpuścił mnie do środka.

– Musiałam się przejść. Mam za dużo myśli w głowie. – Weszłam, rozglądając się w poszukiwaniu Romany.

– Romy nie ma. Pojechała z obrazami i biżuterią do galerii. Trochę jej zejdzie. Masz ochotę na jajecznicę z boczkiem? Właśnie będę smażył.

Poczułam, jak mój zaostrzony spacerem apetyt wzmagają się na sam dźwięk słów „jajecznica z boczkiem”. Mikołaj zauważył moje wygłodniałe spojrzenie rzucone w stronę patelni. Uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał na krzesło.

– Słyszałem, że Bożena nieźle zmyła ci głowę. – Nie patrzył na mnie, zajęty rozbijaniem jajek, które roztrzepywał z taką wprawą, jakby to danie było jego specjalnością.

– Widzę, że te wiadomości naprawdę szybko się roznoszą.

– Bartek do mnie dzwonił – mruknął, nie odwracając się. – Mówił, że matka trochę sobie pokrzyczała.

– No trochę – odpowiedziałam, przypominając sobie wykrzywioną wściekłością twarz Bożenki.

– Wiedziałem, że tak będzie, jak się dowie. Musiała być naprawdę

wściekła, skoro wydarła się na ciężarną.

– Trochę ją rozumiem.

Mikołaj odwrócił się i spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Naprawdę?

– Chce chronić Bartka przed tobą.

Skrzywił się i sięgnął po jajeczną masę, aby wylać ją na patelnię.

– Przecież widzisz, że nie gryzę.

– Udowodnij jej to.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili milczenia, w czasie której mój żołądek, podobnie jak i Okruszek we mnie, fikał koziółki, pobudzony zapachem dolatującym od kuchenki.

– To nie takie proste, panno mądralińska.

– A nie uważasz, że wszystko, co warte zachodu, wymaga wysiłku?

– Na wszystko masz gotową odpowiedź? – spytał, stawiając przede mną pachnący boczkiem talerz.

– Tak naprawdę wszystkie odpowiedzi na trudne pytania nosisz w sobie, musisz tylko mieć odwagę, aby dokonać właściwego wyboru.

– A co to znaczy „właściwego”? – Niebieskie oczy Mikołaja patrzyły na mnie z taką przenikliwością, że przez moment czułam się tak, jakby zaglądał do mojej duszy.

– Właściwego, to znaczy takiego, dzięki któremu przestaniesz uciekać sam przed sobą.

Spojrzenie Mikołaja znieruchomiało, zatrzymując się gdzieś, gdzie ja nie miałam dostępu.

– Chciałbym ci coś pokazać. Masz dzisiaj trochę czasu? – Głos mojego szwagra zabrzmiał tak, jakby te dwa zdania wymknęły się wbrew niemu, jakby nie do końca był przekonany, czy naprawdę chce je wypowiedzieć.

– Mam dużo czasu. W zasadzie to nie wiem, co z nim robić – odpowiedziałam szczerze, zaciekawiona tym, do czego zmierzał Mikołaj.

– To teraz jedz, a potem zabiorę cię gdzieś. Chyba właśnie dojrzałem do tego, aby to miejsce komuś pokazać.

Zaintrygował mnie. Rozbudził moją ciekawość i wyobraźnię do

tego stopnia, że zignorowałam telefon Pawła, odrzucając połączenie z wiadomością: „Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię”.

Czułam, że to ma związek z tobą, Julio, i że coraz mniej pozostawiłaś już przede mną nieodkrytych kart... Wkrótce ułożę je wszystkie w jedną całość i w końcu przestaniesz być dla mnie tą tajemnicą, którą wciąż jeszcze byłaś.

\*\*\*

Jabłoniowy sad trwał w oczekiwaniu. Białe pączki, które pootulały nagie gałązki, czekały na odpowiedni moment, by maj, wyglądający już spoza ramienia odchodzącego kwietnia, dopieścił je słońcem i ciepłem, pozwalając rozkwitnąć. Szpaler delikatnych drzew już teraz robił wrażenie, wyobrażałam więc sobie, jak te kwitnące jabłonie będą wyglądać za dwa, trzy tygodnie, gdy wiosna otuli je swoim czułym dotykiem, zachęcając, by rozwinęły się w pełni. Smukłe panny młode w sukienkach tak pięknych i pachnących, jakich żadna krawcowa nie jest w stanie odtworzyć. Piękno zapierające dech, niepowtarzalne i cieszące oczy tak krótko, jak kwitnące magnolie.

– Jak tu pięknie – westchnęłam, okręcając się dookoła. – Czyj to sad?

– Mój. – Mikołaj stał z boku z założonymi na piersi rękami, obserwując mnie z rozbawieniem. – Sad i ta ziemia, i dom, który chcę w tym roku wykończyć. – Wskazał na szkielet budynku znajdujący się tuż za granicą sadu, z oknami wychodzącymi na kwitnące drzewa.

– Znalazłeś więc swoje miejsce na ziemi. Czy to znaczy, że zostajesz tu na stałe? – przekrzywiłam głowę i spojrzałam na Mikołaja pod słońce, mrużąc oczy.

– Na to wygląda – odpowiedział, obejmując sad pełnym czułości spojrzeniem. Przez chwilę miałam złudne wrażenie, że znam to spojrzenie i tę czułość w nim. Myśląc intensywnie, gdzie i kiedy mogłam je przyłapać, uświadomiłam sobie, że tak właśnie Paweł patrzy na mnie.

Mikołaj spoglądał na swój sad i na jabłonie z taką miłością, jakby patrzył na ukochaną kobietę.

– Zaskakujesz mnie. Nie jesteś taki, jak o tobie mówią. – Podeszłam do jednej z jabłoni i dotknęłam jej delikatnie, zupełnie tak, jakbym nie chciała jej przestraszyć swoją obecnością.

– A co o mnie mówią? – spytał przekornie, obserwując mnie uważnie.

– Nieodpowiedzialny. Niedojrzały. Samolubny. Piotruś Pan skupiony na swoich zachciankach i uciekający zawsze wtedy, kiedy trzeba stanąć twarzą w twarz z życiem i jego problemami.

– Ciekawa charakterystyka. – Mikołaj podszedł do mnie i, podobnie jak ja, dotknął drzewa, ale zrobił to z taką czułością, że aż przeszedł mnie dreszcz. To było tak, jakby pogładził ciało ukochanej kobiety, pieszcząc je opuszkami palców.

– Tylko ciekawi bohaterowie mają taką.

– Życie jest sztuką – szepnął, zapatrzony w dal, ponad czubki drzew z białymi zawiązkami kwiatów. – Chociaż niekoniecznie chcesz grać właśnie w tej, której głównym bohaterem się stałeś. – Oderwał wzrok od miejsca, w którym nie zobaczył tego, czego oczekiwał, i spojrzał na mnie z wyraźnym zaciekawieniem. – A jaki jestem według ciebie?

Przekrzywiłam głowę i przymknęłam jedno oko, udając, że przyglądam się mu wnikliwie.

– Wrażliwy, choć chowasz to pod maską twardziela. Udomowiony. Mimo że lubisz samotne ścieżki i chwile odosobnienia, zawsze szukasz stada, bo potrzebujesz ciepła i bliskości. Wiem, że wracasz do Romy nie tylko dlatego, że ona jedna nie stawia ci warunków i że u niej masz swoje miejsce, w którym możesz się zatrzymać, ale dlatego, że potrzebujesz akceptacji i kogoś, kto nie będzie cię oceniał. Sam przecież doskonale wiesz, ile błędów w życiu popełniłeś i... nie jest ci z tym łatwo. Ale jesteś mężczyzną, a wam trudno przyznać się do jakiegokolwiek błędu. Dlatego ukrywasz ból pod skorupą pozornej pewności siebie i obojętności, tyle że tak naprawdę potrzebujesz ludzi i ich zrozumienia. I miłości, choć udajesz, że wcale ci na tym nie zależy.

Umilkłam, a Mikołaj tylko pokręcił głową, uciekając jednak

wzrokiem przed moim spojrzeniem.

– Kim ty jesteś? Wrózką czy psychologiem?

– Po prostu panią ze świetlicy i dobrym pedagogiem. A kim ty jesteś?

Tym razem popatrzył na mnie, a po chwili odparł smutno:

– Facetem, który się w życiu mocno pogubił.

Oderwałam się od drzewa i ruszyłam przed siebie. Idąc między drzewami, miałam wrażenie, jakby kłaniały się przede mną, uśmiechając przy tym zachęcająco. To miejsce miało dobrą energię, czułam to. I okropnie zazdrościłam go Mikołajowi, bo czułam, że mogłabym tu żyć i że byłabym tu naprawdę szczęśliwa. Ale ja tego szczęścia nie potrzebowałam, bo odnalazłam go przy Pawle i ono było po prostu tam, gdzie my oboje. Nie przeszkadzała mi Warszawa ani nasz Mokotów. Najważniejszy był Paweł, mój mąż, bo to przy nim moje życie zupełnie się odmieniło. Nabrało głębszego sensu i stało się bajką, której nigdy nie chciałam opuszczać.

Wiedziałam jednak, że jest ktoś, kto tej dobrej energii i tego szczęścia bardzo potrzebował i dla kogo to miejsce byłoby idealne.

– Powinieneś przywieźć tu Bożenkę.

Doszłam do granicy sadu i stanęłam przed domem, który wpatrywał się we mnie pustymi otworami przyszłych okien. Słyszałam za sobą kroki Mikołaja, nie musiałam się więc odwracać, wiedząc, że zatrzymał się niedaleko mnie.

– Bożenkę, mówisz... – Milczał przez chwilę, jakby zmagał się sam ze sobą, a potem słowa zaczęły się z niego wylewać niczym nadmiar wody z koryta rzeki podczas powodzi. – I co takiego mam jej, Zośka, powiedzieć? Prawdę? Nie kupiłem tej ziemi dla niej ani dla Bartka. Gdy myślałem o tym domu dawno temu, nie wyobrażałem sobie w nim naszej rodziny, o ile w ogóle nią kiedykolwiek byliśmy. Kupiłem to dla kobiety, którą kochałem nad życie. Powiedziała mi kiedyś, że nie ma na ziemi niczego piękniejszego niż sad z kwitnącymi jabłoniemi. Podarowałem jej ten widok. Dałem go w prezencie i dla niej chciałem wybudować ten dom... Z nią tu zamieszkać...

– Dlaczego więc tego nie zrobiłeś? – Mój głos drżał, gdy zadawałam to pytanie. Podświadomie czułam, że znam odpowiedź,

chciałam ją jednak usłyszeć od Mikołaja i przestać w końcu snuć domysły, sięgać wciąż po niewłaściwy puzzel.

– Bo była żoną mojego brata.

Cisza, jaka zapadła, wibrowała życiem. Pracowite pszczoły i ociążałe bąki krążyły wokół drzew i przysiadły na rozsianych w sadzie żółtych mleczach, przypominających kwiatowy dywan, sycący oczy intensywnymi barwami. Nagle, pomiędzy słowami, które padły, okazało się, że nie jesteśmy tu sami. Z sąsiednich łąk dobiegało świergotanie i kumkanie. Ponad nami z całym dostojeństwem i wdziękiem przeleciał bocian, lądując tam, gdzie polne myszy bawiły się w chowanego, a wścibskie wróble wlatywały do pozbawionego jeszcze dachu domu, z nadzieją na pozostawione przez ludzi okruszki.

– Poznałem ją dwa miesiące po ich ślubie. Próbowałem zapomnieć. Chciałem nawet zacząć żyć normalnie, mieć rodzinę, budzić się przy innej kobiecie i nauczyć się traktować Julię po prostu jak bratową. Siostrę. Nie umiałem, Zośka. Zawiodłem wszystkich, bo nie umiałem przestać jej kochać. To było silniejsze niż to, co czułem do Bożeny i Bartka. To było silniejsze niż strach, że się wyda, niż wstyd, że robię to własnemu bratu, silniejsze niż wola życia, bo żyłem tylko dla niej. Dla Julii. Była wszystkim. Moim początkiem i końcem, moim światem, którego granice wyznaczyła, moim pragnieniem i tęsknotą. Wszystkim. Dla niej gotowy byłem rzucić wszystko i zacząć od nowa, gdziekolwiek na świecie, byle z nią. Życie jednak lubi pisać własne scenariusze, na które najczęściej nie mamy wpływu. Pewnego dnia obudziłem się bez Julii i bez nadziei, ale wciąż z tą piekącą miłością, o której nie umiem zapomnieć. Wydawało mi się, że jak wyjadę daleko stąd, uda mi się zacząć na nowo. Bez niej. Pomyliłem się. Taka miłość, Zośka, po prostu wnika w krwiobieg i musiałbym wykroić sobie serce, żeby zapomnieć. – Zamilkł, żeby przełknąć ślinę, a potem podjął na nowo opowieść. Miałam wrażenie, że wcale mnie ona nie dotyczy, zupełnie jakby opowiadał fabułę wyjątkowo poruszającego filmu. – Julia powiedziała mi kiedyś, że jeśli odejdzie, będzie zawsze powracać do mnie w jabłoniach i ich owocach, i że pomimo jej fizycznej nieobecności tutaj ją odnajdę. To głupie, ale uwierzyłem w to, Zośka. Uwierzyłem i wróciłem, bo wiem, że jeśli naprawdę mam zacząć na nowo żyć, mogę



to zrobić tylko tutaj, z tym sadem i domem, który zamierzałem dla niej wybudować. Myślisz, że Bożena chciałaby tu żyć, wiedząc o tym wszystkim, co ci powiedziałem?

Odwrociłam się w stronę Mikołaja, pozwalając mu dostrzec łzy spływające po moich policzkach. Poruszył mnie swoją opowieścią.

Zobaczyłam cię, Julio. Zobaczyłam cię w tym sadzie, uśmiechającą się do jabłoni podarowanych ci przez mężczyznę, który nosił w sobie tęsknotę.

– Ona cię kocha.

Mikołaj pokręcił z niedowierzaniem głową, a potem podszedł do mnie, wyciągnął rękę i otarł kciukiem łzy, które zatrzymały się, jakby niezdecydowane, czy zostać w tym miejscu, czy spłynąć niżej i opaść słoną kroplą, zostawiając za sobą mokry ślad.

– Powiedz mi, Zośka, jak można kochać takiego drania...

– Ona cię kocha, Mikołaj. I jest jedyną kobietą, która jest w stanie zaakceptować cię właśnie takiego, jaki jesteś, z całym bagażem wspomnień, które w sobie nosisz.

– To nie jest takie proste. Tyle razy już ją zawiodłem. Jak można zaufać takiemu człowiekowi?

– Spróbuj ją przekonać, że ci na niej zależy.

– A jeśli mi już na nikim nie zależy?

Położyłam mu rękę na ramieniu, chcąc, aby poczuł wagę słów, które zamierzałam wypowiedzieć, i ich znaczenie.

– Na Bartku ci zależy. I powinieneś o niego walczyć. A Bożenka nigdy z ciebie nie zrezygnowała. I wciąż jesteś dla niej ważny, choć nie okaże ci tego, bo jest tak samo twarda i uparta, jak ty. Myślę, że nauczyła się tego właśnie od ciebie. Albo przy tobie.

– Lubię cię, Zośka. Naprawdę cię lubię.

Uśmiechnęłam się do Mikołaja, myśląc sobie, że każdy potrzebuje miłości. Człowiek pozbawiony miłości więdnie, zupełnie jak roślina pozbawiona słońca i wody. Serce bez miłości wyziębła się, zarażając swoim chłodem ludzi, których dotyka. Miłość jest jak tlen, bez którego wszystko obumiera. Dopełnia nas i sprawia, że w jej świetle sami siebie akceptujemy bardziej i piękniejemy, obdarowując innych tym, co w nas najlepsze. Potrzebujemy jej jak ludzi wokół siebie, bo pustki wynikającej

z braku miłości niczym nie da się zappełnić. Dlatego Mikołaj nosił w sobie tęsknotę. Wraz z Julią odebrano mu wszystko, a w miłość po prostu nie umiał na nowo uwierzyć.

## *DZIESIĘĆ...*

---

Maj zakradł się niepostrzeżenie. Zupełnie nie wiadomo kiedy spośród zielonej trawy powychylały się stokrotki i fiołki. Na Małym Rynku sprzedawano żonkile i tulipany, a bzy szykowały się do rozkwitnięcia, aby jak co roku oszołomić świat swoim zapachem.

Maj rozpalał w sercach ludzi nadzieję. Dni, obfite już w długie jasne godziny, cieszyły prostą radością i czarowały słonecznym

uśmiechem, który składał niezwykle obietnice. Część z nich nawet dotrzymywał.

Spokojny dotąd Kazimierz zapełnił się ludźmi, którzy tłumnie zjechali, aby nacieszyć się pierwszym i nieco dłuższym majowym weekendem. Już nie miałam tu tylko swoich ścieżek, bo wszystkie zostały zajęte przez przyjezdnych.

– Widzisz, Zosiu, jaką siłę przyciągania ma nasz mały, zaściankowy Kazimierz? – Wraz z nastaniem pierwszych majowych dni Roma rozkładała się na Rynku ze swoimi pejzażami, eksponując je wraz z pracami innych artystów przy Kamienicy Przybyłków. – Zjeżdżają tu ze wszystkich stron Polski i coraz częściej spoza niej. Paradoks jednak polega na tym, że z jednej strony fascynuje ich klimat i niepowtarzalna atmosfera tego miasteczka, dla uroku którego właśnie tu przyjeżdżają, z drugiej jednak chcieliby zmienić ten nasz Kazimierz, dostosowując go do swoich potrzeb, w poszukiwaniu wygód. Wielu z nich nie potrafi uszanować tego miejsca. Zobacysz, ile ton śmieci po nich zostanie, kiedy już wyjadą.

– Ale turyści to klienci. Dzięki nim miasteczko się rozwija. Ty też. – Poczułam się w obowiązku stanąć w obronie masy, ponieważ sama byłam jedną z przyjezdnych, choć od jakiegoś czasu miałam wrażenie, jakbym się tu urodziła. Wsiąkałam w to miejsce i czułam, że kocham je tak, jak pokochała je Julia, nie potrafiąc na dobre uciec ani od Kazimierza, ani od Mikołaja do innego świata, w którym być może byłaby szczęśliwa.

– Kiedy przyjeżdża Paweł? – Roma uśmiechnęła się do starszego mężczyzny, który, przechodząc obok, uklonił się jej uprzejmie.

– Dzisiaj. – Na dźwięk imienia mojego męża wszystko się we mnie rozjaśniło.

– Tęsknisz za nim? – Spojrzała na mnie, przesuwając się w moją stronę, aby pozwolić parze młodych ludzi, którzy właśnie przystanęli przy sztalugach, przyrzuć się dokładnie wystawionym pracom.

– Bardzo. Chciałabym mieć go na stałe przy sobie, choć z drugiej strony nie chcę wyjeżdżać z Kazimierza. Nie teraz, kiedy tak wypiękniał.

– Będzie jeszcze piękniejszy, a ty nigdzie się stąd, Zosiu, nie wybieraj. Wiele osób cię tutaj potrzebuje... Mikołaj cię polubił, a na

jego sympatię naprawdę trzeba zasłużyć i mocno się o nią starać. Wiem coś o tym. – Uśmiechnęła się smutno, pocierając spocone czoło wierzchem dłoni. – Coś zaczęło się zmieniać dzięki temu, że tu jesteś. Masz w sobie światło, którego wszyscy tu potrzebujemy. Obudziłaś Mikołaja. Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale sprawiłaś, że chce mu się żyć. Zaczął robić plany. Myśli o przyszłości. Wychodzi z tej skorupy, w której ukrył się dawno temu...

Mięćmierskie pejzaże czarowały kolorami, a zaciekawieni turyści przystawali, aby podziwiać sielskość tego kawałka nieba, którym Roma się dzieliła. Wiedziałam już, że tutaj nie porozmawiamy spokojnie, cmoknęłam więc tylko ciepły policzek artystki i szepnęłam:

– Do zobaczenia!

Wracałam do Doktorówki wolnym krokiem, rozmyślając o słowach Romy i moim ostatnim spotkaniu z Mikołajem. Kiedy przyjechałam tu dwa miesiące temu, nie zdawałam sobie sprawy, że nie tylko stanę się integralną częścią rodziny Rybickich, ale też wejdę w tę rodzinę tak głęboko, że w pewien sposób, swoją obecnością i decyzjami, narzucę jej bieg wydarzeń. Bo nie godziłam się, by to, co można zmienić, pozostało w zawieszeniu ze strachu, że zmieni się na gorsze.

Początkowo Mikołaj zupełnie nie wzbudził mojej sympatii. Oceniał mnie, zanim jeszcze poznał. Na „dzień dobry” zostałam odepchnięta, co w żaden sposób nie sprzyjało zbudowaniu dobrych relacji. Nie o niego mi chodziło, kiedy stałam się jego cichym sprzymierzeńcem. Widziałam zagubienie Bartka i jego ogromną potrzebę realnej obecności ojca. Dla tego chłopca zaryzykowałam nawet kolejne odrzucenie, bo podskórnie czułam, że obaj, bez żadnej ingerencji rozżalonych kobiet, będą w stanie wypracować własne porozumienie. I tak się stało. A potem Mikołaj dopuścił mnie tak blisko, że zobaczyłam w nim człowieka, jakim naprawdę jest. Jakim chciałby być i jakim pragnąłby być przyjęty przez tych, którzy się przed nim pozamykali. Dochodząc do domu moich teściów, uświadomiłam sobie, że nic w życiu nie jest jednoznaczne, a to, co z pozoru wydaje się oczywiste, zupełnie takie nie jest. Ale by się o tym przekonać, trzeba to poznać, nie osądzając przedwcześnie.

Na widok znajomego samochodu zaparkowanego przed Doktorówką moje serce podskoczyło radośnie. Otworzyłam furtkę

i wbiegłam do domu, wpadając prosto w ramiona stęsknionego męża.

\*\*\*

To był pierwszy od Wielkanocy rodzinny posiłek, do którego usiedliśmy wszyscy razem. Joanna nakryła świątecznie stół w salonie, a ja ozdobiłam go wiosennymi kwiatami. W ten sposób obie chciałyśmy podkreślić, że codzienność można celebrować i że nie należy tego rezerwować wyłącznie dla świąt, bo przecież życie jest tak nieprzewidywalne, że nigdy nie wiemy, jak wiele tej odświętności nam pozostało.

– Ależ się ludzi najechało do Kazimierza, na Rynku trudno się przecisnąć. – Bożena rozłożyła kolorowe serwetki, kwiatowym motywem podkreślając urodę majowej kolacji.

– Kazimierz kusi i dopiero się wybudza po zimie. – Paweł popatrzył na mnie zachłannie, obejmując wzrokiem wszystkie moje wypukłości. – Ślicznie wyglądasz, Zosiu. Opaliłaś się.

– Zosia dużo czasu spędza poza domem. – Uwaga Bożeny, rzucona niby mimochodem, zelektryzowała Pawła.

– Spacerujesz po okolicach?

Skinęłam głową, wściekła na samą siebie, że się rumienię, jakbym miała coś do ukrycia.

– To dobrze. Potrzebujesz teraz dużo świeżego powietrza i ruchu. Mam tylko nadzieję, że nie przesadzasz z odległościami i właściwie się odżywasz.

– Pawełku, proszę, wyłącz choć na jeden dzień tryb lekarza. Stęskniłam się za mężem, nie za medycznymi poradami. – Usiadłam przy stole, tuż obok mojego mężczyzny, który uśmiechnął się przepraszająco.

– Musisz, kochanie, zrozumieć, że zostanie ojcem w moim wieku to duża odpowiedzialność. Stresuję się i staram troszczyć o was najlepiej, jak potrafię.

– Najlepszą decyzją, jaką podjąłeś, było przywiezienie Zosi tutaj. – Joanna postawiła na stole sałatkę, robiąc jeszcze miejsce na wniesione przez Jana faszerowane jajka. – Siadajcie, kochani, herbata będzie za chwilę. Wstawiłam dopiero wodę. A gdzie jest Bartek? – Moja teściowa rozejrzała się w poszukiwaniu wnuka. Zajęta mężem i synem, nie zauważyła nieobecności chłopca.

– Zaraz przyjdzie, rozmawia przez telefon – odpowiedziała chłodno Bożenka, nie patrząc ani na mnie, ani na Pawła.

– Tak się cieszę, Pawełku, że zostaniesz na kilka dni. Odpoczniesz. Zwolnisz.

– Przypomnisz sobie, jak wyglądają domowe posiłki – dodałam, dotykając dłoni Pawła. Potrzebowałam bliskości i dotyku. Przy całym uroku Kazimierza nieobecność męża doskwierała mi najbardziej.

– Jeśli będą mi służyć tak jak tobie, po powrocie do Warszawy nie zmieszczę się w swój lekarski fartuch. – Paweł puścił do mnie oko, na co Joanna pogroziła mu palcem.

– Nie dokuczaj Zosi. I tak uważam, że za mało przytyła jak na piąty miesiąc ciąży.

– Też tak sędzę – wtrącił się do rozmowy milczący dotąd Jan. – Zosia teraz o wiele bardziej mi się podoba niż dwa miesiące temu, jak ją tutaj przywiozłeś. Z tymi zaokrągleniami i wypukłościami bardziej jej do twarzy.

Na zewnątrz wszystko było w porządku. Wydawaliśmy się szczęśliwą rodziną, która przy wspólnym posiłku wymieniała się radościami minionych dni. Ale to były tylko pozory.

Jan, mimo że od czasu do czasu wtrącał jakieś zdanie, często nawet zabawne, w przeciągu kilku tygodni zapadł się w siebie i wciąż był myślami nieobecny. Nie kłócili się już z Joanną, a przynajmniej ja tego nie słyszałam, ale wciąż było im do siebie daleko. Brakowało między nimi tej więzi, która tak mnie ujęła na początku mojego tu pobytu. Rozeszli się zbyt daleko i nie potrafili spotkać się w pół drogi, bo każde z nich było przekonane o słuszności swojej decyzji. Joanna też straciła energię, która dotąd pomagała jej zaplanować i wypełnić każdy dzień, bez względu na pogodę czy samopoczucie. I chociaż przy Pawle starała się sprawiać wrażenie silnej i pogodnej, wiedziałam, że tak naprawdę

jest bardzo krucha i że doszła do pewnej granicy, której przekroczenie groziło pęknięciem i rozsypaniem się na kawałki.

Chłód Bożeny wyczuwał nawet Paweł. Miała do mnie żal i nawet nie starała się tego ukrywać. Bartek zaczął się buntować, a Bożena nie potrafiła go ani spokojnie wysłuchać, ani wytłumaczyć, dlaczego obawia się tych spotkań z ojcem i z jakiego powodu zabroniła mu wszelkich kontaktów z Mikołajem, choć Bartek i tak łamał te zakazy, dzwoniąc do niego i skarżąc się na matkę.

Nawet Nela posmutniała. Leżała przy krześle Jana i nasłuchiwała z wysoko postawionymi uszami, gotowa towarzyszyć panu, kiedy tylko niespodziewanie wstanie i będzie chciał wyjść. Bo Jan często ostatnio wychodził. Długie spacerunki z psem pomagały mu w układaniu tego wszystkiego, co działo się w Doktorówce i w nim samym.

Zastanawiałam się, czy Paweł to dostrzega. Czy ma świadomość, ile złych emocji zebrało się przy tym stole i jak niewiele potrzeba, aby, uwolnione, wybuchły, popychając jego bliskich do tego, aby stanęli przeciwko sobie.

– Nie grzeb w tym talerzu i nie rozglądaj się na boki, tylko skup się na jedzeniu. – Ostry głos Bożeny strofującej Bartka był jak zgrzyt noża po metalu.

– Nie będę tego jadł, bo nie lubię warzyw!

– Będziesz jadł warzywa, bo są zdrowe. Przestań marudzić i weź się w końcu za jedzenie.

– Nie rozkazuj mi!

– Hej, kolego! – Głośniejszy niż zwykle ton głosu Pawła ostudził młodego buntownika, ratując nas wszystkich przed dylematem, po czyjej stronie stanąć: Bartka czy Bożeny. – Nie odzywaj się tak do mamy, bo Rybiccy tak się nie zachowują. Jeśli nie chcesz jeść tej sałatki, to ją po prostu zostaw.

– Czy mógłbym już pójść do swojego pokoju?

Paweł podniósł wysoko brwi, udając, że patrzy na Bartka ze zdziwieniem.

– A ja myślałem, że chociaż trochę stęskniłeś się za wujem.

– Stęskniłem... – Bartek spuścił głowę i zaczął machać nogami pod stołem.



– To posiedź jeszcze z nami chwileczkę, okej? Chciałbym cię gdzieś zaprosić.

– Zaprosisz mnie na lody? – Buzia chłopca od razu się wypogodziła, popatrzył na Pawła z ożywieniem.

– Obiecuję, że na lody też cię zabiorę, ale najpierw chciałbym zaprosić was wszystkich, kochani, na imieninowy obiad Zosi.

Spojrzałam na mojego męża z zaskoczeniem, a on uśmiechnął się do mnie jak chłopiec, który coś zbroił.

– Nie będę mógł przyjechać piętnastego maja, a bardzo chciałbym, abyśmy wspólnie świętowali twoje imieniny, kochanie, dlatego zarezerwowałam stolik na niedzielę w Dwóch Księżycach i w imieniu Zosi i swoim serdecznie was tam zapraszam.

– Udało ci się zarezerwować stolik? – Joanna pokręciła głową z uznaniem. – Jak tego dokonałeś? Słyszałam, że Aleksander ma takie obłożenie, że szpilki nie da się wcisnąć.

– Mam swoje sposoby, mamo. – Paweł podniósł do góry lampkę z czerwonym winem i popatrzył na zebranych przy rodzinnym stole. – Za to spotkanie.

Wszyscy, z wyjątkiem mnie i Bartka, unieśli kieliszki, kończąc posiłek wytrawnym smakiem alkoholu. Miał rozluźnić i pomóc w trawieniu, a jednak sprowokował. Nie wiem, czy po prostu Bożena wypijała go w czasie kolacji zbyt dużo, czy też z kieliszkiem w dłoni poczuła się na tyle pewnie, aby poszukać w Pawle sprzymierzeńca. Jej słowa, rzucone niby przypadkiem, zawisły nad stołem, a atmosfera w pokoju zgęstniała:

– Powinieneś jeszcze zapytać Zosię o listę gości. Być może będzie chciała zaprosić na ten obiad kogoś ze swoich bardzo bliskich znajomych. – Ostatnie trzy słowa zaakcentowała w taki sposób, że Paweł popatrzył na mnie z lekkim zaskoczeniem, jeszcze uśmiechając się do mnie, ale z pytaniem w oczach.

– Zaprzyjaźniłaś się z kimś tutaj, Zosiu? Bo chyba Bożenka nie mówi o Kindze, prawda?

Bożena roześmiała się i odstawiła kieliszek tak niezręcznie, że zaczepił nóżką o talerzyk, wydając głośny brzęk. Joanna drgnęła, a Jan siedział nieporuszony, wpatrując się w czerwony płyn, rozkołysany

w trzymanej w dłoniach lampce.

– Mówię o Mikołaju, Pawełku. Zosia spędza z nim ostatnio bardzo dużo czasu. Ładnie się opaliła na wspólnych spacerach, prawda? Szkoda tylko, że zapomniała nam o tym wspomnieć. Ty też nie wiedziałeś, prawda?

Twarz Pawła stężała, a szarość w oczach zrobiła się stalowa. Nagle zabrakło w nich czułości, poczułam tylko chłód.

– Czy to prawda?

– Nie wiem, o jaką prawdę ci chodzi – odpowiedziałam spokojnie.

– Czy to prawda, że spotykasz się z Mikołajem? – powtórzył Paweł, patrząc na mnie badawczo.

– „Spotykać się” to słowo, które ma wiele znaczeń, a ty, mam wrażenie, przypisujesz mu w tym kontekście to niewłaściwe. – Starłam się bardzo, aby to, co mówię, nie brzmiało jak usprawiedliwienie, bo zupełnie nie czułam się winna. Nie zrobiłam niczego złego i chciałam, żeby Paweł i Bożena to zrozumieli, nie oceniając mnie przez pryzmat swoich doświadczeń i zranień. – Poznałam Mikołaja. Kazimierz nie jest dużym miastem, więc często na siebie wpadaliśmy. Pozwoliłam mu spędzić trochę czasu z Bartkiem, bo w końcu jest jego ojcem.

– Ojcem? – Bożenka prychnęła, ale Paweł spojrzał na nią prosząco, więc umilkła, sięgając tylko po kieliszek.

– Nie spotykam się z nim potajemnie i niczego przed tobą nie ukrywam. Na litość boską, Paweł, to jest twój brat. Jest częścią rodziny, dlaczego więc miałabym go ignorować?

– Zosiu, nie znasz Mikołaja i nie wiesz...

Nie mogłam tego słuchać. Wstałam od stołu, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że przestraszona Nela zerwała się z ujadaniem.

– A może to wy go nie znacie? Czy ktoś z was wysłuchał go tak po prostu, jak człowieka, i bez uprzedzeń? Czy kiedykolwiek starałeś się go zrozumieć? – zwróciłam się do Pawła. – Czy wiedziałeś, jak bardzo cię podziwiał i jak chciał ci dorównać, bo byłeś jego starszym bratem? Czy rozmawiałeś z nim kiedykolwiek szczerze, bez tego poczucia wyższości i nieustannego pouczenia go, aby w końcu dorósł? Wiem, że popełnił wiele błędów i on też o tym wie. Ale wy nawet nie chcecie dać mu szansy, aby udowodnił wam, jak bardzo tego żałuje. Osądziliście go, bo

tak jest po prostu wygodniej. Nie ma Mikołaja, nie ma problemów. Ale on jest. I pozostanie częścią tej rodziny. Tego nie zmienicie.

Wyszłam z pokoju, nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź i nie oglądając się za siebie. Tuż za mną wybiegł Bartek. Usłyszałam odgłos małych, szybkich kroków i jego zawołanie:

– Ciociu!

Przystanęłam i odwróciłam się w jego stronę. Chłopiec podbiegł do mnie i mocno się we mnie wtulił. Ciepło dziecięcego ciała wywołało we mnie taką czułość, że hamowane łzy dopiero teraz popłynęły. Bartek podniósł głowę i popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Dlaczego płaczesz?

– Bo bardzo cię kocham – wyszeptałam.

– Jesteś taka sama, jak ciocia Julia, wiesz? Ona też tak mówiła, kiedy płakała.

Jak ciężko musiało ci być, Julio, ze świadomością, że kochasz mężczyznę, którego dziecka nie jesteś w stanie skrzywdzić.

Patrzyłaś na nich obu, na ojca i syna, wiedząc, że jakiegokolwiek wyboru dokonasz, i tak ktoś ucierpi. Miłość to nie bezbolesny zabieg, to raczej operacja na otwartym sercu, i do tego bez znieczulenia. Gdzie w tym wszystkim był Paweł? Wybrałaś po prostu mniejsze zło, a może naprawdę go kochałaś? I czy można kochać dwóch mężczyzn równocześnie? I do tego dwóch braci...

– Mama też płacze. Często. Ale nie chce mi powiedzieć, dlaczego.

– Kobiety tak już mają. Płaczą, kiedy kochają.

Bartek wzruszył ramionami.

– Nigdy nie zrozumie kobiet.

– Nawet nie próbuj. – Uśmiechnęłam się, po czym pocałowałam go w czubek głowy i otarłam łzy.

– Pogadam z wujkiem Pawłem, żeby nie był na ciebie zły. I żeby nie był zły na tatę.

Skinęłam poważnie głową.

– Myślę, że to dobry pomysł. Powinien to od ciebie usłyszeć.

Pocałowałam go raz jeszcze, a potem ruszyłam w stronę schodów. Byłam już na drugim stopniu, gdy zatrzymało mnie wołanie chłopca.

– Ciociu! – Odwróciłam się powoli i usłyszałam słowa, które może

podyktować tylko szczerą dziecięcą serca: – Ja też cię bardzo kocham!

\*\*\*

Przewracałam się z boku na bok, nie mogąc spać. Byłam wyczerpana wydarzeniami dzisiejszego wieczoru, ale jednocześnie wypełniona tak skrajnymi emocjami, że w żaden sposób nie potrafiłam się wyciszyć. Nie pomogła nawet melisa, którą zaparzyła dla mnie Joanna.

Martwiłam się o Pawła. Bałam się, aby nie zrobił czegoś głupiego. Nie przyszedł do mnie na górę po kolacji. Niepokoiły mnie dobiegające z dołu podniesione głosy, płacz Bartka i krzyki Bożeny. Słyszałam Jana i Joannę, która z anielską cierpliwością starała się łagodzić napięcia i wyładowania. A potem trzasnęły drzwi. Najpierw jedno, od pokoju Bożeny, a potem te wejściowe, i wszystko umilkło. Wiedziałam, że Paweł wyszedł i szybko nie wróci.

Leżałam więc i w ciemności nasłuchiwałam odgłosów starego domu. Doktorówka nie spała, podobnie jak większość jej mieszkańców. Słyszałam stukające o drewnianą podłogę pazurki łap Neli i ciężkie kroki Jana. Przez moment wydawało mi się, że słyszę również szloch, krótki, jakby zdławiony. Zza okna, znad Wisły, doleciał krzyk przestraszonego ptaka, który był jak złowieszczą przepowiednia, której spełnienia się obawiałam. Odrzuciłam kołdrę i spojrzałam na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Pawła nadal nie było, a brzęczenie psiej kolczatki i stuk drzwi frontowych uświadomiły mi, że Jan również wyszedł.

Narzuciłam na siebie szlafrok i wymknęłam się z pokoju, kierując się w stronę sypialni teściów. Zapukałam cicho, mając nadzieję, że jeśli Joanna śpi, to jej nie obudzę.

– Proszę. – Cichy głos mojej teściowej odezwał się natychmiast. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Światło nocnej lampki przytulnie ociepłało wnętrze. Twarz Joanny

ginęła w półmroku, ale wiedziałam, że ona też nie zmrużyła tej nocy oka.

– Co się stało, Zosiu? – Dawno już w głosie żadnej kobiety nie słyszałam tyle czułości, ile wybrzmiało w głosie Joanny. Poczulałam wzruszenie. Podeszłam bliżej i przysiadłam na kołdrze, podkulając pod siebie stopy.

– Pawła jeszcze nie ma. Martwię się.

Joanna przysunęła się bliżej mnie i ciepłą dłonią pogładziła mój policzek.

– Musiał odreagować. Za dużo emocji i wspomnień go dzisiaj dopadło. Nie martw się, Zosiu. On tu zna każdą ścieżkę i jest zbyt rozsądny, aby zrobić jakieś głupstwo. Janek poszedł go poszukać. Są do siebie bardzo podobni, więc pewnie go znajdzie.

– Mikołaj opowiedział mi o Julii. – Zaczęłam cicho, wiedziałam jednak, że z Joanną mogę o tym porozmawiać. Już teraz tak. Zbyt wiele tajemnic zostało już odkrytych, aby o tym milczeć. – Teraz rozumiem Pawła, ale... – Zawahałam się przez chwilę. – Mikołaja też rozumiem, mamo.

Joanna westchnęła, odsunęła się i oparła plecami o wezglowie łóżka.

– Długo o niczym nie wiedziałam, a sygnały, które ostrzegawczo docierały do mojej świadomości, lekceważyłam. Cieszyłam się, że mają ze sobą dobry kontakt, że się przyjaźnią. Paweł dużo pracował, a Julia pokochała Doktorówkę i Kazimierz, i lubiła tu być. Byli młodzi, każde z nich miało swoją pracę i pasję. Nie widziałam w tym niczego niepokojącego. Przyjęłam Julię jak córkę i cieszyłam się, że woli przebywać tutaj niż w Lublinie. Było w niej tyle radości i wdzięku... – Joanna patrzyła gdzieś w przestrzeń poza mną, a ja wiedziałam, że w tej chwili jesteśmy tu, w tej sypialni, we trzy: Joanna, ja i Julia. – Nie można było nie kochać Julii. Miała w sobie coś takiego, co sprawiało, że chciało się z nią być, patrzeć na nią, rozmawiać. Nawet złościć się na nią nie umiałam. Widziałam, jak ze sobą walczy i jak chroni Pawła. Ona też tego nie planowała. Uciekała tak długo, jak się dało, aż w końcu nie miała już na to siły.

– Kiedy Paweł się o tym dowiedział? – Moje gardło było ściśnięte

wzruszeniem. Nie umiałam pozostać obojętna wobec sprawy, która tak mocno dotknęła mojego męża.

– Najpóźniej z nas wszystkich. Nawet Bożena domyśliła się dużo wcześniej, ale kobiety zawsze widzą więcej niż mężczyźni. Myślę, że Julia sama mu powiedziała. Nie umiała już z tym żyć, a po śmierci Kacpra zupełnie się załamała. Doświadczyła takiego bólu, na jaki Paweł nie umiał już znaleźć lekarstwa. Nikt nie umiał. Nawet Mikołaj.

– Dopóki Paweł nie wybaczy Mikołajowi, nie zaleczy rany, którą nosi w sobie – szepnęłam.

Joanna pokiwała głową.

– Wiem o tym, Zosiu. I sędzę, że Paweł też to rozumie, tylko wiesz, męska duma cierpi o wiele dłużej niż serce. Nie na darmo mówi się, że czas jest najlepszym lekarstwem. Potrzeba czasu, Zosiu. Niektórzy potrzebują go dużo więcej niż inni.

– Mogę się przy tobie położyć? – spytałam, wiedząc, że jak wrócę do pokoju, to i tak nie zasnę. Potrzebowałam ciepła i czyjejś obecności. Potrzebowałam Joanny, bo sama kompletnie się w tym wszystkim pogubiłam.

– Oczywiście, kochanie. – Joanna przesunęła się i zrobiła mi miejsce obok siebie, na swojej połowie małżeńskiego łóżka. – Chodź tutaj.

Wsunęłam się pod kołdrę i zwinęłam w kłębek, leżąc na boku, twarzą do teściowej.

– Śpij, kochanie, i o nic się nie martw. Zobaczysz, że wszystko się jakoś ułoży. Razem przez to przejdziemy. Jak rodzina.

Dłoń Joanny na moim czole i włosach sprowadziła wspomnienia, które pielęgnowałam z lękiem, że już nie powrócą. Choć było to dawno temu, wciąż pamiętam dotyk mojej mamy i jej zaklęcia szeptane do mojego ucha, gdy nocne potwory nie pozwalały mi zasnąć. Te najcenniejsze chwile pochowane tam, gdzie nikt oprócz mnie nie miał dostępu. Świadomość, że ktoś kochał mnie bezwarunkowo, bez względu na to, jaka jestem i co zrobiłam. Dłoń Joanny przesłała mi sygnały, które odebrałam z wdzięcznością. Wtulona w nią, zasnęłam.

\*\*\*

*Od razu zauważył, że Julia była jakaś inna. Promieniowała i było w niej światło, którego wcześniej nie dostrzegał. Dotrzymał obietnicy i dał jej czas, jakiego potrzebowała. Nie dzwonił i nie naciskał. Czekał na Boże Narodzenie, bo wiedział, że wtedy przyjedzie. Czekał na Julię, bo uwierzył, że przyjedzie do niego. I że tak już zostanie.*

*Swoją obecnością Julia dopełniła świąteczną atmosferę. Przy niej nawet choinka wypiękniała, a salon ocieplił się nie tylko kominkowym ogniem. Zastawiony potrawami stół czekał na domowników i na tych, którzy mogą zabłądzić i zapukać do drzwi Doktorówki. W betlejemskiej stajence rodził się Bóg, przynosząc człowiekowi swoją bezbronną miłość, a w sercu Mikołaja rodziła się nadzieja. Noc, która była początkiem wszystkiego i która w swojej łagodności miała moc przemienić to, co po ludzku niemożliwe, naprawić błędy, których sam człowiek wybaczyć nie potrafił, uleczyć otwarte i niezabliźnione rany, i która dawała światu szansę na odkupienie, dla Mikołaja miała stać się najtrudniejszą w życiu nocą.*

*– Pozwólcie, że jeszcze przed życzeniami podzielimy się z wami czymś, o czym sami dopiero co się dowiedzieliśmy. – Głos Pawła wibrował szczęściem i już to zaniepokoiło Mikołaja. W żadnym swoim scenariuszu nie spodziewał się jednak słów, które padły: – Mamo, tato, będziecie dziadkami. Julia i ja spodziewamy się dziecka.*

*Joanna przyłożyła dłoń do ust, poruszona do łez, które pojawiły się tak nagle, jak ta nowina. Jan poklepał Pawła po plecach, a Julię mocno przytulił. Mikołaj natomiast, rzuciwszy krótkie „przepraszam”, wyszedł z pokoju, w którym nagle zrobiło się dla niego za ciasno. Mroźne, grudniowe powietrze szczypało policzki i owiewało nieosłoniętą szyję. Dłoń, w której żarzył się czerwony ogień papierosa, drżała, a Mikołaj nie potrafił nad nią zapanować. Myśli niczym wściekłe psy kłębiły się w głowie mężczyzny, jedna nastawała na drugą, ścierając się w walce, jaką Mikołaj toczył sam ze sobą. Nie pamiętał, jak długo stał na zimnie, wpatrzony tępo w jeden punkt. Surowy głos Jana przywrócił go do*

*rzeczywistości:*

*– Nie wiedziałem, że palisz.*

*– Nie palę. – Mikołaj wzruszył ramionami, zgasił papierosa i wyrzucił zgniecionego peta do ogrodu, udając, że nie widzi skrzywionej miny ojca. – Czasem tylko popalam.*

*– Czekamy na ciebie z wieczerzą.*

*– Już idę. – Przetarł dłonią twarz, próbując zebrać siłę i odwagę, by wrócić do pokoju, w którym nie potrafił odnaleźć dla siebie miejsca.*

*– Bez względu na to, co cię tu przygnało, nie zepsuj Pawłowi tego dnia. Zaslugują na to, aby być szczęśliwi, a dziecko to błogosławieństwo.*

*– Przecież mu tego nie zazdrościsz. Nie spieszy mi się do pieluch i nocnych wrzasków.*

*– Właśnie widzę. – Jan pokręcił głową i spojrzał na syna uważnie.*

*Mikołaj poczuł dreszcz. Dlaczego ojciec patrzył na niego tak, jakby umiał przenikać myśli?*

*– Pora dorosnąć, synu, i wziąć odpowiedzialność za swoje życie. Nie jesteś już chłopcem.*

*– Dziwne, bo tak właśnie cały czas mnie traktujesz – odburknął, wkładając ręce do kieszeni i wymijając ojca w drzwiach.*

*Nie pamiętał, jak wytrwał przy wigilijnym stole, czujnie obserwowany przez Joannę. Odpowiadał półsłówkami, udał radość z prezentów, a potem wymówił się bólem głowy i zniknął w swoim pokoju. Leżał, wpatrzony w sufit, na którym próbował znaleźć odpowiedź na dręczące go pytanie: „Dlaczego ona to zrobiła?”. Oprócz zacieków i zebranej w kącie pajęczyny nie odkrył tam niczego, co przybliżyłoby go do odpowiedzi.*

*Zza drzwi słyszał odgłosy szykujących się do pasterki domowników. Joanna zajrzała nawet do jego pokoju z pytaniem, czy nie chce iść z nimi. Powiedział, że źle się czuje, i przez chwilę poczuł się jak dziecko zamknięte w kokonie bezpieczeństwa, gdy ciepła i troskliwa dłoń matki dotknęła jego czoła.*

*– Julia też zostaje. Zmęczyła ją długa wieczerza, a teraz szczególnie musi na siebie uważać.*

*Pokiwał głową, chcąc, aby matka wyszła już i zostawiła go samego. Potrzebował samotności, aby uciszyć ten wewnętrzny wulkan emocji.*



*Kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi, początkowo je zignorował. Julia jednak była równie uparta, jak on, i weszła bez zaproszenia.*

*– Nie planowałam tego, Mikołaj. Dowiedziałam się dwa dni temu. Dla mnie było to takie samo zaskoczenie, jak dla ciebie.*

*– Ciekawe – odparł drwiąco, nawet nie podnosząc się z łóżka. – Nie wiedziałaś, skąd się biorą dzieci?*

*– Nie rozmawiaj tak ze mną.*

*– A jak mam z tobą rozmawiać? – Podniósł się, zbliżając twarz do twarzy Julii. – Mam ci powinszować i cieszyć się waszym szczęściem? Nie potrafię, Julka. To jakiś obłęd!*

*Poczuł dłonie Julii na swoich policzkach i jej ciepły oddech na skórze.*

*– Posłuchaj mnie, Mikołaj, nie planowałam tego, ale tak widocznie miało być. To dziecko to szansa dla mnie i dla Pawła. To znak... Nie potrafiłabym go skrzywdzić, rozumiesz? Nie potrafiłabym... – Ręce Julii opadły, spuściła głowę. Z jej oczu popłynęły łzy. Kilka z nich zatrzymało się na dłoni Mikołaja.*

*– Nie umiem bez ciebie żyć, Julka. Nie mogę znieść myśli, że on cię dotyka, że...*

*– Ciii... – Położyła mu palec na ustach. – Nie mów nic, czego potem będziemy żałować.*

*– Nie uszczęśliwisz samej siebie na siłę. Jego też nie.*

*– Wyjedź gdzieś, Mikołaj. Wyjedź, poznaj kogoś, ożeń się. Zapomnij.*

*Mikołaj roześmiał się ironicznie.*

*– Zapomnieć o tobie? Niby jak? I na jak długo?*

*– Na zawsze... – szepnęła Julia, ale Mikołaj pokręcił głową.*

*– Nigdy, Julka, rozumiesz? Nigdy!*

*Ta wigilijna noc nie przyniosła sercu Mikołaja ani pojednania, ani nadziei. Po świętach podjął decyzję o powrocie do Stanów, ale nie zdążył wyjechać, bo dwa miesiące później Julia straciła dziecko, a w marcu Bożena zawiadomiła go, że jest w ciąży.*

\*\*\*

– Co ty, kurwa, mówisz? – Zaciskał pięści, zbyt wściekły, by spojrzeć na stojącą tuż przed nim Bożenkę, obejmującą się ramionami zupełnie tak, jakby samą siebie chciała przytulić lub oddzielić się od złości Mikołaja, której nawet nie starał się ukryć.

– Jestem w ciąży. Spodziewam się dziecka. Twojego dziecka, Mikołaj.

– Przecież to jakiś absurd! Zawsze mówiłaś, że jest bezpiecznie. Kurwa. Znasz się na tym, studiujesz farmację, więc skąd ta ciąża?

– Pamiętasz święta i sylwestra? Nie wiem, co wtedy w ciebie wstąpiło. Ostrzegałam cię, ale ty zupełnie mnie nie słuchałeś. Chciałeś tylko jednego. Miałam wrażenie, że potrzebujesz tylko dziwki, nie mnie, a ze mną było taniej, tak?

– Zamknij się! – Mikołaj splunął na bok i wbił zaciśnięte pięści w kieszenie spodni. – Wrobiłaś mnie i teraz oczekujesz, że się z tobą ożenię? I że będziemy żyli długo i szczęśliwie?

Piekące łzy przestłoniły oczy Bożeny. Przelknęła je i dumnie uniosła głowę.

– Niczego od ciebie nie chcę, Mikołaj. Chciałam tylko, żebyś wiedział. Niczego od ciebie nie potrzebuję i nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Zniknij z mojego życia. Nie wiem, jak mogłam cię kochać i wierzyć, że może nam się udać... – Odwróciła się i odeszła, prostując plecy. Nie chciała mu pokazać, że zabiera ze sobą cały wstyd, przerażenie i brak jakiegokolwiek nadziei na to, że przyszłość przyniesie coś dobrego. W tej chwili świat Bożenki zupełnie się zawalił, a ona kompletnie nie miała pojęcia, na jakich fundamentach go odbudować.

\*\*\*

Paweł przespał prawie cały dzień. Nie wiem, o której i w jakim stanie wrócił, gdzie Jan go znalazł. Nie pytałam, bo nie chciałam

wiedzieć. Spędziłam ten dzień z Joanną, dając się zaopiekować sobą jak małą dziewczynką. Chłonełam bliskość kobiety, która w pewnym sensie stała się moją mamą, przyjmując do swojej rodziny jak córkę.

W ciągu tego jednego dnia Joanna podarowała mi to, czego zabrakło mi w latach dorastania. Chichotałyśmy jak dwie nastolatki, rozmawiając o mężczyznach naszego życia i wspominając różne zabawne zdarzenia. Opowiedziałam Joannie o mojej mamie i babci i o tym, jak wiele we mnie zostawiły, choć obie odeszły dawno temu. Zwierzyłam się jej również z poczucia pustki i odrzucenia, które czułam w domu Alicji, i z przyjaźni z Kingą, która mimo odmiennego charakteru była mi bliższa niż Weronika czy Iza.

W towarzystwie Joanny herbata „Dziwisza” smakowała intensywniej, a wielki kawałek tortu bezowego zupełnie nie zaspokoił apetytu mojej Kruszynki, poprawiłyśmy to więc najlepszymi w tej okolicy lodami Pawłowskiego w Nałęczowie, dokąd moja teściowa zabrała mnie, bym pooddychała powietrzem tamtejszego uzdrowiska.

– W tym parku spędziłam najszcześniejsze chwile swojego życia. – Joanna uśmiechnęła się do drzew, które, wystrojone przez wiosnę, z dumą prezentowały koronkowe sukienki. – Janek zabierał mnie tutaj na lody i niedzielne spacerki, a chłopcy zawsze uganiali się za łabędziami i kaczkami, jakby tych nadwiślańskich było im mało. Któregoś dnia Mikołaj chciał nawet przemycić ze sobą kacze pisklę, które ukrył pod kurtką, łobuz jeden. Nieustannie szukał kłopotów. – Joanna rozejrzała się dookoła, jakby w tym nałęczowskim Parku Zdrojowym chciała odnaleźć cienie przeszłości.

– Życie wtedy było takie proste, choć czasami wydawało się, że jest zupełnie inaczej...

To był magiczny dzień. Z jednej strony pełno było w nim nostalgii, z drugiej podarował mi i Joannie coś wyjątkowego, więź dwóch kobiecych serce, kochających podobnie.

Obiad zjadłyśmy w „Ewelinie”. To było jedno z tych miejsc, w których poczułam się jakby przeniesiona do innej epoki. Stara Willa pod Matką Boską pamiętała czasy, kiedy odpoczywał i tworzył w niej Bolesław Prus, a klimat kawiarni i restauracji sprawiał, że przed oczami stawały lata, kiedy zimy były srogie i śnieżne, a latem panie

w eleganckich sukienkach spacerowały po Parku Zdrojowym, białymi koronkowymi parasolkami osłaniając się przed ostrym słońcem. Tutejsza kuchnia była równie doskonała, co kuszące wypieki poustawiane za szklaną gablotą. Bezowe ciasta malinowe, serniki pod kolorową galaretką, kremówki i wuzetki, wysokie torty i tutejsza specjalność – delicja nałęczowska – sprawiały, że moja Kruszyńka była równie podekscytowana, jak ja. I podobnie jak ja nie mogła się zdecydować, które z ciast zamówić na deser.

– Jak tak dalej pójdzie, pod koniec ciąży będę wyglądać jak słoń – mruknęłam, delektując się bezową pianką na malinowym cieście, na którą się skusiłam, bo spodobały mi się jej pastelowe kolory.

– Przy dziecku szybko zrzucisz. Sama wiesz, że maluchy to wulkany energii, które tyle samo oczekują od nas.

Pokiwałam głową, opierając się leniwie o oparcie krzesła. Przez okno widziałam ogród wypełniony ludźmi. Wszystkie stoliki były zajęte, a między nimi przelatywały zaciekawione wróble, szukające okruchów. Ogrodowa fontanna przyciągała dzieci, rozkrzyczane i roześmiane, zapraszając do zabawy rozpryskującą się wodą, a bratki i begonie na rabatkach unosiły główki w stronę słońca, grzejąc się w ciepłe majowych promieni.

I wtedy to poczułam. Ten niemalże niedostrzegalny ruch, jakby muśnięcie motyli skrzydeł, a potem ich trzepot w środku mnie. To było tak niesamowite, że nie byłam w stanie nawet się poruszyć. Przyłożyłam dłoń do brzucha, a na moich ustach pojawił się uśmiech szczęścia, który nie umknął uwadze Joanny.

– Poruszyła się, mamó – wyszeptalam, chcąc zatrzymać tę chwilę na zawsze. – Moja córeczka się poruszyła.

\*\*\*

– *Pakujesz się?* – *Joanna weszła do pokoju Mikołaja i uniosła brwi w geście zdziwienia na widok panującego tam nieładu. Powyciągane z szafy ubrania zakryły niemal całe łóżko, na niewielkim stole rozsypane*

były płyty CD, które Mikołaj uwielbiał, a na środku pokoju stała otwarta walizka, do której próbował zmieścić kawałek swojego świata.

– Wyjeżdżam. Przecież sami z ojcem ostatnio mówiliście, że powinienem w końcu dorosnąć, usamodzielnic się i wziąć odpowiedzialność za swoje życie. Myślę, że to jest właśnie ten czas.

– A co z odpowiedzialnością za życie innych? – spytała zimno Joanna, zrzucając część rzeczy z kanapy na podłogę i siadając, by uspokoić przyśpieszony oddech.

– Dlaczego miałbym niby brać odpowiedzialność za życie kogoś innego? Na szczęście nie mam jeszcze żadnych życiowych zobowiązań. – Grał twardziela, choć kiepsko mu to wychodziło.

– Owszem, masz. Jesteś odpowiedzialny za Bożenę i jej dziecko. Nigdy wcześniej matka nie rozmawiała z nim tak zimnym tonem. Samo spojrzenie Joanny mroziło, przyprawiając Mikołaja o dreszcz.

– Już ci się poskarżyła? – spytał drwiąco, chcąc ukryć się pod tą maską nonszalancji i obojętności.

– Nie powiedziała ani słowa. Jest zbyt dumna. Za to stary Biernacki miał mnie i ojcu dużo do powiedzenia. I niestety, we wszystkim, co mówił, a uwierz mi, nie było to miłe, miał rację.

– Czego ode mnie oczekujesz? – Stał z założonymi na piersiach rękami i wpatrywał się w okno, nie mając odwagi spojrzeć na matkę.

– Tego, że zachowasz się jak na Rybickiego przystało. Trzy lata zawracasz tej dziewczynie w głowie. Nie zostawisz jej tak, Mikołaj. Oboje jesteście odpowiedzialni za dziecko, które poczęliście. To nie jest wyłącznie problem Bożeny.

– Ona nie chce mnie widzieć.

Joanna pokręciła głową.

– Jak ty jeszcze mało wiesz o kobietach – westchnęła. – Ona cię kocha.

Milczał stał z zaciętym wyrazem twarzy. Zmagał się sam ze sobą, czy odpowiedzieć Joannie, czy też zachować dla siebie to, co gwałtownym rytmem wyrzucało mu serce. Wybrał szczerłość.

– Ale ja jej nie kocham, mamo...

Wstała i podeszła do syna.

– Czasami miłość przychodzi dyskretnie i bez tego uniesienia,

*jakiego od niej oczekujemy. Czasami zwykła przyjaźń potrafi zrodzić coś tak delikatnego, a jednocześnie potężnego, że nawet narodziła z namiętności miłość nie może się z tym równać. Wiem, synku, że życie nie zawsze wychodzi nam tak, jak sobie to wymarzyliśmy czy zaplanowaliśmy, bo ono samo lubi kreślić swoje scenariusze. Ale w tym wszystkim musimy zachować naszą godność. Możesz przeżyć życie jak drań, ale ono wcześniej czy później ci to wypomni i wystawi rachunek. A wyrzutów sumienia żadną walutą nie spłacisz, uwierz mi, synku.*

*Przez chwilę miał ochotę odwrócić się, wtulić w matkę i jak mały chłopiec wyplakać się w jej ramionach, wyrzucając z siebie swój żal do losu, Pawła i Julii. Miał ochotę powiedzieć jej o wszystkim i szukać u niej zrozumienia i drogowskazu, bo czuł, że pobłądził. Wiedział jednak, że Joanna nie stanie po jego stronie i że w momencie, w którym powie jej prawdę, zrzuci na jej ramiona ciężar, który będzie dotkliwszy niż wszystko, z czym do tej pory matka się borykała. Stał więc, nieporuszony, czując ciepło Joanny za swoimi plecami i zdając sobie sprawę z tego, że przychodzi w życiu człowieka taki moment, kiedy nie ma się już odwagi szukać wsparcia u bliskich, wiedząc, jak bardzo się ich zraniło.*

*– Bożenka to dobra dziewczyna. Ona cię naprawdę kocha, Mikołaj. Kupisz najładniejszy pierścionek i największy bukiet kwiatów, jaki znajdziesz w Kazimierzu. W niedzielę pojedziemy do Biernackich i poprosisz ich o rękę Bożenki. A w czerwcu wyprawimy takie wesele, jakiego jeszcze w okolicy nie było. Nawet jeśli ludzie teraz gadają, po ślubie przestaną.*

*– Widzę, że zaplanowałaś mi całe życie – odezwał się przez ściśnięte gardło.*

*– Nie, Mikołaj. To nie ja ci zaplanowałam. Sam sobie to zrobiłeś. Musisz się nauczyć brać odpowiedzialność za wszystko, co robisz. Życie za każde najdrobniejsze zdarzenie żąda zapłaty. To właśnie jest cena.*

*– Wolność?*

*– Wolność za miłość.*

*Jego miłość miała okazać się niewolą. Mikołaj zachował się jak na Rybickiego przystało. Oświadczył się Bożence i zaakceptował fakt, że zostanie ojcem, choć zupełnie nie był na to gotowy. W ogóle nie był gotowy na życie, które w pewnym momencie po prostu go przerosło.*

\*\*\*

Ten niedzielny obiad przypominał raczej stypę niż rodzinne święto. Chociaż dzień był pogodny, wszyscy siedzieli przy stole z markotnymi minami, nie bardzo wiedząc, jaki temat podjąć, aby nie okazał się niewypałem. Dobrą minę do złej gry robiłyśmy w zasadzie tylko my dwie: Joanna i ja. Naładowane wczorajszego dnia dobrą energią, bardzo się starałyśmy, aby ta wspólna niedziela, rozpoczęta mszą w mojej intencji, zamówioną przez Pawła u ojców franciszkanów, choć w części przypominała świętowanie, bez względu na pęknięcia, jakie pojawiły się w naszej rodzinie. Cieszyłam się, że Paweł wybrał Dwa Księżyce. Na neutralnym gruncie ta zagadywana błahostkami cisza była jeszcze do zniesienia.

Położony przy kazimierskiej promenadzie wiślanej hotel Dwa Księżyce malowniczo wkomponował się w krajobraz, zachęcając szczegółami, o które dbano z największą precyzją. Pośród majowej zieleni, stojący na wprost baszty i ruin zamku skromny, a jednocześnie stylowy budynek nie straszył gości wylewającym się przepychem, zupełnie niepasującym do klimatu Kazimierza Dolnego. Wprost przeciwnie, zapraszał ciepłem, czystością i wypielęgowaną roślinnością, o którą dbano tutaj z równą starannością, jak o odpoczywających gości, czy to hotelu, czy restauracji.

Rozglądałam się dyskretnie po lokalu, w którym od progu poczułam przytulną i nastrojową atmosferę. O tutejszej kuchni, bliskiej doskonałości, dużo słyszałam, tak jak i o właścicielu, panu Aleksandrze Serwatce, z którym moi teściowie bardzo się przyjaźnili. Pan Aleksander wymyślił to miejsce, stawiając na marzenia. I w pewien sposób sam stał się czarodziejem, bo pobyt w Dwóch Księżycach czy choćby chwilowe pojawienie się w niecodziennej i naprawdę wyjątkowej restauracji, dla wielu było właśnie spełnieniem marzeń. Czym ten obiad miał być dla mnie, to miało się dopiero okazać. Ja też przygotowałam dla moich gości

małą niespodziankę i w nosie miałam to, czy się im spodoba, czy też nie. W końcu byliśmy tu po to, aby świętować moje imieniny i ten dzień powinien należeć do mnie.

– Pięknie tu – odezwałam się, wskazując na wnętrze restauracji.

– W zimie jest tu tak przytulnie, że nie chce się wychodzić. W kominku płonie ogień, Jurek Kuna, nasz franciszkański organista, gra na pianinie, a ty tylko siedzisz, małymi łykami popijasz rozgrzewającą herbatę lub zimową nalewkę i czujesz, że tak właśnie wygląda szczęście. O, o wilku mowa! – Joanna uśmiechnęła się szeroko do kłaniającego się jej i Janowi mężczyzny, którego rozpoznałam z kościółka na Plebance. Po chwili pianino przemówiło, a palce Jerzego przeniosły zasłuchanych gości w przestrzenie, za którymi każdy podświadomie tęsknił, wyświetlając w głowie swoje własne obrazy.

Spojrzałam na siedzącego na szczycie stołu Pawła. Jego twarz złagodniała, powieki miał przymknięte. W oczekiwaniu na kelnera, któremu dyskretnie szepnęłam, by przygotowano o jedną porcję więcej, Paweł próbował odnaleźć spokój po wydarzeniach ostatnich dni. Od piątkowej kolacji niewiele rozmawialiśmy. Paweł zaciął się w sobie. Nie patrząc mi w oczy, poprosił tylko, bym nie widywała się z Mikołajem i nie mieszała w życie Bożeny. Myślę, że ze względu na dzisiejszą uroczystość nie chciał poruszać trudnych tematów, wiedząc, że wymiana zdań mogłaby doprowadzić do kłótni, której żadne z nas nie chciało. Napięcie czuć było w powietrzu, ale obchodziliśmy je ostrożnie, czekając na właściwszy moment. W końcu przecież będziemy musieli porozmawiać i dotknąć spraw, które Paweł powpychał głęboko w szuflady zapomnienia. Nie wziął jednak pod uwagę tego, że nagromadziło się w nich tyle, iż nie dawały się zamknąć całkowicie, i że wcześniej czy później trzeba będzie zrobić w nich porządek, aby w końcu zacząć normalnie żyć.

Siedziałam tyłem do okna, zwrócona twarzą w stronę wnętrza lokalu. Obserwowałam z zaciekawieniem ludzkie twarze, wygładzone spokojnymi dźwiękami muzyki i niedzielnym zatrzymaniem z perspektywą kolejnego wolnego dnia przedłużonego weekendu. Przyglądałam się detalom dopełniającym to wnętrze, fotografiom poustawianym nad kominkiem, bibelotom dającym wrażenie popołudnia



spędzanego w ciepłe domowego salonu, koronkowym serwetkom, schludnym doniczkom na parapetach i świeżym kwiatom w wazonach. To miejsce zostało stworzone do celebrowania chwil i nie dziwiłam się, że restauracja była pełna i wszystkie stoliki, włącznie z tymi na zewnątrz, były dziś pozajmowane, a czas oczekiwania na obiad – wydłużony.

Blask świecy płonącej na stole odbił się w oczach siedzącej naprzeciwko mnie Bożeny. Dostrzegłam w nich zdziwienie i... coś jeszcze. Złość? Nadzieję? Tęsknotę? Wiedziałam, że nadszedł moment, gdy muszę zebrać siły, by zachować spokój, i zrobić wszystko, aby ten obiad stał się naprawdę rodzinnym świętowaniem.

– Dzień dobry. – W głosie Mikołaja nie pobrzmiwała charakterystyczna dla niego pewność siebie, ale nie było w niej też i lęku.

– Tata! – Bartek poderwał się od stołu i podbiegł do ojca, obejmując go w pasie.

– Cześć, smyku. – Mikołaj nachylił się i pocałował chłopca w czubek głowy tak naturalnie, jakby to robił codziennie od ośmiu lat. – Dzień dobry, mamó. Cześć, tato! Witaj, Zosiu. – Odsunął delikatnie Bartka i wyciągnął w moją stronę bukiet białych róż. – Wszystkiego najlepszego z okazji imienin.

– Co ty tutaj robisz? – Zimny ton głosu Pawła nie pozostawiał wątpliwości, że jego brat nie jest tu mile widziany.

– Jest moim gościem. Zaprosiłam Mikołaja. – Wstałam i z wdzięcznym uśmiechem przyjął od szwagra kwiaty, nastawiając policzek do pocałowania.

Paweł usiadł, choć jego zaciśnięta szczęka nie wróżyła niczego dobrego.

– A widzisz? Wspominałam ci o liście gości. – Bożena postanowiła zaznaczyć swoją obecność. – Trzeba było Zosię wcześniej o nią zapytać. Nie dziwiłabym się, gdyby za chwilę zjawiała się tu jeszcze Romka i Luiza.

– Romanę zapraszałam, ale taktownie się wymówiła, twierdząc, że to ma być uroczystość rodzinna. Z Luizą niewiele mnie łączy, więc zupełnie nie rozumiem twojej uwagi – zwróciłam się bezpośrednio do

Bożenki. – A Mikołaj należy do rodziny. Nikt z was chyba temu nie zaprzeczy. – Rozejrzałam się po zebranych, odnosząc wrażenie, jakbym zamiast kwiatów przyjęła właśnie bombę, wybuchu której wszyscy się obawiali.

– Mamo, właśnie pojawiły się konwalie. Wiem, jak bardzo je lubisz. – Mikołaj skorzystał z milczenia, które zapadło przy stole po moich słowach, podszedł do Joanny i ją również pocałował w policzek, kładąc przed nią bukiet delikatnych konwaliowych dzwoneczków. Przed Bożenką położył jedną długą czerwoną różę.

– Witaj, Bonia. Też się cieszę, że cię widzę. Ślicznie dziś wyglądasz. Cześć, braciszku.

Obserwowałam Mikołaja pełna podziwu dla jego mistrzowskiej gry i opanowania. Wiedział, że jest tu intruzem, a jednak zachowywał się tak, jakby na niego czekano.

– Czy mogę? – wskazał na wolne miejsce między Bartkiem a Janem.

– No pewnie, tato! Ale fajnie, że jesteś! Ciocia Zosia jest super, że cię zaprosiła.

Może i byłam super, ale mój mąż miał zupełnie odmienne zdanie na ten temat, o czym świadczyła jego zacięta mina. Bożenka też siedziała tak, jakby było jej niewygodnie, i ze spuszczoną głową wpatrywała się w różę, miotana sprzecznymi uczuciami.

Obiadowe dania pojawiły się na stole w najlepszym momencie. Przy dźwiękach pianina, na tyle subtelnych, że nie zakłócały prowadzonych rozmów, każdy z nas mógł zająć czymś ręce i usta, dzięki czemu nie padło to jedno słowo za dużo.

– Słyszałem, że wróciłeś do pracy. – Mikołaj spojrzał pytająco na Jana, wkładając do ust miękki kawałek cielęciny. – Jednak z pewnych nałogów nie da się wyleczyć, co, tato?

– Klara ma strasznie długi język – mruknął Jan, pochylony nad swoim obiadem. – Sam wiesz, tak samo dobrze jak Paweł, że medycyna uzależnia. – Jan poczuł się niezręcznie jako główny bohater prowadzonej przy stole rozmowy.

– Ale przecież ty jesteś po zawale, tato! – wtrącił Paweł, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie do końca pochwała tę decyzję, choć stara

się ją zrozumieć.

– A czy to czyni ze mnie kalekę, synu?

– Zupełnie nie rozumiem, mamó, jak mogłaś się na to zgodzić.

– Twój ojciec nie jest ubezwłasnowolniony i sam podejmuje decyzje, które go dotyczą – odpowiedziała dumnie Joanna, patrząc mężowi w oczy. Ten uciekł jednak przed nią spojrzeniem, niegotowy na to, by prowadzić dziś słowne potyczki.

– Dlaczego o wszystkim dowiaduję się ostatni? – Paweł odłożył sztućce, co nie wróżyło niczego dobrego. Dotknęłam jego dłoni, chcąc ostudzić emocje. Zrozumiał i odetchnął głęboko.

– Za rzadko bywasz u ciotki Klary – rzucił Mikołaj. W jego oczach zapaliły się wesołe ogniki.

– A co ona ma z tym wspólnego? – odburknął Paweł, delikatnie zdejmując moją dłoń ze swojej.

– Twój ojciec i brat ostatnio są u Klary częstymi gośćmi – dorzuciła Joanna, patrząc wymownie na męża.

– Przesadzasz, Asiu – skrzywił się Jan. – Ostatnio wpadłem do nich, jak byłem w Lublinie, ale ta twoja jędzowata siostra nawet kawy nie chciała mi zrobić. Musiałem zadowolić się zieloną herbatą. Całe życie się zastanawiam, jak ten Włodek z nią wytrzymuje tyle lat.

– Tym bardziej powinieneś więc docenić mamę. – Mikołaj odwrócił się w stronę ojca. – Bo w porównaniu z cioteczką to istny anioł.

Joanna uśmiechnęła się z wdzięcznością do syna, a ja poczułam, jak emocje przy stole powoli opadają.

– Ale powiem wam, że ciotka nie jest taka zła. Tak szczerze mówiąc, to trochę mi jej szkoda, dlatego zaglądam do niej, kiedy tylko jestem w Lublinie. Czuje się bardzo samotna, choć w życiu się do tego nie przyzna.

– Strasznie empatyczny zrobiłeś się ostatnio. – Głos Bożeny jak ostry nóż przeciął powietrze.

– Cóż, może z biegiem lat ludzie widzą więcej i dalej niż czubek własnego nosa...

– Naprawdę? Mówisz o sobie? – Bożena pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Ludzie się zmieniają, Bonia. Życie uczy pokory.

– Przepraszam. – Bożena wstała, odłożyła serwetkę i szybkim krokiem skierowała się w stronę toalety.

– Iwo pytał o ciebie. – Na dźwięk tych słów wypowiedzianych przez Mikołaja Paweł podniósł pochyloną nad talerzem głowę i spojrzał na brata, mierząc się z nim spojrzeniem.

– Co u niego? I jak jego noga?

– Jeszcze lekko utyka, ale jest dobrze. Żaneta twierdzi, że goi się na nim jak na psie. Prosił, abym ci przekazał, że dotrzyma danego słowa. Wygląda na to, że wyjdzie na ludzi. Zajrzysz do nich?

– Jak znajdę czas...

– A wiesz, że tata ma terenówkę, wujku? – Bartek był zbyt podekscytowany, aby przysłuchiwać się biernie rozmowie dorosłych. Ośmielony nieobecnością mamy chciał zwrócić na siebie uwagę i podkreślić, że łączy go z ojcem coś wyjątkowego i że wie o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia. – I będzie miał swoje biuro projektowe w Kazimierzu.

– Zostajesz tutaj?

Nie byłam pewna, czy ta wiadomość ucieszyła, czy bardziej zmartwiła Pawła.

– Czas najwyższy posprzątać po sobie bałagan i naprawić to, co jeszcze się da.

– Dużo czasu zajęło ci, aby to zrozumieć.

– Lepiej późno niż wcale...

– Wiesz co, jakoś ci nie wierzę.

Mikołaj pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi, a Paweł nie zdążył ugodzić kolejną, bo zadzwoniła jego komórka, odrywając go od talerza i stołu. Obserwując go zza szyby restauracji, wiedziałam, że nie jest to zwykła pogawędka. Skupiony wyraz twarzy i krótkie, rzeczowe pytania nie pozostawiały wątpliwości, że chodzi o pracę i o przypadek, w którym obecność Pawła może być niezbędna. Jego urlop i nasze dwa wspólne dni, które mi obiecał, stanęły właśnie pod znakiem zapytania. Medycyna była jedyną rywalką, z jaką nie mogłam się mierzyć. Czy przyjdzie taki czas, kiedy nie będę umiała już tego zrozumieć?

– Zosiu, tak mi przykro...

– Wyjeżdżasz?

Skinał głową.

– Dzwonił Andrzej, wiesz, ten mój kolega z lubelskiego szpitala dziecięcego. Mają tam ciężki przypadek, a wszyscy neurochirurdzy są na urloпах. Najbliższy na Mazurach. Ja dojadę szybciej. Przepraszam cię, Zosiu, wiem, że nie tak to miało wyglądać...

– Jedź. Jesteś tam potrzebny. – Dotknęłam z czułością policzka Pawła, patrząc mu głęboko w oczy. – Będę tu na ciebie czekała. Obie będziemy czekały – powiedziałam, kładąc dłoń na lekko wypukłym brzuchu.

– Mamo, tato, przepraszam, ale muszę.

Jan poklepał Pawła po ramieniu, a Joanna pokiwała głową, unosząc dłoń, jakby chciała go pogłaskać lub pobłogosławić.

– Podrzucę cię do Doktorówki. – Mikołaj podniósł się, podziękował mi skinieniem głowy i pożegnał wszystkich krótkim „do widzenia”.

Paweł nie oponował. Widać było, że zależy mu na czasie, a wszystkie osobiste rzeczy i swój samochód miał na drugim końcu Kazimierza. Zanim wyszedł z bratem, przytulił mnie jeszcze do siebie ze świadomością, że zostawia całe morze spraw niewyjaśnionych, nieprzegadanych, niewybaczonych...

\*\*\*

*Dochodziła północ. Mikołaj siedział na tarasie i palił kolejnego papierosa, wsłuchany w odgłosy czerwcowej nocy. Polarowa bluza chroniła go od chłodu ciągnącego z nad Wisły, ale tego, który czuł w środku, nic nie było w stanie rozgrzać. Nie chciało mu się spać, choć wiedział, że powinien zdrzemnąć się choć kilka godzin. Jutro czekał go ciężki dzień i najchętniej zacząłby go od znieczulenia się czymkolwiek. Albo w ogóle nie zaczynał.*

*Czekał, nasłuchując w nocnej ciszy kroków, które jako jedyne mogły przynieść mu nadzieję. Rozpoznał je, jeszcze zanim w ciemności*

*pokoju zamajaczył cień drobnej, kobiecej sylwetki.*

*– Dlaczego jeszcze nie śpisz? Jutro twój wielki dzień, nie możesz być zmęczony. – Julia, otulona w koc, usiadła obok Mikołaja na ratanowej sofie, podkulając nogi pod siebie. Przysunął się bliżej i, oparłszy ramię o oparcie na wysokości głowy Julii, zaczął bawić się jej włosami. Pachniały pomarańczami.*

*– Powiedz tylko jedno słowo, a odwołam całą tę maskaradę – szepnął.*

*– To nie maskarada, Mikołaj. To życie – powiedziała, przysuwając się bliżej. – Najprawdziwsze życie.*

*– Przecież wiesz, że jej nie kocham. Czy będzie szczęśliwa przez sam fakt, że zostanie moją żoną?*

*– Będziesz miał dziecko... – Julia wypowiedziała te słowa w noc, powierzając jej pragnienie własnego serca, które umarło cztery miesiące temu.*

*– Julka... – pocałował czubek jej głowy, przyciskając wargi do rudych włosów i zatrzymując się tak na dłużej.*

*– Niczego nie zmienimy, Mikołaj. Tu już nie chodzi wyłącznie o Pawła. Skrzywdzilibyśmy za dużo istnień.*

*Milczał. Przed oczami stanął mu obraz sprzed zaledwie roku. Noc świętojańska i Julia tańcząca wokół ogniska. Roześmiana, beztraska, szczęśliwa. Zaledwie rok, a tyle się wydarzyło, tyle zmieniło.*

*– Rok temu po raz pierwszy ze mną zatańczyłaś. Pamiętasz tamtą noc?*

*Pokiwała głową i otarła się o niego.*

*– Pamiętam. To było tak dawno temu... W innym życiu...*

*– To wciąż to samo życie, Julio. I ci sami my.*

*– Nie ma już tamtej Julii.*

*– Ale ja jestem ten sam.*

*Podniosła głowę tak, by móc na niego patrzeć. Delikatnie dotknęła policzka, który dopiero rano zamierzał ogolić.*

*– Jutro też z tobą zatańczę. A potem będę ci życzyła wszystkiego, co najlepsze, bo zasłużyłeś na dobre życie. Zostaniesz ojcem, a dziecko to błogosławieństwo. Nawet nie wiesz, jak ja zazdroszczę Bożence...*

*Chciał ja pocałować, ale uchyliła się.*

– Kocham cię jak brata, Mikołaj. Wybacz mi, ale nie mogę inaczej.

– Nie wierzę ci. – Pokręcił głową.

Serce rozrywało mu się na bolesne i żalosne strzępy, kiedy patrzył na nią, zagubioną w uczuciach, które się zupełnie poplątały. Nie wiedział, jak przetrwa jutrzejszy dzień i jak zdoła żyć ze świadomością, że on i Julia będą musieli tak po prostu się wyminąć i odejść, każde w swoją stronę. I na jak długo starczy mu sił, aby oszukiwać Bożenę, resztę świata i samego siebie, że decyzja, jaką podjęto za niego, była tą najwłaściwszą.

– Odnalazłem cię na końcu świata tylko po to, by dowiedzieć się, że istniejesz. Co mi z tej świadomości, skoro wiem, że nigdy nie będę mógł wyznać przed światem, jak bardzo cię kocham?

Julia pocałowała opuszki swoich palców i przyłożyła je do warg Mikołaja. Przytrzymał jej rękę, całując jej nadgarstek. Na więcej mu nie pozwoliła.

– Dobranoc – szepnęła jeszcze i odeszła, równie zmarznięta jak Mikołaj i równie jak on niespokojna.

\*\*\*

Kinga przyjechała niespodziewanie, bez uprzedzenia. Zadzwoiła z busa dojeżdżającego do Kazimierza z informacją, że będzie za pół godziny.

– Wiem, że cię zaskoczyłam, ale doszłam do wniosku, że przyjaciół na imieniny się nie zaprasza. Sami pamiętają. Nie masz więc wyboru, musisz mnie przyjąć. Wyjdiesz po mnie?

– A nie trafisz sama? Właśnie wstawiłam sernik do piekarnika. Kobięca intuicja podpowiadała mi, że mogę dziś spodziewać się gości, no ale ty jesteś dla mnie prawdziwą niespodzianką!

– Jeśli jeszcze powiesz, że to sernik z brzoskwiniami, trafię z całą pewnością!

Uśmiechnęłam się.

– Dokładnie taki.

– Będę w ciągu godziny. Buziaki!

Rozłączyłam się z przecuciem, że powodem wizyty Kingi nie są jedynie moje imieniny, ale że kolejny raz moja przyjaciółka potrzebuje wysłuchania, a może i błogosławieństwa. A przynajmniej akceptacji.

Zanim pojawiła się Kinga, do Doktorówki wpadła Romana z rozwianą majowym wiatrem fryzurą. Wyściskała mnie i obdarowała bukietem ogrodowych tulipanów oraz pejzażem Mięćmierza z Wisłą w tle.

– Zosiu, życzę ci, kochana moja, aby życie nigdy cię nie rozczarowało, tylko żeby prowadziło cię prostymi ścieżkami, na których zawsze będziesz mogła spotkać życzliwych ci ludzi i zobaczyć to, co z pozoru niedostrzegalne, a co składa się na sens naszego istnienia.

– Życzenia godne artystki. – Cmoknęłam policzek Romy i gestem dłoni wskazałam stolik nakryty na tarasie. Joanna pozwoliła mi skorzystać z jej porcelanowych filiżanek i talerzyków, idealnych do tarty z truskawkami, którą dziś przygotowałam, i do puszystego sernika z brzoskwiniami, studzącego się na kuchence. – Pomyślałam sobie, że szkoda w taki dzień zamykać się w pokoju i że ogród nadaje się dziś idealnie do świętowania.

– Po długiej zimie potrzebujemy jak najwięcej tych słonecznych promyków. Pomogę ci. – Roma zostawiła swoją płócienną torbę na wiklinowym fotelu i poszła w ślad za mną do kuchni. Dzięki temu, że często pomagała Joannie w sprzątaniu Doktorówki, znała tu każdą szafkę i jej zawartość, dlatego jej ręce sprawnie odszukały kawę i wszystko, co potrzebowała do jej zaparzenia.

– Nie wiem, co zrobiłaś z Mikołajem, czarodziejko, ale ostatnio jakby mniej demonów go nawiedza.

– Chciałabym móc to samo powiedzieć o Pawle – westchnęłam.

– Jest aż tak źle?

Usiadłam, pozwalając, aby Roma sama obsłużyła się ekspresem do kawy.

– Kiedy rozmawiam z nim przez telefon, mam wrażenie, jakbyśmy znajdowali się w dwóch oddzielnych pokojach, przedzieleni ścianą, i nie chodzi mi tylko o fakt, że on jest w Warszawie, a ja tutaj. Wiem, że



Paweł czuje się zraniony faktem, że spotykałam się z Mikołajem bez jego wiedzy, ale gdy tylko chcę z nim o tym pomówić, natychmiast ucina rozmowę.

– Bo to nie jest rozmowa na telefon, Zosiu.

– Wiem o tym. Obawiam się tylko, że jak Paweł przyjedzie, znów zamknie się w sobie i nie starczy nam czasu, aby to wszystko wyjaśnić raz na zawsze.

Roma podeszła do mnie i delikatnie pogładziła mój policzek.

– Kochanie, na to potrzeba czasu. I tak dokonałaś w tej rodzinie małych cudów, do Pawła też dotrzesz.

– Niby nic się między nami nie zmieniło – powiedziałam cicho, przypominając sobie dzisiejszy SMS od mojego męża, wysłany wcześniej rano: „Myślę. Tęsknię. Kocham. Z najlepszymi życzeniami, kochanie. Paweł”. – A jednak od jego wyjazdu jest jakoś inaczej. Mam nawet wrażenie, że w pewien sposób Paweł mógł poczuć się przeze mnie zdradzony.

– Nawet jeśli, Zosiu, nie zrobiłaś niczego złego. Chcesz im pomóc. Tyle lat ukrywali problemy, że teraz trudno im stanąć wobec siebie bez tych wszystkich pancrzy, które na siebie ponakładali. W tobie jest szczerść, podobnie jak w Bartku, a oni wobec tej szczerści stają się po prostu bezbronni.

Nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo zadzwoniła moja komórka, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Kingi.

– Przepraszam – zwróciłam się w stronę Romki i odebrałam telefon. – Gdzie jesteś? – spytałam.

Usłyszałam zasapany głos mojej przyjaciółki:

– Stoję pod furtką, ale nie wejść, bo ten straszny pies szczyrzy na mnie zębami.

– Już idę cię ratować – odpowiedziałam roześmiana i rozłączyłam się. – Przyjechała Kinga, moja przyjaciółka z Warszawy, ale zdaje się, że Nela nie chce jej wpuścić.

Roma pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Na jej zaufanie trzeba zasłużyć. A poza tym kiedy nie ma Jana w domu, Nela czuje się podwójnie odpowiedzialna za całe oboje i wszystkich domowników. Idź, otwórz koleżance, a ja zaparzę jeszcze

jedną kawę. Dla ciebie zieloną herbatkę?

– Tak, poproszę. – Uśmiechnęłam się, zastanawiając, kto tutaj jest dziś gospodynią. – W motylowej filizance, tej za tobą.

Roma skinęła głową, a ja pobiegłam na odsiecz Kindze, odciągając ujadającą Nelę i uspakajając ją głosem i głaskaniem.

– Nie pożre mnie żywcem? – Kinga dość niepewnie weszła przez furtkę, wahając się, czy ją za sobą zamykać.

– Bez obawy, to mądry pies. Nela, spokój! To przecież tylko ta pyskata Kinga, którą już zdążyłaś wielokrotnie obwąchać i którą tolerowałaś pod swoim dachem.

– Prowokujesz mnie! – Kinga spojrzała na mnie z przekrzywioną głową, a ja zauważyłam, że znów była tą niepokładaną dziewczyną, którą pamiętałam jeszcze z czasów sprzed Karola.

– No, może troszeczkę.

Kinga przerzuciła przez ramię niewielką torbę, po czym wbiegła po schodach na ganek. Nela tymczasem położyła się w cieniu, od czasu do czasu wydając jeszcze krótkie „wuf” na znak, że czuwa i wszystko ma pod kontrolą.

Kiedy weszłyśmy do domu, przyjaciółka obejrzała mnie dokładnie, kiwając z uznaniem głową, a potem mocno mnie przytuliła.

– Ślicznie wyglądasz, Zosiu. Cięża ci służy. Który to już tydzień?

– Dwudziesty.

– W końcu zaczynasz wyglądać jak brzuchata ciężarna, bo kiedy ostatnio cię widziałam, wcale nie byłaś wypukła.

– Nie ma to jak dobre słowo od przyjaciółki. – Roześmiałam się, cmokając Kingę w policzek. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

– A widzisz, jaką ci niespodziankę zrobiłam! – Kinga sięgnęła do swojej torby i wyjęła z niej ślicznie zapakowany zestaw kąpielowo-pielęgnacyjny. – Prosto z Malagi. Żel pod prysznic, mydło i balsam do ciała. Wszystko na bazie naturalnych składników, o świeżym zapachu trawy cytrynowej. Mam nadzieję, że cię nie odrzuci, wybrałam najmniej intensywny.

– Chyba w tej chwili najbardziej przydałby mi się krem na rozstępy – powiedziałam, rozpakowując prezent i zanurzając nos

w orzeźwiający zapachu. – Pięknie pachnie. Dziękuję!

– Bądź tak szczęśliwa, Zosiu, jak jesteś. Wszystkiego najlepszego! Jeszcze raz przytuliłam mocno Kingę i spojrzałam na nią pytająco.

– Jesteś głodna?

– Marzę o tej kawie, co tak obłądnie pachnie, i o twoim serniku.

Ale najpierw muszę skorzystać z toalety, bo zaraz się posikam.

– Toaleta jest tam – machnęłam ręką w głąb korytarza. – Na kawę zapraszam na taras, a torbę zostaw na górze w moim pokoju. Zakładam, że nie wracasz dziś do Warszawy?

– Jeśli mnie przenocujesz, chętnie zostanę do jutra.

– I tak bym cię dzisiaj nigdzie nie puściła – szepnęłam, popychając Kingę w stronę łazienki.

Roma pokroiła już ciasto i przygotowała kawę, więc kiedy Kinga zjawiała się na tarasie, mogłyśmy celebrować tę chwilę, zapraszając maj, by rozsiadł się wraz z nami.

Kinga nie była moją jedyną niespodzianką tego dnia. Ciepły sernik zwabił jeszcze innych gości. Zaskoczyła mnie Wioletta, która wpadła do Doktorówki, obdarowując mnie kubkiem z Galerii pod Cieniami, z pięknym kwiatowym motywem, ale o wiele bardziej zdziwił mnie widok Joanny i Bożenki, które pojawiły się w domu tuż za Wiolą, z ogromnym bukietem ładnie skomponowanych wiosennych kwiatów.

– Jak Romka dała znać, że mamy tu babską posiadówkę, natychmiast urwałyśmy się z pracy. – Roześmiana Joanna wyglądała jak majowa wróżka, która zamiast różdżki miała w ręku apaszkę zdjętą z szyi.

– To znaczy, że jesteście na wagarach? – dopytałam, wstawiając bukiet w kolejny kryształowy wazon mojej teściowej. – Jak tak dalej pójdzie, otworzymy kwiaciarnię.

– Nie martw się, Zosiu, od przybytku głowa nie boli. – Joanna usiadła na wiklinowej sofie, zakładając nogę na nogę, a Bożenka dostawiła sobie przyniesione z kuchni krzesło.

To było magiczne przedpołudnie spędzone w towarzystwie bliskich mi kobiet, serdecznych i życzliwych. Od rodzinnego obiadu w Dwóch Księżycach moje relacje z Bożenką nieco się poprawiły.

Dotrzymałam danego Pawłowi słowa i nie spotkałam się od

tamtego popołudnia z Mikołajem. Wiedziałam od Romy, że jest zajęty, że wychodzi wczesnym rankiem, a wraca późnym wieczorem. Domyśliłam się, że, korzystając z ciepłych dni, kończy budowę domu, bo rzeczywiście chce osiąść tu na dłużej. Cieszyło mnie to, ale jednocześnie męczyła mnie świadomość, że nie mogę porozmawiać o tym ani z Pawłem, ani z Bożeną, bo do jej życia też przestałam się wtrącać, uznając, że sama o nim zdecyduje i że teraz wszystko już zależy od Mikołaja. Trzymałam za niego kciuki, aby mądrze to rozegrał.

– Dziewczyny, a wiecie, że ta posiadówka to taki przedsmak Babskich Baletów? – Wioletta spojrzała na nas wszystkie roześmianymi oczami. – To już w tę sobotę. Nie mam już ani jednej wolnej godziny, bo każda chce wyglądać zjawiskowo i tyle babeczek zamówiło czesanie, że brakuje mi rąk do pracy.

– Kinga może ci pomóc, też jest fryzjerką. – Obejrzałam się w stronę przyjaciółki, która bezgłośnie zadała mi pytanie: „Co to są Babskie Balety?”.

– Słuchaj, byłoby fantastycznie! – Wiola już zaczęła liczyć, ile klientek więcej mogłaby przyjąć, ale Kinga pokręciła energicznie głową.

– Chętnie uczesałabym i pół Kazimierza, ale, niestety, nie mogę zostać do soboty. Mam inne plany, przepraszam.

Spojrzałam na Kingę, lecz ta uciekła przede mną wzrokiem i spuściła głowę. No tak, mogłam się domyślić, że miłość tak łatwo nie odpuszcza, bez względu na to, jak poplątana by była.

Rozmowa zeszła na zbliżające się sobotnie wydarzenie, którym obecnie żyły wszystkie mieszkanki Kazimierza. Wyłączyłam się, stając się obserwatorką ożywionych twarzy moich gości. Patrzyłam na kobiety, z których każda wniosła do mojego życia coś cennego. Wiola opowiadała z entuzjazmem o najnowszych modowych trendach, zastanawiając się, którą kolekcję Luiza udostępni i czy zdradzi szczegóły dotyczące tej najnowszej. Jej dobra energia była zaraźliwa, bo wciągnęła w rozmowę Kingę, która nie wyglądała już jak uosobienie nostalgii, tylko z uśmiechem opowiadała o modzie warszawskich ulic i o Hiszpankach, które podpatrywała na Maladze, zazdroszcząc im tej swobody i bez troski, z jaką przyjmowały każdy dzień.

Bożenka przysłuchiwała się temu z błyszczącymi oczami

i uśmiechem, który wypogodził jej napięte ostatnio rysy twarzy. Zdarzenia minionych tygodni odcisnęły na niej piętno i widać było, że żyje w nieustannym napięciu, tocząc największą walkę sama ze sobą. Z tym wewnętrznym rozedrganiem Bożenki mocno kontrastował spokój Romy, która z biegiem lat i nabywaniem nowych doświadczeń do wielu rzeczy dojrzała i chwytiała każdy dzień, dziękując za wszystko, co przynosił. Nie planowała przyszłości i nie narzucała niczego innym, po prostu była, ciesząc się tym, co ma, i nie żądając więcej. Myślę, że za to właśnie najmocniej ją pokochałam. Podobnie jak pokochałam Joannę, która wypełniła we mnie nieutuloną przez lata tęsknotę po stracie mamy.

W czasie tego babskiego przedpołudnia uświadomiłam sobie, że Kazimierz podarował mi nie tylko odpoczynek i wyciszenie, ale ludzi, dzięki którym moje życie nabrało niepowtarzalności i smaku, którym po prostu się delectowałam.

\*\*\*

Pogodny majowy wieczór okazał się doskonałym towarzyszem spaceru, na który wybrałyśmy się z Kingą wzdłuż Wisły, kierując się w stronę Mięćmierza i kamieniołomów.

Odznaczające się soczystą zielenią nadwiślańskie zarośla żyły, rozśpiewane, rozświergotane i rozkwakane głosami tamtejszych mieszkańców, a mijane przez nas domy miały szeroko pootwierane okna, zupełnie jakby serdecznie zapraszały wiosnę i maj do środka wraz z radością, jaka wybuchła z nastaniem ciepłych dni.

– Czasami chciałabym położyć się, zasnąć i obudzić dopiero za kilka lat, mądrzejsza o ten czas, który by bezszelestnie minął. Bez tych życiowych rewolucji i potyczek, w których co chwilę się przegrywa i odnosi rany. – Kinga objęła się ciasno ramionami, jakby chciała ochronić się od chłodu, nie tylko tego ciągnącego od Wisły.

– Przespałabyś najlepsze lata swojego życia.

– Ale może dzięki temu popełniłabym kilka błędów mniej?

– Błędy też są w życiu potrzebne, jeśli wyciągamy z nich wnioski.

Wiedziałam, że Kinga do czegoś zmierza, nie chciałam jednak naciskać ani wypytywać o jej zawile życie uczuciowe, czując, że opowie mi tyle, na ile będzie gotowa.

– Jak wiele razy można je popełniać, Zosiu?

Spojrzała na mnie z taką bezradnością, że nie mogłam tego zignorować. Podeszłam do niej i mocno ją przytuliłam.

– Czasami trzeba ich popełnić naprawdę dużo, aby zrozumieć, że największą krzywdę człowiek może wyrządzić samemu sobie.

Nazywałam ją niby-przyjaciółką, ale tak naprawdę nie było przy mnie bliższej mi kobiety niż Kinga. Była towarzyszką moich dziecięcych zabaw i powierniczką dziewczęcych sekretów. Po swojemu tłumaczyła mi chorobę i śmierć mamy, stając się dla mnie jak siostra. W wielu rzeczach się nie zgadzałyśmy, wielokrotnie nawet się kłóciłyśmy, ale Kinga nigdy nie umiała się długo gniewać. Była cholerykiem, szybko wybuchwała, ale jeszcze szybciej przybiegała do mnie i albo przynosiła mi dary przyjaźni, albo po prostu siadała obok mnie, kładła mi głowę na ramieniu i mówiła:

– Zośka, jaka ja jestem głupia!

To były jej przeprosiny. Znałam każdy ton jej głosu i jej zmienne nastroje. Akceptowałam w niej wszystko, choć bywały dni, kiedy mnie irytowała. Kochałam ją. Była tak naprawdę jedyną przyjaciółką, jaką miałam do tej pory.

Kinga oderwała się ode mnie i popatrzyła mi w oczy.

– Nie pytasz o Karola?

– A powinnam?

Pokręciła głową, wycierając wierzchem dłoni nos, a potem odwróciła się w stronę rzeki, na której drugim brzegu wieczór powoli układał się do snu, okrywając odchodzący dzień zmierzchem.

– Pierwsze dni na Maladze były bajką. Mogłam trzymać go za rękę i przytulać się do niego bez obawy, że ktoś nas zobaczy i rozpozna. Zasyślałam przy nim, wiedząc, że gdy się obudzę, on wciąż będzie w moim łóżku. Kochałam się z nim ze świadomością, że po wszystkim nie ubierze się i nie wyjdzie, zostawiając mnie z pustką i tęsknotą. To było jak narkotyk, Zosiu. Wciągało i domagało się więcej. Bo po kilku

dniach zapragnęłam, aby tak było codziennie. Aby wychodził do pracy z naszego wspólnego mieszkania i wracał do mnie. Do mnie. Nie do niej. – Kinga na chwilę zamilkła, jakby zbierając się na odwagę, aby wyrzucić z siebie słowa, które wcale nie należały do łatwych.

– Udawałam, że nie widzę i nie słyszę tych wieczornych telefonów i tych strzępków kłamstw, które do mnie dolatywały. Próbowałam to w sobie znieczulić drinkami, ale po nich czułam się jeszcze gorzej. Miałam podwójnego kaca, a ten moralny dokuczał chyba bardziej niż ból głowy.

Zamilkła, a ja uszanowałam to milczenie. Żaden komentarz nie był potrzebny, bo Kinga sama doszła do prawdy, na którą od początku próbowałam otworzyć jej oczy.

– Tkwiąc w tej bajce, odkryłam całe okrucieństwo i przewrotność losu. Dał mi zasmakować miłości, która nie poniża i akceptuje cię ze wszystkim, jednocześnie uświadamiając ci, że ten, który stał się centrum twojego świata, tak naprawdę nigdy nie będzie częścią twojego życia, bo on już ma swoje, w którym dla ciebie nie ma stałego miejsca. Po co więc była mi ta miłość?

Kinga spojrzała na mnie zażawionymi oczami.

– Może po to, byś zrozumiała, jakim dupkiem był Filip, i abyś się od niego na dobre uwolniła? I po to, abyś uświadomiła sobie, że jesteś wyjątkowa i nie musisz czekać na odpady, które ktoś od niechcienia ci rzuci.

– Wyjątkowa to ty jesteś, Zosiu – szepnęła, a potem dodała. – Nie masz ze mną łatwo, co?

Pokręciłam głową.

– Powiem ci coś, ale lepiej usiądź. – Wskazała na ławkę wbudowaną w nadwiślański wał.

Posłuchałam jej, zaniepokojona, jaką jeszcze wiadomością mnie zaskoczy.

– Na Maladze zrozumiałam, że muszę coś zrobić ze swoim życiem. Zdecydowałam, choć uwierz mi, Zosiu, wiele mnie to kosztowało, że nie będzie ono wyłącznie czekaniem na chwile, które Karol będzie mógł mi podarować, i postanowiłam, że zacznę się cieszyć każdą minutą, bo i tak zbyt wiele ich zmarnowałam. – Kinga zawiesiła głos, a ja wiedziałam, że

za chwilę spuści jakąś bombę. – Lecę do Indii. Będę tam szukać siebie i być może odkryję coś, o czym do tej pory nie miałam pojęcia.

Wyraz mojej twarzy musiał wyrażać zdumienie, bo Kinga roześmiała się i przysunęła do mnie, obejmując mnie za szyję i przytulając się.

– No coś ty, ale jak to do Indii... – Tyle tylko byłam w stanie wykrztusić.

– Po powrocie z Malagi siedziałam w pustym domu, w którym nie było ani śladu obecności Karola, ryczałam i gapiłam się bezmyślnie w Facebooka, na którym chciałam zamieścić swoje zdjęcia z raj. Żalotne, prawda? Szczególnie, że ten raj nie był tym, o czym marzyłam. – Kinga pokręciła smutno głową. – Byłam jak w jakimś stuporze. A potem zaczęłam klikać w profile znajomych i nieznajomych, zupełnie bez sensu. I przypomniałam sobie o tym przystojniaku, którego tu spotkałam. Szwagier doktorka.

– Mariusz? – Nie mogłam uwierzyć w to, co mówi Kinga, choć pewne nitki już się w mojej głowie powiązały.

– Mariusz Hadriański – przytaknęła. – Ma swój oficjalny profil na Facebooku. Napisałam do niego, zupełnie nie wiedząc, po co to robię, i wcale nie licząc na jakąkolwiek odpowiedź. Odpisał mi i zaczęliśmy gadać, o ile tę wymianę chaotycznych zdań można nazwać rozmową. – Kinga na chwilę zamilkła, ale po chwili kontynuowała swoją opowieść: – Napisałam mu, że moje życie jest do dupy i że nie widzę w nim najmniejszego sensu. A wtedy on zapytał mnie, czy chciałabym ten sens odnaleźć w Indiach, i tak to się zaczęło. No więc lecę do Indii, Zosiu, i mam nadzieję przywieźć stamtąd nową siebie.

– Zaraz, powoli. – Informacje, jakimi zostałam nagle zasypana, przetwarzały się w mojej głowie. – Zostawiasz wszystko i tak po prostu wybierasz się na drugi koniec świata z kimś, kogo właściwie nie znasz?

– Jakie wszystko, Zośka? Nie mam rodziny, nie mam dzieci. Mam za to trochę oszczędności trzymany na czarnej godzinę, która właśnie nadeszła. W pracy już złożyłam wypowiedzenie. Zobaczą jeszcze, co zrobię po powrocie. Znajdę nową albo założę własny zakład fryzjerski. Może zostaną w Warszawie, a może przeprowadzę się do zupełnie innego, mniejszego i przyjaźniejszego miasta? Życie pokaże. A że nie



znam prawie wcale Mariusza? Przecież mnie nie pokroi i nie ukryje w walizce. Ty też nie znałaś dobrze Pawła, a mimo to zdecydowałaś się na wspólne życie z nim do końca świata. A ja lecę tylko do Indii.

Pomimo absurdalności tego, co usłyszałam, była to najbardziej dojrzała decyzja Kingi, jaką ta kiedykolwiek podjęła.

– Życzę ci, abyś odnalazła w tych Indiach to, czego szukasz – powiedziałam i mocno uścisnęłam moją przyjaciółkę.

– Dziękuję. – Kinga uśmiechnęła się, obcierając rękawem bluzy łzę spływającą jej po policzku.

To nie był koniec imieninowych niespodzianek. Jedną z ostatnich okazał się telefon z życzeniami od mojej macochy, usprawiedliwiający tatę, który wyjechał służbowo, i zapewniający, że życzenia są od całej rodziny, również od Weroniki i Izy.

Późnym wieczorem natomiast przyszedł MMS. To było zdjęcie ukwieconych jabłoni. „Zakwitły na Twoje imieniny. Wszystkiego najlepszego, bratowo!”

Uśmiechnęłam się i zasnęłam z tym rajskim widokiem pod powiekami.

\*\*\*

*Obudził ją śmiech dziecka. Radosny, beztroski, zanoszący się szczęściem. Był jak magnes, który przyciąga, i Julia nie mogła się powstrzymać. Na bosaka podbiegła do okna i szeroko je uchyliła, głęboko wciągając w płuca rześkie poranne powietrze. Lipcowy poranek wstał dużo wcześniej niż ona. Zdażył obudzić Bartka, który na swoich chwiejących się jeszcze nóżkach przemierzał ogród, kierując się ze śmiechem w stronę wyciągniętych ramion Bożenki. Wypisane na jej twarzy szczęście było tak naturalne, jak ten pejzaż za oknem, i Julia zapragnęła dotknąć tego własnymi rękami, aby przekonać się, że dla niej zostanie choć okruszek. Szybko narzuciła na siebie szlafrok i zbiegła na dół, nie chcąc, aby to poranne ogrodowe baraszkowanie skończyło się*

*bez niej.*

*– Obudziliśmy cię. – Bożenka spojrzała na szwagierkę przepraszająco. – Ostatnio Bartuś wstaje bardzo wcześnie, a ja nie chcę go trzymać w dusznym pokoju, skoro dzień taki ładny.*

*– Mogę trochę z wami posiedzieć? – Słoneczny promień zaplątał się we włosy Julii, zostawiając w nich pasemko iskrzące jak tafla morza latem.*

*– Pewnie. – Bożenka uśmiechnęła się szczerze, radośnie.*

*Julia poczuła ukłucie w klatce piersiowej.*

*– Szkoda mi każdego mijającego dnia. Bartuś tak szybko rośnie, boję się, że nie zdążę się nim nacieszyć. – Bożenka patrzyła na synka z taką czułością w oczach, że Julia musiała odwrócić wzrok.*

*– Moje dziecko miałoby teraz rok. Chowaliby się z Bartkiem jak rodzeństwo – szepnęła.*

*Bożenka odwróciła się szybko i spojrzała na Julię ze współczuciem. Tego też nie mogła znieść. Takie spojrzenia bolały, tak jak wspomnienie straty, jakiej oboje z Pawłem doświadczyli.*

*– Zobaczysz, jeszcze doczekacie się z Pawłem kolejnego. – Bożenka spontanicznie przytuliła się do Julii, a ta niezdarnie odwzajemniła uścisk.*

*Rozpędzony na rozchwianych nóżkach Bartek wylądował w ramionach Julii. Kobieta przytuliła do siebie małe ciało dziecka, z przymkniętymi oczami wdychając jego zapach. Niezdarne rączki chłopca objęły jej szyję, a Julia poczuła na policzku dotyk mokrych, zaślinionych warg. Otworzyła oczy, próbując zatrzymać to ulotne poczucie szczęścia, które zapachniało dzieckiem. Nie widziała, jak czujnie i nieufnie obserwowała ją Bożenka. W tej chwili Julia miała tylko jedno pragnienie. Chciała poczuć to, czego doświadczała Bożenka. Chciała być matką.*

## *JEDENAŚCIE...*



Joanna stała przed kominkiem, wpatrzona w trzymaną w ręku fotografię. Podpatrywałam ją przez otwarte szeroko okno. Nie widziałam z tej odległości, kogo przedstawiało to zdjęcie, ale po kolorze i kształcie ramki domyśliłam się, że patrzy na siebie samą, uchwyconą przy boku męża. Lubiła to ujęcie. Było szczere i naturalne. Joanna i Jan zostali przyłapani przez obiektyw czyjś aparatu w chwili, gdy patrzyli

w siebie nawzajem. Oboje uśmiechnięci i z tym tajemniczym blaskiem w oczach, który rozpala się tylko wówczas, gdy mamy przy sobie osobę najbliższą, najważniejszą, najdroższą.

Długa czerwona suknia, którą Joanna miała na sobie, przygotowana już do wyjścia na Babskie Balety, spływała miękko na podłogę, podkreślając smukłą sylwetkę kobiety świadomej swojej urody. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Pomimo swoich lat moja teściowa wciąż była atrakcyjną kobietą, pełną naturalnego wdzięku, prawdziwą damą. Przy niej ja poczułam się jak brzydkie kaczątko.

Już miałam odejść od okna, przez które tak się zapatrzyłam na Joannę, i wejść do domu, gdy moją uwagę przykuł dziwny ruch.

W drzwiach salonu stanął Jan. Podszedł tak cicho, że Joanna go nie słyszała. Stał i, podobnie jak ja, wpatrywał się w piękną kobietę, którą miał na wyciągnięcie ręki. O czym myślał w tym milczeniu, w którym słyhać było tylko ptaki śpiewające w ogrodzie? Czy o tych latach, kiedy mimo różnych codziennych trosk potrafili ochronić uczucie, które ich połączyło i związało silniej niż jakiegokolwiek przysięgi, czy też o dniach, w których wyrósł między nimi mur i zaczęło wiać chłodem?

Joanna poczuła najwyraźniej czyjaś obecność za plecami, a może po tylu latach życia z Janem usłyszała jego oddech lub wyczuła tę magiczną wibrację, którą tylko ona potrafiła odebrać, bo odwróciła się powoli i spojrzała na męża. Nie odezwała się, ale jakby wyczekiwała na słowa, które padną od niego.

Czułam się jak intruz. Nie powinno było mnie tu być między nimi, ale nie mogłam się ruszyć, mimowolnie stając się świadkiem jednej z najpiękniejszych scen miłosnych, jakie w swoim życiu widziałam.

– Wyglądasz... – odezwał się Jan i urwał, jakby zabrakło mu odpowiednich słów. – Jesteś taka piękna, Joasiu. A ja jestem durniem, że o tym zapomniałem.

Joanna uśmiechnęła się dziewczęco i radośnie, jakby z tym wypowiedzianym przez Jana zdaniem ubyło jej lat.

– Jesteś, Jasiu. Starym durniem i... mężczyzną mojego życia.

– Uświadomiłem sobie – Jan podszedł bliżej – że kocham cię właśnie taką, jaka jesteś. Z tą twoją troską o wszystkich i z miękkim sercem obejmującym nawet tych, którzy na to nie zasłużyli.

– Długo do tego dojrzywałaś. – Joanna też zrobiła krok w kierunku Jana. Zachowywali się tak, jakby coś niewidzialnego ich do siebie przyciągało. Wiedziałam, że to po prostu miłość, którą umieli w sobie zachować.

– Bo jestem już naprawdę stary, Joasiu. I wszystko dużo wolniej mi przychodzi. – Jan był już przy Joannie. Uniósł jej dłoń i pocałował. – Musisz iść na te balety?

– A masz dla mnie jakąś inną propozycję? – Joanna wyraźnie flirtowała z mężem.

– Romantyczna kolacja przy świecach w Dwóch Księżycach? Zaraz zadzwonię do Aleksandra i zarezerwuję nasz ulubiony stolik we wnęce.

– I co, Jurek będzie grał na pianinie, a my będziemy trzymać się za ręce i patrzeć sobie w oczy?

– Dokładnie tak, Joasiu. I ten stary dureń będzie ci mówił, że bardzo cię kocha i że bez ciebie po prostu by go nie było.

Joanna wspięła się na palce i pocałowała męża tak namiętnie, że nie mogłam dłużej ich podglądać. To była ich intymna chwila. Delikatna, a jednak potężna, bo niemal usłyszałam huk walącego się muru, który wcześniej tych dwoje odgradzał od siebie.

Cichutko odeszłam od okna i pobiegłam w stronę domu, chcąc zawiadomić Bożenkę, że mamy drobny problem. Wszystkie trzy wybierałyśmy się na imprezę u Luizy, dlatego Bartek miał zostać pod opieką dziadka. W zaistniałej jednak sytuacji nie można było pozwolić, aby coś zakłóciło romantyczny wieczór tej stęsknionej sobie pary.

– Zosia, ty jeszcze niegotowa? – Bożenka, na którą wpadłam, była już w pełnym makijażu i z pachnącą lakierem fryzurą, choć jeszcze w lekkim szlafrocuku.

– Ja tam błyszczeć nie muszę. Zaraz idę pod prysznic, a potem wskakuję w sukienkę, ale ty musisz wykonać jeden telefon, bo sprawy się troszkę pokomplikowały.

– Jaki telefon? O czym ty mówisz i co znowu się stało?

– Zajrzyj dyskretnie do salonu, a sama zrozumiesz – odpowiedziałam tajemniczo, wbiegając na górę. – Idę pod prysznic.

Zostawiłam Bożenkę ze znakiem zapytania w oczach i zajęłam się

przygotowaniem na wielkie wyjście, którym byłam coraz bardziej podekscytowana. W końcu nieczęsto bywa się na przyjęciu u światowej projektantki mody, nawet jeśli mieszka się w Warszawie.

Wyszłam spod prysznicza odświeżona. Wysuszyłam włosy, założyłam sukienkę i buty, chwyciłam kopertówkę i zbiegłam na dół w poszukiwaniu Bożenki. Znalazłam ją oczywiście w kuchni. Wciąż w szlafroku siedziała przy stole z brodą opartą o dłonie.

– Teraz to ty jesteś jeszcze niegotowa, a ja już przygotowana do wyjścia – powiedziałam wesoło, chcąc przegonić ten mars z twarzy Bożenki.

– No i co ja mam teraz zrobić? – spytała moja szwagierka, patrząc na mnie bezradnie.

– Zadzwoń do Mikołaja – odpowiedziałam bez namysłu.

– Niby jak?

– A niby tak – podsunęłam w jej stronę leżącą na stole komórkę – że wybierasz jego numer i prosisz, aby przyjechał i zajął się Bartkiem. On naprawdę da sobie radę, Bożenko.

– Ale jak ja mam do niego zadzwonić? Ot tak, po prostu: „Cześć, słuchaj, mam sprawę. Trzeba zaopiekować się naszym synem, bo wychodzę na imprezę i nie mam go z kim zostawić”?

– Dokładnie tak – przytaknęłam. – Bożenka, to twój mąż. Nie dzwonisz do obcego faceta, tylko do ojca twojego dziecka.

– Łatwo ci mówić – westchnęła.

Wiedziałam, że walczy ze sobą. Nie było łatwo odsunąć na bok urazę i dumę, i poprosić o coś, co tak naprawdę było naturalne i oczywiste.

Sięgnęła niepewnie po telefon i przez chwilę przyglądała mu się tak, jakby po raz pierwszy go widziała. A potem jednym zdecydowanym ruchem odszukała w kontaktach numer Mikołaja i zadzwoniła do niego, nabierając powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę.

– Cześć, Mikołaj, tu Bożena. Słuchaj, mam pytanie. Mógłbyś dziś zaopiekować się Bartkiem? Wybieram się z Zosią do Luizy i... Za ile minut? Dobrze. – Zaskoczony wyraz jej twarzy poinformował mnie lepiej niż słowa, że Mikołaj niedługo tu będzie. – Dziękuję.

Ostatnie słowo jakby zazgrzytało w ustach Bożeny.

Wypowiedziała je jednak, a potem szybko się rozłączyła i spojrzała na mnie tak, że o nic nie musiałam pytać.

– Przeżyłam – szepnęła, po czym wstała energicznie i znowu była tą Bożenką, którą znałam z codziennego życia w Doktorówce. – Ale ciebie bez makijażu nie wypuszczę! – Wycelowała we mnie wskazujący palec. – Idziemy do mojej sypialni i troszkę cię poprawimy. Rybickie muszą dzisiaj pokazać prawdziwą klasę, doktorowo.

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową, zgadzając się na wszystko.

\*\*\*

*Julia była zmęczona.*

*Jej oddech stał się płytki, a usta łapały powietrze tak łapczywie, jakby brakowało jej tlenu. Droga z Kuźnic na Kasprowy Wierch zabrała im więcej czasu niż planowali i Paweł miał duże wątpliwości, czy dadzą radę dojść tam, gdzie zaplanowała Julia.*

*Wykorzystali ten dłuższy postój na ciepły posiłek w restauracji na Kasprowym Wierchu i rozgrzewającą herbatę dodającą energii. Oboje jej potrzebowali. Choć z miejsca, do którego dotarli, czas przejścia wynosił mniej więcej godzinę i czterdzieści minut, to trasa prowadząca na wierzchołek Świnicy, którą chciała zdobyć Julia, zaliczana była do trudnych. Skalista górna kopuła szczytowa miała wiele łańcuchów, a po ostatnich intensywnych deszczach było tam w pewnością bardzo ślisko. Dodatkowo po drodze pojawiały się jeszcze takie atrakcje, jak chociażby Żleb Blatona. Prawie zawsze mokry żleb kończył się stromym urwiskiem, a jeden nieostrożny krok kosztował tam życie wielu turystów.*

*Początkowo Paweł nie chciał słyszeć o tej trasie. Przeraziła go zarówno jej trudność, jak i pora roku. Niby wrzesień był jeszcze dość sprzyjającym turystom miesiącem, a jesienią po górach chodziło się spokojniej niż latem, niemniej jednak dni były już dużo krótsze i chłodniejsze, a pogoda bardziej nieprzewidywalna. Do tego niepokoiła go kiepska forma Julii. Coś było nie w porządku, ale Julia nie chciała*

*o tym rozmawiać, a na Świnicę po prostu się uparła, nie pozostawiając Pawłowi wyboru.*

*– Albo pójdziesz tam ze mną, albo idę sama. Tylko ten jeden szczyt i odpuszczam. Resztę dni spędzimy na spacerach w dolinkach.*

*Jak zwykle jej uległ, choć po drodze, widząc jej zmęczenie i dużo częstsze niż zazwyczaj odpoczynki, chciał zawrócić. Julia za każdym razem uparcie kręciła jednak głową.*

*– Zrozum, ja naprawdę chcę tam wejść. Nie odbieraj mi tego, proszę.*

*Posłuchał jej i asekurował, podając rękę w chwilach, gdy wyraźnie słabła.*

*A teraz cieszył się z tego odpoczynku, zdając sobie jednak sprawę, że jeśli chcą zejść przed zmierzchem, niedługo znów muszą ruszyć w drogę, bo czeka ich jeszcze powrót przez Zawrat.*

*– Julia, nie musimy dziś zdobywać tej Świnicy. Posiedzimy trochę i zejdziemy żółtym szlakiem do Murowańca. – Paweł spróbował jeszcze raz, ale Julia stanowczo pokręciła głową.*

*– Idziemy. Szkoda czasu na gadanie.*

*Wyruszyli, kierując się na wschód, w kierunku Suchej Przełęczy i przełęczy Liliowe. Prowadzeni czerwonym szlakiem minęli skręt na Halę Gąsienicową i po pół godzinie szybkiego marszu znaleźli się na łagodnej przełęczy w głównej grani Tatr, pomiędzy Beskidem a Skrajną Turnią, na granicy Tatr Zachodnich i Wysokich. Tutaj Julia odwróciła się i spojrzała na Pawła z taką determinacją w oczach, że w pierwszej chwili cofnął się przestraszony.*

*– Muszę ci coś powiedzieć.*

*– Tutaj? – spytał zdumiony, rozglądając się wokół.*

*– Tak, właśnie tutaj i właśnie teraz – przytaknęła. – Tylko ty, ja i Tatry.*

*Czekał, czując niepokój, nad którym nie umiał zapanować. Coś uciskało mu serce. Coś, czego nie potrafił nazwać i czemu nie chciał się przysłuchiwać, choć od jakiegoś czasu powracało natarczywie jak nierozwiązany i wciąż odsuwany problem.*

*– Nie zasłużyłam na ciebie. – Już sam wstęp Julii wywołał u Pawła gęsią skórkę. – Nie zasłużyłam ani na twoją miłość, ani na tę troskę,*



*którą nieustannie mnie otaczasz. Widzę, jak bardzo się starasz. Zawsze to widziałam. I wtedy, gdy poroniłam po raz pierwszy, i później, gdy straciliśmy kolejne dziecko, a w końcu przy Kacperku.*

*Imię syna wypowiedziane przez Julię było niczym kolejny cierń, który głęboko wbił się w serce Pawła. Serce wciąż krwawiące mimo starań, by zalepić tę niegojącą się ranę.*

*– Julia, proszę, nie rozmawiajmy teraz o tym. – Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, bo usłyszał słowa, które go zmroziły:*

*– Zdradziłam cię, Paweł. Zdradziłam cię, nasze małżeństwo i nasze dzieci, te nienarodzone i to, które umarło. Zdradziłam wszystko, w co wierzyliśmy i co wspólnie stworzyliśmy. Nasze marzenia. Nasze plany. Nasze „my”. Wszystko. Zdradziłam, bo pogubiłam się w uczuciu silniejszym, niż byłam to sobie w stanie wyobrazić.*

*– O czym ty, do cholery, mówisz? – Głos Pawła był schrypnięty. Sam nie mógł go poznać.*

*– Nie planowałam tego. Nie chciałam. Próbowałam z tym walczyć, wymazać z życia, zapomnieć. Ale nie mogłam, bo on jest po prostu częścią mnie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, bo sama tego nie rozumiem, ale jestem w pełni sobą tylko przy nim. Z nim.*

*Z zamkniętymi oczami kręcił z niedowierzaniem głową, starając się wyrównać przyspieszony oddech.*

*– O czym ty, kurwa, mówisz? Chcesz mi powiedzieć, że przez osiem lat naszego małżeństwa tak po prostu mnie zdradzałaś? Byłaś moją żoną, a spotykałaś się z innym facetem? Robiłaś ze mnie rogowca, udając, że nasze małżeństwo jest dla ciebie ważne?*

*– Ono było ważne, Paweł. Tak samo jak ważny byłeś ty. – W oczach Julii zebrały się łzy, ale jeszcze nad nimi panowała.*

*– Czy ty słyszysz, co mówisz? – Zaciśniętą pięścią i z wściekłością kopnął leżący na ścieżce kamień, jeden z wielu jakby czekających na to, by rozładować czyjś gniew.*

*– Wiem jak absurdalnie to brzmi, ale zawsze byłeś dla mnie ważny. Zawsze cię szanowałam.*

*– Pieprząc się z innym?*

*Wytrzymała jego spojrzenie, odpowiadając zdaniem, które jeszcze bardziej go zaskoczyło.*

– Zdrada to nie tylko seks, Paweł. Tylko raz z nim spałam. Rozumiesz? Tylko raz przez całe te osiem lat. Nie zdradzałam cię tak, jak myślisz. Ja... Ja po prostu go kochałam. Tak jak ciebie. – Ostatnie zdanie wyszeptala, pozwalając łzom, aby popłynęły.

– Kto to jest? – Zadał to pytanie, choć nie był pewien, czy naprawdę chce wiedzieć. Bo do czego niby ta wiedza była mu potrzebna? Do tego, aby się nieustannie porównywać z człowiekiem, który miał w sobie coś, czego jemu zabrakło? A jednak zapytał i czekał na odpowiedź.

– Kto... to... jest?

– Mikołaj.

Wiatr, który się zerwał od północy, stał się preludium tego, co rozgrywało się w tej chwili w głowie Pawła. Białe światło jak oślepiająca błyskawica migalo przed jego oczami, a wściekłość, która go zalala, miała siłę tsunami. Gdyby teraz brat był w zasięgu wzroku Pawła, nic by go nie powstrzymało przed rzuceniem się na człowieka, któremu ufał przez całe życie, traktując go jak najbliższą osobę. Nie tylko Julia go zdradziła. Oboje to zrobili, pozbawiając Pawła wiary w czystość miłości.

– Od kiedy to trwa? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Od lata po naszym ślubie.

Plakała, a on po raz pierwszy nie żałował tych łez i nie próbował jej pocieszyć. Przetwarzał w głowie informacje, które usłyszał, próbując to wszystko w sobie poukładać racjonalnym, ścisłym umysłem. Nie potrafił. Zbyt dużo uczuć i emocji wtargnęło w niego, burząc wszelkie fundamenty, na jakich budował swoje dorosłe życie.

– Kto był ojcem Kacpra? – Musiał zadać pytanie, które po prostu w nim eksplodowało.

Podniosła zapłakaną twarz i spojrzała mu odważnie w oczy.

– Ty. Byłeś ojcem wszystkich naszych dzieci. Ty, Paweł.

– Dlaczego on? Dlaczego Mikołaj?

– Bo miłości się nie wybiera. Ona sama bierze cię w posiadanie, a ty nie możesz z tym zrobić nic. Zupełnie nic.

To były ostatnie słowa, jakie zapamiętał. Potem nie było już nic. Pustka. Pustka bez Julii. I bez nadziei.

\*\*\*

Luksus i minimalizm. Te dwa skojarzenia nasunęły mi się zaraz po wejściu do rozświetlonego z każdej strony domu Luizy. Duży przestronny salon, z oknami od podłogi do sufitu wpuszczającymi światło bez względu na porę roku, miał niewiele mebli. Oprócz białej skórzanej kanapy i foteli zwróconych przodem do kominka znajdowała się tutaj jedynie równie biała komoda i duży stół, w tej chwili pozostawiany wymyślnymi potrawami, talerzykami i filiżankami otaczającymi podgrzewacz wody. Jasna drewniana podłoga dopełniała to wnętrze, w którym nic nie było przypadkowe.

W rozsuniętych na oścież drzwiach balkonowych, prowadzących do ogrodu, stały dwie wysokie dziewczyny w jasnych garniturach z tacami, na których znajdowały się kieliszki z szampanem. Sięgała po nie niemal każda z kobiet przechodzących tędy do ogrodu, gdzie odbywała się cała impreza. Widać było, że Luiza jest profesjonalistką i jak się już za coś bierze, robi to ze światowym rozmachem. Na zbudowanej specjalnie na ten wieczór niewielkiej scenie przygrywał kwartet smyczkowy, a bajeczne światła, którymi oświetlony był ogród, nasuwały skojarzenie z romantycznymi filmami kina amerykańskiego.

Bożenka głęboko westchnęła, gdy znalazła się w tej bajkowej scenerii, a ja nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przeniesiono mnie z Kazimierza gdzieś, gdzie jeszcze nigdy wcześniej nie byłam.

– Zosiu, wyglądasz prześlicznie. – Wiola, która od razu nas zauważyła, podeszła do mnie i do Bożenki, trzymając w ręku wysoki kieliszek z kolorowym drinkiem. – Młodość i naturalność, a do tego ten uroczo zaokrąglony brzusek. Kto wie, może zainspirujesz Luizę do następnej kolekcji?

Uśmiechnęłam się i podeszłam do stołu obsługiwanego przez kolejną hostessę w takim samym jasnym garniturze, prosząc o świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Pijąc go, obserwowałam kobiety, które na

ten jeden wieczór przeobraziły się w prawdziwe motyle – kolorowe, piękne, zwiewne i delikatne. Każda z nich bez wyjątku wyglądała tak, jakby na tę jedną magiczną noc zostawiła w domu cały bagaż, z jakim wchodziła w codzienność, i stała się kwiatem paproci w noc świętojańską. Ożywione pogodne twarze i oczy błyszczące ekscytacją. Niektóre kobiety były rozmarzone i wsłuchane w muzykę, inne wciągnięte w rozmowę lub chichoczące jak młode panienki, czując się przez tych kilka godzin jak w innym życiu, bez problemów i zobowiązań. Wolne.

Spojrzałam na Bożenkę, która przyłączyła się do grupki kobiet stojących z Wiolą i słuchała czegoś, o czym jedna z nich opowiadała, mocno gestykułując. Moja szwagierka wyglądała dziś inaczej i nie chodziło jedynie o odświeżoną sukienkę czy starannie dopracowany makijaż. Bożenka promieniała. Próżno było w niej szukać tego wewnętrznego rozedrgania i napięcia, w jakim żyła od jakiegoś czasu. Stała milcząca i tylko uśmiechała się, jakby do siebie samej – do myśli i obrazów, które były w jej głowie. Byłam pewna, że jedna z tych myśli dotyczyła Mikołaja. Przyjechał w ciągu godziny, pachnący żelem pod prysznic, z wilgotnymi jeszcze włosami. Bartek zawisł na nim, z dziecięcą szczerością okazując radość, a ten znieruchomiał. Wpatrywał się w Bożenkę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. W nowej szmaragdowej sukience odsłaniającej nogi, które zazwyczaj ukrywała, i w starannym, innym niż na co dzień makijażu wyglądała naprawdę bardzo ładnie i kobieco. Nie marszczyła brwi na widok męża i nie dopowiadała złośliwych komentarzy, tylko podziękowała mu, po raz pierwszy od długiego czasu patrząc mu w oczy. Miałam wrażenie, że Mikołaj zobaczył w niej kobietę, o jakiej zapomniał albo jakiej wcale nie znał. Bożenkę pozbawioną zgorzknienia, pewną siebie i świadomą własnego ciała. Widziałam wzrok mojego szwagra, którym niemal dotykał swojej żony, i to, jak stał przy oknie, gdy odjeżdżałyśmy. Pomyślałam sobie wtedy, że w natłoku codziennych spraw bardzo często obojętniejemy na to, kim naprawdę jest osoba, z którą dzielimy życie. Postrzegamy ją przez pryzmat swoich przyzwyczajień, oceniamy surowo według własnych oczekiwań i rzadko pozostawiamy miejsce na prawdę o człowieku, który przez to sam zapomina o tym, jaki był.

Rozczarowana życiem i mężem Bożenka przez lata pozwalała, aby ta dziewczyna w niej, która w jakiś sposób ujęła swego czasu Mikołaja, pokryła się grubym kurzem codzienności, odchodząc w zapomnienie. Nie wiem, czy dzisiejszego wieczoru przypomniła sobie o tych chwilach ich wspólnego życia, które jeszcze w sobie ocaliła, ale jej łagodny uśmiech był dowodem na to, że dziś czuje się szczęśliwa.

– No i jak ci się tu podoba, Zosiu? – Drgnęłam, gdy usłyszałam tuż przy sobie znajomy głos Romki. Zamyślona nad Bożenką nie zauważyłam, kiedy do mnie podeszła. Ubrana w długą, kwiecistą sukienkę wyglądała jak dziecko-kwiat, a tego wrażenia dopełniały liczne bransoletki i zawieszki na szyi oraz typowa dla Romy nonszalancka fryzura, której chyba jako jedyna w tym towarzystwie raczej nie poświęciła dużo czasu.

– Wszystko z górnej półki – odpowiedziałam, obejmując spojrzeniem cudowności dookoła mnie.

– Garden party na europejskim poziomie. Luiza nie byłaby sobą, gdyby się trochę nie pochwaliła. Zobaczysz, co się będzie działo, gdy ta scena zamieni się w wybieg dla modelek, i gdy wyjadą wieszaki z ciuchami, którymi Luiza będzie obdarowywać każdą z nas. Te wszystkie eleganckie damy na wyścigi będą biegły, jedna przed drugą, a potem będą sobie wrywały bluzki, sukienki i spódnice, nie patrząc nawet na rozmiar. Luiza jak co roku będzie miała cyrk, śmiejąc się do rozpuku, a niektóre przyjaźnie i znajomości się porozpadają, bo kobitki będą się mijały z wymownym milczeniem, skłócone o jeden głupi kawałek materiału.

– Ty nigdy nie walczysz? – spytałam zaczepnie, patrząc na Romę spod zmrużonych powiek.

– Zasada jest taka, że każda wnosi tylko jedną rzecz. Luiza bezwzględnie tego pilnuje, dokładnie zna liczbę zaproszonych gości. Mój przydział więc zawsze dla mnie zostaje, a że jestem dość niska i drobna, nigdy nie mam problemu z wybraniem czegoś odpowiedniego dla siebie. Gorzej mają te puszyste.

– Myślisz, że dla mnie też się coś znajdzie?

Romka popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami.

– Dla ciebie Luiza z pewnością przygotowała coś ekstra. Nie wiem

dlaczego, ale z jakichś powodów zalazłaś jej za skórę.

– Podobno Cyganka coś tam jej wywróżyła – mruknęłam.

– Taaa – przytaknęła Romana. – Luiza jest przesądna i wierzy we wróżby, a Cyganki to wykorzystują.

– A może rzeczywiście widzą skrawki przyszłości?

– A może to tylko ludzka próżność? – odpowiedziała Roma pytaniem na pytanie.

– Mikołaj został dziś z Bartkiem. Wiesz o tym?

Romka uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Dorósł do roli ojca i chyba całkiem nieźle mu to wychodzi.

– Myślisz, że do roli męża też dorośnie?

Roma odwróciła głowę w moją stronę i przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu.

– Kiedy się kogoś kocha naprawdę – odezwała się w końcu – należy wiedzieć, kiedy powinno się wycofać i zrezygnować z własnego „ja” wpychającego się na pierwszy plan. Jestem świadoma tego, Zosiu, że dostałam go tylko na chwilę. Za każdą jestem wdzięczna i nauczyłam się nie planować, tylko w pełni wykorzystać to, co jest teraz. I powiem ci, że wolałabym tysiąc razy, aby wrócił do Bożeny, niż uciekł znowu nie wiadomo gdzie ani nie wiadomo na jak długo, bo to oznaczałoby, że nareszcie odzyskał spokój. I że wybaczył sobie i Pawłowi.

Chciałam zapytać o coś jeszcze, nie zdążyłam jednak, bo nagle w ogrodzie zrobiło się zamieszanie, a przez balkonowe drzwi wyjechał stół z płonącym prosiakiem, za którym dostojnie szła gospodyni. Podobnie jak hostessy miała na sobie doskonale skrojony garnitur w gołębiczym kolorze, a na głowie zalotnie przekrzywiony kapelusz w kolorze o ton ciemniejszym. Zdecydowanie wyróżniała się na tle kolorowych kobiet nie tylko bijącą od niej pewnością siebie i sposobem poruszania się, ale i ekscentryczną osobowością, na którą nie sposób było nie zwrócić uwagi.

– Drogie panie, zapraszam na gorącą pieczeń i doskonały bigos. – Głos Luizy był donośny i zdumiewał siłą, zwłaszcza gdy patrzyło się na jej szczupłe, niemal chłopięce ciało.

Dźwięk słowa „pieczeń” i widok płonącego prosiaka spowodował, że moja Kruszynka fiknęła koziołka z radości, a ja poczułam, że jestem

głodna jak wilk. Podeszłam więc, jak wszystkie, po swoją porcję, oddając się przyjemności jedzenia mimo późnej pory.

Babskie Balety zaczęły się rozkręcać. Coraz więcej kobiet tańczyło, wiele zebrało się wokół stołu w rozświetlonym salonie, próbując niecodziennych potraw, a część stała w grupkach z drinkami w rękę, wybuchając raz po raz głośnym śmiechem. Trochę potańczyłam i również dałam się skusić na kulinarne dzieła sztuki. Romka, Bożenka i Wiola czuwały, aby było mi tu dobrze, więc krążyłam od grupy do grupy, przedstawiana jako młoda doktorowa z Doktorówki.

Większość kobiet przyjmowała mnie bardzo przyjaźnie, niektóre wiedziały o mnie dużo więcej, niż mi się wydawało, inne lustrowały mnie wzrokiem z ciekawością i wypytywały, jak poznałam Pawła.

Po jakimś czasie poczułam się tak zmęczona, że przeprosiłam wszystkich i ruszyłam w stronę domu w poszukiwaniu toalety i chwili spokoju.

Dom Luizy był duży i w pewnym momencie zagubiłam się w jego zakamarkach. Ktoś skierował mnie do łazienki na piętrze, którą odszukałam już bez problemu. Kiedy z niej wyszłam, zaintrygowało mnie przyćmione światło lampki dochodzące z pokoju naprzeciwko. Pragnąc ciszy i odrobiny odpoczynku, zajrzałam tam z ciekawością. Napotkałam nieprzyjazny wzrok Luizy pólężącej na kanapie z kieliszkiem w ręku.

– No proszę, proszę, kogo my tu mamy. Zgubiłaś się? Biedactwo...  
– Ironiczny ton jej głosu nie powstrzymał mnie od tego, aby wejść do pokoju i usiąść na drugim końcu kanapy. Zapadłam się w jej miękkość, doceniając tę chwilę odpoczynku.

– Masz ładny dom. – Postanowiłam, że nie dam się sprowokować.  
– Lubię go. Julii też się podobał. Czasami przychodziła tu, gdy mnie nie było, i ocieplała te wnętrza swoją obecnością. Ten pokój lubiła najbardziej. – Luiza wskazała ręką dookoła siebie. – Dzięki niej ten dom miał duszę. Ja nie potrafię mu jej dać.

Zamilkła. Ja też się nie odzywałam, czując, że Luiza nie potrzebuje rozmowy, tylko słuchacza.

– Wiesz, że miała w tym domu swoje studio? Specjalnie wyciszony pokój, przystosowany do jej pracy. Niewiele osób o tym wiedziało. Julia

bardzo ceniła wolność. Tu ją miała.

Starannie składana przeze mnie mozaika twojego życia, Julio, powoli tworzyła obraz, którego poszukiwałam. Kolejny zaskakujący element odkryłam dzięki ludziom, z którymi coś cię łączyło.

– Nie mówiła mi o sobie wszystkiego. Potrzebowała prywatnej przestrzeni, której nie naruszałam. Wielu faktów się jednak domyślałam i byłam na nią wściekła, bo poświęciła się dla tego swojego męża, który i tak jej nie docenił. – Luiza spojrzała na mnie i roześmiała się. – Sorry, zapomniałam, że ten jej mąż jest teraz twoim mężem. Pasujesz do niego. Oboje jesteście okropnie poukładani i porządni. Szlachetni.

Miałam dość jej wstawionego bełkotu. Wstałam, ale zatrzymała mnie słowami:

– Kochałam Julię. Nie jak przyjaciółkę. Kochałam ją jak kobietę. Była największą miłością mojego życia, ale nigdy nie pozwoliła mi przekroczyć granicy, którą na początku naszej znajomości wyznaczyła. Dla niej to była przyjaźń. Dla mnie ona była życiem. Tak, jestem lesbijką – odpowiedziała na niezadane przeze mnie pytanie. – A Julia kochała tego palanta. Moją miłością wzgardziła. Ofiarowała mi w zamian przyjaźń, ale dla mnie to też było wiele. Wielbiłam ją. Była moją muzą. Moją inspiracją. Była wszystkim, czego mi brakowało. A potem zabrakło i jej...

Zostawiła mnie z tym swoim wyznaniem, a może to ja ją zostawiłam, bo po prostu wyszłam. Za dużo było tych emocji jak na jeden dzień. Kręciło mi się w głowie i byłam potwornie zmęczona. Odszukałam Bożenkę i spytałam, czy mogłaby mnie odwieźć do Doktorówki zaraz po ciuchowisku. Ona chyba też chciała już wracać. Miałam wrażenie, że ciągnęło ją do domu, w którym był Mikołaj. Przeczekałam bitwę o wieszaki, obserwując z bezpiecznej odległości dantejskie sceny, o których opowiadała Roma, i z ulgą wsunęłam się na siedzenie pasażera obok zadowolonej Bożenki, która wynosiła od Luizy prostą wizytową sukienkę odpowiednią do jej figury.

Dotarliśmy do domu po drugiej w nocy. Doktorówka była cicha i ciemna. Weszliśmy, starając się nikogo nie zbudzić. Bożenka zapaliła światło w przedpokoju, a ja pożegnałam szwagierkę zmęczonym „dobranoc”, jednak w połowie schodów przypomniałam sobie, że nie



mam już w pokoju wody mineralnej, po którą często sięgałam w nocy. Zawróciłam więc, zabrałam z kuchni butelkę z wodą, po czym skierowałam się w stronę schodów, zerkając w kierunku niedomkniętych drzwi pokoju Bożeny. W nikłym blasku małej lampki nocnej zobaczyłam jeszcze, jak Bożenka z czułością przykrywa kocem Mikołaja, który zasnął na ich wspólnym łóżku. Uśmiechnęłam się i wbiegłam na górę, zostawiając nocy to, co powoli zaczynało się w tym domu zmieniać.

\*\*\*

Obudził mnie dźwięk telefonicznego dzwonka. Sięgnęłam po komórkę, nie wiedząc, która jest godzina ani jaki jest dzisiaj dzień tygodnia. Dobrą chwilę trwało, zanim zebrałam myśli. Odebrałam, nie patrząc na wyświetlacz.

– Halo? – Głos miałam jeszcze schrypnięty po nocy.

– Cześć, Zosiu. Chora jesteś czy po prostu cię obudziłem?

Zaskoczył mnie ten telefon. Mój tata nie dzwonił do mnie zbyt często i trochę się zaniepokoiłam.

– Cześć, tato. Szczerze mówiąc, dopiero się obudziłam. Wczoraj bardzo późno się położyłam. – Nie wtajemniczałam ojca w szczegóły minionego wieczoru. Nie miał pojęcia o moim życiu tutaj, nie chciałam też dostarczać Alicji tematu do plotek i niepotrzebnych komentarzy.

– Powinnaś teraz bardziej o siebie dbać, córcia.

– Dbam, tato. Jestem tu pod dobrą opieką, nie musisz się martwić.

Usiadłam, podnosząc nieco poduszkę i opierając się o nią.

– Wiem, bo spotkaliśmy ostatnio Kingę. Mówiła, że była u ciebie.

– No była. – Nie wiedziałam, do czego zmierza ta rozmowa, ale czekałam, wiedząc, że prędzej czy później ojciec przejdzie do sedna, bo że nie była to towarzyska pogawędka, czułam od razu.

– Słyszałem, że twoi teściowie to bardzo mili ludzie.

– Przecież poznałeś ich na moim ślubie.

– No tak, ale sama wiesz, jak to jest na takich imprezach. Człowiek jest przejęty i takie tam.

– To cudowni ludzie, tato. Dobrze mi tu jak u Pana Boga za piecem.

Ojciec odchrząknął, jakby zbierał siły, a potem zapytał z pewnym ociąganiem.

– Może zaprosiłabyś do siebie Weronikę? Wiesz, ona żyje ostatnio w dużym stresie. Praca i takie tam...

Pod jednym z ulubionych powiedzonek mojego taty, „takie tam”, ukryło się zreżumowanie wszystko, co najistotniejsze: odrzucenie, porzucenie, życiowa porażka i Szymon, który wybrał inną. To był niewątpliwie cios dla Weroniki, która od dziecka miała to, czego chciała. To nie ją porzucano, to ona była tą, która dyktowała warunki. Aż do teraz.

– To pomysł Alicji, prawda?

– Zrozum, Zosiu, martwi się o nią. Weronika jest w fatalnym stanie psychicznym. – Tata westchnął, a ja między słowami wyczytałam więcej, niż chciał powiedzieć. Jemu też musiała nieźle dawać się we znaki, skoro zdecydował się zadzwonić do mnie z taką prośbą.

– I chcesz ją wysłać do swojej ciężarnej córki, która teraz potrzebuje spokoju? Przecież wiesz, że przy Weronice jest to niemożliwe, a przy rozchwianej emocjonalnie Weronice to już grozi podwójnym niebezpieczeństwem. Nie mogę narażać na to twojego wnuka. Nie, tato, nie ma mowy. – Po raz pierwszy otwarcie przeciwstawiłam się ojcu i odrzuciłam jego prośbę. – Nikt tu nie będzie niańczył Weroniki i przejmował się jej humorami tak, jak to robi Alicja. A jeśli miałyby ochotę na odpoczynek w Kazimierzu, jest tu naprawdę dużo miłych pensjonatów i hoteli, mogę wam któryś polecić, jeśli chcecie.

– Zmieniłaś się, Zosiu. – Ojciec posmutniał.

– Dojrzałam, tato. Do decydowania o swoim życiu i do mówienia „nie”. Powiedz Alicji, że nie będę uszczęśliwiała Weroniki swoim kosztem.

– To twoja siostra, Zosiu. – Ojciec spróbował jeszcze wykorzystać ostatni z argumentów.

– Nie, tato. To zupełnie obca dla mnie osoba. Podła i egoistyczna.

Iza jest moją siostrą, a Weronika po prostu kimś, z kim dorastałam. Przykro mi.

– No cóż, rozumiem. Dbaj o siebie, córcia. Trzymaj się.

– Pa, tato.

Nie zastanawiałam się nad tym, czy naprawdę zrozumiał, ale nie miałam żadnych wyrzutów sumienia, że mu odmówiłam. Wiedziałam, że to Alicja wymyśliła ten plan, i po raz pierwszy, odkąd weszła w nasze życie, poczułam, że uwolniłam się spod jej apodyktycznej dominacji, wybierając to, co dobre dla mnie. Dla Kopciuszka, jakim zawsze czułam się w domu w Józefowie.

\*\*\*

Znalazłam to zupełnie przypadkiem. Zapisana lekko pochyłym pismem kartka, została wciśnięta między artykuły przywiezione mi przez Mariusza. Domyśliłam się, że to pismo Julii, jak tylko przeczytałam pierwszą linijkę.

*Nie każdy potrafi dostrzec to, co naprawdę w życiu ważne.*

*Przyjaciel. Od najmłodszych lat marzymy o przyjaciółce, o takiej pokrewnej duszy, jaką Diana była dla Ani Shirley. Potrzebujemy kogoś, kto nas zrozumie i komu będziemy mogli powierzyć swoje sekrety. Potrzebny nam ktoś, przy kim będziemy mogły się rozplakać bez obsesyjnej myśli, jak wyglądamy z rozmazanym tuszem pod oczami; ktoś, do kogo możemy zadzwonić w środku nocy, bo jesteśmy przygnębieni i wszystko, czego nam potrzeba, to ciepłe słowa i pełne wiary zapewnienie: „Nie jesteś sama!”; ktoś, z kim wypijemy filiżankę herbaty i czasami, po prostu, pomilczymy.*

*Ale przyjaźń nie jest bezwarunkową akceptacją i przyjmowaniem drugiego człowieka bez zastrzeżeń. Przyjaciel kocha, ale ma odwagę powiedzieć prawdę, jeśli nasze życie zmierza w niewłaściwym kierunku; jeśli się „rozdeptujemy” jak domowe kapcie i w wieku lat czterdziestu*

*lub pięćdziesięciu twierdzimy, że już nie ma sensu niczego zmieniać, bo dobrze jest tak, jak jest, i godzimy się na powolne obumieranie naszego serca, które przecież kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, żyło porywami i wypełnione było po brzegi marzeniami i planami podboju świata.*

*Czasami stygniemy i opadają nam skrzydła... „Nie lubię mojej pracy, ale przecież w moim wieku i tak nie znajdę nowej”. „Nie podobają mi się moje odrosty, ale przyzwyczałam się do nich. A zresztą, komu ja mam się podobać? W tym wieku?” „Nie jest mi dobrze w tym miejscu, w którym postawiło mnie życie, ale nie mam siły tego zmieniać, bo to i tak nic nie da”. Poddajemy się tak łatwo zwątpieniu, przygnębieniu, rezygnujemy z siebie dla kogoś albo czegoś.*

*Przyjaciel ma odwagę potrząsnąć nami, spojrzeć głęboko w oczy, a nawet, jeśli trzeba, dać „klapsa” i popchnąć we właściwym kierunku. I zrobi to tylko dlatego, że jesteś dla niego ważna. I mu (jej!) na Tobie zależy. Bo wie, że odwracasz lustro i nie lubisz na siebie patrzeć, a powinnaś, bo jesteś piękna, tylko już dawno o tym zapomniałaś. I wie o Twoich łzach wypłakiwanych bezsilnie w poduszkę lub pod prysznicem, aby nikt nie usłyszał. Wie o tych wszystkich dylematach, jak przeżyć, kiedy wciąż czegoś brakuje. Pieniądzy, miłości, czułości, obecności drugiego człowieka, zdrowia. Prawdziwy przyjaciel to ciepły kominek w zimny, styczniowy poranek. I wieczór. Czasami wystarczy jeden nieoczekiwany SMS, e-mail czy telefon. Czasami niezapowiedziana wizyta. A czasami drobny, ale ważny prezent w postaci ofiarowanych przyjaciółce badań, na przykład USG piersi lub mammografii, bo dotąd nie miała odwagi, a powinna je wykonać. Dla siebie samej...*

Odkładałam tę zapisaną przez Julię kartkę poruszona, z przeświadczeniem, że powinna ją przeczytać Luiza, bo to o niej pisała Julia w drugiej części tego artykułu i do niej głównie kierowane były jedno z ostatnich słów Julii, na co wskazywała data: dwudziesty trzeci września...

Narzuciłam na siebie sweter, kartkę złożyłam starannie do notesu i spakowałam do niewielkiego plecaka, po czym zbiegłam ze schodów, wpadając akurat na Joannę.

– Zosiu, a ty dokąd się tak spieszysz?

– Muszę wyjść na godzinę, mam. Niedługo wrócę.

Brwi Joanny uniosły się lekko do góry.

– Ale zbiera się na burzę. Boję się, żeby nie złapała cię gdzieś nad Wisłą.

Rzeczywiście, od rana czuć było w powietrzu duchotę, a ciemne szare chmury wisiały nad Kazimierzem, jakby zapowiadały jakieś złowieszcze wydarzenie.

– Jan jedzie do Aleksandra do Dwóch Księżyców. Podrzuci cię, będzie szybciej.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, bo, wygnana z pokoju impulsem, dopiero teraz uświadomiłam sobie, że dom Luizy znajduje się dość daleko od Doktorówki.

– Dziękuję! – odpowiedziałam i spontanicznie pocałowałam Joannę w policzek. Jej ręka uniosła się i dotknęła moich krótkich włosów.

– Miałam ci nie mówić, bo to niespodzianka, ale Paweł jedzie do ciebie. Będzie niedługo.

– Paweł? – Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. – Wczoraj wieczorem rozmawiałam z nim przez telefon i nic mi o tym nie wspomniał.

– Bo chciał, żeby to była niespodzianka, a ja się wygadałam.

– Nie martw się, nie zdradzę cię. Jak go zobaczę, będę naprawdę bardzo zaskoczona.

Joanna posłała mi ciepły uśmiech i zwróciła się do Jana schodzącego po schodach.

– Janku, podrzucisz Zosię po drodze? Ma jakąś pilną sprawę do załatwienia, a nie chcę, żeby zmokła.

Jan skinął głową i gestem ręki wskazał mi drzwi wyjściowe, przed którymi na podjeździe stał jego wysłużony opel insignia.

– To dokąd się, Zosiu, wybierasz? – spytał już w samochodzie, gdy wyjeżdżaliśmy przez bramę Doktorówki.

– Do Luizy, tato.

Jan zmarszczył czoło, dając mi do zrozumienia, że nie podoba mu się ten pomysł, ale nie skomentował tego. Powiedział tylko:

– To dość daleko. Chciałaś tam iść na piechotę?

– No... chyba tak. – Zarumieniłam się.

– To przed burzą na pewno byś nie wróciła. Zawiozę cię, a potem, jak załatwię swoje sprawy, przyjadę po ciebie.

– Dziękuję! – odpowiedziałam, patrząc na teścia wzrokiem dziecka, które coś spocilo i jest tego świadome.

Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom Luizy, dostrzegłam, że większość okien w budynku było otwartych, co oznaczało, że ktoś musi być w domu. Odetchnęłam z ulgą, bo dopiero teraz uświadomiłam sobie, że mogłam się wybrać w tę drogę zupełnie bez sensu. Gdyby Luizy nie było w domu i gdybym przyszła tu na piechotę, sama na siebie byłabym wściekła za swoją głupotę i działanie pod wpływem emocji. Zrzuciłam ten brak rozsądku na hormony ciążowe, jeszcze raz podziękowałam Janowi, po czym wysiadłam i podeszłam do furtki z głośno bijącym sercem.

Luiza była mocno zaskoczona moim widokiem.

– Ty? Tutaj? Przysłał cię ksiądz proboszcz czy sama postanowiłaś mnie nawracać? A może chcesz mi strzelić gadkę umoralniającą i powiedzieć, co o mnie sądzisz? W dupie mam to, co mówią i myślą o mnie inni, więc daruj sobie, jeśli...

– Dopuszczysz mnie do głosu? – Przerwałam słowny atak Luizy, wyminęłam ją i weszłam do środka.

– Zależy, co chcesz powiedzieć – odpowiedziała.

– Szukałaś odpowiedzi, a ja sądzę, że ją znam. Myślę, że tu znajdziesz wszystko, co chciałaś znaleźć. – Podałam jej złożoną na czworo kartkę. Wzięła ją ode mnie z pewnym ociąganiem.

Obserwowałam, jak rozkłada ten w pewnym sensie list i jak przebiega wzrokiem po pierwszych liniijkach. Widziałam, jak jej wskazujący palec z czułością przesuwają się po pochyłych literach i jak w oczach Luizy zbierają się łzy. Znałam treść słów, na których skupiła swoją uwagę, i wyobrażałam sobie, jak cenne są właśnie dla niej, bo to ona była główną adresatką tego wyznania...

*Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo mam przyjaciółkę, która przetrwała ze mną gwałtowne burze i załamania; która była przy mnie przez całą, pełną gwałtownych zakrętów drogę walki o siebie i swoje*

*marzenia, i razem ze mną autentycznie i szczerze cieszy się tym, co się w moim życiu poukładało. Luiza to przyjaźń, która z każdym rokiem nabiera coraz lepszego smaku; nigdy mnie nie zawiodła i przetrwała momenty słabości, wartościując to, co naprawdę ważne. Różnimy się od siebie, ja i ona, ale równocześnie tą różnorodnością się uzupełniamy. Uczestniczymy w swoim życiu bez przekraczania wyznaczonych granic i szanujemy wzajemnie swoją odrębność, wiedząc jednocześnie, że nikt na świecie nie zrozumie nas tak, jak jedna drugą – Luiza mnie, a ja ją.*

*Przyjaźń to zaufanie i brak lęku oddania części siebie drugiemu człowiekowi. To świadomość, że na ruchomych piaskach życia będziemy w stanie znaleźć pewny grunt i że nie zatoniemy, bo czyjaś pomocna dłoń będzie wyciągnięta w naszą stronę w momencie upadku czy pojawienia się innego zagrożenia. To również odłamki tęczy, które odkrywamy w sobie oczami kogoś innego. Przyjaciel to anioł, który wchodzi w nasze życie bez szumu i zostaje w nim na długo, rozprostowując przykurczone skrzydła. Przyjaźń to siostra miłości. Dla mnie to po prostu Luiza. Moja Przyjaciółka. Moja Diana.*

Nabrzmiałe od skrywanego latami żalu łzy spływały po policzkach Luizy. Pozwoliła im płynąć, jakby za tą zasłoną widziała kobietę, która napisała te piękne słowa o przyjaźni. A potem złożyła starannie, prawie z nabożeństwem kartkę, przytuliła ją do serca i spytała:

– Mogę ją zatrzymać?

Skinęłam głową.

– Należy do ciebie. Byłaś kimś wyjątkowym w życiu Julii. Chciałabym, aby moja przyjaciółka tak kiedyś o mnie pomyślała.

Dopiero teraz Luiza otarła z policzków łzy, zupełnie jakby obudziła się z letargu.

– Ja też mam coś dla ciebie. Wymknęłaś się z Babskich Baletów tak niespostrzeżenie, że nie zdążyłam dać ci obiecanej sukienki. Poczekaj tutaj. – Wskazała jeden z foteli w salonie.

Usiadłam, a Luiza wbiegła na górę, skąd po dłuższej chwili wróciła, podając mi zwiewną szyfonową sukienkę z podwyższonym stanem i kardigan w odcieniu stonowanego fioletu.

– Kaszmir. Subtelny i na pierwszy rzut oka dość delikatny,

a jednak dobrze trzyma ciepło. Pasował mi do ciebie, dlatego go odłożyłam. A sukienkę wypatrzyłam już wcześniej. Mówiłam ci, że w tym sezonie brzuchy są modne.

– Dziękuję. – Dotknęłam miękkiej kaszmirowej tkaniny, przytulając do niej policzek. – Miły w dotyku – powiedziałam, chcąc rozproszyć ciszę, jaka znów między nami zapadła.

Luiza stała na środku salonu, zwrócona przodem do okna wychodzącego na ogród, tyłem do mnie. Miałam wrażenie, że zapomniała o mojej obecności, i zastanawiałam się, czy wstać i wyjść po cichu, nie zakłócając jej samotności, czy też poczekać, aż przypomni sobie, że tu jestem.

Wtedy Luiza odezwała się cicho:

– Tamtego dnia też zbierało się na burzę. To była inna burza, jesienna, mniej gwałtowna niż te letnie czy wiosenne, ale powietrze było tak samo naelektryzowane jak dzisiaj. Julia przyszła tutaj, aby powiedzieć mi o wyjeździe. Już samą tą wiadomością mnie wkurzyła. Wiedziała, że się minimy, bo na początku października miałam już być w Mediolanie. Chciałam spędzić te ostatnie dni z nią, a ona wymyśliła Tatry. Była słaba, jej kondycja bardzo się pogorszyła. Miałam nawet żal do tego jej męża, że nie zleci jej żadnych badań i nie skieruje do jakichś kompetentnych lekarzy. Kiedy usłyszałam o Tatrach, zupełnie od czapy, wyśmiałam ją najpierw, a potem zaczęłam jej tłumaczyć jak dziecku, że to nie jest dobry czas. Próbowałam wybić jej to z głowy, ale była cholernie uparta. I wtedy mi powiedziała... Ona nie pojechała tam z Pawłem. Wypadła mu nieoczekiwanie jakaś operacja, po której musiał przez kilka dni zostać z pacjentem. Miał do niej dojechać. Nie wiedział, biedak, że Julia pojechała tam z Mikołajem. Powiedziała mi o wszystkim, choć, prawdę mówiąc, większości się już domyślałam. Powiedziała mi o rozciętym na pół sercu, które kochało ich obu. I o tym, że nie potrafi zostawić Pawła, choć to Mikołaj był mężczyzną, bez którego nie umiała oddychać. On ją dopełniał i rozumiał bez słów. On był szaleństwem potrzebnym jej do życia jak tlen. Był miłością, której nie umiała odrzucić. Ale przyjąć też jej nie potrafiła.

Wstałam, zabierając ze sobą prezenty od Luizy. Nie chciałam już żadnych słów więcej. I tak zbyt wiele tutaj usłyszałam.



– Pójdę już – powiedziałam.

Luiza odwróciła się i spojrzała na mnie spod okularów zaczerwienionymi oczami.

– Dziękuję. – Wskazałam na kardigan i sukienkę.

– Uratowałaś mnie przed obłędem – szepnęła. – To ja ci dziękuję.

Wyszłam, wynosząc w sobie plątaninę uczuć, emocji i pytań, na które w końcu chciałam poznać odpowiedź nieskładającą się z fragmentów czy półprawd, ale z prawdy, jakakolwiek by ona nie była.

Jan czekał już na mnie przed domem Luizy. Wsiadłam do samochodu i poprosiłam o kolejną przysługę:

– Tato, czy możesz zawieźć mnie w jeszcze jedno miejsce? Proszę.

\*\*\*

Pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na ziemię w chwili, gdy weszłam do kwitnącego jabłoniami sadu. Wraz z nimi w oddali rozległ się grzmot zwiastujący nadchodzącą burzę.

Wysiadając z samochodu Jana, który podczas drogi nie zapytał mnie o nic, szanując moje milczenie, zostawiłam go z jeszcze jedną prośbą.

– Proszę cię, tato, przywieź tu Pawła, jak tylko dotrze do Kazimierza.

Dom Mikołaja miał już dach, okna i drzwi. W środku paliło się światło, wiedziałam więc, że Mikołaj pracuje. Kiedy tu jechałam, nie zastanawiałam się, co będzie, jeśli go nie zastanę. Przez cały ten czas miałam w głowie tylko jedną myśl, której uczepiłam się kurczowo. Czułam, że muszę porozmawiać z Pawłem właśnie tu, w tym miejscu, bo tylko tutaj poznam to, co przede mną ukrywał i co schował za skorupą milczenia.

Jasna błyskawica rozdarła niebo na pół w momencie, kiedy dotknęłam klamki i otworzyłam drzwi. Słyszałam uderzenia młotka dobiegające z głębi, skierowałam się więc w tamtą stronę.

Znalazłam Mikołaja w salonie. Klęczał, przybijając coś na drewnianej podłodze. W pokoju pachniało drzewem i świeżą farbą. Gdy usłyszał kroki, podniósł gwałtownie głowę i popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

– Zośka, rany, wiesz, jak mnie przestraszyłaś? Jak się tu dostałaś?

– Na przyszłość zamykaj przynajmniej furtkę. Każdy może tu wejść.

– Niby po co?

– Popatrzeć – odpowiedziałam, rozpinając sweter, bo nagle zrobiło mi się duszno i słabo. – Masz może wodę? – spytałam i zachwiałam się. Mikołaj zareagował szybko. Momentalnie zerwał się z podłogi i podbiegł, podtrzymując mnie, żebym nie upadła. Wsparałam się o niego dłońmi, głęboko oddychając.

– Musisz się położyć. Dasz radę przejść kilka kroków do kuchni? Mam tam tapczan.

Skinęłam głową i dałam się mu poprowadzić i zaopiekować sobą. Widziałam jego zagubienie i lęk w oczach, uspokoiłam go więc, mówiąc:

– To nic takiego, po prostu spadł mi cukier. Od dobrych kilku godzin nie miałam niczego w ustach, a mała upomina się o swoje.

– To dziewczynka? – spytał nieco spokojniej, już bez tej paniki, która jeszcze chwilę temu go ogarnęła.

– Tak mi się wydaje, choć początkowo stawiałam na chłopca.

– To dobrze, że dziewczynka – powiedział i podał mi banana. – Masz, zjedz to.

Oboje myśleliśmy o tym samym. O małym Kacperku, synku Julii, który żył tylko jedną dobę.

– Dlaczego dziecko Julii nie przeżyło? – spytałam, wiedząc, że rozdrapuję rany, ale wierząc, że nie są tak głębokie, jak te Pawła, w którym na zawsze miało pozostać poczucie straty i nieustannie towarzyszący mu lęk. Ten lęk wyzierał z jego oczu za każdym razem, gdy patrzył na mój powiększający się brzuch.

– Urodził się za wcześnie. To był dopiero dwudziesty czwarty tydzień. Dwie wcześniejsze ciąży Julia poroniła. Ta była nadzieją. Mały miał jednak silne niedotlenienie. Podobno wszystkiemu winna była jakaś

genetyczna nieprawidłowość... Po śmierci dziecka wszystko się zmieniło. Zmieniła się Julia. Największą winą obarczała siebie. Pogubiła się, a ja razem z nią.

Ja też się pogubiłam, Julio. Doprowadziłaś mnie do takiego momentu, że poczułam się tak, jakbym znała cię od lat. Nie byłaś już dla mnie zjawą ani pierwszą żoną mojego męża, o którą byłam zazdrosna. Stałaś się kimś bliskim. Kimś, kogo starałam się zrozumieć. Nie zajęłam twojego miejsca. Odnalazłam w tej rodzinie swoje, zachowując pamięć o tobie i twoim życiu, które przecież było prawdziwe. Tak jak moje. Tu i teraz.

Nasze pełne refleksji milczenie przerwał trzask drzwi i czyjeś szybkie nerwowe kroki. Jedno spojrzenie na Pawła wystarczyło, abym zrozumiała, że jest bardzo zdenerwowany.

– Zosia, co ty w ogóle wyrabiasz? Co się stało?

Paweł przebiegł wzrokiem ode mnie, wpołóżając na tapczanie, do opartego o kuchenny parapet Mikołaja.

– Zastąpiła, bo pewnie niewiele dziś jadła. I to ja powinienem zapytać, co ty tutaj robisz? Nie pamiętam, abym cię zapraszał. – Nie ułatwiali mi zadania. Zamknięte pomieszczenie, w którym obaj się znaleźli, aż iskrzyło, podobnie jak wyładowania za oknem.

– Moja żona mnie tu zaprosiła, choć też zastanawiam się, z jakiego powodu – odburknął nieuprzejmie Paweł.

– Która żona?

Te drwiąco rzucone słowa stały się jak zapalona zapałka rzucona na stos suchego drzewa. To była chwila. Paweł podbiegł do Mikołaja i złapał go za brzeg podkoszulka, mnąc z wściekłością materiał w rękę.

– Myślisz, że tym domem wmówisz wszystkim dookoła, że się zmieniłeś? Myślisz, że ktokolwiek ci uwierzy? Dlaczego nieustannie wprowadzasz zamęt w moim życiu? Dlaczego wszystko niszczysz?

– A dlaczego ty ją zabiłeś?

W kuchni zapanowała grobowa cisza, w której słyhać było tylko ulewny deszcz za oknem i pioruny wyładowujące, podobnie jak starszy z braci, swoją złość gdzieś zupełnie blisko.

– Nie zabiłem jej – odpowiedział cicho Paweł, puszczając Mikołaja. – Nie zabiłem jej. – Powtórzył.

– Byłeś tam razem z nią! – krzyknął Mikołaj, patrząc na brata oskarżycielsko. – Byłeś tam. Ty wróciłeś, ona nie. Powiedziała ci o nas, prawda? Wściekłeś się. Popchnąłeś ją czy po prostu nie podałeś jej ręki, patrząc, jak spada? Powiedz mi, jak możesz z tym żyć?

– Nie zabiłem jej! – Krzyk Pawła odbił się echem od pustych ścian domu.

Usiadłam, czując, że zaraz zwymiotuję. Nie o to mi chodziło, kiedy prosiłam Jana, by przywiózł tu Pawła. Chciałam, aby mój mąż zobaczył ten dom i jabłonie. Chciałam z nim właśnie tutaj porozmawiać, licząc na to, że on i Mikołaj znajdą jakiś sposób, aby żyć ze sobą bez tej chęci mordy w oczach, i że będą w stanie wyjaśnić sobie to, co było między nimi przemilczane lub niedopowiedziane. No i chciałam dowiedzieć się w końcu, co się wydarzyło w Tatrach, ale takiego scenariusza nie przewidywałam.

– Zostawiłem ją tam. – Paweł usiadł na brzegu tapczanu. Wyglądał tak, jakby uszło z niego powietrze. Ramiona miał zwieszane bezwładnie, głowę pochyloną, a z mokrych włosów skapywały mu po karku kropelki deszczu. – Zostawiłem ją na przełęczy Liliowe i pozwoliłem, aby poszła dalej sama. Powiedziała mi o tobie. Nie mogłem uwierzyć, że mnie zdradziliście. Najbliżsi mi ludzie na świecie. Moja żona i mój brat. A ja przez tyle lat byłem ślepy. I taki głupi! Kochałem ją. I ufałem jej. Jak widać, niewiele było dla niej warte to wszystko...

– Mylisz się. – Emocje Mikołaja też powoli się wyciszały. – Byłeś dla niej ważniejszy, niż mi się wydawało. Naprawdę cię kochała. Kiedy poprosiła mnie, abym wyjechał z nią w te Tatry, wtedy gdy ty musiałeś zostać w Lublinie, myślałem, że w końcu podjęła decyzję. Wyglądała na zdeterminowaną. Podarowała mi trzy najpiękniejsze dni w moim życiu, rozbudzając nadzieję, że w końcu dojrzała do tego, aby od ciebie odejść. Dzień przed twoim przyjazdem poprosiła mnie, bym obiecał jej, że wrócę do Bożeny i zapomnę o niej i o tym, co nas łączyło. Powiedziała, że nie potrafi już dłużej żyć w kłamstwie, krzywdząc tylu ludzi. Wybrała ciebie.

Paweł pokręcił głową.

– Nie mnie. Wybrała wolność. – Widziałam, jak zaciska i otwiera pięści, jakby walczył sam ze sobą. – Uderzyłem ją. Po raz pierwszy

w życiu uderzyłem kobietę. Powiedziałem jej, żeby poszła do diabła. A potem odwróciłem się i zacząłem schodzić w kierunku Hali Gąsienicowej. Nic nie odpowiedziała. Po prostu ruszyła przed siebie. I już nie wróciła z gór. Może masz rację... Może właśnie ja ją zabiłem, bo pozwoliłem jej pójść tam samej? Była słaba i zmęczona, a ja odpuściłem, bo moja cholerna, zraniona męska duma okazała się ważniejsza. Nie popchnąłem jej, ale zostawiając ją tam samą, czuję się tak, jakbym to zrobił. I nigdy już nie pozbędę się poczucia winy...

Przysunęłam się i objęłam wstrząsane spazmem płaczu plecy Pawła. Zrozumiałam, jak niewiele wiedziałam. Myślałam, że mój mąż kochał Julię tak bardzo, że nie chce o niej mówić, bo to za bardzo boli. A Paweł żył z potwornym poczuciem winy, że zawiódł i nie dopilnował, przyczyniając się do tragicznej śmierci żony.

– Trzy tygodnie przed tym wyjazdem u Julii zdiagnozowano nieoperacyjnego guza trzustki. Nie chciała się zgodzić na leczenie, odmówiła chemioterapii i wymusiła na mnie, odwołując się do tajemnicy lekarskiej, że nie powiem o tym ani Joannie, ani Mariuszowi, ani żadnemu z was.

Wszyscy troje odwróciliśmy się w stronę drzwi. Jan stał oparty o futrynę. Na jego twarzy nawet w sztucznym świetle gołej żarówki, widać było ból.

– Tato, przecież miałem prawo wiedzieć! – Paweł podniósł się gwałtownie, jakby zupełnie nieświadomy mojej obecności.

– I co by ci ta wiedza dała? Zmusiłbyś ją do walki, w której i tak się przegrywa? Zamknąłbyś ją w szpitalu, skazując na to, by umarła z tęsknoty za życiem, które kochała? To był guz trzustki, naciekający dwunastnicę, żyłę wrotną i krezkową. Ona wiedziała, że bez względu na to, jaką walkę podejmie, ma mało czasu. Dlatego chciała po prostu żyć. Na swoich warunkach. Myślę, że w Tatrach... To nie był wypadek.

Słowa Jana, rzucone w przestrzeń, zawisły złowieszco w pomieszczeniu. Niebo rozświetliła kolejna błyskawica, a żarówka przygasła na moment, a potem zamrugła.

– Przestańcie więc skakać sobie do oczu i zacznijcie w końcu normalnie żyć, bez oglądania się wstecz. Ona by tego chciała. Myślicie, że tylko wy przeżywacie ból po jej stracie? Kochałem ją jak córkę i tak

zawsze traktowałem. Płakałem, gdy dostałem jej wyniki, ale uszanowałem jej wolę, bo ona też by tak postąpiła wobec mnie.

Jan spojrział na mnie, a ja zobaczyłam w jego oczach ciepło, które rozgrzało mnie od środka.

– Julka polubiłaby Zosię. I nigdy nie była tchórzem. – Jego wzrok zatrzymał się teraz na Mikołaju. – Więc ty też, synu, nim nie bądź. Nie uciekaj przed prawdziwym życiem, bo przyjdzie czas, kiedy gorzko tego pożałujesz.

Jan odwrócił się, machając na mnie ręką.

– Chodź, Zosiu. Myślę, że moi synowie muszą sobie wiele wyjaśnić.

Wstałam, musnęłam dłonią policzek Pawła i wyszłam razem z Janem w deszcz obmywający cały brud przeszłości, jakim poobrastali Rybicy. Popatrzyłam w niebo i pozwoliłam, aby orzeźwiające krople obmyły i moją twarz, a potem już sama nie wiedziałam, czy to te ciężkie krople, czy łzy spływały po moich policzkach, oczyszczając mnie z tych wszystkich myśli i domysłów, i przynosząc obietnicę nadziei, która miała się narodzić wraz z dzieckiem moim i Pawła.

– Jesteś mądrą kobietą, Zosiu. Zrobiłaś coś, czego żadne z nas nie miało odwagi się podjąć. Wszyscy się w tym pogubiliśmy, a ty jedna miałaś odwagę dotknąć tego, co bolesne, i poskładać na nowo źle złożoną kość, a raczej rodzinę. – Jan rozłożył nade mną parasol, odcinając mnie od kropel, którym dałam się zmoczyć.

– To Julia mnie poprowadziła, tato – odpowiedziała, biorąc go pod ramię.

– Wierzę ci, dziecko. Wierzę ci.

Poklepał moją dłoń, po czym ruszyliśmy przez kwitnący jabłoniowy sad w stronę samochodu.

\*\*\*

Po burzy, która narobiła trochę spustoszenia w okolicy, przyszedł

pogodny rzeński dzień. Powietrze od rana pachniało świeżością, a nasycona deszczem ziemia oddawała z wdzięcznością to, co sobą objęła.

Obudziłam się wcześniej rano i, skuszona słonecznym porankiem, wymknęłam się cichutko z pokoju, nie chcąc budzić Pawła.

Nie wiem, o której poszedł spać, ale było już późno. Przysnęłam w niespokojnym oczekiwaniu na jego powrót, z myślami kłębiącymi się w głowie. Obudził mnie dotyk. Paweł wtulał się we mnie, zziębnięty i skulony jak ktoś, kto chroni się przed ciosem. Otworzyłam oczy, choć w ciemności i tak nie mogłam wiele dostrzec. Pocałował mnie, a potem delikatnie, ale stanowczo odwrócił plecami do siebie. Szukał schronienia, ucieczki i oczyszczenia. Jego dotyk z delikatnego zrobił się zachłanny. Kochał się ze mną tak, jakby za chwilę miał się skończyć świat. Czulałam, że w ten sposób chce się narodzić na nowo. W akcie złączenia w jedno, w moim oddaniu i swoim panowaniu, poszukiwał samego siebie bez tej skazy, która wyryła się w jego świadomości wraz z niszczącym poczuciem winy. W naszej miłości, tej fizycznej, której potrzebował jak każdy mężczyzna do złagodzenia napięcia, w jakim żył ostatnio, oczyszczał się z tego, czego od tak dawna nie potrafił z siebie wyrzucić, a ja mu w tym oczyszczeniu pomagałam. Z miłości.

Kiedy skończył, wtulił twarz w mój kark i objął mnie tak, jakby bał się, że któregoś dnia zniknę. A potem rozszlochał się jak małe dziecko, pozwalając mi przyjąć ten ból i być świadkiem słabości, na którą sobie pozwolił.

Siedząc w koszuli nocnej i szlafroku na tarasie, w towarzystwie Neli, która pilnowała mnie pod nieobecność domowników, i jedząc śniadanie, zastanawiałam się, co przyniesie mi ten dzień i maj, rozpachniony jaśminem, konwaliami i bzem.

– Tutaj się ukryłaś. Szukałem cię. – Paweł wszedł na taras z lekko jeszcze przymglonymi od snu oczami. Pocałował mnie w czubek głowy i usiadł na fotelu, który zaskrzypiał wiklinowo.

Uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam rękę. Podał mi swoją i przez chwilę siedzieliśmy tak bez słowa, złączeni dotykiem.

– Jesteś piękna, Zosiu.

Roześmiałam się.

– Szczególnie taka prosto z łóżka, potargana i ze sterczącym brzuchem.

– Właśnie taka jesteś najpiękniejsza. Prawdziwa. Autentyczna.

– Jeszcze się nie obudziłeś – zażartowałam, choć czułam, że jego słowa są szczerze.

– Jesteś moim błogosławieństwem. Dostałem od Pana Boga mądrą żonę i do końca życia nie przestanę Mu za ciebie dziękować – powiedział cicho, a ja poczułam łzy zbierające się w kącikach oczu. – Zosiu, właściwie przyjechałem tu, bo chciałem z tobą porozmawiać. – Paweł spoważniał, puścił moją dłoń i pokręcił się nerwowo w fotelu, powodując, że ten odpowiedział mu skrzypiąco.

– Sądziłam, że wszystko już zostało powiedziane – odparłam, patrząc na niego ze świadomością, że nie uda mi się ukryć niepokoju czającego się w moim spojrzeniu.

– W sprawie Julii tak, ale to dotyczy naszego życia, kochanie.

Nic nie mówiłam. Patrzyłam na Pawła, czekając na jego słowa.

– Andrzej, ten mój kolega z Lublina, zaproponował mi, abym stanął do konkursu na ordynatora kliniki neurologii dziecięcej w szpitalu dziecięcym w Lublinie. Zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, chciałbym cię spytać, czy gdybym wygrał ten konkurs i gdyby zaproponowano mi to stanowisko, byłabyś gotowa na przeprowadzkę.

Moje oczy rozbłysły, bo spełniał się scenariusz, który miałam odwagę kreślić tylko w marzeniach.

– Czy to znaczy, że moglibyśmy na stałe zamieszkać w Kazimierzu?

– W Kazimierzu albo w Lublinie, to już zależałoby od ciebie. Na pewno oznaczałoby to, że musielibyśmy wyprowadzić się z Warszawy. Czy byłabyś gotowa zostawić swoją pracę, przyjaciół, rodzinę i wszystko, co tam znasz, i przenieść się w te strony, za mężem?

Przysunęłam się do Pawła i ujęłam jego dłonie, a potem, patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziałam:

– Pracę znajdę i w Kazimierzu. Przyjaciół i rodzinę też tutaj mam. Z Warszawą łączą mnie już tylko dobre wspomnienia i ty, a skoro ty będziesz tutaj, wspomnienia też zabiorę ze sobą. Pawełku, to najlepsza decyzja, jaką podjąłeś po tym, jak mi się oświadczyłeś.



Roześmiał się, a ja wstałam z sofy, podeszłam do niego i, ryzykując załamanie się fotela, usiadłam mu na kolanach, zarzucając ręce na szyję.

– Pokochałam Kazimierz i serce by mi chyba pękło z żalu, gdybym musiała stąd wyjechać. Pokochałam Joannę i Jana, Bartka i Bożenkę. Stali się częścią mojej codzienności, tak jak Mikołaj czy Romka. Odnalazłam tu swoje miejsce i nie chciałabym go opuszczać.

– Naprawdę nie przeszkadza ci mieszkanie z teściami? – zapytał przekornie, a ja długo spoglądałam w jego oczy, szukając takich słów, aby zrozumiał.

I znalazłam je:

– Doktorówka to mój dom. Nasz dom. Dom Rybickich.

Przytulił mnie, chowając twarz w moich włosach. Usłyszałam jeszcze: „Kocham cię, Zosiu”, a potem zakręciło mi się w głowie ze szczęścia i odurzenia majowymi zapachami i wiosną, która puściła do mnie zielone oko.

\*\*\*

Paweł wyjechał, tym razem jednak nie zostawiając po sobie pustki, tylko nadzieję, a ja dałam się pocieszyć miasteczku, które przygarnęło mnie z takim ciepłem, że właśnie tu zapragnęłam stworzyć dom dla naszej rodziny.

Nie planowałam przyszłości. Nie snułam planów, tylko zdałam się na bieg zdarzeń, którym tylko trochę pomagaliśmy. Paweł wybrał kierunek, a ja wiedziałam, że przyjmę to, co postanowi, i pójdę za nim wszędzie, bo przy nim jest mój dom.

Wracałam z wieczornego spaceru, uśmiechając się do widocznego z daleka dachu Doktorówki. Wracałam do ciepła, jakie tam na mnie czekało, i do ludzi, którzy stali się moją rodziną.

Na nadwiślańskiej promenadzie było o tej porze niewielu spacerowiczów. W środku tygodnia Kazimierz żył jeszcze swoim

życiem, dopiero w weekendy zapełniał się tak, że czasami aż głowa bolała od hałasu, jaki przywozili ze sobą rozkrzyczani turyści, zupełnie niepotrafiący uszanować panującej tu na co dzień ciszy.

Na brzegu Wisły dostrzegłam kobiecą postać. Stała zapatrzona w rzekę. Przyniosła jej zbyt trudne dla niej samej pytania. Zeszłam po małych schodkach, podchodząc do Wisły i do kobiety, która odwróciła się na dźwięk moich kroków.

– Mogę razem z tobą się na nią pogapić?

Bożenka uśmiechnęła się i zapraszającym gestem przywołała mnie bliżej siebie. Przez dobrą chwilę milczyłyśmy. Nie chciałyśmy zakłócać ciszy wieczoru, który niezauważalnie utulał nas swoją łagodnością. Nie chciałyśmy rozpraszać myśli, które każda z nas przyniosła tu ze sobą. Bożenka odezwała się pierwsza. Jej przyciszony głos nie zakłócił jednak tego wieczornego zadumania, ale wkomponował się w dźwięki, za pomocą których przemawiał do nas Kazimierz.

– Powiedz mi, Zosiu, jak ty to zrobiłaś? W jaki sposób udało ci się przemienić Mikołaja i dać mi na nowo nadzieję?

Potrząsnęłam głową.

– To nie ja, Bożenko. Czas tego dokonał, a ja stałam się tylko narzędziem w jego rękach. I myślę, że było mi łatwiej, bo nic o was nie wiedziałam. Przyjechałam tu bez uprzedzeń i poznawałam każdego z was osobno. Może dzięki temu udało mi się dostrzec to, czego wy już dawno nie zauważaliście?

Bożenka pokiwała powoli głową.

– Jest w tym jakiś sens – szepnęła, a potem, wpatrzona w dal, tam gdzie zakręcała dumna rzeka, zasypała mnie słowami, które sama Bożenka chciała usłyszeć, by uwierzyć, że to naprawdę się zdarzyło. – Dawno temu, w pewną sierpniową noc, jeszcze zanim Bartuś pojawił się na świecie, Mikołaj obiecał mi dom i sad z jabłonią. Nie uwierzyłam wtedy w jego słowa, ale schowałam je głęboko w sobie. Stały się pragnieniem mojego serca. Ten dom i Mikołaj w nim. Ze mną. Podobno jeśli takie pragnienie ludzkiego serca jest szczere i czyste i jeśli człowiek dostatecznie mocno w nie wierzy, ono się spełni. Wiem, że to głupie, Zosiu, ale ja przez te wszystkie lata zachowałam w sobie to marzenie. Gdzieś w głębi siebie pragnęłam tego, wierząc, że w tym nowym domu

może nam się udać. – Zamilkła, aby na nowo podjąć swoją opowieść. – Mikołaj zabrał mnie dziś do sadu, w którym kwitną jabłonie. Pokazał mi zaprojektowany przez siebie dom. I zapytał mnie, czy może przywieźć tam Bartka i czy... – Widziałam, że Bożenka walczy ze wzruszeniem, ale chciała być dzielna, jak zawsze, i chciała dokończyć to, co zaczęła. – I czy zamieszkać tam z nim, kiedy już dom będzie gotowy.

Oddałam Bożence tę chwilę. Pozostała w niej sam na sam z pytaniem Mikołaja, które powróciło teraz jak echo wraz z jej słowami. Odwróciłam się, aby dać jej prawo do łez, które oczyszczały nagromadzony latami żal i odrzucały jak chwasty to, co odbierało radość prostej codzienności.

– Mikołaj spytał mnie też, czy mu wybaczę. Jemu i Julii.

Drgnęłam, poruszona tymi słowami.

– Wybaczysz?

Bożenka otarła dłonią łzy, jakby chciała się pozbyć tych nieproszonych świadków naszej rozmowy.

– Julii już dawno wybaczyłam. Jedno jej słowo wystarczyło, aby Mikołaj zostawił mnie, Bartka i wszystko, co jeszcze nas w jakiś sposób łączyło, i odszedł z nią, nie oglądając się za siebie. A jednak tego słowa nie wypowiedziała. – Bożenka odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie. – Widziałam, Zosiu, jak Julia patrzy na Bartka, i choć w pewnej chwili dotarła do mnie okrutna prawda o ich związku, miałam pewność, że ona nie skrzywdzi mojego dziecka, bo było to również dziecko Mikołaja. Wybaczyłam jej. Mikołajowi też, ale żal we mnie pozostał i trzeba czasu, bym nauczyła się żyć z nim bez lęku, że któregoś dnia znowu zniknie. – Ciemne oczy Bożeny rozbliły. – Paradoksalnie jednak, Zosiu, jestem jedyną kobietą, która potrafi zaakceptować i w pewien sposób zrozumieć jego uczucie do innej kobiety. Wiem, że nawet jeśli z nim zamieszkać, Julia będzie tam z nami. Ale nieobecna łatwiej mi przyjąć. Kto wie, może się nawet zaprzyjaźnimy... – Bożenka uśmiechnęła się przez łzy, a ja ten uśmiech odwzajemniłam.

Wiedziałam, że jest w niej lęk przed kolejnym rozczarowaniem, ale miłość, jaką zachowała w sobie do mężczyzny, który uczynił z niej kobietę, była dużo silniejsza niż urazy czy żal. Ona zaleczała rany pozostawione przez tych, którzy, będąc najbliżej, ranili najmocniej.

Bo taka właśnie była miłość. Nienatarczywa. Szanująca wolność człowieka. Czująca. Delikatna. Harmonijna. Tylko ona potrafiła zatrzymać czas i sprawić, że każdy dzień zaczynał się uśmiechem i kończył nadzieją. I tylko ona wymawiała twoje imię tak, że nie trzeba było więcej słów, aby zrozumieć, że jesteś dla niej kimś wyjątkowym. Tak jak Bożenka była kimś wyjątkowym dla Mikołaja, choć on przez tyle lat nie chciał sobie tego uświadomić.

Tej nocy miałam sen.

Śniłaś mi się ty, Julio. Spacerowałaś pomiędzy kwitnącymi jabłoniąmi, z czułością dotykając białych kwiatów, które sypały się do twoich stóp. Twoje rozpuszczone rude włosy błyszczały w promieniach zachodzącego słońca, a na twojej twarzy była taka łagodność i spokój, że nawet ja poczułam ukojenie, choć obserwowałam cię z pewnej odległości. Obok ciebie zobaczyłam dziecko. To był mały, może czteroletni chłopczyk. Biegał między jabłoniąmi, śmiejąc się radośnie. Przywoływał cię. Popatrzyłaś na niego i uśmiechnęłaś się tak, że nie miałam wątpliwości, kim był. To był twój synek, do którego wyciągnęłaś ramiona, a potem uniosłaś go wysoko w górę i zakręciłaś tak, że oboje zawirowaliście, zlewając się z bielą jabłoni. Zanim zniknęłaś, odwróciłaś się w moją stronę i uniosłaś w górę dłoń, jakbyś mnie pozdrawiała.

Obudziłam się i długo jeszcze leżałam, nie chcąc pozwolić, by dzień wtargnął za szybko i zabrał mi ten sen, który chciałam zapamiętać. Odnalazłam cię, Julio. Odnalazłam cię w kwitnących jabłoniach i w sercach tych, którzy cię tam przygarniali. Poprowadziłaś mnie dobrą drogą. Nas wszystkich doprowadziła ona do wybaczenia, które przyszło wraz z kwitnącymi jabłoniąmi.

*Lublin, 4 kwietnia 2017 roku*

## *PODZIĘKOWANIA*



Każda książka jest intymnym spotkaniem pisarza ze słowami i pewnego rodzaju obnażeniem duszy, w której poukrywane są najskrytsze uczucia i lęki. Poprzez pióro słowa trafiają wprost z tej duszy na kartkę papieru, a potem, pomijając już długi proces wydawniczy, do rąk czytelnika, którego autor w pewien sposób dopuszcza do siebie tak blisko, jak dopuszcza się jedynie najbliższych.

Każda książka to również ludzie, których pisarz spotyka na wybrukowanej często kocimi łbami drodze twórczej. W pisaniu tej powieści towarzyszyli mi cudowni ludzie, którym z serca chciałabym w tym miejscu podziękować.

Marii i Franciszkowi Sawickim, właścicielom pensjonatu „Maria” w Dąbkach, ambasadorom sztuki, pragnę gorąco podziękować za stworzenie mi takich warunków do pracy twórczej, o jakich każdy pisarz marzy. Marysiu, dziękuję, że wspieracie mnie we wszystkim, dziękuję za serdeczność i troskę, jaką czuję się otaczana w moich ukochanych Dąbkach, i za nieustanną wiarę we mnie i moje pisanie!

Dziękuję księdzu Andrzejowi Pęcherzewskiemu, proboszczowi parafii Matki Bożej z Góry Karmel w Dąbkach, za to, że pojawił się w moim życiu w momencie, kiedy najbardziej potrzebowałam pomocy w odnalezieniu odpowiedzi na jedne z najtrudniejszych pytań, stając się moim duchowym przewodnikiem, rozbudzając ciekawość świata i ludzi oraz dając mi odwagę patrzenia głębiej, ponad to, co z pozoru oczywiste.

Dziękuję również Aleksandrowi Serwatce, właścicielowi hotelu i restauracji Dwa Księżycy w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, za to, że otwierając dla mnie gościnnie drzwi Dwóch Księżyców, podarował mi coś więcej niż idealne warunki do tworzenia – spojrzenie na miasteczko z innej perspektywy i możliwość dostrzeżenia w nim tego, co tak łatwo przeoczyć, a co starałam się docenić i oddać w mojej książce.

Magdalenie Sołdze dziękuję za ogromną pomoc, bez której nie skończyłabym tej książki w terminie, i za świadomość tego, że jest blisko we wszystkim. Dziękuję, Madziu!

Moim ukochanym mężczyznom, Marcinowi, Michałowi i Miłoszowi, jestem wdzięczna za znoszenie moich zmiennych nastrojów i humorów, za radzenie sobie z moimi „dołami”, za słowa i przytulenia dodające skrzydeł, za nieustanną wiarę we mnie i za pomoc w przepisywaniu rękopisu, gdy gonił mnie czas. Jesteście fantastyczni, wszyscy trzej!

Dziękuję także Pawłowi Rosakowi za dźwięki z płyty *Who knows* poruszającej najczulsze struny wrażliwej duszy. Muzyka ta towarzyszyła mi podczas pisania tej książki, podsuwając brakujące słowa i zdania, których wśród tych dźwięków poszukiwałam.

Przede wszystkim jednak dziękuję moim cudownym Czytelnikom, bo to dzięki Wam, Kochani, mam pewność, że to, co robię, naprawdę ma sens. I obiecuję, że dopóki utrzymam w rękach pióro, będę pisać dla Was historie podyktowane życiem...

*Monika A. Oleksa*

